

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**ROBERT LOUIS  
STEVENSON**

**KATRIONA**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

# **CZEŚĆ PIERWSZA**

## **LORD PROKURATOR**

## I. Z ŻEBRAKA STAJĘ SIĘ PANICZEM

Dnia 25 sierpnia 1751 roku, około godziny drugiej po południu, ja, Dawid Balfour, wyszedłem z British Linen Company w towarzystwie tragarza niosącego worek z pieniędzmi, podczas gdy kilku, i to niepoślednich, przedstawicieli tego domu handlowego odprowadzało mnie do drzwi, kłaniając się unizien. Przed dwoma zaledwie dniami, a nawet nie dalej jak poprzedniego ranka, byłem odzianym w łachmany, włóczącym się po drogach żebrakiem, parę szylingów składało się na cały mój majątek, towarzyszył mi ścigany zdrajca, na moją zaś głowę wyznaczono cenę za zbrodnię, o której po całym kraju rozbrzmiewały wieści. A oto dzisiaj doszedłem moich praw, stałem się dziedzicem ziemskiej posiadłości, idący obok mnie tragarz niósł moje złoto, w kieszeni miałem listy polecające i, jak to powiadają, wiatr dał prosto w moje żagle.

Dwie jednak okoliczności stawały na przekór tym powodzeniom. Pierwszą była bardzo trudna i niebezpieczna sprawa, jaką miałem załatwić, drugą – miejsce, w którym się znajdowałem. Wszak obracałem się dotychczas wyłącznie wśród górskich wertepów, piasków nadmorskich wybrzeży oraz zacisznych wiejskich ustroni; ciemne miasto o wysokich domach, zgiełk i ruch panujący wszędzie dokoła stanowiły dla mnie nowy, zadziwiający świat. Onieśmiało mnie zwłaszcza poruszanie się wśród ciżby jego obywateli. Syn Rankeillora był małego wzrostu, szczupły w ramionach i w pasie, z trudem więc mieściłem się w jego odzieży i zdawałem sobie sprawę, że krocząc przed tragarzem domu handlowego narażę się niewątpliwie na śmiech przechodniów, a co gorzej, mój nieliczący z zamożnością wygląd może ich skłonić do zainteresowania się moją osobą. Toteż postanowiłem zaopatrzyć się we własne suknie, a tymczasem szedłem obok tragarza, trzymając go pod rękę, jak byśmy byli parą przyjaciół.

U jednego z kupców w Luckenbooth wystroiłem się jak należy. Niezbyt wykwintnie, nie chciałem bowiem uchodzić za parweniusza, ale godnie i chędogo, tak aby wzbudzać szacunek u służby. Stamtąd udałem się do płatnerza i wybrałem sobie skromną szpadę dostosowaną do mego stanu. Tak uzbrojony zyskałem na kontenansie, chociaż zważywszy, iż nader kiepsko umiałem nią władać, można by ją uznać za jeszcze jedno grożące mi niebezpieczeństwo. Tragarz, człek z tytułu swego zawodu doświadczony, pochwalił mój wybór.

– Nic jaskrawego – mówił – prosty, przyzwoity przyodziewek. A rapirek przystoi nosić szlachcicowi. Ale będąc na pańskim miejscu korzystniej wydałbym moje grosiwo. – I zaczął mnie namawiać do kupienia „nadmierzalnie trwałych”, wełnianych gaci, wyrabianych przez jakąś jego kuzynkę, zamieszkałą tuż za bramą miasta zwaną Cowgate.

Miałem jednak pilniejsze sprawy na głowie. Znajdowałem się w Edynburgu, starym, mrocznym mieście będącym gmatwaniną uliczek, zaułków, przejść, dziedzińców i przeróżnych zakamarków, w których, jak króliki w norach, gnieździło się mrowie jego mieszkańców. Żaden obcy przybysz nie zdołałby tam odnaleźć przyjaciela, a tym bardziej nieznanego. Nawet gdyby mu się udało dotrzeć do właściwego zaułka, ludzie mieszkali tak stłoczeni w tych wysokich domach, że dzień cały mógłby upłynąć, zanim by natrafił na właściwe drzwi. Zwykło się więc wynajmować chłopca (zwano ich „caddie”), który służył za przewodnika, prowadził, dokąd zażądałeś, a gdy załatwiłeś swoje sprawy, odprowadzał do kwatery. Ci

chłopcy, spełniający zawsze te same posługi i których obowiązkiem było znać każdy dom i każdą osobę zamieszkałą w mieście, stali się z czasem jakby bractwem szpiegów. Wiedziałem z opowiadań pana Campbella, że byli w stałym kontakcie i że objawiali uporczywą ciekawość względem swego każdorazowego pracodawcy; jednym słowem, byli okiem i uchem policji. W sytuacji, w jakiej się znajdowałem, puszczenie na moje tropy takiego ogara byłoby zaiste dowodem nieroztropności. Musiałem nieodzownie odwiedzić trzy osoby: mego krewniaka pana Balfoura z Pilrig, Stewarta, prawnika i pełnomocnika Stewartów z Appin, tudzież Williama Granta z Prestongrange, lorda prokuratora Szkocji. Wizyta u pana Balfoura nie narażała nikogo; mieszkał na wsi i uznałem, że potrafię sam do niego dotrzeć za pomocą moich obunóg i obrotnego języka w gębie. Pozostałe natomiast wizyty zapowiadały się zgoła inaczej. Zgłoszenie się u pełnomocnika mieszkańców Appin, w czasie gdy wszędzie aż wrzało o dokonanym na ich ziemiach morderstwie, było już samo w sobie niebezpiecznym przedsięwzięciem, a co gorsza trudnym do pogodzenia z wizytą u lorda prokuratora. Z tym ostatnim czekała mnie, w najlepszym razie, nader ciężka przeprawa. Audiencja zaś u niego wkrótce po rozmowie z pełnomocnikiem Stewartów z Appin nie usposobiłaby go zapewne przychylnie do mojej osoby i mogłaby doprowadzić do zguby mego przyjaciela Alana. Ponadto te wszystkie moje zabiegi wywołałyby wrażenie, że oddając przysługi obu przeciwnym obozom, siedzę niejako na dwóch stołkach, co nie przysporzyłoby mi zaszczytu. Postanowiłem więc uporać się niezwłocznie z panem Stewartem oraz całą jakobicką stroną moich kłopotów i skorzystać w tym celu z przewodnictwa idącego obok mnie tragarza. Załedwie jednak podałem mu adres, zaczął kropić deszcz – niezbyt dokuczliwy, lecz miałem moją nową odzież na względzie – schroniliśmy się więc w sklepionej bramie prowadzącej do zaułka.

Wszystko, co mnie otaczało, było mi zupełnie obce, podszedłem więc nieco w głąb wąskiego, brukowanego, chyżo w dół opadającego zaułka. Po obu jego stronach wznosiły się niezwykle wysokie domy, a każde następne ich piętro wystawało coraz dalej na zewnątrz, tak że ponad nimi widoczny był załedwie wążutki, jak wstążka, skrawek nieba. Z tego, co mogłem dostrzec w oknach, oraz sądząc z postawy wchodzących i wychodzących osób, wywnioskowałem, że w tych domach mieszkają ludzie zamożni. Wszystko to podniecało moją ciekawość jak bajka.

Podczas gdy tak się gapiłem, rozległ się nagle za mną miarowy tupot nóg i szcęk stali. Odwróciwszy się szybko, ujrzałem kilku uzbrojonych żołnierzy, a wśród nich wysokiego mężczyznę w płaszczu. Szedł nieco pochylony, jakby uniżenie, poruszając dłońmi nieco przymilnym gestem, a na jego przystojnej twarzy malowała się natrętna przebiegłość. Zdawało mi się, że spojrzął na mnie ukradkiem – ale bystro. Ta procesja podeszła w zaułku do drzwi, które otworzył lokaj w bogatej liberii. Dwóch żołnierzy wprowadziło więźnia do domu, reszta zaś, oparta o swoje muszkiety, pozostała za progiem.

Jak to zwykle bywa, gdy się coś dzieje na ulicach wielkiego miasta, zebrała się koło nich gromadka dzieci i gawiedzi. Rozeszła się jednak wkrótce i pozostały tylko trzy osoby. Jedną z nich była młoda dziewczyna, ubrana po pańsku, w toczku z tartanu o barwach klanu Drummond. Towarzyszyło jej dwóch odzianych w łachmany rękodajnych, jakich tuzinami widywałem podczas moich wędrówek w Górnej Szkocji. Cała ta trójka rozmawiała żywo po szkocku, a ja słuchałem z przyjemnością tej mowy, przypominającej mi Alana. I aczkolwiek deszcz ustał i mój tragarz pociągał mnie za rękaw, dając mi znać, że czas już ruszyć w dalszą drogę, nasłuchiwałem nadal, a nawet podszedłem bliżej do nich. Panienska fukała ostro, oni zaś tłumaczyli się i kłaniali pokornie, nie wątpiłem więc, że pochodziła z wielmożnego domu. Nie przestając rozprawać cała trójka przeszukiwała swoje kieszenie i z tego, co mogłem wymiarkować, wynikało, że posiadali razem nie więcej jak ćwierć pensa. Wszyscy ci górale są tacy sami – pomyślałem z uśmiechem – prześcigają się w dwornościach, a nie mają grosza przy duszy. Wtedy właśnie dziewczyna nagle się odwróciła i ujrzałem jej twarz po raz pierwszy.

Nie ma nic bardziej zadziwiającego od wrażenia, jakie twarz młodej kobiety potrafi wyrzeć na mężczyźnie; pozostaje wyryta w jego pamięci, nie wiedzieć dlaczego. Rzekłbyś, tego tylko widoku pożądał. Miała prześliczne, jasne oczy, lśniące jak gwiazdy i one przede wszystkim to sprawiły. Najlepiej jednak pamiętam jej nieco rozchylone wargi, w chwili gdy zwróciła się ku mnie. Dla takich czy innych powodów stałem gapiąc się na nią jak głupiec. Ona zaś, jako że nie wiedziała, iż ktoś tak blisko niej się znajduje, spojrzała na mnie nieco dłużej, okazując cokolwiek więcej zdziwienia, niż zezwała na to grzeczność.

Czyżby raziła ją moja nowa odzież? Taka myśl powstała w mojej prostackiej głowie i zaczerwieniłem się po same uszy; co widząc doszła zapewne do odpowiedniej o mnie konkluzji, gdyż kazała obu swym sługom odejść dalej w głąb zaułka, gdzie znowu zaczęli się kłócić, lecz nie mogłem już nic dosłyszeć.

Nieraz mi się już zdarzyło podziwiać dziewczynę, choć nigdy chyba tak nagle i tak gwałtownie, i nieśmiałość raczej niż dufność cechowała zazwyczaj moje w takich wypadkach postępowanie, obawiałem się bowiem kpin niewieścich. Zdawałoby się zatem, że skwapliwiej niż kiedykolwiek powinienem był zastosować ostrożną taktykę; wszak spotkałem tę młodą lady na ulicy, podążającą jakby w ślad za więźniem i w towarzystwie dwóch obdartych i nieokrzesanych górali. Tym razem jednak innego rodzaju uczucie wchodziło w grę; ta dziewczyna posądzała mnie niewątpliwie o podsłuchiwanie jej sekretów. A czując wytworne szatki na grzbiecie i szpadę u boku, nie mogłem się z czymś podobnym pogodzić. Świeżo upieczony panicz nie mógł znieść takiego poniżenia, a już na pewno nie ze strony tej panienki.

Podszedłem więc do niej i zdejmując kapelusz ukloniłem się z całą gracją, na jaką potrafiłem się zdobyć.

– Dostojna pani – rzekłem – sędzę, że gwoli obrony pani o mnie mniemania winienem jej powiedzieć, że nie znam szkockiego języka. Przysłuchiwałem się pani rozmowie, to prawda, mam bowiem przyjaciół w Górnej Szkocji i miły mi jest dźwięk tej mowy, lecz jeśli chodzi o pani prywatne sprawy, gdyby pani mówiła po grecku, łatwiej bym potrafił coś wyrozumieć.

Dygnęła lekko i chłodno. – Nie szkodzi – odpowiedziała ładnym, zbliżonym do angielskiego akcentem. – Kotu wolno patrzeć na króla.

– Nie zamierzałem pani obrazić. Nieświadom jestem miejskich manier, dzisiaj po raz pierwszy przekroczyłem bramy Edynburga. Proszę mnie uważać za młodzieńca ze wsi, do takich bowiem należę. Wolę to pani powiedzieć, niż gdyby pani sama miała to poznać po moim obejściu.

– Nie przystoi zaiste rozmawiać z nieznanymi na ulicy, ale skoro pan ze wsi pochodzi – to co innego. ,

Ja również jestem wieśniaczką. Jak pan widzi, Górna Szkocja jest moją ojczyzną i tęskno bardzo mi za nią.

– Nie minął jeszcze tydzień, jak przekroczyłem jej granice. Parę dni temu byłem jeszcze na stokach gór Balquhiddel.

– Balquhiddel? – wykrzyknęła. – Stamtąd pan przybywa? Na samo wspomnienie tych okolic dusza się we mnie raduje. Niedługo tam trzeba przebywać, aby poznać kogoś z mojej rodziny lub przyjaciół.

– Mieszkałem u bardzo zacnego człowieka, zwanego Duncan Dhu Maclaren.

– Znam go i trafnie go pan określa! On jest istotnie zacności człowiekiem, a jeszcze bardziej jego żona.

– Tak, to szlachetni ludzie i piękny to kraj.

– Czy gdziekolwiek jest piękniejszy na świecie? – zawołała z zapalem. – Kocham zapach tego kraju i wszystko, co tam rośnie.

Zachwyciła mnie żywość i szczerść tej dziewczyny. – Czemuż nie przyniosłem pani gałązki tamecznych wrzosowisk? I aczkolwiek postąpiłem jak gbur, pierwszy do pani przemaszując, teraz, skoro jak się okazuje, mamy wspólnych znajomych, ośmielam się prosić o ła-

skę. Nazywam się Dawid Balfour. Szczęśliwy to dla mnie dziś dzień, gdyż stałem się właścicielem majątku ziemskiego i wyszedłem obronną ręką z grożącego mi niedawno śmiertelnego niebezpieczeństwa. Chciałbym, aby pani moje nazwisko zachowała w pamięci ze względu na Balquhider, ja zaś zapamiętam pani nazwisko ze względu na mój szczęśliwy dzień.

– Mego nazwiska się nie wymawia – odpowiedziała wyniośle. – Sto lat już przeszło, a nikt głośno nie śmie go wspomnieć, chyba że ukradkiem. Jestem bezimienna jak wróżki. A znają mnie jako Katrionę Drummond.

Wiedziałem jednak od razu, z kim miałem do czynienia. Jak Szkocja długa i szeroka proskrybowane było tylko jedno nazwisko – Macgregor. Jednakże zamiast się wycofać z tej niepożądanego znajomości, usiłowałem ją pogłębić.

– Siedziałem przy jednym stole z kimś będącym w takim samym jak pani położeniu. Chyba go pani знаła. Zwano go Robin Oig.

– Doprawdy? – zawołała. – Spotkał pan Roba?

– Spędziliśmy noc pod wspólnym dachem.

– Robin Oig to nocny ptak.

– A że była tam kobza pod ręką, więc może sobie pani wyobrazić, jak szybko czas nam upłynął.

– A więc pan chyba nie należy do naszych wrogów. Przed chwilą przechodził tędy jego brat pod strażą angielskich żołnierzy. On jest moim ojcem.

– Pani jest córką Jamesa More'a – wykrzyknąłem zdumiony.

– Córką jego jedyną, córką więźnia i rozmawiając z obcymi nie powinnam o tym, nawet na chwilę, zapomnieć!

W tej chwili zwrócił się do niej jeden z rękodajnych i przemawiając po angielsku, jak umiał, to jest bardzo kiepsko, zapytał: „co będzie z tabakiem?”. Spojrzałem na niego wówczas przelotnie, a miałem go wkrótce lepiej poznać, na moje utrapienie. Był to niskiego wzrostu, rudowłosy mężczyzna o pałakowatych nogach i wielkiej głowie.

– Nic z tego na dzisiaj, Neil – odpowiedziała mu. – Jakże dostaniemy tabaki, skoro nie mamy pieniędzy? To cię nauczy bardziej uważać na przyszłość. A James More na pewno nie będzie z ciebie zadowolony.

– Wspomniałem już pani – zwróciłem się do panny Drummond – że dzień dzisiejszy jest dla mnie szczęśliwy. Tuż za mną stoi tragarz moich bankierów. Ale pamiętam o gościnności, z jakiej korzystałem w Balquhider, w pani rodzinnych okolicach.

– To nie moja rodzina pana gościła.

– Jestem jednak dłużnikiem pani stryja co najmniej za wygrywane na kobzie kuranty. Poza tym ofiarowałem pani moje usługi, a pani zapomniała ich w porę odmówić.

– Gdybym potrzebowała wielkiej sumy, taka propozycja przyniosłaby panu zaszczyt, ale powiem panu, o co chodzi. James More jest uwięziony, zakuty w kajdany i od pewnego czasu prowadzi go codziennie do prokuratora...

– Do prokuratora? Czy to...

– To jest dom lorda prokuratora Granta z Prestongrange. Przyprawiają tu o różnych porach mego ojca, nie mam pojęcia, w jakim celu. Ale zdaje mi się, że zaświtała dla niego jakaś nadzieja. Nie pozwalają mi jednak się z nim widywać, ani choćby pisać do niego. Czekamy więc tu, na ulicy, aby móc go spotkać i wręczyć mu nieco tabaki lub coś innego. Cóż, kiedy ten niezdara Neil, syn Duncana, zgubił czteropensową monetę, za którą miałam kupić tabaki. James More będzie musiał się bez niej obejść i gotów pomyśleć, że jego córka zapomniała o nim.

Wydobyłem z kieszeni sześć pensów, podałem je Neilowi i posłałem go po tabakę. Po czym rzekłem do niej: – Te sześć pensów przyniosłem z Balquhider.

– A więc pan jest przyjacielem Macgregorów!



– Nie chciałbym pani w błąd wprowadzać. Niewiele mi wiadomo o pani rodzinie, a jeszcze mniej o pani ojcu i jego poczynaniach, ale stojąc od pewnego już czasu w tym zaułku, dowiedziałem się coś niecoś o pani i jeśli pani zechce mnie uznać po prostu za „przyjaciela panny Katriony”, nie sądzę, aby spotkał panią zawód.

– Mój przyjaciel winien być przyjacielem mojej rodziny.

– Postaram się o to.

– A cóż pan o mnie pomyśli? – wykrzyknęła. – Że wyciągam rękę do pierwszego lepszego mężczyzny?

– Pomyślę tylko, że jest pani dobrą córką.

– Zwrócę panu ten dług. Gdzie pan zamieszkał?

– Prawdę powiedziawszy, nigdzie jeszcze nie mieszkam, gdyż od trzech godzin zaledwie przebywam w tym mieście, ale jeśli pani mi wskaże, gdzie mam się udać, sam się zgłoszę ośmielę po moje sześć pensów.

– Czy aby na pewno pan to uczyni?

– Może się pani o to nie kłopotać.

– James More również by tego nie zniósł. Mieszkam opodal wioski Dean, po północnej stronie zatoki, u pani Drummond-Ogilvy z Allardyce. Ona przyjaźni się ze mną i chętnie panu osobiście podziękuje.

– Ujrzy mnie pani, gdy tylko na to pozwolą sprawy, jakie mam do załatwienia. – I pomny na los Alana, pożegnałem się z nią pośpiesznie.

Co czyniąc nie mogłem się obronić przed refleksją, że jak na tak krótką znajomość do niezwykłej doszliśmy konfidencji i że prawdziwie przezorna lady nie powinna tak rychło do niej dopuścić. Bieg tych cierpkich myśli odwrócił głos idącego za mną tragarza.

– Miałem pana za jako tako łebskiego chłopaka – wyrzekął głośno. – Tą drogą daleko pan nie zajędzie. Głupiego pieniądze się nie trzymają. Eh, panie, zielono macie jeszcze w głowie, ale za to jurny z was panicz, nie ma co! A takie są łase na każdy grosz...

– Jak śmiesz tak mówić o tej lady...

– Lady? – wykrzyknął – Boże uchroni! To się nazywa lady? Pełno takich jest w mieście! Widać, że nie znacie, panie, Edynburga!

Rozgniewała mnie ta perora.

– Prowadź mnie, gdzie ci kazałem, i zamknij swoją paskudną gębę!

Nie usłuchał mnie jednak całkowicie; i aczkolwiek nie zwracał się już do mnie bezpośrednio, zaczął podśpiewywać, beczelnie do mnie pijąc, a na dobitkę nader przykrym i fałszywym głosem:

*Idąc ulicą Mally zgubiła kapturek,  
Lecz ty dla niej nie trać głowy, młokosie,  
Wszak niejednemu psu na imię Burek,  
Nie zawsze słonko wschodzi po rosie.*

## II. PRAWNIK CHARLES STEWART

Charles Stewart, prawnik z zawodu, mieszkał na samym szczycie najdłuższych schodów, jakie kiedykolwiek zbudowali murarze. Co najmniej piętnaście razy zakręcały w górę, a gdy wreszcie dotarłem do jego drzwi i dowiedziałem się od kancelisty, który je otworzył, że jego pan jest w domu, tchu mi zaledwie starczyło na odprawienie tragarza.

– Wynoś mi się na cztery wiatry! – powiedziałem, odbierając od niego miszkę z pieniędzmi, i wszedłem za pisarczykiem do mieszkania pana Stewarta.

W pierwszej izbie mieściła się kancelaria; obszerny stół zasłany prawniczymi dokumentami i stojące przy nim krzesło pisarza składały się na umeblowanie. Stamtąd wchodziło się do drugiej izby, gdzie zastałem małego, rześko wyglądającego mężczyznę, tak pogrążonego w lekturze jakiegoś aktu, iż prawie oczu na mnie nie podniósł. Nawet palcem przytrzymał czytane miejsce, jakby zamierzał wkrótce mnie się pozbyć i powrócić do znajdującego się przed nim tekstu. Poczulem się tym dotknięty, a ponadto obawiałem się, że pisarz może z łatwością podsłuchać wszystko, co mieliśmy sobie do powiedzenia.

Zapytałem go, czy mam przed sobą pana Charlesa Stewarta, prawnika.

– Tak jest – odpowiedział – i jeśli mi wolno zapytać, z kim mam do czynienia?

– Nigdy pan o mnie nie słyszał, a moje nazwisko jest również panu obce, ale przynoszę znak dobrze panu znanego przyjaciela. Dobrze panu znanego – powtórzyłem, zniżając głos – chociaż, być może, wolałby pan teraz o nim nie słyszeć. Sprawa, jaką mam panu do przedstawienia, należy raczej do poufnych. Krótko mówiąc, chciałbym porozmawiać z panem w cztery oczy.

Powstał bez słowa, odrzucił swój dokument gestem zdradzającym zły humor, posłał pisarza do miasta z jakimś zleceniem i zamknął za nim drzwi.

– A teraz proszę mówić otwarcie i bez obawy; lecz zanim pan zacznie, chciałbym wyznać bez ogródek moje złe przecucie. Powiadam panu z góry: jest pan albo Stewartem, albo Stewarta wysłannikiem. Godne to jest nazwisko i nie przystoi je lekceważyć synowi mego ojca, ale skóra na mnie cierpię, gdy je usłyszę.

– Nazywam się Balfour, Dawid Balfour z Shaws. A jeśli chodzi o tego, w którego imieniu tu przybyłem, ten znak niech za mnie przemówi. – I pokazałem mu srebrny guzik.

– Włóżcie to, panie, z powrotem do kieszeni! – wykrzyknął. – Nie trza mi mówić, do kogo to należy. Znam dobrze jego guzik! To czarta kumoter! Gdzie on jest teraz?

Powiedziałem mu, że nie wiem, gdzie się Alan znajduje, że znalazł sobie bezpieczne (jak mniemał) schronienie za miastem, w kierunku północnym, gdzie miał się ukrywać aż do czasu, gdy uda się nam wyszukać ,

dla niego statek, oraz gdzie i w jaki sposób umówiliśmy z nim spotkanie.

– Zawsze byłem zdania, iż przez tę moją rodzinę przyjdzie mi żywot na szubienicy zakończyć! I dalibóg ten dzień się zbliża! Wyszukać dla niego statek? Bagatela! A któż za to zapłaci? Ten człowiek ma źle w głowie!

– Ten aspekt sprawy biorę na siebie. Oto jest spory worek pieniędzy, a jeśli ich nie stanie, gotów jestem więcej dostarczyć.

- Nie potrzebuję pana pytać o jego polityczne poglądy.
- Nie, zaiste – odpowiedziałem z uśmiechem. – Trudno o lepszego ode mnie wiga.

– He? Co to znaczy? Pan jest wigiem? Cóż zatem pan u mnie robi z guzikiem Alana? W jakież to pan popadł tarapaty, panie wig? On jest banitą i rebeliantem, oskarżonym o morderstwo, dwieście funtów nagrody wyznaczono za jego głowę. A pan chciałby, abym się wtrącał do jego spraw, i oznajmia pan jednocześnie, że jest wigiem! Nigdy jeszcze takiego wiga nie spotkałem, chociaż już z niejednym miałem do czynienia!

– On jest banitą oraz rebeliantem i wielce nad tym ubolewam, należy bowiem do moich przyjaciół. Oskarżają go również o morderstwo, ale niesłusznie.

– Doprawdy? To jest pańskie zdanie!

– Wkrótce pan o tym więcej usłyszysz. Alan jest niewinny, jak również James.

– Tak? Obie te sprawy są nierozłączne. Jeśli Alana to nie dotyczy, James winien uratować głowę i wolność odzyskać.

Po czym opowiedziałem mu pokrótce o naszej z Alanem znajomości, o mojej przypadkowej obecności w miejscu morderstwa w Appin, o różnych przygodach podczas naszej ucieczki we wrzosowiska oraz o odzyskaniu przeze mnie mego majątku. – Zna pan teraz cały przebieg wypadków – mówiłem dalej – i wie już pan, jak się to stało, iż jestem do tego stopnia wplątany w sprawy pańskiej rodziny i przyjaciół, a wolałbym, ze względu na nas wszystkich, aby były one mniej zagmatwane, a zwłaszcza mniej krwawe. Rozumie pan również, że ponieważ niektórych spraw, jakie mam do załatwienia, nie mógłbym powierzyć byle jakiemu prawnikowi, wybranemu na chybił trafił. Pozostaje mi więc tylko zapytać, czy mogę liczyć na pańskie usługi.

– Niełacno mi to przychodzi, ale skoro pan przybywa do mnie z guzikiem Alana... nie mam wyboru. Jakie są pańskie instrukcje? – zapytał, biorąc pióro do ręki.

– Po pierwsze należy przemyścić Alana do Francji, tego chyba nie potrzebuję powtarzać.

– Nieskory jestem o tym zapomnieć.

– Następną sprawą jest zwrot drobnej sumy pożyczonej mi przez Cluny'ego. Nie wiem, jak mu ją dostarczyć, dla pana natomiast nie powinno to przedstawiać trudności. Wynosi to dwa funty, pięć szylingów i półtora pensa.

Stewart zapisał to zlecenie.

– Następnie chciałbym ofiarować nieco tabaki do zażywania niejakiemu panu Henderlandowi, kaznodziei i misjonarzowi, zamieszkałemu w Ardgour, a ponieważ utrzymuje pan zapewne stosunki ze swymi przyjaciółmi w Appin i tamtych stronach, sądzę, że mógłby pan załatwić tę sprawę wraz z poprzednią.

– Ile tabaki pan mu przeznacza?

– Ze dwa funty.

– Dwa funty – zapisał prawnik.

– Następnie chodzi o tę dziewczynę, Alison Hastie, z Limekilns. Ona to pomogła Alanowi i mnie przeprowić się przez zatokę. Sumienie mi nakazuje posłać jej odświętną suknię, nie za strojną, licującą z jej stanem. Prawdę powiedziawszy, obaj zawdzięczamy jej życie.

– Miło mi stwierdzić, że jest pan człowiekiem oszczędnym – rzekł prawnik, zapisując moje zlecenia.

– Wstydzilibym się postępować inaczej w pierwszym dniu władania moją fortuną. A teraz proszę obliczyć, ile razem wyniosą te wszystkie wydatki, i dodać do nich pańskie wynagrodzenie, chciałbym bowiem wiedzieć, czy mi coś z przyniesionej gotowizny zostanie. Nie żebym miał poskąpić całej tej sumy na uratowanie Alana; nie żebym większą nie rozporządzał; lecz podjąwszy dzisiaj tak znaczną sumę, uważam, że źle by to mogło o mnie świadczyć, gdybym już następnego dnia zażądał więcej pieniędzy. Tylko proszę się upewnić, że na wszystko panu starczy, nie chciałbym bowiem ponownie się z panem spotykać.

– Chwali się, że jest pan również człowiekiem ostrożnym, ale czy nie sądzi pan, że powierając mi tak znaczną kwotę ponosi pan pewne ryzyko?

W jego głosie zabrzmiała wyraźnie drwiąca nuta.

– Muszę się z tym pogodzić – odpowiedziałem. – Ale pragnąłbym jeszcze jedną od pana uzyskać przysługę. Proszę mi wskazać jakąś kwaterę, gdyż nie mam dachu nad głową. Musi to być jednak takie mieszkanie, które mógłbym sam przypadkowo znaleźć. Gdyby się bowiem lord prokurator dowiedział o naszej znajomości, nic dobrego by z tego dla nas nie wynikło.

– O to może się pan nie troskać. Nie wymówię nigdy pańskiego nazwiska. Aczkolwiek sądzę, że lord prokurator dużo traci nie znając pana.

Zdałem sobie sprawę, że naraziłem się memu rozmówcy.

– Wkrótce się więc ucieszy, pozna mnie bowiem, i to nie później jak jutro, i choćby sobie uszy zatykał, wysłucha mnie, gdy mu złożę wizytę.

– Złoży mu pan wizytę? – powtórzył pan Stewart. – Czyś pan oszalał? Czy też mnie się w głowie maści? Wizyta u lorda prokuratora! A to po co?

– Po prostu, aby się oddać do jego dyspozycji.

– Panie Balfour! Czy pan kpi sobie ze mnie?

– Bynajmniej, panie Stewart, chociaż wydaje mi się, że na coś podobnego pan sobie względem mnie pozwolił. Proszę przyjąć do wiadomości, że nie jestem w żartobliwym nastroju.

– Ani ja również, i proszę przyjąć do wiadomości, jeśli już tak rozmawiamy, że pańskie postępowanie coraz mniej mi przypada do gustu. Przychodzi pan do mnie i czyni różne propozycje, z których każda wymaga z mojej strony karygodnych poczynań i naraża mnie na obcowanie, i to nie raz, z bardzo obciążonymi osobami. Po czym wybiera się pan prosto z mojej kancelarii do lorda prokuratora, chcąc sobie pozyskać jego względy. Guzik Alana tu czy tam, wszystko mi jedno! Nawet cały Alan nie zdoła pchnąć mnie dalej na tę śliską drogę!

– Gdyby pan zechciał nieco spokojniej rozważyć moje słowa, znalazłby się może sposób uniknięcia kroku budzącego pański sprzeciw. Co do mnie, nie widzę innego wyjścia, jak zdać się na łaskę lorda prokuratora, ale pan może zdoła coś innego wykoncypować. Powitałbym to z ulgą nie lada, gdyż wątpię, aby rozmowa z lordem prokuratorem mogła mi wyjść na zdrowie. Jedno przynajmniej jest jasne: muszę złożyć zeznania, gdyż czyniąc to, mam nadzieję oczyścić reputację Alana (a raczej jej szczątki) i uratować głowę Jamesa, co jest pilniejszą sprawą.

Prawnik milczał przez krótką chwilę, wreszcie rzekł:

– Ależ człowieku! Nigdy panu nie pozwolą złożyć takich zeznań.

– To się jeszcze okaże – odparłem. – Gdy zechcę, potrafię być nieugięty.

– Tępa głowo! – wykrzyknął. – Przecież im chodzi o Jamesa. On ma zawisnąć na szubienicy, jak również Alan, o ile zdołają go schwytać. Ale cokolwiek się stanie, los Jamesa jest przypieczętowany! Niechże pan choćby tylko zbliży się do lorda prokuratora, znajdzie on sposób na zakneblowanie panu ust.

– Lepszą mam o nim opinię.

– Pal diabli lorda prokuratora! Przecież tu w grę wchodzi Campbelle! Ściągnie pan sobie na głowę wściekłość całego ich zbójckiego klanu! A lord prokurator – nieboże! – jego to również nie ominie. Dziwię się doprawdy, że nie może pan zrozumieć, w czym leży sedno sprawy! Jeśli nie uda się uczciwym sposobem zmusić pana do milczenia, znajdzie się sposób inny. Może pan zasiąść na ławie oskarżonych! Czyż pan tego nie rozumie? – wykrzyknął, trącając mnie palcem w udo.

– Tak – odrzekłem – to samo mi powiedział inny prawnik, nie dalej jak dzisiaj rano.

– Któż to taki? Ten przynajmniej mówił do rzeczy!

– Wolę przemilczeć jego nazwisko, gdyż jest to stary, zacny, wypróbowany wig, który nie chce się mieszać do takich spraw.

– Cały świat wydaje się być w to wmieszany! – zawołał Stewart. – A cóż pan na to?

Opowiedziałem mu treść naszej z Rankeillorem rozmowy przed domem w Shaws.

– Powieszają pana, ani chybi. Powieszają pana obok Jamesa. Tyle mogę z łatwością przepowiedzieć.

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, chociaż zdaję sobie sprawę z ryzyka.

– Ryzyko! – rzekł i czas jakiś siedział zamyślony. Po czym mówił dalej: – Winienem panu podziękować za niezłomność, z jaką pan stoi po stronie moich przyjaciół, jeśli naturalnie zdoła pan wytrwać w swym postanowieniu. Ostrzegam tylko, że to jest niebezpieczna gra. Nie chciałbym się znaleźć w pańskiej skórce (ja, który należę do rodziny Stewartów!) dla wszystkich Stewartów zrodzonych od czasów Noego. Ryzyko? Ja też często ryzykuję. Lecz stanąć przed sądem przysięgłych, złożonym z samych Campbellów, przed obliczem sędziego Campbella, w kraju Campbellów i gdy chodzi o rodzinną waśń Campbellów – może pan sobie, co zechce, o mnie pomyśleć, panie Balfour, ale nie potrafiłbym się na to zdobyć!

– Inaczej się na to zapatrujemy, tak właśnie nauczył mnie postępować mój ojciec.

– Chwała mu za to niech świeci wiekuista! Godnego swego nazwiska pozostawił dziedzica. Jednakże niech mnie pan zbyt surowo nie sądzi. Wszak znajduję się w diabelnie trudnym położeniu. Pan powiada o sobie, że jest wigiem. Ja zaś nie wiem właściwie, kim jestem; na pewno nie wigiem. Nie potrafiłbym się do nich zaliczyć. Ale proszę mi wierzyć, nie jestem aż tak bardzo po tamtej stronie.

– Doprawdy? Nie dziwi mnie to, wszak nader roztropnym wydaje się pan być człowiekiem.

– Sza! Żadnych pochlebstw! Nieco racji mają obie strony. Lecz ja osobiście nic złego nie życzę królowi Jerzemu. A jeśli chodzi o króla Jakuba – niech mu Bóg błogosławi – nie mam nic przeciwko temu, aby pozostał za morzem. Jestem prawnikiem, lubię moje książki i gąsiorzek dobrego napitku, lubię gruntownie umotywowany pozew i dobrze zredagowany dokument, lubię podyskutować z tęgimi jurystami i zagrać w golfa w sobotę po południu. Nic mi po góralskich pledach i pałaszach!

– Istotnie niewiele ma pan w sobie z dzikiego górala!

– Niewiele? Ani krzty! A jednak do góralskiej należę rodziny i nie mogę lekceważyć mego klanu. Klan i nazwisko – to wszystkich obowiązuje. Tak właśnie, jak pan to powiedział o sobie: mój ojciec mnie tego nauczył: i ładnie na tym wychodzę! Zdrada, zdrajcy i przemykanie ich z kraju i do kraju. I zaciąg dla Francji – jakże mam tego dosyć! – i przemykanie rekrutów. A do tego jeszcze ich roszczenia! Cóż za żalosne roszczenia! Złożyłem właśnie taki pozew w imieniu mego kuzyna Ardshiela o majątek z tytułu ślubnego kontraktu. Skonfiskowany majątek! Powiedziałem im, że to nie ma sensu, ale nawet słyszeć o tym nie chcą! Musiałem więc oczami świecić i nadrabiać miną wraz z innym adwokatem, któremu jak i mnie nie w smak taka sprawa. Wszak to nas kompromituje, odium niemałe na nas ściąga, piętnem nieprawomyślności – jak krnąbrne bydło! – piętnuje nasze pośladki! Ale cóż mogę na to poradzić? Jestem Stewartem i muszę bronić interesów mego klanu i mojej rodziny! A jeszcze nie dalej jak wczoraj uwięzili w zamku jednego z naszych młodych Stewartów. Za co? Wiem dobrze: ustawa z 1736 roku, rekrutacja dla króla Ludwika. I może pan być pewny, że zażąda, abym stanął w sądzie jako jego obrońca, co znowu szpetnie zaciąży na mojej reputacji. Powiadam panu otwarcie: gdybym umiał odróżnić przód od tyłu w hebrajskim słowie, rzuciłbym to wszystko do wszystkich diabłów i został duchownym!

– Zaiste, w raczej trudnym znajduje się pan położeniu.

– Diabelnie trudnym! I tym bardziej podziwiam pańskie postępowanie. Nie jest pan Stewartem, a naraża pan własną głowę na rzecz Stewartów. A dlaczego? Nie wiem, chyba że z poczucia obowiązku.

- Mam nadzieję, że to właśnie mną kieruje.
- Piękna to jest cnota... Ale oto powraca mój pisarz, więc z pańskim łaskawym pozwoleniem zjemy sobie we trójkę obiad. Po czym skieruję pana do bardzo przyzwoitego człowieka, który chętnie wynajmie panu pokój. W tym celu napełnię panu kieszenie z tego pańskiego worka. Ta sprawa nie będzie tak wiele kosztować, jak się pan tego spodziewa, łącznie z zapłatą za przewóz statkiem.
- Dałem mu znak, że zbliżający się pisarz może dosłyszeć jego słowa.
- Furda! Roba może się pan nie obawiać. Ten nieborak to również Stewart. Przemycił już do Francji więcej rekrutów i wędrownych papistów, niż ma włosów na głowie. To on właśnie zajmuje się tym aspektem mojej działalności. Słuchaj no, Robbie, kto tym razem mógłby się wybrać na tamtą stronę?
- Jest Andie Scougal z „Thistle” – odrzekł pisarz. – Parę dni temu spotkałem kapitana Hoseason, ale zdaje mi się, że on nie rozporządza statkiem. Jest również Tom Stobo. Ale jego nie jestem pewny. Widziałem go, jak gawędził z jakimś podejrzanym jegomościem i jeśli chodzi o kogoś ważnego, wołałbym go pominąć.
- Ta głowa jest warta dwieście funtów.
- Ho, ho, czy to nie Alan Breck?
- Tenże sam.
- Do licha! To poważna sprawa. Spróbuję się dogadać z Andym. On się najlepiej nada.
- Te transakcje – wtrąciłem – wydają się doskonale prosperować.
- Aż nazbyt dobrze, panie Balfour – odrzekł Stewart.
- Pański pisarz – mówiłem dalej – wymienił nazwisko Hoseason. Przypuszczam, że chodzi o mego znajomego. Kapitan Hoseason, właściciel brygu „Covenant”. Czy pan sądzi, że można mu zaufać?
- Względem pana tudzież Alana nie zachował się przyzwoicie, lecz ja jestem o nim dobrego zdania. Jeśliby się umówił przyjąć Alana na swój statek, uważam, że można by na niego liczyć. Co myślisz o tym, Robbie?
- Eli Hoseason jest najuczciwszym z kapitanów w tym zawodzie – odpowiedział pisarz. – Zawierzyłbym jego słowu, nawet gdyby chodziło o księcia Karola Edwarda lub samego Ardshiela z Appin.
- Wszak to on przywiózł doktora Cameron? – spytał prawnik.
- Tak, on właśnie.
- I odwiózł go z powrotem?
- Tak, z pełną sakiewką. I Eli wiedział o tym.
- Nielatwo jest – powiedziałem – mieć właściwy sąd o ludziach.
- O tym właśnie zapomniałem, gdy się pan u mnie zjawił, panie Balfour – odrzekł Stewart.

### III. WIZYTA W PILRIG

Nazajutrz rano, za ledwie otworzyłem oczy w moim nowym mieszkaniu, zerwałem się z łóżka i przyoblekwszy moją nową odzież i przełknąwszy pośpiesznie śniadanie wyruszyłem do Pilrig. Alan, mogłem na to liczyć, był zabezpieczony. Natomiast rozgrywka o Jamesa zapowiadała się o wiele trudniej i zdawałem sobie sprawę, że może mnie drogo kosztować, a kto wie, czy nie zakończy się tak właśnie, jak przepowiadali wszyscy, którym się zwierzyłem. Czyżbym po to tylko wyostał się na szczyt góry, aby się stamtąd rzucić w dół z powrotem? Czy po to udało mi się po tylu trudach i niebezpieczeństwach dojść do majątku i uznania, do dostatniej, miejskiej odzieży i szpady u boku, aby osiągnąwszy to wszystko popełnić samobójstwo, i to najgorszego rodzaju, przez powieszenie na koszt Króla Jegomości?

I po co się tak narażam? – rozmyślałem idąc przez High Street na północ miasta. – Po pierwsze – argumentowałem – po to, aby uratować Jamesa Stewarta z Glens; wspomnienie jego rozpacz, łez jego żony i słów, jakie mu się wówczas wyrwały, utwierdzało mnie w tym postanowieniu. Czyż jednak dla syna mego ojca nie było (lub nie powinno być) rzeczą obojętną, czy James zakończy życie w łóżku, czy też na szubienicy? Był kuzynem Alana, to pewne; lecz właśnie ze względu na Alana należałoby siedzieć cicho i nie wtrącać się do sposobu, w jaki król Jerzy i jaśnie oświecony książę Argyle zamierzali załatwić swe porachunki z jego krewniakiem. Pamiętałem również, że wtedy, gdy wszyscy trzej znajdowaliśmy się w nie lada opałach, James nie okazywał zbytniej troski o los mój i Alana.

Następnie przyszło mi na myśl, że działam w obronie sprawiedliwości, a uważałem, iż to jest wielkie słowo, i uświadomiłem sobie, że skoro w życiu obowiązują pewne zasady (co nie zawsze bywa nam na rękę), sprawiedliwość jest najwyższym dobrem, a śmierć niewinnego człowieka kala całe społeczeństwo. Po czym odezwał się głos sumienia: „udajesz tylko, jakobyś te szlachetne motywy miał na względzie, jesteś tylko gadatliwym, zarozumiałym młokosem, który przechwalał się przed Rankeillorem i przed Stewartem, a teraz czujesz się tym związany”. A ponadto głos sumienia uderzył mnie drugim końcem tego samego kija; oskarżył mnie o coś w rodzaju wyrachowanego tchórzostwa, o chęć kupienia własnego bezpieczeństwa za cenę niewielkiego ryzyka. W każdej przeciw chwili mogłem spotkać Mungo Campbella lub urzędnika szeryfa, zostać przez nich poznanym i pociągniętym siłą do odpowiedzialności za udział w morderstwie dokonanym w Appin. Gdyby mi się natomiast udało złożyć lordowi prokuratorowi moją deklarację bez złych dla mnie następstw, mógłbym na zawsze już oddychać swobodniej. Rozważywszy w pełni ten ostatni argument nie znalazłem w nim nic, czego powinienem się wstydzić. I wreszcie do takiej doszedłem konkluzji: „Otwierają się przede mną dwie drogi, a obie prowadzą do tego samego celu. Sprawiedliwość wymaga, abym, jeśli to leży w mojej mocy, starał się nie dopuścić do skazania Jamesa na śmierć; po tylu z mojej strony perorach nie mogę, nie narażając się na śmieszność, nic nie uczynić. Szczęśliwym dla Jamesa trafem chwaliłem się ochoczo, zanim cokolwiek zdołałem przedsięwziąć, a i mnie to wyszło na dobre, teraz bowiem jestem zobowiązany bronić słusznej sprawy. Noszę nazwisko dżentelmena i rozporządzam godnymi tego stanu środkami. Kiepskie bym o sobie wydał świadectwo, gdyby się okazało, że jestem pozbawiony istotnych cech dżentelmena”. Przyszło mi zaraz potem na myśl, że jest to argument w pogańskim duchu i westchnąłem do Boga, prosząc go o dodanie mi męstwa, abym spełnił swój obowiązek jak żołnierz na polu bitwy i wyszedł z tego bez szwanku, jak się to nieraz zdarza.

Te refleksje, aczkolwiek nie zmniejszyły poczucia otaczającego mnie niebezpieczeństwa i nie uwolniły mnie od świadomości, że każdy dalszy krok (o ile bym nie zboczył z wytkniętej drogi) zbliżał mnie do szubienicy, dodały mi nieco otuchy. Poranek był pogodny, lecz wiatr dął od wschodu, niósł lekki, przejmujący chłód i przywodził na myśl jesień, obumierające liście i umarłych spoczywających w samotności cmentarnej. Zaiste szatan musiałby do tego ręki przyłożyć – myślałem sobie – gdybym miał życie postradać za cudzą sprawę wtedy właśnie, gdy uśmiechnęła się do mnie fortuna. Na szczycie pagórka zwanego Calton Hill, aczkolwiek nie była to zwyczajowa na tę zabawę pora roku, gromadka dzieci puszczała latawcę, pokrzykując wesoło. Rysowały się wyraźnie na tle nieba i dostrzegłem, jak jeden wzniósł się bardzo wysoko i zaraz potem opadł w krzaki jałowca. Co widząc pomyślałem sobie: – Davie, i ciebie taki los spotka.

Droga wiodła przez wzgórze Mouter's Hill i wioskę położoną na ich zboczach. Przechodząc tamtędy, słyszałem rozlegający się z każdego domu furkot wrzecion i chrzęst warsztatów tkackich; w ogrodach brzęczały pszczoły. Wysiadujący na przyzbach mieszkańcy mówili dziwnym językiem i jak się później dowiedziałem, byli to tkacze francuscy, sprowadzeni z Pikardii i pracujący na rzecz domu handlowego British Linen Company. Tamże wskazano mi, jak iść do Pilrig, celu mojej podróży.

Po opuszczeniu wioski dostrzegłem wznoszącą się przy drodze szubienicę, a na niej dwóch wisielców, zakutych w łańcuchy. Zwłoki, jak to było wówczas we zwyczaju, były unurzane w smole. Kolebały się na wietrze, łańcuchy pobrzękiwały, a kraczące donośnie ptactwo krążyło dokoła tych niesamowitych huśtawek. Widok ten zaskoczył mnie nagle i tak dobrze zilustrował moje obawy, że nie mogłem od niego oczu oderwać, jakbym się napawał wionącą zeń grozą. Obszedłem szubienicę wkoło i natknąłem się na siedzącą u jej stóp pokraczną starą babę. Gadała sama do siebie kiwając głową i wyczyniając rękami uprzejme gesty.

– Kto są ci dwaj, matko? – spytałem wskazując na wisielców.

– Błogosławie twoje zacne oblicze! – zawołała. – To dwóch moich lubych. Dwóch moich najmilszych gagatków, chłopysiu!

– A za co ich tak pokarano?

– Eh, za drobną sprawę. Często im wróżyłam, jak skończą. Za dwa szylingi szkockie. Nie więcej. I za to dwóch tęgich chłopów powiesili. Wzięli je od jednej dziewczyny z Broughton.

– I za to tylko – powiedziałem do siebie, a nie do zwariowanej wiedźmy – spotkał ich aż taki los. To dopiero nazywa się stracić wszystko!

– Daj mi twoją dłoń, chłopysiu, i pozwól sobie powróżyć – rzekła stara.

– Nie, matko – odpowiedziałem – wiem już dosyć o tym, co mnie czeka. Nie należy zbyt daleko zaglądać w przyszłość.

– Czytam w twoich oczach. Jest tam dziewczyna o jasnych źrenicach, jest mały mężczyzna w sutym płaszczu i wysoki w pudrowanej peruce, i jest cień ciotki szubienicy przecinający ci drogę. Daj mi twoją rękę, chłopysiu, a starucha ci szczęście wywróży.

Te dwie rzucone na oślep wieszczby zdawały się wskazywać na Alana i córkę Jamesa More, co napełniło mnie przerażeniem. Rzuciłem wiedźmie miedziaka i uciekłem, pozostawiając ją siedzącą w cieniu kołyszących się wisielców.

Dalsza moja podróż byłaby o wiele przyjemniejsza, gdyby nie to spotkanie. Odwieczna, wyłożona kamieniami droga biegła wśród pól, a nigdy przedtem nie widziałem staranniejszych uprawnych. Radował mnie błogi nastrój i urok tego wiejskiego zacisza, lecz brzęk łańcuchów na szubienicy wciąż dźwięczał mi w uszach, a wspomnienie podrygów starej wiedźmy, krygującej się u stóp wisielców, nie dawało mi spokoju. Śmierć na szubienicy to smutny los, a czy ktoś zawisnął na niej za kradzież dwóch szkockich szylingów, czy też (jak powiadał pan Stewart) gwoli zadośćuczynienia poczuciu obowiązku, skoro go zakuto w kajdany, zanurzono w smole i powieszono – nie sprawiało to większej różnicy. Kto wie, czy tak właśnie nie miał umrzeć Dawid Balfour, a inni chłopcy przechodziliby obojętnie obok jego wiszących zwłok;



u stóp szubienicy siedziałyby stara, obłąkana czarownica i wróżyłyby im z ręki, a schludne, urodziwe dziewczęta przechodziłyby opodal, odwracając głowy i zatykając sobie nosy. Widziałem je wyraźnie, wszystkie miały siwe oczy, a na głowach toczki z tartanu o barwach rodziny Drummond.

Tak więc w markotnym nastroju, lubo nieugięty w moich postanowieniach, doszedłem do Pilrig, ładnego krytego dachówką domu, wznoszącego się niedaleko drogi i otoczonego bujnym, młodym lasem. Koń dziedzica stał osiodłany przed drzwiami, lecz on sam znajdował się w swoim gabinecie, wśród książek i instrumentów muzycznych, jako że był nie tylko uczonym filozofem, ale i niezłym muzykiem.

Powitał mnie od razu dosyć łaskawie, a po przeczytaniu listu pana Rankeillora wyraził uprzejmie gotowość służenia mi pomocą.

– O cóż chodzi, kuzynie Dawidzie? – rzekł. – Okazuje się bowiem, iż jesteśmy kuzynami. Co mogę dla pana uczynić? Słówek rekomendacji do lorda prokuratora? Łatwo mi to przyjdzie, ale jakiej treści?

– Gdybym panu opowiedział dokładnie, co i jak mi się przydarzyło, nie sądzę (a takie było również zdanie pana Rankeillora), aby pan był tym zbudowany.

– Przykro mi to słyszeć z ust krewniaka – odrzekł pan Balfour.

– Nie mogę pana pozostawić w tak złym o mnie mniemaniu. Nie mam nic takiego na sumieniu, nad czym winienem ubolewać lub co by uzasadniało pańską o to troskę, jak tylko pospolite wśród ludzi przywary. Skaza grzechu pierworodnego, z winy Adama, i ułomność całej mojej natury – do tego się poczuwam i mam nadzieję, że nauczono mnie, dokąd należy się zwracać o pomoc – odrzekłem; wywnioskowałem bowiem z postawy mego interlokutora, iż powołując się na moje religijne wychowanie mogę tylko zyskać w jego oczach. – Nie popełniłem nic takiego – mówiłem dalej – czego musiałbym się wstydić przed ludźmi. Kłopoty, w jakich się znalazłem, powstały wbrew mojej woli – i jak mi się wydaje – bez mojej winy. Zostałem niestety wciągnięty w polityczne komplikacje, o których najchętniej wolałby pan nie wiedzieć.

– Ha, cóż, panie Dawidzie, cieszę się, że jest pan takim właśnie, jakim pana przedstawił pan Rankeillor. A jeśli chodzi o politykę i związane z nią zazwyczaj komplikacje, szczerą pan tylko prawdę powiada. Przyjąłem za zasadę jej unikać i nic nie mieć wspólnego z tą materią. Jakże jednak, skoro mam nie wiedzieć, w czym rzecz, mógłbym panu dopomóc?

– Chciałbym pana prosić o łaskawe napisanie do Jego Wielmożności, że jestem majątnym młodym człowiekiem i należącym do dosyć dobrej rodziny. Oba te stwierdzenia będą zgodne z prawdą.

– Mam na to słowo pana Rankeillora i poczytuję je za dostateczną, w każdej okoliczności, rękojmię.

– Do czego mógłby pan dodać, o ile moje na to słowo panu wystarcza, że jestem bogobojnym wyznawcą naszego szkockiego kościoła, tudzież wiernym poddanym króla Jerzego, w takimże duchu wychowanym.

– Nic z tego nie może panu szkody przyczynić.

– Po czym mógłby pan nadmienić, że pragnę stanąć przed obliczem lorda prokuratora w bardzo ważnej sprawie, dotyczącej Jego Królewskiej Mości oraz wymiaru sprawiedliwości.

– Skoro nie mam usłyszeć, o jaką sprawę chodzi, nie mogę ocenić jej wagi i co za tym idzie, muszę ominąć słowo „bardzo ważnej”. Resztę natomiast gotów jestem sformułować zgodnie z pańskim życzeniem.

– Następnie zaś – rzekłem, pocierając sobie szyję ręką – bardzo by mi zależało, aby pan zechciał wtrącić słówko, które mogłoby mnie, w pewnej mierze, zabezpieczyć.

– Zabezpieczyć?... Zabezpieczyć, pan powiada? To jest cokolwiek zniechęcające słowo. Jeśli to jest aż tak niebezpieczna sprawa, przyznaję, iż wolałbym nie wdawać się w nią na oślep.

- Sądzę, że mógłbym określić w dwóch słowach, o co chodzi.
- To byłoby może najlepiej.
- Otóż chodzi o morderstwo w Appin.

Podniósł obie ręce ku niebu i wykrzyknął: – Wielki Boże!

Wszystko przepadło – pomyślałem sobie patrząc na wyraz jego twarzy i słysząc zawartą w jego głosie nutę przerażenia.

– Chciałbym panu wytłumaczyć...

– Dziękuję uprzejmie, nie chcę nic więcej o tym słyszeć. Oświadczam stanowczo, że nie chcę słyszeć. Ze względu na pańskie nazwisko oraz na pana Rankeillora, a może trochę i ze względu na pana samego, zrobię, co mogę, aby panu pomóc, ale nie chcę nic więcej słyszeć o faktach. Pierwszym natomiast moim obowiązkiem jest pana ostrzec. To są głębokie wody, panie Dawidzie, a pan jest młodym człowiekiem. Należy więc być ostrożnym i dwa razy się namyślić przed każdym krokiem.

– Mogę pana zapewnić, że myślałem o tym więcej niż dwukrotnie, panie Balfour, i pozwolę sobie zwrócić pańską uwagę na treść listu pana Rankeillora, w którym (w co nie wątpię) wspomniał, iż aprobuje moje poczynania.

– Hm... hm... dobrze, zrobię, co będę mógł dla pana. Po czym wzięwszy papier i pióro siedział przez czas jakiś zadumany, aż wreszcie zaczął pisać, namyślając się nad każdym zdaniem.

– A więc pan Rankeillor udzielił swej aprobaty pańskim zamiarom? – zapytał po chwili.

– Po krótkiej na ten temat dyskusji polecił mi działać w imię Boga.

– Z Jego imieniem na ustach należy wszystko rozpoczynać – rzekł pan Balfour i powrócił do pisania. Wreszcie złożył swój podpis, odczytał powtórnie treść listu i znowu zwrócił się do mnie:

– Panie Dawidzie, oto jest list polecający, do którego przyłożę pieczęć, pozostawiając go otwartym i w takim stanie go panu wręcę, jak tego wymagają formy. Lecz ponieważ działałem na oślep, odczytam go panu, abyś się przekonał, czy zawiera to właśnie, na czym panu zależy.

*Pilrig, 26 sierpnia 1751*

*Wielce Miłościwy Lordzie Prokuratorze!*

*Pozwalam sobie niniejszym skierować do Waszej Wielmożności mego imiennika i kuzyna, urodzonego Dawida Balfoura z Shaws, młodego dżentelmena z nieposzlakowanej rodziny i dziedzica znacznych włości. Korzystał ponadto z cenniejszego przywileju bogobojnego wychowania, a jego polityczne poglądy mogą tylko zasługiwać na uznanie Waszej Wielmożności. Nie jestem wtajemniczony w sprawę pana Balfoura, lecz wiadomo mi jest, iż pragnie przedstawić osobiście pewien casus dotyczący Jego Królewskiej Mości oraz wymiaru sprawiedliwości, które to dziedziny, jak powszechnie wiadomo, leżą wielce Waszej Wielmożności na sercu. Pragnę nadmienić, że intencje tego młodego dżentelmena są znane i aprobowane przez pewnych jego przyjaciół, którzy z pełną nadziei troską będą oczekiwać wyniku jego przedsięwzięcia.*

– Po czym – mówił pan Balfour – następują zwyczajowe formuły grzecznościowe oraz mój podpis. Zauważył pan, że piszę „pewnych jego przyjaciół”; mam nadzieję, że ta liczba mnoga jest uzasadniona?

– Najzupełniej; moje zamiary są znane i aprobowane przez niejedną osobę. A list pański, za co gorąco dziękuję, zawiera wszystko, na co mogłem liczyć.

– Nic więcej nie zdołałem z siebie wycisnąć – odrzekł pan Balfour. – A uwzględniając to, co mi wiadomo o sprawie, w którą zamierza pan się wplątać, pozostaje mi tylko prosić Boga, aby list ten okazał się w wystarczającej mierze skuteczny.

## IV. U LORDA PROKURATORA PRESTONGRANGE

Mój krewniak zaprosił mnie na posiłek „gwoli – jak się wyraził – zadośćuczynienia honorowi tego domu” – więc raźniej mi się szło w powrotnej drodze. Pilno mi było uporać się z następnym stadium moich zabiegów, tak abym już nie mógł się wycofać. Dla kogoś bowiem znajdującego się w tak trudnym jak moje położeniu, świadomość, że wahania i pokusy nie mają już do niego dostępu, ma ogromne znaczenie. Toteż wielkie ogarnęło mnie rozczarowanie, gdy doszedłszy do siedziby lorda prokuratora dowiedziałem się, że jest nieobecny. Co było, jak sądzę, zgodne z prawdą w tej chwili i przez parę następnych godzin. Później jednak nie miałem wątpliwości, że powrócił do domu i zabawiał się z przyjaciółmi w sąsiednim pokoju. O moim zaś przybyciu nikt nie zdawał się pamiętać. I byłbym na pewno opuścił dom lorda prokuratora Prestongrange’a, gdyby mi tak nie zależało na niezwłocznym złożeniu mu mojej deklaracji i położeniu się spać z czystym sumieniem.

W alkierzyku, w którym mnie pozostawiono, znajdowało się sporo książek. Początkowo więc czytałem, nie mogłem jednak skupić myśli nad ich treścią. A że pogoda stawała się pochmurna i zmierzch zapadł wcześniej niż zwykle, musiałem wreszcie zrezygnować z tej (względnej zresztą) rozrywki i siedziałem w mrocznej i deprymującej pustce. Towarzystwa dotrzymywały mi tylko odgłosy rozmów w pobliżu, miły dźwięk klawesynu, a raz nawet głos śpiewającej kobiety.

Nie wiem, która być mogła godzina, ale ciemność panowała już od dawna, gdy otworzyły się drzwi alkierza i na tle światła ujrzałem postać wysokiego mężczyzny. Powstałem natychmiast z krzesła.

– Czy jest tam kto? – zapytał.

– Przyniosłem list od dziedzica z Pilrig do lorda prokuratora – odpowiedziałem.

– Czy dawno tu jesteś?

– Wolałbym nie obliczać, ile godzin.

– Pierwszy raz o tym słyszę – rzekł z uśmiechem. – Służba musiała o tobie zapomnieć. Ale doczekałeś się wreszcie: masz przed sobą lorda prokuratora Prestongrange’a.

Co rzekłszy, przeszedł do sąsiedniego pokoju, dokąd na dany przez niego znak, wszedłem za nim; zapalił świecę i usiadł przy swym urzędowym stole. Był to długi, ładny pokój, o ścianach całkowicie przysłoniętych książkami. Nikły promyk światła padający od ustawionej na rogu stołu świecy ukazał mi jego dorodną postać i stanowczą twarz. Na jego policzkach pałał silny rumieniec, oczy miał nieco załzawione i błyszczące, a zanim usiadł, zauważyłem, że chwieje się nieco na nogach. Był niewątpliwie po obfitej i zakrapianej wieczerzy, panował jednak całkowicie nad swym umysłem i wymową.

– Proszę siadać – rzekł – zobaczymy, co zawiera list z Pilrig.

Początkowo czytał niedbale, spojrzał na mnie z lekkim ukłonem, gdy doszedł do mego nazwiska, lecz przy ostatnim zdaniu widziałem, jak skupia uwagę, i jestem pewny, że odczytał je dwukrotnie. Podczas gdy to czynił, serce biło mi gwałtownie, przekroczyłem bowiem Rubikon i znajdowałem się na polu bitwy.

– Miło mi jest pana poznać, panie Balfour – rzekł po skończeniu lektury – i mam nadzieję, że przyjmie pan kielich wina.

– Wasza Wielmożność zechce mi łaskawie wybaczyć – odpowiedziałem – ale nie sądzę, aby mi to wyszło na korzyść. Przybyłem tutaj, jak wynika z listu, w dosyć poważnej sprawie, a nie będąc przyzwyczajony do wina, mógłbym zbyt łatwo utracić miarę.

– Pozostawiam to pańskiemu uznaniu, ale w takim razie, z pańskim pozwoleniem, sam zajrzę do butelki.

Zadzwoił i na ten sygnał lokaj przyniósł kieliszki i wino.

– Czy doprawdy nie przyłączy się pan do mnie? – mówił Prestongrange. – A więc za naszą znajomość! Czym mogę panu służyć?

– Powinienem może zacząć od stwierdzenia, iż zjawiłem się tutaj na skutek nader natarczywego zaproszenia ze strony Waszej Wielmożności.

– Wolę przyznać się od razu, że nigdy dotychczas o panu nie słyszałem.

– Istotnie, nazwisko moje jest nie znane Waszej Wielmożności. A jednak od pewnego czasu pragnie pan gorąco zawrzeć ze mną znajomość i oświadczył to pan publicznie.

– Byłbym panu zobowiązany za dostarczenie mi klucza do tej zagadki. Nie jestem jasnowidzącym jak prorok Daniel.

– W tym celu, gdybym był w żartobliwym nastroju – do czego mi bardzo daleko – mógłbym wysunąć względem Waszej Wielmożności roszczenie o dwieście funtów.

– Z jakiego tytułu?

– Z tytułu nagrody wyznaczonej za ujęcie mojej osoby.

Prestongrange odsunął daleko od siebie kielich i wyprostował się w krześle, w którym poprzednio siedział wygodnie rozparty.

– Jak mam to rozumieć? – zapytał.

– „Wysoki, rosty chłopak, lat około osiemnastu, mówiący językiem Dolnej Szkocji, bez zarostu...”

– Rozpoznaję te słowa – przerwał mi lord prokurator – i jeśli przybył pan tutaj powodowany nierozważną intencją zabawy, mogą się one okazać niezwykle dla pana niebezpieczne.

– Przybywam tutaj w sprawie tak poważnej jak śmierć i życie i doskonale mnie pan rozumiał. Jestem chłopcem, z którym rozmawiał Campbell z Glenure w chwili, gdy został zastrzelony.

– Widząc pana tutaj, mogę tylko przypuszczać, iż uważa się pan za niewinnego?

– Taki wniosek jest najzupełniej słuszny. Jestem lojalnym poddanym króla Jerzego i gdybym miał sobie cokolwiek do zarzucenia, nie pojawiłbym się osobiście w domu Waszej Wielmożności.

– Bardzo się z tego cieszę, panie Balfour. Ta nikczemna zbrodnia należy do rzędu tych, które wykluczają wszelką pobłażliwość. Krew została przelana w barbarzyński sposób, zbrodnia ta stanowi bezpośredni bunt przeciwko Jego Królewskiej Mości i przeciwko całemu

naszemu porządkowi prawnemu, a dokonana została przez tych, o których wiadomo, że są jego publicznymi przeciwnikami. Takiego czynu na pewno nie puszcę płazem i proszę mi wierzyć, że uważam tę zbrodnię za urągającą osobiście Jego Królewskiej Mości.

– I niestety – dodałem cokolwiek sucho – urągającą osobiście innej wysoko postawionej osobie, której wolałbym nie wymieniać.

– Jeśli pańskie słowa wyrażają to, co pan ma na myśli, muszę panu oświadczyć, że uważam je za nieliczące z charakterem prawomyślnego poddanego Jego Królewskiej Mości. I gdyby były wypowiedziane publicznie, nie omieszkałbym zrobić z nich użytku. Pan sobie chyba nie zdaje dostatecznie sprawy z powagi swej sytuacji, inaczej bowiem unikałby pan jej pogarszania przez słowa uwłaczające wymiarowi sprawiedliwości. Wymiar sprawiedliwości w tym kraju, powierzony mojej niegodnej osobie, nie liczy się z osobistymi względami.

– Wasza Wielmożność nadaje zbyt wielką wagę moim słowom. Powtórzyłem tylko to, co mówi się powszechnie w tym kraju, to, co słyszałem wszędzie i od osób o najróżniejszych poglądach.

– Zrozumie pan z czasem, po dojściu do większej roztropności, że nie należy polegać na tym, co ludzie mówią dokoła, a tym bardziej tego powtarzać. Atoli zwalnię pana z zarzutu przewrotnej intencji. Ów wielmoża – a poważamy go wszyscy – zaiste boleśnie dotknięty przez to barbarzyństwo, jest zbyt wysoko uplasowany, aby go takie kalumnie mogły osiągnąć. Książę Argyle – jak pan widzi, rozmawiam z panem otwarcie – przywiązuje wielką wagę do tej sprawy, podobnie jak i ja, gdyż obaj jesteśmy do tego zobowiązani z tytułu naszych funkcji sędziowskich tudzież z tytułu służby u Jego Królewskiej Mości; życzyłbym sobie, aby w tym naszym skorumpowanym wieku wszystkie ręce były równie czyste, jak nasze, od rodzinnych zawiści i sporów. Ponieważ jednak, w tym wypadku, ofiarą swego obowiązku padł Campbell – a któż kiedykolwiek godziwiej i lepiej niż Campbellowie świecił przykładem w tej dziedzinie? – ja to mówię, który nie jestem członkiem tej rodziny – a wódz tego wielkiego klanu jest obecnie (ku satysfakcji nas wszystkich) przewodniczącym Trybunału, mierne umysły i podle języki rajcują w każdej karczmie w tym kraju. I oto młody dżentelmen, pan Balfour, jest na tyle nieostrożny, że staje się ich echem. – Wypowiedział to z wielką oratorską swadą, jakby się znajdował na sali sądowej, po czym powrócił do zwykłego tonu rozmowy. – To wszystko na marginesie, pozostaje mi się teraz dowiedzieć, co mam z panem począć?

– Zdaje mi się, że to ja powinienem się tego dowiedzieć od Waszej Wielmożności.

– To prawda, ale przybył pan do mnie z nie lada rekomendacją! Na tym liście podpisane jest dobre wigowskie nazwisko – mówił, biorąc na chwilę do ręki leżące na stole pismo – i poza sądowym trybem można zawsze dojść do jakiegoś porozumienia. Powiadam panu, panie Balfour, i powiadam z góry: miej się na baczności! Los pański zależy wyłącznie ode mnie. W takiej sprawie (mówię to z całym należnym mu szacunkiem) rozporządzam większą władzą niż sam Król Jegomość. I jeśli pozyska pan moje względy – oczywiście zgodnie z moim sumieniem – w dalszej ze mną rozmowie, jej treść może pozostać między nami.

– To znaczy? – zapytałem.

– To znaczy, panie Balfour, że jeśli będę z pana zadowolony, nikt się o niczym nie dowie, nie wyłączając pańskiej wizyty w moim domu. Jak pan widzi, nie wezwałem nawet mego pisarza.

Zrozumiałem, o co mu chodziło. – Wydaje mi się – odpowiedziałem – że jest rzeczą zbyt ważną, aby moja tutaj wizyta doszła do czyjejkolwiek wiadomości, chociaż nie wiem dokładnie, co mógłbym przez to zyskać. Nie wstydę się bynajmniej mego tutaj przybycia.

– Nie ma powodów się wstydić – rzekł zachęcająco – ani, jeśli zachowa pan ostrożność, obawiać się konsekwencji.

– Za przeproszeniem i z całym respektem dla Waszej Wielmożności niełatwo jest mnie nastraszyć.

– Nie leży to na pewno w moich zamiarach. A teraz przejdźmy do zeznań; ostrzegam pana, abyś nie mówił nic więcej, jak tylko odpowiadał na pytania, jakie panu zadam. Od tego w wielkiej mierze zależy pańskie bezpieczeństwo. Rozporządzam co prawda niemałą władzą dyskrecyjną, ale ma ona swe granice.

– Będę usiłował zastosować się do wskazówek Waszej Wielmożności.

Lord prokurator rozłożył arkusz papieru na stole i napisał nagłówek. – A więc – zaczął – był pan jakoby w lesie Lettermore w chwili zabójczego strzału. Czy znalazł się pan tam przypadkiem?

– Tak jest, przypadkiem.

– Jak doszło do rozmowy z Colinem Campbellem?

– Zapytałem go o drogę do Aucharn.

Zauważyłem, że nie zapisał tej odpowiedzi.

– Hm... – rzekł – nie zapamiętam tego. Na pańskim miejscu wspominałbym jak najmniej o pańskich stosunkach z tymi Stewartami. Może to wywołać komplikacje. Nie jestem skłonny traktować tych szczegółów jako istotnych.

– Zdawało mi się, że wszystko, co dotyczy faktów, jest równie ważne w takiej sprawie.

– Zapomina pan, że sędzimy obecnie tych Stewartów – odrzekł z naciskiem. – Jeśli dojdzie do tego, że będziemy sędzili pana... inaczej przeprowadzę śledztwo. Wtedy będę kłaść nacisk na te właśnie szczegóły, które teraz gotów jestem pominąć. Ale idźmy dalej: z zeznań pana Munro Campbella wynika, że pobiegł pan natychmiast w górę zbocza. Dlaczego?

– Nie natychmiast i dlatego, że dostrzegłem mordercę.

– Widział go pan?

– Równie wyraźnie jak Waszą Wielmożność, chociaż nie był tak blisko.

– Pan go zna?

– Mógłbym go poznać.

– Biegając za nim nie udało się panu go dogonić?

– Nie, nie udało mi się.

– Czy był sam?

– Tak, był sam.

– Nikogo więcej nie było w pobliżu?

– Alan Breck Stewart znajdował się niedaleko, w lesie.

Lord prokurator odłożył pióro. – Zdaje mi się – rzekł – że rozmijamy się w naszych zamierzeniach, co, jak się pan przekona, skończy się dla pana żałośnie.

– Stosuję się tylko do rady Waszej Wielmożności i odpowiadam na stawiane mi pytania.

– Proszę się opamiętać, póki pora, panie Balfour. Traktuję pana z najdalej idącą życzliwością, czego pan zdaje się nie oceniać, a która – jeśli nie będzie pan ostrożniejszy – może się okazać daremną.

– Doceniam życzliwość Waszej Wielmożności – odpowiedziałem cokolwiek drżącym głosem, gdyż zdawałem sobie sprawę, że wreszcie doszło do starcia między nami – ale pozwałam sobie uważać ją za wypływającą z mylnych przesłanek. Jestem tutaj, aby udzielić Waszej Wielmożności pewnych informacji, na podstawie których przekonam go, że Alan nie brał żadnego udziału w zabójstwie Colina Campbella z Glenure.

Lord prokurator zdawał się przez chwilę zbity z tropu; siedział z zaciśniętymi ustami i zerkał na mnie jak rozjuszony kot. – Panie Balfour – odezwał się wreszcie – powiadam panu stanowczo, że działa pan wbrew własnym interesom.

– W tej sprawie jestem wolny od zarzutu powodowania się własnymi interesami w tej samej mierze co Wasza Wielmożność. Bóg mi świadkiem, jedno tylko mam na celu: aby sprawiedliwości stało się zadość i aby niewinni zostali oczyszczeni. A jeśli, dążąc do tego celu, narażę się Waszej Wielmożności, muszę, w miarę moich sił, z tym się pogodzić.

Na co lord prokurator wstał z krzesła, zapalił drugą świecę, i przez chwilę przyglądał mi się stanowczo. Zauważyłem ze zdziwieniem wielką zmianę w poważnym wyrazie jego twarzy, a nawet wydało mi się, że pobladł nieco.

– Jest pan albo bardzo naiwny, albo wręcz odwrotnie – rzekł – widzę, że muszę rozmawiać z panem bardziej poufnie. To jest polityczna sprawa; tak panie Balfour, *volens nolens* jest to polityczna sprawa i drzę na myśl, jak doniosłe może pociągnąć za sobą następstwa. Nie potrzebuję chyba tłumaczyć tak wykształconemu jak pan młodemu człowiekowi, że do politycznej sprawy podchodzimy inaczej niż do mającej wyłącznie kryminalny charakter, *Salus populi suprema lex* jest często nadużywaną maksymą, lecz jest ona brzemienne siłą, jaką spotykamy gdzie indziej tylko w prawach natury. Mam na myśli siłę konieczności. Wyjaśnię to panu, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, nieco obszerniej. Pan chciałby, abym uwierzył...

– Za pozwoleniem Waszej Wielmożności chciałbym, aby pan uwierzył w to tylko, czego mogę dowieść.

– Sza, sza, młody człowieku, nie bądź tak pragmatyczny i pozwól mężczyźnie, który mógłby być co najmniej twoim ojcem, wyrazić własne skromne zdanie, nawet jeśli, niestety, nie pokrywa się ono z opinią pana Balfoura. Pan chciałby, abym uwierzył w niewinność Alana Brecka. Nie przywiązuję do tego większej wagi, tym bardziej że nie możemy go schwytać. Ale sprawa niewinności Alana Brecka ma o wiele szerszy aspekt. Jego niewinność, raz przyjęta, unicestwiłaby całą moc naszego aktu oskarżenia przeciwko drugiemu i zupełnie innego rodzaju przestępcy: zatwardziałemu zdrajcy, któremu już dwukrotnie przebaczone udział z bronią w ręku w buncie przeciwko swemu monarsze; podżegaczowi i siewcy niezadowolenia i, bez względu na to, kto jest zabójcą Colina Campbella, właściwemu sprawcy tego czynu. Wie pan oczywiście, kogo mam na myśli: Jamesa Stewarta.

– Ja zaś mogę tylko otwarcie oświadczyć, że przybyłem tutaj, aby w prywatnej rozmowie z Waszą Wielmożnością stwierdzić niewinność Alana i Jamesa, i gotów jestem to samo zeznać przed sądem.

– Ja zaś, panie Balfour, mogę na to równie otwarcie oświadczyć, że w tym wypadku nie potrzebujemy pańskich zeznań i życzę sobie, abyś zachował całkowite milczenie w tej sprawie.

– Wasza Wielmożność jest najwyższym przedstawicielem sprawiedliwości w tym kraju i proponuje mi zbrodnię!

– Mam przede wszystkim na względzie dobro tego kraju i to, czego żądam od pana, stanowi polityczną konieczność. Patriotyzm nie zawsze pokrywa się z moralnością w formalnym znaczeniu tego pojęcia i, moim zdaniem, winien się pan z tego cieszyć; fakty bowiem przemawiają stanowczo przeciwko panu i jeśli nadal usiłuję pana wyłączyć z bardzo niebezpiecznej sytuacji, to częściowo dlatego, że oceniam pańską uczciwość, częściowo ze względu na list z Pilrig, a zwłaszcza dlatego, że w tej sprawie mój polityczny obowiązek góruje nad tym, który wypływa z moich funkcji sędowniczych. Z tego więc powodu, powtarzam to szczerze, nie chcę słyszeć pańskich zeznań.

– Proszę tego nie uważać za replikę, chodzi mi bowiem tylko o jasne sformułowanie naszych stanowisk; jeśli Wasza Wielmożność chętnie obejdzie się bez mego świadectwa – tamtej stronie w najwyższym stopniu na nim zależy.

Prestongrange powstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju.

– Nie jest pan aż tak młody – mówił – aby nie pamiętać dokładnie czterdziestego piątego roku i strasliwej pożogi, jaka wówczas ogarnęła nasz kraj. Czytałem w liście z Pilrig, że jest pan oddanym synem naszego kościoła i wiernym obywatelem naszego państwa. Któż je uratował w tym nieszczęsnym roku? Pomijam Jego Królewską Wysokość i jego żołnierzy; dobrze się spisali w swoim czasie, ale kraj został uratowany i zwycięstwo zapewnione, zanim Cumberland nadszedł do Drummosie. Powtarzam, kto tego dokonał? Kto ocalił religię protestancką i cały nasz ustrój oparty na wolnościach obywatelskich? Po pierwsze nieżyjący już dzisiaj lord prezydent Culloden. Godnie i mężnie się zachował... i mało kto okazał mu za to wdzięczność. Także i ja, którego widzisz pan przed sobą, nie szczędzę wysiłku na rzecz tej samej sprawy, nie licząc na żadne nagrody, jak tylko chcąc mieć świadomość dobrze spełnionego obowiązku. A poza nim, któż jeszcze? Wie pan równie dobrze jak i ja; o to właśnie chodzi niektórym i sam pan o tym napomknął przed chwilą, za co musiałem pana skarcić. Książę Argyle i wielki klan Campbellów. A oto jeden z nich został nikczemnie zamordowany, a co gorzej, w służbie Jego Królewskiej Mości. Zarówno książę, jak i ja jesteśmy góralami z Górnej Szkocji. Lecz jesteśmy cywilizowanymi góralami, czego nie można powiedzieć o większości naszych klanów i rodzin. Oni zachowali nadal pierwotne cnoty i przywary. Są nadal barbarzyńcami, jak ci Stewartowie! Tylko że barbarzyńcy Campbellowie bronili słusznej sprawy, barbarzyńcy Stewartowie zaś odwrotnie. A teraz niech pan sam osądzi: Campbellowie spodziewają się i łakną zemsty. Jeśli nie uczynimy jej zadość i James Stewart uratuje



głowę – Campbellowie się z tym nie pogodzą. To znaczy, że w Górnej Szkocji wybuchną zamieszki. Trudny to kraj i bynajmniej jeszcze nie rozbrojony; rozbrojenie górali jest farsą...

– Pod tym względem mogę tylko potwierdzić opinię Waszej Wielmożności.

– A na to tylko czyha Francja, nasz czujny wróg – mówił dalej lord prokurator, wymachując palcem w takt swych kroków – i proszę mi wierzyć, możemy mieć znowu rebelię, jak w czterdziestym piątym roku, ale tym razem z Campbellami przeciwko nam. Aby uratować głowę tego Stewarta, który jeśli nie z tych, to z innych powodów wielokrotnie już na śmierć zasłużył, czyż zamierzasz wtrącić ojczyznę w odmęty wojny, działać na szkodę wiary ojców twoich i narazić życie i mienie wielu tysięcy niewinnych osób?... Takie to względy mną kierują i mam nadzieję, że zważą i na pańskiej opinii, panie Balfour, który miłujesz swoją ojczyznę, jesteś zwolennikiem dobrych rządów i wyznawcą prawdziwej wiary!

– Szczerze pan ze mną rozmawia i wdzięczny jestem za to Waszej Wielmożności. Ze swej strony postaram się równie uczciwie przedstawić mój punkt widzenia. Sądzę, że Wasza Wielmożność trafnie ocenia polityczne względy. Sądzę, że ten trudny obowiązek może spoczywać na jego barkach. Sądzę też, że Wasza Wielmożność rozważył to w swym sumieniu, składając przysięgę przed objęciem wysokiego urzędu, jaki piastuje. Ale dla mnie, prostego człowieka – zaledwie dojrzałego mężczyzny – musi wystarczyć prosty obowiązek. O niczym innym myśleć nie mogę, jak tylko o nieszczęsnym człowieku, któremu rychło grozi niesprawiedliwy i haniebny wyrok śmierci, oraz o łzach i lamentach jego żony, wciąż dźwięczących mi w uszach. Nie potrafię dalej sięgnąć myślą. Taki już jestem. Jeśli kraj ma na tym ucierpieć, niech tak będzie. I jeśli ulegam uporczywemu zaślepieniu, proszę Boga, aby zechciał mnie oświecić, zanim nie będzie za późno.

Wysłuchał mnie stojąc nieruchomo i w tej pozycji pozostał przez dłuższą chwilę.

– To jest nieprzewidziana przeszkoda – rzekł głośno, ale do siebie.

– Cóż Wasza Wielmożność zamierza ze mną uczynić? – zapytałem.

– Od mojej tylko woli zależy, abyś już dzisiaj nocował w więzieniu.

– Nocowałem już w gorszych miejscach.

– Jedno tylko, mój chłopcze, wynika jasno z naszej rozmowy, a mianowicie, że mogę polegać na twoim słowie. Daj mi słowo honoru, że zatrzymasz w tajemnicy nie tylko to, co zaśzło pomiędzy nami dziś wieczorem, ale i wszystko, co dotyczy morderstwa w Appin.

– Dam je chętnie do jutra lub niech Wasza Wielmożność raczy wyznaczyć jakiś bliski termin. Mam nadzieję, że nie będzie to poczytywane za zbytnią z mojej strony przebiegłość, lecz jeślibym zobowiązał się słowem honoru bez tego warunku – Wasza Wielmożność osiągnęłyby swój cel.

– Nie zamierzam pana usidlić.

– Jestem tego pewny.

– Zaraz, niech się chwilę zastanowię... hm... Jutro jest niedziela. Proszę przyjść do mnie w poniedziałek o ósmej rano i dać mi słowo do tego terminu.

– Daję je chętnie, a jeśli chodzi o to, co słyszałem z ust Waszej Wielmożności, nie wspomnę o tym nikomu tak długo, jak Bóg raczy pana przy życiu zachować.

– Zwrócił pan uwagę, że nie posługiwałem się pogrozkami.

– Jak przystało szlachetnie urodzonemu. Nie jestem jednak aż tak tępy, aby nie rozumieć pogrozek nie wypowiedzianych przez Waszą Wielmożność.

– Na tym zakończymy rozmowę. Dobranoc, i obyś spał dobrze, co zapewne łatwiej ode mnie ci przyjdzie.

Co rzekłszy, lord prokurator westchnął, wziął świecę i odprowadził mnie do drzwi wychodzących na ulicę.

## V. POZNAJĘ CÓRKI LORDA PROKURATORA

Następnego dnia, w niedzielę 27 sierpnia, mogłem, jak na to od dawna miałem ochotę, posłuchać wymowy paru sławnych kaznodziejów edynburskich, dobrze mi znanych z opowiadań pastora Campbella. Niestety jednak mógłbym z takim samym powodzeniem siedzieć w kościele w Essendean, wśród parafian mego zacnego opiekuna, audyencja bowiem u lorda prokuratora wywołała taki zamęt w mojej głowie, iż nie byłem w stanie skupić myśli. Mniej się zaiste interesowałem wzniosłymi i uczonymi wywodami duchownych niż widokiem strojnych tłumów wypełniających kościoły; w podobny sposób wyobrażałem sobie teatr lub (ze względu na mój stan ducha) salę sądową. Takie zwłaszcza wrażenie wywarł na mnie kościół West Kirk ze swymi trzema rzędami galerii, gdzie na próżno wypatrywałem pannę Drummond.

W poniedziałek udałem się po raz pierwszy w życiu do balwierza i bardzo byłem zadowolony z rezultatu jego zabiegów. Stamtąd poszedłem do lorda prokuratora; przy drzwiach jego domu widniały znowu sylwetki żołnierzy w czerwonych mundurach, tworząc jakby barwną plamę w mrocznym zaułku. Nadaremnie jednak rozglądałem się za ową młodą lady i jej siostrą.

Zaledwie mnie wprowadzono do alkierza czy przedpokoju, w którym w sobotę spędziłem tyle nudnych godzin, dostrzegłem siedzącą w kącie wysoką postać Jamesa More'a. Zdawał się być bardzo przygnębiony, coraz to wyciągał przed siebie ręce i nogi i rzucał wzrokiem na otaczające go ściany, co mi przypomniało jego nieszczęsną dolę i wzbudziło litość w moim sercu. Toteż, powodowany częściowo tym uczuciem, a częściowo silnym nadal zainteresowaniem jego córką, zbliżyłem się do niego.

– Dzień dobry panu – rzekłem.

– Dzień dobry panu – odpowiedział.

– Oczekuje pan na wezwanie do lorda prokuratora Prestongrange'a?

– Tak, i oby pańska wizyta u tego dżentelmena okazała się przyjemniejsza od mojej.

– Mam nadzieję, że przynajmniej pańska nie potrwa długo, zdaje mi się bowiem, że ma pan być przyjęty przede mną.

– Wszystkich przyjmuje się przede mną – odrzekł, wzruszając ramionami i podnosząc w górę obie dłonie. – Nie zawsze tak było, ale cóż, czasy się zmieniają. Nie tak to bywało, gdy szable miały swoją wagę i można było polegać na żołnierskich cnotach.

I spojrzął na mnie z typową dla górali wyniosłą arogancją, co rozdrażniło mnie mocno.

– O ile mi wiadomo, panie Macgregor, najważniejszym obowiązkiem żołnierza jest milczenie, a pierwszą jego cnotą jest znosić swój los nigdy nie narzekając.

– Zna pan, jak widzę, moje nazwisko – i skłonił się, trzymając ręce skrzyżowane na pierśsiach – aczkolwiek mnie samemu nie wolno go używać. Ha, cóż, zyskało pewien rozgłos, zbyt często bowiem ukazywałem moją twarz i wypowiadałem moje nazwisko w obliczu wrogów. Nie powinienem się więc dziwić, że znane są niejednemu z tych, których nie znam.

– Nie zna mnie pan istotnie ani zresztą nikt inny. Nazwisko moje, jeśli życzy pan sobie je usłyszeć, brzmi Balfour.

– To dobre nazwisko – rzekł uprzejmie – i nosi je sporo znacznych ludzi. Przypominam sobie nawet, że pewien młody dżentelmen o tym samym co pan nazwisku pełnił w czterdziestym piątym roku funkcję chirurga w moim batalionie.

– To zapewne brat Balfoura z Baith – odpowiedziałem, tym razem nie będąc zaskoczony tym chirurgiem.

– Tenże sam – rzekł James More – a skoro stawałem ramię przy ramieniu z pańskim powinowatym, muszę uściskać pańską dłoń.

I zaczął potrząsać moją dłońią długo i czule, cały rozpromieniony, jakby odnalazł rodzynego brata.

– Ach – rzekł – inne to były czasy, gdy pański kuzyn i ja słyszeliśmy koło naszych uszu gwizd kul.

– Zdaje mi się – odpowiedziałem oschle – że to był mój bardzo daleki kuzyn i czuję się w obowiązku nadmienić, iż nigdy go na oczy nie widziałem.

– Nie szkodzi, pan natomiast chyba nie brał udziału w tej potrzebie, gdyż nie przypominam sobie pańskiej twarzy, a należy ona raczej do takich, które się pamięta.

– W roku, o którym pan wspomina, panie Macgregor, brałem cięgi w szkole parafialnej.

– Taki młody! W takim razie nie zdoła pan sobie nigdy wyobrazić, co znaczy dla mnie to spotkanie. W tej ciężkiej dla mnie dobie, tutaj, w domu mego wroga, natknąć się na krewnego mego starego druha i towarzysza broni... to mnie podnosi na duchu, panie Balfour, jak zawođenje góralskich kobz! Smętne to jest dla wielu z nas wspomnienie, wyciskające niejednemu łzy z oczu. Żyłem wtedy jak król w moim własnym kraju; wystarczyła mi szabla, góry, wierność moich przyjaciół i pobratymców. A oto dzisiaj gniję w cuchnącym lochu. Czy da pan wiarę, panie Balfour – co mówiąc wziął mnie pod rękę i zaczął się ze mną przechadzać po pokoju – czy da pan wiarę, że cierpię na brak najpotrzebniejszych rzeczy? Przewrotni wrogowie zasekwestrowali cały mój majątek. Oskarżają mnie, jak panu wiadomo, o zmyślone przestępstwo, a jestem niewinny jak i pan. Nie śmiać mnie stawić przed sądem, a tymczasem trzymają mnie nieszczęsnego w więzieniu. Życzyłbym sobie spotkać pańskiego kuzyna lub jego brata z Baith. Każdy z nich, jestem tego pewny, dopomógłby mi z radością, podczas gdy pan, właściwie nieznajomy...

Wstydziłbym się opisywać wszystko, co do mnie mówił natrętnym, żebraczym tonem, oraz moje zwięzłe i cierpkie odpowiedzi. Chwilami miałem ochotę zatkać mu gębę paru drobnymi monetami, ale bądź to powodowany wstydem, bądź dumą czy też ze względu na mnie i Katrionę – czy może dlatego, że uważałem go za ojca niegodnego takiej córki, czy dlatego, że oburzała mnie bezczelna obłuda cechująca całą jego postawę – nie mogłem się na to zdobyć.

James More wciąż jeszcze łąsił się do mnie i ciągał mnie tam i z powrotem po ciasnym pokoju, ja zaś, chociaż nie zdołałem go ostatecznie zniechęcić, zdążyłem się narazić na jego gniew zbywając go krótkimi odpowiedziami, gdy Prestongrange ukazał się we drzwiach i zaprosił mnie uprzejmie do swego gabinetu.

– Będę jeszcze zajęty przez chwilę – rzekł – więc żeby się panu tymczasem nie nudziło, przedstawię pana trzem moim ślicznym córkom, o których pan już może słyszał, są bowiem bardziej znane od swego papy. Proszę za mną.

Zaprowadził mnie do innego, obszernego pokoju na piętrze, gdzie przy hafciarskich krosienkach siedziała stara i zasuszona lady, a trzy młode panny, najładniejsze (jak sądzę) w całej Szkocji, stały przy oknie.

– Oto mój nowy przyjaciel, pan Dawid Balfour – rzekł trzymając mnie pod ramię. – A oto moja siostra, panna Grant, która łaskawie pełni u mnie obowiązki pani domu i teraz będzie rada zająć się panem. A oto – mówił dalej, zwracając się do owych trzech dziewcząt – są moje śliczne córki. Rzetelne pytanie, panie Dawidzie: która z nich jest najurodziwsza? Założę się, że nie ośmielisz się udzielić uczciwej, tej samej co Alan Ramsay, odpowiedzi!

Wszystkie trzy, a ciotka wtórowała im ochoczo, ze śmiechem zaprotestowały przeciwko temu conceptowi, który (jako że znałem te wiersze) wywołał rumieniec wstydu na moich policzkach. Uważałem tę literacką aluzję za niedopuszczalną w ustach ojca i dziwiłem się, że młode panny, okazując prawdziwe lub udane zgorzsenie, mogły powitać ją ze śmiechem.

Nie minął jeszcze ten wybuch wesołości, a już Prestongrange powrócił do swego pokoju, pozostawiając mnie, jak rybę na piasku, w tym bardzo niedostosowanym do mnie towarzystwie. Wspominając to, co później nastąpiło, nie mogę zaprzeczyć, że zachowywałem się jak nedorajda oraz że córki lorda prokuratora były niezwykle dobrze wychowane okazując mi tyle wyrozumiałości. Ciotka siedziała przy swoich haftach, od czasu do czasu podnosząc głowę i uśmiechając się do nas; panienki natomiast, zwłaszcza najstarsza, będąca ponadto najładniejszą, wzięły mnie gracko w obroty, za co nie umiałem się zrewanżować. Na próżno mówiłem sobie, że jestem przecież młodym mężczyzną niepozbawionym pewnych wartości tudzież dosyć majątnym, że nie mam powodów tracić głowy lub czuć się onieśmielony w obliczu tych trzech dzierlatek, z których najstarsza niewiele górowała wiekiem nade mną, a żadna na pewno nie osiągnęła ani połowy mego wykształcenia. Rozumowanie nic nie pomogło i chwilami rumieniłem się na myśl, że w tym dniu cyrulik ogolił moją twarz po raz pierwszy. Wbrew szczeremu wysiłkom sióstr rozmowa nie toczyła się szparko, aż wreszcie najstarsza zlitowała się nad moją konfuzją i zasiadłszy do klawesynu, którym z prawdziwym mistrzostwem umiała się posługiwać, zabawiła mnie grą i śpiewem, zarówno na szkocką, jak i na włoską modłę. Podniosło to mnie nieco na duchu i przypomniawszy sobie melodię, której w swej kryjówce opodal Carriden nauczył mnie Alan, odważyłem się zagwizdać parę taktów i zapytałem pannę Grant, czy ją zna.

Potrząsnęła głową.

– Nigdy jej nie słyszałam. Może pan zechce zagwizdać ją całą... Raz jeszcze, proszę – dodała, gdy zastosowałem się do jej życzenia.

Po czym wygrała tę melodię na klawesynie wzbogacając ją, ku memu zdumieniu, pięknym akompaniamentem i zaśpiewała bardzo filuternie, starając się utrzymać ludowy akcent:

*Czyż nie tak to, mój panie, grać należy?  
Wszak tę właśnie gwizdałeś melodię?*

– Jak pan widzi, poezja również nie jest mi obca, tylko nie umiem dobierać rymów!  
I śpiewała dalej:

*Jestem panna Grant, córka prokuratora,  
A pan, jak mi się zdaje, jest Dawid Balfour.*

Powiedziałem jej, jak bardzo podziwiam jej talent.

– Co to jest za pieśń? – zapytała.

– Nie znam jej prawdziwej nazwy – odrzekłem – nazywam więc ją po prostu pieśnią Alana.

Spojrzała mi prosto w oczy.

– A ja będę ją nazywać pieśnią Dawida, chociaż jeśli podobną śpiewał pański imiennik królowi Saulowi, nie dziwię się, że nic dobrego z tego nie wynikło, gdyż melancholijna to jest muzyka. Nie lubię tamtego imienia, więc jeśli zechce pan jeszcze kiedykolwiek usłyszeć tę melodię, proszę się posługiwać imieniem, jakie ja jej nadałam.

Powiedziała to tak znacząco, że serce we mnie zamarło.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Bo jeśli kiedykolwiek prowadzić pana będą na szubienicę, zaśpiewam pańskie ostatnie słowa na tę melodię.

A zatem moje przygody i groźna sytuacja, w jakiej się znalazłem, doszły już częściowo do jej wiadomości. Jak się to stało i ile o mnie wiedziała, trudniej było odgadnąć. Wiedziała coś niewątpliwie o niebezpieczeństwie związanym z imieniem Alana i ostrzegła mnie, abym pomijał je milczeniem. Jasne było również, że musiała wiedzieć, iż jestem podejrzany o zbrodnię. Zrozumiałem także, iż brutalność jej ostatnich słów, po wypowiedzeniu których zaczęła grać jakiś bardzo głośny utwór, oznaczała, że należało zaprzestać rozmowy na ten temat. Stałem przy niej, niby to słuchając i podziwiając, lecz w rzeczywistości odbiegłem od niej daleko, porwany wirem własnych myśli. Ta młoda lady, jak się następnie przekonałem, lubowała się w tajemniczości i z pierwszego naszego spotkania potrafiła zaiste uczynić zagadkę, której nie umiałem przeniknąć.

Znacznie później natomiast dowiedziałem się, że podwładni lorda prokuratora wykorzystali w pełni dzień niedzielny; odszukali i wy pytali tragarza, który mi towarzyszył, oraz wykryli moją wizytę u prawnika Stewarta. Z czego wywnioskowano, że łączyły mnie bliskie stosunki z Jamesem i Alanem i że z tym ostatnim utrzymywałem prawdopodobnie łączność. I to właśnie wywołało niedwuznaczną przestrożę udzieloną mi przy klawesynie.

Podczas gdy najstarsza córka lorda prokuratora zajęta była muzyką, jedna z młodszych, stojąca przy oknie, zawołała nagle do sióstr:

– Chodźcie tu prędko! Siwe oczy zjawiły się znowu!

Cała rodzina zebrała się natychmiast w rogu pokoju, gdzie ponad drzwiami wejściowymi domu znajdowało się okno, z którego widać było zaułek.

– Proszę przyjść tu i spojrzeć, panie Balfour! – wołały. – Cóż to za prześliczne stworzenie! Ostatnio często tu przychodzi i kręci się u wylotu zaułka, zawsze z jakimiś obdartymi sługusami. A jednak wygląda zupełnie jak lady.

Domyśliłem się od razu, o kogo chodzi, i raz jeden tylko wyrząłem przez okno, i to na chwilę. Obawiałem się, że Katriona może mnie dostrzec spoglądającego na nią z góry, z pokoju, z którego rozbrzmiewała muzyka, podczas gdy jej ojciec, znajdujący się w tym samym domu, błagał może ze łzami o darowanie mu życia; a pamiętałem również, że ze swej strony odmówiłem spełnienia jego prośb.

Lecz nawet ten króciutki rzut oka podniósł mnie znakomicie na duchu i zmniejszył lęk przed córkami tego domu. Urodziwe były ponad wszelką wątpliwość, ale Katriona była równie piękna i jak żar z ogniska promieniował z niej jakiś urzekający wdzięk. O ile przy córkach prokuratora zapominałem języka w gębie – ona dodawała mi skrzydeł. Pamiętałem łatwość, z jaką z nią rozmawiałem. Jeśli nie umiałem dotrzymać kroku tym trzem ślicznotkom, wina leżała także i po ich stronie. Moje zakłopotanie zaczęło w pewnej mierze ustępować na rzecz wesołości i gdy ciotka uśmiechnęła się do mnie sponad swoich haftów, a wszystkie trzy córki „na rozkaz papy”, co wyraźnie malowało się na ich twarzach, zaczęły mnie kokietować, czułem chwilami, że ja również potrafiłbym się zdobyć na uśmiech.

Wkrótce potem nadszedł papa, w takimże nastroju, pogodny, o ujmującym obejściu mężczyzna.

– Dosyć tego, dziewczęta – rzekł – muszę znowu wezwać do siebie pana Balfoura, ale mam nadzieję, że zdołałyście go namówić do powrotu tam, gdzie zawsze będzie mile widzianym gościem.

Każda z córek uraczyła mnie zdawkowym komplementem, po czym wyszedłem za lordem prokuratorem.

Jeśli ta wizyta w jego rodzime miała na celu osłabienie mego oporu – zakończyła się kompletnym fiaskiem. Nie byłem przecież aż takim osłem, aby nie wiedzieć, jak kiepsko się zaprezentowałem, i nie zdawać sobie sprawy, że zaledwie moje sztywne plecy znikną za drzwiami, dziewczęta zaczną się ze mnie wyśmiewać. A skoro okazałem, jak mało miałem w sobie dworactwa i gracji, zależało mi na tym, aby dowieść, że mam w sobie cechy nieco innego rodzaju, takie jak wytrwałość i męstwo.

Temu życzeniu stało się wkrótce zadość, scena bowiem, jaka miała się niebawem rozegrać, miała inny zgoła charakter.

## VI. BYŁY DZIEDZIC LORDA LOVATA

W gabinecie prokuratora Prestongrange'a czekał na mnie mężczyzna, do którego poczułem wstręt od pierwszego wejrzenia. Twarz miał wyjątkowo szpetną, lecz wyglądał w każdym calu na dżentelmena; układne maniery, lecz potrafił okazać gwałtowność i okrucieństwo; miły głos, któremu, gdy zechciał, potrafił nadać przenikliwy i groźny ton.

Lord prokurator przedstawił nas w uprzejmy, poufały sposób.

– Oto pan Balfour, o którym właśnie rozmawialiśmy. A oto, panie Dawidzie, pan Simon Fraser, który niegdyś nosił inny tytuł, ale to już przebrzmiała śpiewka. Pan Fraser chciałby z panem pomówić.

Po czym podszedł do swoich półek z książkami i stanąwszy w odległym kącie pokoju, zaczął rzekomo przeglądać gruby foliał *in quarto*.

Zostałem więc, w pewnym sensie, sam na sam z ostatnim człowiekiem na świecie, którego spodziewałem się zobaczyć. Słowa wypowiedziane przy przedstawianiu go nie mogły budzić żadnych wątpliwości.

Mógł to być tylko wyjęty w swoim czasie spod prawa były dziedzic tytułu i mienia lorda Lovata i wódz licznego klanu Fraserów. Wiedziałem, że dowodził swymi ludźmi w rebelii czterdziestego piątego roku; wiedziałem, że jego ojciec, do którego lenników należała niegdyś moja rodzina, szczwany lis i wybitny góralski władca, złożył za to głowę pod topór katowski, że jego dobra rodzinne uległy konfiskacie, przez co syn jego stracił prawo noszenia swego rodowego tytułu. Cóż on mógł robić w domu lorda prokuratora? Nie wiedziałem, że Simon Fraser został przyjęty w poczet urzędników sądowych, że sprzeniewierzył się wszystkim swoim zasadom i do tego stopnia usiłował wkraść się w łaski rządu, iż zgodził się pełnić funkcję zastępcy prokuratora w procesie morderców Colina Campbella.

– Cóż znaczy to wszystko, co słyszę o panu, panie Balfour? – rzekł do mnie.

– Nie wypada mi o tym przesądzać – odpowiedziałem – lecz jeśli źródłem pańskich informacji jest lord prokurator... on zna dokładnie mój pogląd na tę sprawę.

– Biorę udział w śledztwie z ramienia lorda prokuratora i stanę w sądzie w charakterze jego zastępcy. Na podstawie zebranego materiału dowodowego mogę pana zapewnić, że pan się myli. Wina Brecka jest oczywista, a pańskie zeznania, w których pan stwierdza, że widział go pan na stokach góry w chwili zabójstwa, zacisną stryczek na jego szyi.

– Aby go móc powiesić, należałoby go przedtem schwytać. A jeśli chodzi o inne aspekty tej sprawy, chętnie pana pozostawię przy pańskich wnioskach.

– Książę wie o wszystkim – mówił dalej Fraser. – Wracam właśnie od Jego Miłości; rozmawiał ze mną całkiem otwarcie, jak na tak szlachetnie urodzonego przystało. Wymienił pana nazwisko, panie Balfour, i z góry zapowiedział, że chętnie panu wdzięczność okaże, o ile zechce pan polegać na zdaniu – i zastosować się do niego – tych, którzy zarówno pańskie interesy, jak i naszego kraju rozumieją lepiej od pana. Wdzięczność nie jest czczym słowem w ustach księcia; *experto crede*. Zdaje mi się, że wie pan coś niecoś o mnie i o moim klanie, o pożałowania godnym przykładzie i niesławnej śmierci mego ojca, nie mówiąc już o moich własnych przewinieniach. Otóż udało mi się z zacnym księciem ugodzić; wstawił się za mną

do naszego przyjaciela Prestongrange'a. I oto mam znowu nogę w strzemieniu, powierzono mi częściowo odpowiedzialność za ściganie i karanie wrogów króla Jerzego, a nawet, ostatnio, pomszczenie śmiałej i bezczelnej zniewagi Jego Królewskiej Mości – zabójstwa Colina Campbella.

– Zaszczytne to zaiste zadanie dla syna pańskiego ojca.

Podniósł swe cienkie brwi i spojrzął na mnie groźnie.

– Zdaje mi się – rzekł – że zdradza pan zamiłowanie do ironicznych aluzji. Jestem tutaj w charakterze urzędowym, aby spełnić w dobrej wierze mój obowiązek i daremnie pan usiłuje mnie od tego odwieść. Chciałbym zaznaczyć, że takiego jak pan ambitnego i roztropnego młodzieńca, poparcie księcia, na początku jego kariery, zaprowadzi dalej niż dziesięć lat pracowitych zabiegów. Takie poparcie może pan w każdej chwili uzyskać; proszę tylko wskazać drogę, na której pan pragnie protekcji, a książę będzie czuwał nad panem z troskliwością ojca.

– Nie mam w sobie na tyle uległości synowskiej.

– Czy pan sobie naprawdę wyobraża, że pozwolimy, aby cała polityka tego kraju potknęła się i wywróciła przez upór jednego krnąbrnego chłopaka? Tej sprawie nadano charakter probierczy i wszyscy, którzy pragną prosperować w przyszłości, muszą przyłożyć ręki do jej należytego rozwiązania. Czy pan myśli, że to dla mojej własnej przyjemności przyjmuję wysoce niepochlebłą rolę oskarżyciela człowieka, u którego boku stawałem z szablą w rękę? Lecz wybór nie do mnie należy.

– Biorąc udział w tej niecej rebelii sam pan się pozbawił możliwości wyboru. Ja natomiast jestem, na szczęście, w innym położeniu. Jako nieposzlakowany człowiek mogę śmiało patrzeć w oczy zarówno księciu, jak i królowi Jerzemu.

– Tak pan sądzi? Otóż jest pan w błędzie, i to najgorszego rodzaju. Prestongrange był dotychczas na tyle uprzejmy (mówił mi o tym), że nie negował pańskich oświadczeń, ale to nie znaczy, że traktujemy je bez bardzo daleko idących zastrzeżeń. Jestem niewinny – pan powiadasz. Fakty, łaskawy panie, stwierdzają coś wręcz przeciwnego.

– Tego właśnie się po panu spodziewałem.

– Zeznania Mungo Campbella, ucieczka po dokonany morderstwie, długotrwałe ukrywanie się... ależ mój chłopcze, to są dowody wystarczające dla powieszenia bawołu, a cóż dopiero Dawida Balfoura! Wezmę udział w rozprawie, zabiorę głos i będę przemawiał zgoła inaczej, niż to dzisiaj czynię, i chociaż rażą pana moje obecne słowa, to, co wówczas usłyszysz, jeszcze mniej ci przypadnie do gustu! Ha! Zbladłeś! Znalazłem drogę do twego wszech-tecznego serca! Bledniemy, panie Dawidzie! Oczy ci drgają! Widzisz grób i szubienicę bliżej, niż ci się zdawało!

– Ludzkiej ulegam słabości i za hańbę sobie tego nie poczytuję. Hańba...

– Hańba czeka cię na szubienicy! – przerwał mi Fraser.

– Gdzie pańskiemu ojcu równym się stanę!

– O nie! – wykrzyknął. – Pan jeszcze nie zna wszystkich aspektów swej sytuacji. Mój ojciec odpokutował za udział w wielkiej sprawie, za spiskowanie z królami i przeciwko nim. Pan zaś zawiśnie na szubienicy za podłe morderstwo. Pańska osobista w nim rola to zdradzieckie wciągnięcie do rozmowy nieszczęsnej ofiary, a pańscy współnicy to nędzni górale! Możemy dowieść, jaśnie wielmożny panie Balfour, i nie omieszkamy tego uczynić – proszę mi wierzyć, mnie, który maczałem w tym palce, że możemy dowieść i nie omieszkamy tego uczynić – iż otrzymał pan za to zapłatę. Widzę już wrazenie, jakie wywrze na sali sądowej ujawnienie przeze mnie, *ex officio*, że pan, nie byle kto, wykształcony młodzieniec, upadł tak nisko, iż zgodził się dokonać tego bezecnego czynu w zamian za używane ubranie, flaszkę góralskiej gorzały oraz trzy szylingi i pięć i pół pensa w miedziakach.

Te słowa zawierały nieco prawdy i spadły na mnie jak cios straszliwy; opuszczając Aucharn, Alan i ja zabraliśmy istotnie ze sobą, oprócz innych rzeczy, flaszkę whisky domowego

wyrobu oraz trzy szylingi i pięć i pół pensa w drobnej monecie. Zdałem więc sobie sprawę, że niektórzy ludzie Jamesa Stewarta musieli się wygadać w więzieniu.

– Jak pan widzi, wiem więcej, niż się panu zdawało – mówił dalej Fraser triumfującym tonem. – A jeśli już o to chodzi, nie myśl, wielmożny panie Balfour, że rządowi Wielkiej Brytanii i Irlandii zabraknie kiedykolwiek dowodów. Mamy tu w więzieniu ludzi, którzy dla ratowania życia gotowi są przysiąc wszystko, co im każemy. Co ja im każę, jeśli pan woli takie sformułowanie. Możesz więc pan sobie wyobrazić, w jakiej glorii zejdiesz z tego świata, o ile śmierć wybierzesz. Albo życie, wino, kobiety... i księżę Argyle, twój dobroczyńca... do twojej dyspozycji; albo konopny sznur na szyję i szubienica, na której grzechotać będą twoje wyschłe kości. A dla noszących to samo co pan nazwisko pozostanie po panu najsromotniejsza opowieść, jaką kiedykolwiek słyszano o wynajętym mordercy. Popatrz no tutaj! – zawołał donośnym, przeraźliwym dyszkantem. – Spójrz na ten papier, który wydobywam z kieszeni. Spójrz na to nazwisko! Zdaje mi się, że należy do butnego pana Dawida, a atrament wysechł zaledwie! Domyśla się pan jego treści? To rozkaz uwięzienia i wystarczy, abym dotknął ręką tego tutaj dzwonka, by został niezwłocznie wykonany. A gdy zgodnie z treścią tego dokumentu znajdziesz się w lochach więzienia, niech się Bóg nad tobą zlituje, kości bowiem będą rzucone!

Nigdy nie zaprzeczę, iż byłem do głębi wstrząśnięty taką infamią i przerażony bliskością i ohydą grożącego mi niebezpieczeństwa. Fraser naigrywał się ze zmiany barwy mego oblicza; myślę, że nie ustępowało w białości barwie mojej koszuli. A innego głosu jak drżący nie umiałem z siebie wydobyć.

– W tym pokoju jest dżentelmen! – zawołałem. – Do niego się odwołuję, w jego ręce składam moje życie i dobre imię!

Prestongrange zamknął z trzaskiem trzymaną w rękę książkę.

– A więc miałem rację, Simon – rzekł. – Wyłożyłeś wszystkie twoje karty i przegrałeś.– Po czym zwrócił się do mnie: Pragnę pana zapewnić, panie Dawidzie, że to nie za moją przyczyną zostałeś poddany tej próbie, i proszę mi wierzyć, cieszę się niezmiernie, że wyszedłeś z niej tak zwycięsko. Trudno ci jest zapewne zrozumieć, ale oddałeś mi przez to drobną przysługę. Gdyby bowiem nasz przyjaciel Fraser zdołał postawić na swoim – mnie się to zeszłej nocy nie udało – mogłoby się wydawać, że on jest lepszym ode mnie znawcą ludzi. Mogłoby się zatem również wydawać, że pan Simon Fraser i ja nieodpowiednie piastujemy stanowiska, a nasz przyjaciel jest człowiekiem ambitnym, wiem o tym. – Co mówiąc klepnął go lekko po ramieniu. – To przedstawienie dobiegło końca. Moje uczucia są szczerze po pańskiej stronie, panie Dawidzie, i jakiegokolwiek znajdziemy rozwiązanie dla tej nieszczęsnej sprawy, dołożę starań, aby życzliwie ciebie potraktowano.

Pokrzepiające to były słowa, a poza tym zdałem sobie sprawę, że stosunki łączące moich dwóch adwersarzy cechuje brak serdeczności, a może nawet pewna nieufność. Wszelako cała ta scena została wykoncypowana, a może przygotowana, za ich obopólną zgodą. Obaj – to było jasne – usiłowali mnie zmusić do uległości wszelkimi metodami, a skoro zawiodły perswazje, pochlebstwa i pogroźki, należało się zastanowić nad tym, do jakich następnie uciekną się sposobów. Pod wpływem przeżytej przed chwilą udręki oczy miałem nadal zamglone i kolana drżały pode mną, zdołałem więc tylko wyjąkać raz jeszcze: – W ręce Waszej Wielmożności składam moje życie i dobre imię.

– Dobrze, dobrze – odrzekł lord prokurator. – Postaramy się jakoś je uratować. A tymczasem powróćmy do łagodniejszych metod. Tego, co zaszło, proszę nie brać za złe naszemu przyjacielowi Fraserowi, gdyż zastosował się tylko do otrzymanych instrukcji. A jeśli nawet odczuwa pan pewien żal względem mojej osoby, nie chciałbym, aby ucierpieli na tym niewinni członkowie mojej rodziny. Zależy mi bardzo na częstszym widywaniu pana, a nie mogę narazić moich młodych dziewcząt na rozczarowanie. Pojadą jutro do Hope Park i uważam za stosowne, abyś im tam złożył uszanowanie. Proszę przedtem zgłosić się do mnie, będę może



miął panu coś poufnego do powiedzenia, po czym odzyskasz pan wolność pod opieką moich dziewcząt. A do tego czasu proszę mi powtórnie przyrzec utrzymanie tajemnicy.

Lepiej bym uczynił odmawiając natychmiast, lecz prawdę rzekłszy, nie byłem już w stanie rozumować. Zastosowałem się więc do tego żądania; pożegnałem się, sam już nie wiem jak, a gdy znalazłem się znowu na ulicy i drzwi zamknęły się za mną, oparłem się z ulgą o mur i przetarłem sobie twarz.

Postać Simona Frasera stała mi wciąż przed oczyma jak okropna zmora (wolno mi chyba użyć tego określenia) i nie mogłem się jej pozbyć, podobnie jak nagły hałas, chociaż już ustał, długo jeszcze dźwięczy nam w uszach. Czytane niegdyś przeze mnie i słyszane opowieści o ojcu tego człowieka, o jego przewrotności, o różnych nieodmiennie zdradzieckich wyczynach, powracały mi na myśl i łączyły się z tym, co sam doświadczyłem przed chwilą. A ilekroć przypominałem sobie o nich, pomysłowa nikczemność kalumnii, jaką jego syn zamierzał obarczyć moją reputację, nowe we mnie budziła wzburzenie. Los wisielca, którego zwłoki widziałem na szubienicy koło drogi Leith Walk, nie różnił się prawie od tego, jaki mi groził. Obrabowanie dziecka z paru groszy było zaiste haniebnym czynem dla dwóch dorosłych mężczyzn; ale moje własne postępowanie, takie jakim je chciał przedstawić w sądzie Fraser, zaledwie mu ustępowało pod względem podłości i ohydy.

Głosy stojących za progiem dwóch odzianych w liberię lokajów lorda prokuratora przywróciły mi przytomność umysłu.

– Zanieś to pismo do kapitana, jak tylko możesz najprędzej – mówi jeden.

– Czy to znowu po tego zbója?

– Tak by się wydawało. On i Simon chcą go znowu widzieć.

– Prestongrange chyba zbzikował. Wkrótce będzie sypiać z Jamesem More'em w jednym łóżku.

– Ha, to ani twoja, ani moja sprawa.

Rozstali się; jeden poszedł spełnić otrzymane zlecenie, drugi zaś powrócił do domu. A więc sprawa zapowiadała się jak najgorzej! Zaledwie ich opuściłem, a już posłali po Jamesa More'a, a jego to zapewne miał na myśli Fraser, mówiąc o więźniach gotowych na wszystko, byle uratować życie. Czulem, jak skóra mi cierpnie, i krew we mnie zawrzała na myśl o Katrionie.

Biedne dziewczę! Jej ojcu groził stryczek za niezasługujące na wyrozumiałość przestępstwo. Jeszcze bardziej gorzki posmak nadawało całej tej sprawie to, że zdawał się zgadzać na ocalenie własnej skóry, za cenę najhaniebniejszej, najbezpieczniejszej zbrodni – zbrodni krzywoprzysięstwa. A dla dopełnienia miary naszej niedoli ja sam miałem być jej ofiarą.

Ruszyłem szybko przed siebie, bez celu, gnany pragnieniem ruchu, wolnego powietrza i otwartych wiejskich przestrzeni.

## VII. PLAMA NA MOIM HONORZE

Doszedłem, dalibóg sam nie wiem jak, do Lang Dykes, wiejskiego gościńca biegnącego na północ od miasta. Widziałem ciągnącą się za mną, od miejsca, w którym, na stromo opadającej górze, zamek edynburski wznosi się nad zatoką, ciemną linię domostw, najeżoną kościelnymi wieżycami, ozdobnymi szczytami dachów oraz dymiącymi kominami, i czułem, jak serce ciąży mi w piersiach nieznośnie. Młodości mojej – jak już wspomniałem – nieobce były przeróżne niebezpieczeństwa i przygody, lecz te, którym patrzyłem w oczy tego poranka, w środku cywilizowanego, zdawałoby się, miasta, budziły we mnie przerażenie, jakiego nigdy przedtem nie zaznałem. Grozie pracy niewolniczej, grozie tonącego statku, grozie szabli lub kuli potrafiłem godnie się przeciwstawić, lecz groza zawarta w ostrym głosie i tłustej twarzy Simona Frasera, a właściwie lorda Lovata, przytłaczała mnie całkowicie.

Usiadłem nad jeziorem, w miejscu, gdzie szuwały opadały ku samej wodzie, zanurzyłem w niej rękę i zwilżyłem skronie. Gdybym mógł wycofać się z tego nieopatrzniego przedsięwzięcia, nie tracąc zupełnie poczucia godności własnej, byłbym to uczynił; zdecydowałem jednakże (nazwijcie to odwagą lub tchórzostwem, sądzą, że uległem obu tym pobudkom), iż zaszedłszy tak daleko, nie mam już odwrotu. Stawiłem czoło tym ludziom i muszę dalej w tym wytrwać. Cokolwiek mnie czeka, będę obstawał przy danym słowie.

Świadomość tej konsekwentnej postawy podniosła mnie cokolwiek na duchu... ale niewiele. Pomimo wszystko czułem chłodną pustkę w sercu, a życie zdawało mi się mroczną otchłanią ziejącą u moich stóp. Litowałem się zwłaszcza nad dwoma istotami: nad sobą samym, zagubionym wśród tylu zasadzek, pozbawionym przyjaciół, i nad tą dziewczyną, córką Jamesa More'a. Nie znałem jej prawie, a jednak wiedziałem, co o niej myśleć i jak należy ją cenić. Uważałem ją za dziewczynę o nieskalanym, godnym mężczyzny honorze, za taką, która wolałaby śmierć niż hańbę. A jednocześnie byłem pewny, że w tej właśnie chwili jej ojciec frymarczył swym podłym życiem w zamian za moje. Tworzyło to w myślach moich nową więź pomiędzy mną a Katrioną. Chociaż podobała mi się ogromnie, widziałem ją przedtem raz tylko, i to przypadkiem. I nagle zdałem sobie sprawę, że jest w inny jeszcze sposób ze mną związana jako córka mego śmiertelnego wroga, a mógłbym nawet rzec – mego mordercy. Jakże smętna jest moja dola – myślałem sobie – prześladują mnie i dręczą za cudze sprawy czy winy i nie wolno mi się życiem nacieszyć. Miłe mi są łóżko i posiłek, lecz wtedy tylko, gdy moje zmartwienia pozwalają mi na to. Poza tym moje bogactwa nie służą mi na nic. Jeśli mają mnie powiesić, dni moje są policzone; a jeśli miałbym uniknąć stryczka i wyjść obronną ręką ze wszystkich kłopotów, sporo wody upłynie do tego czasu.

Nagle twarz jej stanęła mi przed oczyma; miała rozchylone wargi tak samo jak wtedy, gdy ujrzałem ją po raz pierwszy; słabość ogarnęła mi serce i moc spłynęła mi w nogi. Zerwałem się i ruszyłem rezolutnie drogą prowadzącą do Dean. Skoro miałem zawisnąć jutro na szubienicy, a należało przypuszczać, że już noc najbliższą spędzę w więzieniu, postanowiłem raz jeszcze zobaczyć się i rozmówić z Katrioną.

Rzeński wysiłek marszu i myśl o celu mojej wędrówki dodały mi jeszcze wigoru, tak że zacząłem nabierać czegoś w rodzaju pewności siebie. W wiosce Dean, położonej w dolinie,

koło rzeki, zapytałem o dalszą drogę młynarczyka, który skierował mnie wygodną ścieżką w górę zbocza, i tak doszedłem do małego schludnego domku, stojącego w ogrodzie wśród trawników i jabłoni. Serce mi biło zgoła niezwyczajnie, gdy wchodziłem do ogrodu, ale całkiem zamarło we mnie, gdy stanąłem oko w oko z groźną i leciwą lady, przechadzającą się tam w białej chustce na głowie, na której czubku przywiązany był męski kapelus.

– Co pana tutaj sprowadza? – zapytała.

Powiedziałem jej, że pragnę się widzieć z panną Drummond.

– A cóż pan ma do panny Drummond?

Powiedziałem jej, że spotkałem ją w ostatnią sobotę i tak się szczęśliwie dla mnie złożyło, iż oddałem jej drobną przysługę, a przychodzę na jej zaproszenie.

– Aha! To pan jest Sześć Pensów? – zawołała wyraźnie drwiącym tonem. – Hojny dar, nie ma co mówić, godny dżentelmena. A czy ma pan jakieś inne nazwisko lub zawołanie, czy też ochrztili pana imieniem Sześć Pensów?

Powiedziałem jej swoje nazwisko.

– Wielki Boże! Czyżby Ebenezer miał syna?

– Nie, pani – odrzekłem. – Jestem synem Aleksandra i to ja jestem dziedzicem Shaws.

– Niełatwo panu przyjdzie tego dowieść.

– Z czego wynika, że zna pani dobrze mego stryja; ucieszy więc panią chyba wiadomość, że ta sprawa jest pomyślnie dla mnie załatwiona.

– A czegoż pan sobie życzy od panny Drummond?

– Przyszedłem po moje sześć pensów, a skoro jestem bratankiem mego stryja, taka zapobiegliwość nie powinna nikogo dziwić.

– Więc ma pan w sobie odrobinę sprytu? – rzekła stara lady nie bez pewnej satysfakcji. – Myślałam, że pańskie sześć pensów i „szczęśliwy dzień”, i „ze względu na Balquhiddel” to tylko takie sobie gruchanie. – Z czego wywnioskowałem z radością, że Katriona nie zapomniała naszej rozmowy. – Ale to wszystko nie ma nic do rzeczy – mówiła dalej – czy mam rozumieć, że przybywa pan tutaj w konkury?

– Przedwczesne to jest chyba pytanie – odpowiedziałem. – Panna jest młoda, a co gorzej... ja również. Nie zaprzeczę – dodałem decydując się zażyć ją na szczerą – że sporo o niej myślałem od czasu pierwszego z nią spotkania. Ale to, o czym pani mówi, to całkiem inna sprawa i sądzę, że za głupca można by mnie poczytywać, gdybym się wiążąco wypowiedział.

– Gracko się pan umie wystawiać, ale i ja mam, dzięki Bogu, obrotny język w gębie! Byłam na tyle głupia, by podjąć się opieki nad córką tego nicponia; nie lada to jest obowiązek, ale na mnie spoczywa i spełnię go, jak uważam za stosowne. Czy chce pan powiedzieć, panie Balfour z Shaws, że byłby pan gotów ożenić się z córką Jamesa More'a, córką skazanego na szubienicę? A zatem skoro mowy być nie może o małżeństwie, nie pozwolę na żadne zaloty i basta! Dziewczyny to zwodne stworzenia – dodała kiwając głową – i chociaż patrząc na mój pomarszczony podbródek nigdy by pan mnie o to nie posądził, byłam i ja niegdyś młodą dziewczyną, i to wcale gładką!

– Lady Allardyce – odrzekłem – tym bowiem nazwiskiem, o ile mi wiadomo, należy panią tytułować; zdaje mi się, że przemawia pani w imieniu obu stron, co jest kiepską metodą osiągnięcia porozumienia. Mało tego, dobija mnie pani pytaniem, czy byłbym skłonny poślubić, u stóp szubienicy, młodą lady, którą raz tylko widziałem. Powiedziałem już pani, że nieopatrzonym okazałbym się człowiekiem, gdybym się do czegokolwiek w tej materii zobowiązał. Lecz jeśli, jak się mam powody tego spodziewać, moje uczucia dla tej młodej panienki nie ulegną zmianie, znacznie silniejszych niż jej ojciec czy szubienica, trzeba by użyć argumentów, by nas rozdzielić. A jeśli chodzi o moją rodzinę, znalazłem ją przy drodze jak porzucone niemowlę. Stryjowi memu winienem mniej niż nic i jeśli się kiedykolwiek ożenię, to tylko, by jednej osobie dogodzić – mnie samemu.

– Słyszałam już takie gadanie, zanim się pan urodził, i może dlatego tak małą wagę mu przypisuję. Niejedno należałoby rozważyć. James More jest moim krewnym, na moją hańbę i utrapienie. Ale im lepsza rodzina, tym więcej w niej mężczyzn powieszonych lub ściętych, tak to już zawsze w naszej nieszczęsnej Szkocji bywało. A gdybyż to tylko o szubienicę chodziło! Co do mnie, ucieszyłabym się najbardziej, gdyby go powiesili, raz przynajmniej mielibyśmy z nim spokój. Katriona jest zacną dziewczyną, serce ma z gruntu poczciwe, znosi cierpliwie od rana do nocy gderanie takiej jak ja starej zrzędy. Ale sęk w tym, że ona uwielbia swego ojca, tego długonogiego hołysza, szachraja i łgarza, a już zupełnie traci głowę, gdy chodzi o klan Macgregorów, proskrybowane nazwiska, króla Jakuba i inne takie faramuszki. Może się panu wydaje, że potrafiśz nią przewodzić, ale sam się przekonasz, jak bardzo jesteś w błędzie. Powiadasz pan, że raz ją tylko widziałeś...

– Raz tylko z nią rozmawiałem, tak się właściwie powinienem był wyrazić. Widziałem ją znowu dziś rano z okna lorda prokuratora Prestongrange'a.

Wspomniałem o tym, przyznaję, chcąc się wywyżżyć w jej oczach, lecz rychło pożałowałem tej przechwałki.

– Co to ma znaczyć? – wykrzyknęła nagle stara lady, przybierając surowy wyraz twarzy. – Zdawało mi się, że spotkał ją pan po raz pierwszy przed drzwiami lorda prokuratora.

Odpowiedziałem potakująco.

– Hm... – mruknęła i po chwili rzekła raczej opryskliwym głosem: – No to kim pan jest i co z pana za człowiek? Nie mam żadnej rękojmi, jak tylko pańskie słowo. Powiada pan: jestem Balfour z Shaws, ale kto wie, czy nie mam przed sobą Balfoura z diabelskiej poręki. Możliwe, iż przybył pan tutaj w takim, jak pan powiada zamiarze, ale jest równie możliwe, iż przybył pan tutaj diabli wiedzą po co. Jestem na tyle dobrą stronnyczką wigów, aby się do niczego nie wtrącać i utrzymać głowy na ramionach moich mężczyzn. Ale nie jestem aż tak dobrą, aby dać się otumanić któremukolwiek z nich. Powiadam panu otwarcie, za wiele tego kręcenia się u drzwi lorda prokuratora, w oknach lorda prokuratora, jak na kogoś, kto przychodzi uderzać w koperczaki do córki Macgregorów! Może pan to powiedzieć Jego Wielmożności i załączyć serdeczne ukłony ode mnie. A panu, panie Balfour, posyłam całusa – co mówiąc wykonała odpowiedni gest dłonią – i życzę szczęśliwej drogi z powrotem tam, skąd pan przyszedł!

– Jeśli pani myśli, że jestem szpiegiem... – dalsze słowa uwięzły mi w gardle. Stałem przez chwilę spoglądając morderczym wzrokiem na starą lady, po czym skłoniłem się i ruszyłem ku wyjściu.

– Ha! – wykrzyknęła. – To ci niewiniątko! Czy myślę, że jesteś szpiegiem? A cóż mam myśleć, skoro pana nie znam? Ale widzę, że cię skrzywdziłam, a skoro nie mogę innej ci dać satysfakcji, należą ci się przeprosiny. Pocieszna byłaby ze mnie postać z szablą w rękę! Wydajesz się być, po swojemu, dosyć porządnym chłopcem i mam nadzieję, że stać cię na jakieś bardziej godne wady. Ale, do kaduka, panie Dawidzie, zbyt jeszcze trącisz wiejskim prostactwem. Trzeba się tego pozbyć, mój chłopcze, nauczyć się większej giętkości w krzyżach oraz myśleć nieco mniej górnio o swej dostojnej osobie. Spróbuj się również przekonać, że kobieta to nie grenadier. Ale do tego nigdy nie dojdzie; do końca twoich dni będziesz wiedział o kobietach niewiele więcej niż ja o stanowieniu trzody!

Nigdy nie słyszałem tego rodzaju wyrazów z ust lady, jedyne bowiem kobiety, jakie znałem – pani Campbell i moja matka – należały do bardzo pobożnych i oględnych. Zdumienie musiało się odmalować na moim obliczu, gdyż pani Ogilvy wybuchnęła nagle głośnym śmiechem.

– Olaboga! – zawołała usiłując opanować wesołość. – Z taką twarzą głuptaka, chcesz się żenić z córką góralskiego watażki! Davie, mój drogi, musimy was skojarzyć choćby po to tylko, aby się przekonać, jakie z tego wyniknie potomstwo. A teraz umykaj stąd, nie masz po co tutaj mitrzyć. Młodej niewiasty nie ma w domu, a obawiam się, że towarzystwo starej

obmierzło już synowi twego ojca. A ponadto muszę czuwać nad moją reputacją; już dosyć długo przebywam sam na sam z czarującym młodzianem! – Gdy już wychodziłem, zawołała za mną: – Przyjdź innym razem po swoje sześć pensów!

Utarczka z tą wojowniczą matroną natchnęła moje myśli nieznaną mi dotychczas śmiałością. Od dwóch dni obraz Katriony towarzyszył stale wszystkim moim medytacjom; stał się do tego stopnia ich tłem, że czując jej obecność w jakimś zakątku mej duszy, nie wiedziałem już, co znaczy być samotnym. Lecz teraz stała mi się jeszcze bliższa; zdawało mi się, że jej dotykam, ja, który raz tylko dotknąłem jej dłoni. Uległem całkowicie tej błogiej słabości i gdziekolwiek rzuciłem okiem, widziałem świat dokoła jako posępną pustynię, gdzie ludzie kroczą jak żołnierze w ordynku i spełniają swój obowiązek z całą nieugiętością, na jaką ich stać, a jedna tylko Katriona rozjaśnia moje tam bytowanie. Dziwiłem się sam sobie, iż mogłem się oddawać takim refleksjom, w czasie gdy groziło mi śmiertelne niebezpieczeństwo i hańba. A gdy wspomniałem mój wiek młody, wstyd mnie ogarnął. Wszak czekały mnie jeszcze lata nauki i jakieś pożyteczne zadania; należało pamiętać o służbie dla ojczyzny, co jest obowiązkiem każdego jej syna; a wreszcie pozostawało mi stać się mężczyzną i umieć tego dowieść. Miałem jednak tyle rozsądku, by czerwienić się ze wstydu, iż już odczuwam pokusę odległych rozkoszy i bardziej nęcących obowiązków. Moje wychowanie strofowało mnie ostro; w naszym rodzinnym domu nie karmiono mnie słodyczami, lecz prostą strawą prawdy. Wiedziałem, że nie nadaje się zupełnie na męża ten, kto nie dorósł do roli ojca. A dla takiego jak ja chłopca bawić się w ojcostwo zakrawałoby na farsę.

W takich to pogrążony rozmyślaniach uszedłem pół drogi do miasta, gdy dostrzegłem pewną postać idącą mi na spotkanie; dręczący moje serce niepokój wzmógł się jeszcze. Zdawałoby się, że nieskończoną ilość rzeczy mam jej do powiedzenia, lecz nie było słowa, od którego mógłbym zacząć. A pamiętając, jak niemrawo posługiwałem się językiem tego ranka u lorda prokuratora, byłem pewien, że stanąwszy przed nią, zaniemówię doszczętnie. Lecz gdy się zbliżyła, pierzchły te obawy. Nawet świadomość tego, o czym przed chwilą rozmyślałem, nie stropiła mnie w najmniejszej mierze, i okazało się, że rozmowa z nią przychodzi mi równie łatwo, jakbym miał do czynienia z Alanem.

– Ach – zawołała. – Przyszedł pan po swoje sześć pensów, czy je pan otrzymał?

– Nie – odrzekłem – ale skoro panią spotykam, moja wycieczka nie jest daremna. Aczkolwiek – dodałem – widziałem panią już dzisiaj. – I opowiedziałem jej gdzie i kiedy.

– Nie widziałam pana; oczy mam duże, lecz niezbyt dobrze widzę z daleka. Słyszałam tylko śpiew wewnątrz domu.

– To śpiewała panna Grant, najstarsza i najładniejsza z sióstr.

– Powiadają, że wszystkie trzy są piękne.

– One są tego samego zdania o pani i rzuciły się do okna, by na panią spojrzeć.

– Szkoda, że mam wzrok tak krótki, mogłabym je również zobaczyć. Pan bawił wówczas w tym domu? Musiał pan tam miło czas spędzić, słuchając pięknej muzyki u boku przystojnych kobiet.

– Otóż właśnie, że pani się myli; czułem się tam nieswojo, jak ryba morska na stokach gór. Prawdę rzekłszy, nadaję się bardziej do kompanii nieokrzesanych mężczyzn niż przystojnych kobiet.

– I mnie się tak wydaje – odrzekła i roześmieliśmy się głośno oboje.

– Zdziwiający to jest zjawisko – mówiłem dalej – iż nie czuję przed panią najmniejszej obawy, podczas gdy zmykałbym chętnie przed pannami Grant. A i pani kuzynki boję się również.

– Nie ma takiego mężczyzny, który by się jej nie bał. Nawet mój ojciec jej się boi.

Na wspomnienie ojca rozmowa się urwała. Spojrzałem na nią idącą przy mnie i przypomniałem sobie tego człowieka – jak mało o nim wiedziałem i jak wiele się domyślałem. Porównując go z córką, czułem, że milcząc postąpiłbym zdradziecko.

– Skoro już o nim mowa... spotkałem pani ojca nie dalej jak dziś rano.  
– Doprawdy? – zawołała, a radość brzmiąca w jej głosie zdawała się drwić ze mnie. – Widział pan Jamesa More'a? Rozmawiał pan z nim może?  
– Owszem, rozmawiałem z nim.

Po czym sprawy przybrały dla mnie jak najgorszy obrót. Spojrzała na mnie z wdzięcznością: – Dziękuję panu za to.

– Nie ma mi za co dziękować – odpowiedziałem i zamilkłem. Zdawało mi się jednak, że skoro tak wiele musiałem przed nią zataić, coś niecoś należałoby ujawnić. – Rozmawiałem z nim raczej nieuprzejmie. Nie bardzo mi przypadł do gustu. Rozmawiałem z nim nieuprzejmie i rozgniewał się na mnie.

– W takim razie nie ma pan po co przestawać z jego córką ani tym bardziej mówić jej o tym, tych bowiem, co mego ojca nie kochają i nie cenią, znać nie chcę!

– Pozwolę sobie jednak dorzucić słów parę – odrzekłem, czując ogarniające mnie drżenie. – Zarówno ojciec pani, jak i ja nie byliśmy może w najlepszym nastroju u Prestongrange'a. Przeżyliśmy tam obaj ciężkie chwile, gdyż niebezpieczny to jest dom. Pożałowałem go i pierwszy przemówiłem do niego, szkoda tylko, że nie powiedziałem nic mądrzejszego. A zresztą, moim zdaniem, wkrótce się pani przekona, że jego sprawy idą ku lepszemu.

– Jeśli tak, to na pewno nie dzięki pańskiej przyjaźni; a ojciec mój wdzięczny panu będzie za okazanie mu współczucia.

– Miss Drummond! – wykrzyknąłem. – Jestem sam na świecie...

– Czemu się wcale nie dziwuję.

– O pani, pozwól mi mówić, raz jeden tylko, a potem, jeśli taka jest twoja wola, odejdę na zawsze. Przyszedłem dzisiaj łaknący dobrego słowa, z nadzieją, że mi go nie poskapisz. Zdaję sobie sprawę, że moje słowa musiały panią zabołec i z góry o tym wiedziałem. Z łatwością by mi przyszło mówić gładko i przymilnie, łatwo by mi przyszło kłamać. Czyż nie możesz zrozumieć, dlaczego nie uległem tej pokusie? Czyż nie dostrzegasz prawdy gorejącej w mym sercu?

– Coś mi się widzi, że zbyt pochopnie pan sobie poczyna, panie Balfour. Raz tylko się spotkaliśmy i winniśmy się rozstać, jak na szlachetnie urodzonych przystało.

– Ach, czemuż nikt nie chce na mnie polegać! – mówiłem błagalnie. – Nie mogę tego znieść. Cały świat sprzysiągł się przeciwko mnie. Jakże mam stawić czoło memu straszemu przeznaczeniu? Jeśli nikt memu słowu nie zawierzy, nie mogę tego uczynić. Ten człowiek musi umrzeć, albowiem nie mogę tego uczynić.

Katriona szła przy mnie z podniesioną głową, patrząc wprost przed siebie. Słyszając moje słowa, przejęta tonem mego głosu, zatrzymała się nagle. – Co to ma znaczyć? – zapytała. – O czym pan mówi?

– Moje zeznania mogą uratować życie niewinnego człowieka, ale oni nie chcą na to pozwolić. A pani jak postąpiłaby na moim miejscu? Pani, której ojcu podobna śmierć zagraża, wie, co to znaczy. Czy opuściłaby pani nieszczęśnika? Próbowali mnie zwieść na wszystkie sposoby; usiłowali mnie przekupić, obiecywali złote góry. A dzisiaj ten ogar sądowy powiedział mi, co mnie czeka, co gotów uczynić, aby mnie zgładzić i pohańbić. Zrobią ze mnie współnika mordercy, przedstawią jako tego, który w zamian za pieniądze i starą odzież wciągnął w rozmowę Campbella z Glenure; chcą mnie zabić, a imię moje wieczystą okryć infamią. Jeśli tak mam życie zakończyć, zaledwie osiągnąwszy wiek męski, jeśli takie po całej Szkocji krążyć będą o mnie wieści, w które i ty może uwierzysz, a imię moje ma stać się przysłowiem dla wszelkiej nieprawości... Katriono, jakże mam zdobyć się na to? To niemożliwe, to przekracza hart każdego męskiego serca.

Słowa te płynęły mi z ust wartkim potokiem, a gdy zamilkłem, spojrzałem na Katrionę i napotkałem jej oczy wpatrujące się we mnie ze zdumieniem.

– Glenure! Morderstwo w Appin – rzekła cicho, lecz ton jej głosu zdradzał, jak bardzo ją zaskoczyło moje wyznanie.

Zawróciłem był, aby dotrzymać jej towarzystwa, i tak idąc razem znaleźliśmy się w pobliżu pagórków okalających wioskę Dean. Usłyszawszy ostatnie jej słowo, wzdrygnąłem się gwałtownie i zastąpiłem jej drogę.

– Na Boga! – wykrzyknąłem. – Na Boga! Cóżem uczynił? – i podniosłem obie pięści ku skroniom. – Co się ze mną dzieje? Muszę być opętany, że o tym mówię!

– Na litość boską! – zawołała. – A cóż teraz pana trapi?

– Zaręczyłem honorem – wyjęczałem – zaręczyłem honorem i złamałem słowo!

– O co chodzi? Czy nie wolno panu o tym mówić? A więc pan sądzi, że ja jestem pozbawiona honoru? Lub że potrafię zdradzić przyjaciela? Oto podnoszę prawą dłoń i przysięgam.

– O, wiedziałem, że pani można zaufać. Ale ja... ja, który jeszcze dziś rano nie ugiąłem się przed nimi, który wołałem raczej śmierć na szubienicy, niż się złym czynem pokalać... a oto w parę godzin później tracę mój honor w towarzyskiej rozmowie, przy drodze. „Jedno tylko – powiedział – wynika jasno z naszej rozmowy, a mianowicie, że mogę polegać na twoim słowie”. Gdzież teraz jest moje słowo? Któż mi teraz uwierzy? Pani nie chciała mi wierzyć. To ostateczny dla mnie upadek, lepiej mi umrzeć! – Wypowiedziałem te słowa płaczącym głosem, lecz żadna łza nie zrosiła mi powiek.

– Współczuję panu całym sercem, ale doprawdy zbyt wielki z pana skrupulant. Powiada pan, że nie będę ci wierzyć. Otóż gotowam panu we wszystkim zaufać. A ci ludzie? Mniejsza o nich! Ludzie, którzy zabiegają o to, aby pana omamić i dybią na pańskie życie. Teraz nie pora się kajać! W górę czoło! Azaliż nie będę pana podziwiał jako bohatera dobrej sprawy, chociaż niewiele ode mnie starszego chłopca? A że powiedział pan o słówko za dużo do ucha przyjaciela, który wolałby umrzeć, niż pana zdradzić... nie ma nad czym tak lamentować! Musimy oboje o tym zapomnieć.

– Katriono – rzekłem patrząc jej w oczy potulnie – czy prawdę powiadasz? Czy będziesz mi jeszcze ufać?

– Czyż pan nie wierzy nawet łzom na mojej twarzy? – zawołała w uniesieniu. – Pan Dawid Balfour może być pewny mego dlań uwielbienia. A gdyby pana nawet powiesili, nigdy o panu nie zapomnę, starości się doczekam, a jeszcze o panu będę pamiętać. Taka śmierć to zaszczyt! Pozazdroszczę panu takiej szubienicy!

– A może niepotrzebnie się troskam? Jak dziecko, które się boi upiórów? Może oni tylko drwili sobie ze mnie?

– To właśnie muszę wiedzieć. Muszę o wszystkim usłyszeć. W każdym razie już się pan wygadał, muszę więc wiedzieć o wszystkim.

Usiadłem w rowie przydrożnym. Katriona usadowiła się przy mnie i opowiedziałem jej wszystko, tak mniej więcej, jak to opisałem, pomijając tylko moje domysły co do poczynań jej ojca.

– Oczywiście – rzekła wysłuchawszy mnie – jest pan bohaterem, a nigdy bym się tego po panu nie spodziewała! Jak również sądzę, że wielkie grozi panu niebezpieczeństwo. Cóż to za łotr ten Simon Fraser! W zamian za życie i garść srebników w takich brać udział przetargach!

Wówczas to wykrzyknęła dziwaczne słowo, którym lubiła się posługiwać, i należące, jak mi się wydaje, do jej własnego języka.

– Udręko moja! Spójrz na słońce!

Istotnie zniknęło już za górami.

Prosiła mnie, bym ją wkrótce znowu odwiedził, podała mi rękę na pożegnanie i pozostawiła mnie oszołomionego z radości.

W obawie przed niezwłocznym uwięzieniem zwlekałem z powrotem do swojej kwatery; zjadłszy więc kolację w gospodzie, włożyłem się znaczną część nocy wśród jęczmiennych pól, tak przejęty poczuciem obecności Katriony, że zdawało mi się, iż ją trzymam w ramionach.

## VIII. NAJEMNY ZABÓJCA

Nazajutrz, 29 sierpnia, zgłosiłem się, zgodnie z jego poleceniem, do lorda prokuratora, ubrany w nowy surdut uszyty na miarę i tegoż właśnie dnia wykończony.

– Ha – rzekł Prestongrange – wspaniale pan się dzisiaj prezentuje, moje panny będą miały wytwornego kawalera. Bardzo ci się to chwali, panie Dawidzie. Wszystko się jeszcze doskonale ułoży i zdaje mi się, że zbliża się koniec pańskich zmartwień.

– Czy Wasza Wielmożność ma jakie wiadomości dla mnie?

– Nadspodziewanie dobre. Pańskie zeznania zostaną jednak przyjęte. I jeśli to panu dogadza, może się pan udać w moim towarzystwie do Inverary, gdzie we czwartek, dwudziestego pierwszego następnego miesiąca, odbędzie się proces.

Zbyt byłem zdumiony, aby się zdobyć na odpowiedź.

– Tymczasem – ciągnął dalej – aczkolwiek nie żądam ponowienia obietnicy, muszę nalegać na ścisłą z pańskiej strony oględność w słowach. Jutro pan złoży swe zeznania, ale poza tym uważam, że im mniej będzie się o tym mówić, tym lepiej dla pana.

– Nie omieszkam zachować dyskrecji – odpowiedziałem. – Sądzę również, że nie komu innemu, jak Waszej Wielmożności winienem wdzięczność za to tak dla mnie szczęśliwe rozwiązanie. Po tym, co tu wczoraj słyszałem, taka wiadomość otwiera mi wrota niebios i trudno mi wprost w nią uwierzyć.

– Ależ musi się pan postarać w nią uwierzyć, stanowczo musi się pan o to postarać – mówił tonem łagodnej perswazji. – Miło mi jest usłyszeć, że czuje się pan obligowany, gdyż zdaje mi się, że już wkrótce będziesz mógł mi się odwdziżyć... – tu chrząknął znacząco – a kto wie, może nawet już teraz. Sytuacja się zmieniła. Pańskie zeznania, którymi nie chcę dzisiaj panu głowy zaprzętać, nadadzą niewątpliwie inny aspekt tej całej sprawie, przez co zmieni się stosunek do niej wszystkich zainteresowanych, a to z kolei ułatwi mi porozmawianie z panem o ubocznym problemie.

– Pozwalam sobie przerwać Waszej Wielmożności, co mi proszę wybaczyć, ale jak się to stało? Przeszkody, o których pan wspominał w sobotę, zdawały się, nawet mnie, nie do przezwyciężenia. Jak doszło do ich usunięcia?

– Drogi panie Dawidzie, nawet mnie (jak pan to powiedział) nie przystoi ujawniać treści narad rządu, musi się pan zadowolić przyjęciem tylko faktu do wiadomości.

Uśmiechał się do mnie po ojcowsku i bawił świeżo zatemperowanym piórem. Patrząc nań nie przypuszczałem, że może być choćby cień obłudy w tym człowieku. Jednakże gdy wydo był arkusz papieru, zanurzył pióro w atramencie i zwrócił się do mnie, przestałem być tego aż tak pewny i powróciłem instynktownie do czujnej postawy.

– Chciałbym poruszyć pewien szczegół – mówił Prestongrange. – Celowo pozostawiłem go na boku, lecz teraz możemy do niego powrócić. To nie jest oczywiście część pańskiego przesłuchania, zajmie się tym kto inny. Ta sprawa osobiście mnie interesuje. Pan powiada, że spotkał pan Alana w górach?

– Tak jest.

– Natychmiast po morderstwie?



- Tak jest.
- Czy rozmawiał pan z nim?
- Owszem.
- Znał go pan chyba przedtem? – pytał jakby od niechcienia Prestongrange.
- Nie wiem, jak Wasza Wielmożność doszedł do tego wniosku, ale jest zgodny z prawdą.
- Kiedy się pan z nim rozstał?
- Rezerwuję na to odpowiedź. To pytanie postawią mi podczas procesu.

– Panie Balfour, czy pan nie rozumie, że nie chodzi mi o to, aby pana obciążyć? Obiecałem panu uratować jego życie i honor i, proszę mi wierzyć, stać mnie na dotrzymanie słowa. Może pan być spokojny. Z pańskich wypowiedzi wynika, że chroni pan Alana, a przy tym deklaruje pan swoją dla mnie wdzięczność, na którą, zdaje mi się, zasłużyłem (skoro pan mnie zmusza do powiedzenia tego). Jesteśmy w posiadaniu wielu różnych informacji, a wszystkie wskazują na to samo; nikt mnie nie przekona, że nie mógłby pan (o ile pan zechce) dopomóc nam zastawić pułapkę na Alana.

– Daję słowo Waszej Wielmożności, że nie domyślam się nawet, gdzie się Alan obecnie znajduje.

Po krótkiej chwili lord prokurator zapytał: – Nie wie pan również, jak można by go odnaleźć?

Siedziałem przed nim milczący jak głaz.

– Tak to więc okazuje mi pan wdzięczność, panie Dawidzie! – zaczął, po czym znów nastąpiła chwila ciszy. – Ha, cóż – rzekł powstając – nie mam szczęścia do pana, nie możemy się dogadać. Nie mówmy już o tym więcej. Zostanie pan zawiadomiony, gdzie i kiedy oraz przed kim ma pan złożyć zeznania. A tymczasem moje panny na pewno już pana wyczekują i nie wybaczą mi dłuższego przetrzymywania ich kawalera.

I nie zwlekając lord prokurator oddał mnie na pastwę trzem Gracjom, które zastałem wystrójone ponad wszelkie wyobrażenie i promieniejące urodą niczym wiązanek kwiatów.

Gdy opuszczaliśmy dom Prestongrange’a, zwrócił moją uwagę drobny incydent, który jak się później okazało, zwiastował arcyważne wypadki. Usłyszałem donośne, urywane niczym sygnał gwizdnięcie i rozejrzawszy się dokoła, dostrzegłem na moment rudą głowę Neila, syna Duncana; nie ujrzałem jednak nawet rąbka spódnicy Katriony, której, jak przypuszczałem, towarzyszył.

Moje trzy opiekunki zawiodły mnie do Bruntsfield Links, skąd prowadziła ścieżka do pięknego i starannie utrzymywanego parku, zwanego Hope Park; wyznaczony w tym celu dozorca opiekował się żwirem wysypanymi alejami, ławkami i altanami. Gdy tam szliśmy, czas dłużył mi się nieco; dwie młodsze córki lorda prokuratora przybrały miny wytwornego znudzenia, najstarsza zaś traktowała mnie z uszczypliwą wesołością, zakrawającą chwilami na drwiny. I aczkolwiek zdawało mi się, że lepiej sobie radzę niż poprzedniego dnia, podtrzymywanie z nimi rozmowy przychodziło mi nie bez trudu.

Znalazszy się w parku, natknęliśmy się na gromadę złożoną z kilkunastu młodych dżentelmenów – paru oficerów w stosowanych kapeluszach z kokardami o barwach pułkowych, reszta przeważnie młodzi adwokaci – którzy prześcigając się w komplementach, otoczyli zwartym kołem towarzyszące mi trzy piękności. Zostałem im wszystkim nader dwornie przedstawiony, lecz zaraz potem wszyscy jakby o mnie zapomnieli. Młodzi mężczyźni, gdy znajdują się w towarzystwie dam, upodabniają się do dzikich zwierząt; okazują pogardę nieznanemu im przybyszowi lub dokuczają mu bez litości i jestem pewien, że gdybym znalazł się wśród pawianów, potraktowałyby mnie w podobny sposób. Niektórzy z adwokatów usiłowali zasłużyć na miano dowcipnych, niektórzy z oficerów na miano rozmownych i nie wiem doprawdy, co mnie bardziej złościło. Wszyscy zaś umieli odrzucać ze swadą poły swych surdutów i dotykać zamaszystym ruchem szpady u boku, za co (zawiścią wiedziony) najchętniej bym ich kopnięciem wyprosił z parku. Oni zaś, ze swej strony, mieli mi wyraźnie

za złe, iż przybyłem w tak nadobnym otoczeniu, toteż wkrótce pozostałem w tyle i pograżony we własnych myślach szedłem nadąsany za całą tą rozbawioną czeredą.

Wyrwał mnie z zadumy jeden z oficerów, porucznik Hector Duncansby, głupawy fanfaron, którego kiepska angielszczyzna i akcent zdradzały, iż pochodzi z Górnej Szkocji, pytając mnie, czy nazywam się Palfour.

Odpowiedziałem potakująco i niezbyt uprzejmie; jako że w taki właśnie sposób do mnie się zwrócił.

– Ha! Palfour! – rzekł, po czym powtórzył znowu: – Palfour? Palfour?

– Obawiam się, że moje nazwisko brzmi niemiło w pańskich uszach – odparłem zły na siebie, iż drażnią mnie maniery takiego prostaka.

– Nie – odpowiedział – tylko tak sobie myślałem...

– Nie radzę panu zbyt często oddawać się temu ćwiczeniu, gdyż wpłynęłoby to niekorzystnie na pańskie zdrowie.

– Nic tak nie szkodzi jak kij połknąć, co po panu widać – i roześmiał się grubiańsko.

Zniewaga była oczywista i poczułem na policzkach pałacy rumieniec.

– Zanimbym się zdobył na afronty względem dżentelmenów, uważałbym za wskazane nauczyć się mówić poprawnie po angielsku.

Wziął mnie za rękaw i skłoniwszy się znacząco, wyprowadził spokojnie za obręb parku. Zaledwie jednak znaleźliśmy się poza zasięgiem wzroku spacerujących, przybrał inną postawę. – Ty łobuzie – wykrzyknął i uderzył mnie pięścią w szczękę.

Zrewanżowałem mu się tą samą albo i lepszą monetą. Wtedy cofnął się o krok i zdjawszy kapelusz uklonił mi się ceremonialnie.

– Dostyc takiej bitki – rzekł – jestem obrażony dżentelmen. To niesłychana bezczelność mówić, że oficer królewski nie umie po angielsku. Obu nam dyndają się szpady na pośladkach, a King's Park tuż obok. Czy pan pójdzie pierwszy, czy też mam wskazać drogę?

Oddałem mu ukłon, powiedziałem, by szedł przodem, i ruszyłem za nim. Słyszałem, jak idąc mrucał coś do siebie o zniewadze królewskiego munduru, co miało mnie utwierdzić w przekonaniu, iż czuje się srodze obrażony. Całe jednak jego zachowanie się od pierwszej chwili naszej rozmowy kłamał temu zadawało; nie ulegało bowiem wątpliwości, że przybył do parku po to, aby mnie sprowokować, i że wpadłem w nową, zastawioną przez moich wrogów pułapkę; a będąc świadomy własnych mankamentów, nie miałem wątpliwości, kto padnie w tym spotkaniu.

Prospekt ujawnienia własnej ignorancji w sztuce fechtunku napęłniał mnie taką niechęcią, a myśl o śmierci, lub choćby tylko ranie, wywoływała we mnie tak gwałtowny sprzeciw, że w drodze do tego skalistego pustkowi zwanego King's Park miałem parokrotnie szczerą ochotę wziąć nogi za pas i szukać ratunku w ucieczce. Jeśli jednak – rozważyłem – posunęli aż tak daleko swą przewrotność, gotowi są nie cofnąć się przed niczym, a lepiej zginąć w pojedynku, choćby bez chwały, niż umrzeć na szubienicy. Co więcej, przez nieostrożną buńczuczność moich słów i szybkość mego ciosu sam się naraziłem na wyzwanie, a gdybym nawet próbował salwować się ucieczką, mój adwersarz dogoniłby mnie zapewne i hańbiącym czynem pogorszyłbym jeszcze moją i tak rozpaczliwą sytuację. Wziąwszy to wszystko pod rozwagę, szedłem w ślad za porucznikiem Duncansby jak skazaniec za katem i zaiste z nie większą nadzieją w sercu.

Tak doszliśmy do końca skalistego parowu, gdzie wyszukawszy polankę porośłą gładką murawą mój przeciwnik zatrzymał się i wydobył szpadę z pochwy. W otaczającej nas pustce tylko parę ptaków nam się przyglądało i nie pozostawało mi nic innego, jak pójść za jego przykładem i stanąć w szermierczej postawie, z najlepszą miną, na jaką potrafiłem się zdobyć. Porucznik nie zadowolił się tym jednak i widząc niezdarność, z jaką zabieram się do rzeczy, opuścił szpadę, spojrzął na mnie szyderczo, po czym, nacierając i cofając się, wykonał parę ciosów w powietrzu. A że nie widziałem nigdy, aby Alan takie właśnie wykonywał ruchy, i

byłem ponadto pod wrażeniem zbliżającej się śmierci, straciłem głowę do reszty i stałem bezradnie, tłumiąc w duszy natarczywą pokusę ucieczki.

– Co ci jest, u diabła kusego? – wrzasnął porucznik.

I wiążąc nagle swe ostrze z moim, wytracił mi z dłoni szpadę, aż pofrunęła z furkotem w krzaki.

Dwukrotnie powtórzył ten manewr, a gdy za trzecim razem powróciłem z krzaków niosąc swoją upokorzoną broń, zastałem go stojącego z rękami założonymi pod połami surduta; spoglądał na mnie raczej wściekłym wzrokiem, a szpada jego spoczywała w pochwie.

– Niech mnie wszyscy diabli, jeśli pana tknę! – wykrzyknął i zapytał mnie wysoce rozgoryczonym głosem, jakim prawem ośmielam się dawać pole „dzentelmenowi”, skoro nie umiem odróżnić rękojeści szpady od jej ostrza.

Odpowiedziałem, że winę za to ponosi moje wychowanie, i zapytałem, czy byłby skłonny oddać mi sprawiedliwość, stwierdzając, że udzieliłem mu całkowicie satysfakcji w granicach, niestety, tego, na co było mnie stać, i stanąłem na placu, jak na mężczyznę przystało.

– Tak, to prawda – odrzekł. – Jestem silnie odważny, można by powiedzieć mężny jak lew. Ale stanąć na placu nie mając zielonego pojęcia, jak broń w garści trzymać, tak jak pan, tego dla mnie za wiele. Smucę się za ten policzek, choć pański był w lepszym gatunku, bo mi wciąż jeszcze we łbie bzyka. I powiadam, gdybym wiedział, jak to wygląda, tobym się nie zgodził do takiej sprawy ręki przyłożyć.

– Szlachetne to są słowa – odpowiedziałem – i jestem pewien, że nie zechce pan stać się ponownie narzędziem w rękach moich osobistych wrogów.

– Nie, dalibóg, i bez tego wielki spotkał mnie despekt, krzyżować szpadę ze starą babą lub takim jak pan dzieciuchem! Powiem to w oczy Lovatowi i niech mi sam placu dotrzyma!

– Gdyby pan wiedział, o co Simon Fraser żywi dla mnie nieprzyjazne uczucia, poczułby się pan jeszcze bardziej zelżony.

Porucznik zapewnił mnie nader dosadnie, iż nie wątpi w moją prawdomówność, i dodał, że wszyscy członkowie rodziny Lovatów upieczeni są z tej samej mąki, a sam diabeł wziął na siebie obowiązki piekarza. Po czym chwycił mnie nagle za rękę i potrząsając nią serdecznie, wyraził przekonanie, że pomimo wszystko należę do przyzwoitych ludzi; ubolewał również nad dotkliwymi lukami w moim wykształceniu i ofiarował się, w miarę wolnego czasu, je uzupełnić.

– Może mi pan oddać – rzekłem na to – jeszcze większą przysługę. Chciałbym, aby pan poszedł ze mną do domu jednego z moich wrogów i tam poświadczył, jak się dzisiaj zachowałem. Byłoby to dla mnie nader cenną przysługą. Chociaż bowiem pan Fraser nasłał na mnie szlachetnego przeciwnika, jego prawdziwym celem jest po prostu morderstwo. Znajdzie się drugi, ewentualnie trzeci, a ponieważ sam pan się przekonał, jak biegle władam stalową klingą, łatwo się pan domyśli, jaki tego będzie ostateczny rezultat.

– Nawet będąc tak dzielny jak ja, nie chciałbym mieszkać w pańskiej skórze! Ale gotów jestem złożyć świadectwo prawdzie. Prowadź pan, panie Balfour!

O ile w stronę tego obmierzłego parku szedłem powoli, w drodze powrotnej nogi niosły mnie rześko, w takt prastarej, nie mniej od Biblii odwiecznej pieśni, którą sobie wówczas przypominałem. A oto pierwsze jej słowa: „Wszak odeszła już ode mnie gorycz śmierci”. Pamiętam również, jak dręczony pragnieniem zatrzymałem się w drodze do miasta u studni Św. Małgorzaty, i nigdy żaden napój nie wydał mi się słodszy i bardziej orzeźwiający niż jej woda.

Gawędząc i omawiając szczegóły ukartowanego pomiędzy nami planu, doszliśmy przez ulicę Canongate wprost do drzwi Prestongrange’a. Służący oświadczył nam, że jego pan jest w domu, lecz prowadzi właśnie z paru dzentelmenami bardzo poufną naradę i wobec tego nie możemy stanąć przed jego obliczem.

– Sprawa, o którą mi chodzi – rzekłem do niego – nie potrwa dłużej niż trzy minuty, nie cierpi natomiast ani chwili zwłoki. Możesz dodać, że nie należy bynajmniej do poufnych, a nawet chętnie ją wyłożę Jego Wielmożności przy świadkach.

Służący odszedł dosyć niechętnie, by spełnić moje zlecenie, my zaś ośmieliliśmy się, nie czekając jego powrotu, wejść do przedpokoju, skąd mogłem dosłyszeć rozlegający się w gabinecie prokuratora szmer głosów. Jak się okazało, trzech ich siedziało za stołem:

Prestongrange, Simon Fraser i pan Erskine, szeryf miasta Perth – i konferowali właśnie na temat morderstwa w Appin. Toteż moje pojawienie się stropiło ich nieco, postanowili jednak mnie przyjąć.

– Witam pana – rzekł Prestongrange – czemuż to należy przypisać pańską ponowną u mnie wizytę? I kogóż pan ze sobą przyprowadził?

Fraser natomiast wpatrywał się pilnie w stół przed sobą.

– Porucznik Hector Duncansby przybył tutaj, by w pewnej drobnej sprawie złożyć świadectwo na moją korzyść i sądzę, że jest bardzo wskazane, aby Wasza Wielmożność zechciała go wysłuchać.

– Chcę tyle tylko powiedzieć – odezwał się porucznik – że stałem dzisiaj ze szpadą w ręku w King’s Park, naprzeciwko pana Balfoura i bardzo tego żałuję. Pan Balfour zachował się z godnością dżentelmena i nic mu zarzucić nie można. Silnie go szanuję.

– Dziękuję panu – rzekłem – za jego tak życzliwą o mnie opinię.

Po czym, jak to poprzednio z nim ułożyliśmy, porucznik uklonił się zebrany i opuścił pokój.

– W czym to mnie może dotyczyć? – zapytał Prestongrange.

– Wyjaśnię to w dwóch słowach Waszej Wielmożności. Przyprowadziłem tutaj tego dżentelmena, królewskiego oficera, aby taką właśnie oddał mi sprawiedliwość. Moja reputacja jest zatem, jak mi się wydaje, zabezpieczona – i do pewnej daty, którą Wasza Wielmożność może z łatwością określić – na nic się nie zda nasyłanie na mnie innych oficerów. Nie zamierzam bowiem walczyć kolejno ze wszystkimi przedstawicielami garnizonu w edynburskim zamku.

Żyły nabrzmiały na czole Prestongrange’a; spojrzął na mnie z wściekłością.

– Do wszystkich diabłów! Ten chłopak pęta mi się pod nogami jak uprzykrzony szczeniak! – wybuchnął i zwrócił się gwałtownie do Frasera. – To jest pańska sprawka! Wyczuwam w tym pańską rękę i wypraszam to sobie otwarcie i stanowczo. Skoro uzgodniliśmy pewien sposób postępowania, posługiwanie się sekretnie innym jest niełojalnością w stosunku do mnie! Nadużył pan mego zaufania! Przecież ten chłopak poszedł tam w towarzystwie moich córek! I dlatego, że wspomniałem panu o tym... Fe, panie Fraser, proszę zachować swoje niegodziwości dla siebie!

Fraser pobladł straszliwie. – Mam już tego dosyć! – wrzasnął. – Nie jestem piłką, którą raz pan, raz książę możecie kopać w coraz to inną stronę. Albo się dogadajcie, albo nie, ale uzgodnijcie to pomiędzy sobą. Nie będę już więcej faktorem. Otrzymuję od pana sprzeczne instrukcje, a potem narażam się na naganę obydwoh! A gdybym panu powiedział, co myślę o waszej polityce, to by panu włosy dęba stanęły!

Szeryf Erskine zachował przez cały czas spokój i teraz rzekł łagodnie:

– A tymczasem powinniśmy zapewnić pana Balfoura, iż jego reputacja w dziedzinie męstwa jest jak najpochlebniej dla niego ustalona. Może więc spać spokojnie. Aż do tej daty, o której wspomniał, nie będzie już więcej wystawiany na próbę.

Jego spokój przywiódł tamtych do opamiętania i z cokolwiek wymuszoną uprzejmością czym prędzej wyprawili mnie z domu.

## IX. NARADA WOJENNA

Gdy wyszedłem tego popołudnia z domu Prestongrange'a, gniew mnie, po raz pierwszy ogarnął. Lord prokurator wystrychnął mnie na dudka. Wszak oświadczył mi, że moje zeznania zostaną przyjęte bez szwanku dla mojej osoby, a cóż się zaraz potem okazało? Nie tylko Fraser dybał na moje życie za pośrednictwem tego oficera, ale i sam Prestongrange, jak to wynikało z jego ostatniej wypowiedzi, miał jakieś swoje, związane ze mną, zamysły. Policzylem moich wrogów: Prestongrange, mający za sobą całą potęgę królewskiej władzy; księżę Argyle i podległe mu lub zależne od niego klany na zachodzie Górnej Szkocji; rozporządzający niemałymi wpływami na północy kraju rodzina i powinowaci Lovatów, tudzież cała sfera dawnych jakobickich szpiegów i agentów. A gdy przypomniałem sobie Jamesa More'a i rudy łeb Neila, syna Duncana, zdałem sobie sprawę, że w tej skierowanej przeciwko mnie konspiracji znajdzie się może i czwarty partner, rozporządzający niedobitkami dawnej bandy straceńców Rob Roya.

Potrzebowałem zatem nade wszystko mądrego doradcy lub niezawodnego przyjaciela. Nie brakło w tym kraju ludzi, którzy równie chętnie, jak skutecznie przyszliby mi z pomocą, inaczej bowiem Lovat, Prestongrange i księżę Argyle nie musieliby się uciekać do wybiegów. I wściekłość mnie ogarniała na myśl, że idąc ulicą ocieram się zapewne o takich właśnie sojuszników, a nie umiem ich rozpoznać.

Wtedy to, jakby w odpowiedzi na moje refleksje, jakiś przechodzący mężczyzna otarł się o mnie, po czym spojrzął na mnie znacząco i skręcił w zaułek. Od pierwszego rzutu oka wiedziałem, z kim mam do czynienia: był to prawnik Charles Stewart, i błogosławiąc ten szczęśliwy traf poszedłem za nim. Po chwili dostrzegłem go stojącego u wylotu schodów, w głębi zaułka; dał mi znak ręką i zniknął niezwłocznie. Odnalazłem go na siódmym piętrze, przed drzwiami, które zamknął, gdy tylko weszliśmy do mieszkania. Było puste, całkowicie ogołoczone z mebli, jedno z tych, których wynajęcie powierzono Stewartowi.

– Musimy usiąść na podłodze – rzekł prawnik – ale tutaj jesteśmy chwilowo bezpieczni, a zależało mi bardzo, aby się z panem zobaczyć.

– Co z Alanem? – zapytałem.

– Wszystko idzie dobrze. Jutro, we środę, Andie Scougal zabierze go z plaży w Gillane. Chciał się koniecznie z panem pożegnać, ale wszystko wydaje mi się przemawiać przeciwko takiemu spotkaniu. Ale przejdźmy do rzeczy najistotniejszych, jak stoją pańskie sprawy?

– Powiedziano mi nie dalej jak dzisiaj, że moje zeznania będą przyjęte, ja zaś mogę pojechać do Inverary w towarzystwie ni mniej, ni więcej tylko samego lorda prokuratora Prestongrange'a.

– Ho, ho! Nigdy w to nie uwierzę.

– Żywię i ja pewne podejrzenia, ale chciałbym przedtem usłyszeć pańskie o tym zdanie.

– Powiadam panu otwarcie, krew we mnie kipi z oburzenia! Gdyby to było w mojej mocy, zgniótlbym ten ich rząd jak zgniłe jabłko. Jestem pełnomocnikiem i obrońcą prawnym ludzi z Appin i Jamesa Stewarta z Glens. Ratowanie życia mego pobratymca jest oczywiście moim obowiązkiem. A jak oni sobie ze mną poczynają, niech to pan sam osądzi. Przede wszystkim

będą chcieli pozbyć się Alana. Nie mogą sądzić Jamesa z tytułu współnictwa lub inspirowania zbrodni, zanim nie stawią przed sądem głównego sprawcy tejże zbrodni, Alana. To jest słuszna zasada prawna. Najpierw koń, a potem wózek, ale nie odwrotnie.

– Ale jakże mogą sądzić Alana, skoro go nie schwytali?

– Ba, jest sposób na uniknięcie tej trudności. Również słuszna zasada prawna. Źle by to świadczyło o prawodawcy, gdyby ucieczka jednego złoczyńcy zapewniała drugiemu bezkarność. Sposób ten polega na pozwaniu głównego oskarżonego, a następnie wyjęciu go spod prawa za niestawienie się. Otóż prawo przewiduje cztery miejsca, w których można pozywać oskarżonego; jego dom mieszkalny, miejsce, w którym ostatnio przebywał przez dni czterdzieści, główne miasto hrabstwa, w którym zazwyczaj przebywa, i wreszcie rynek w Edynburgu, tudzież port w Leith. W tym ostatnim wypadku wyznaczony w pozwie termin stawienia się wynosi dni sześćdziesiąt. Cel tego przepisu prawnego jest jasny. Chodzi o to, aby odplywające statki mogły dostarczyć tej wieści, przez co takie pozwanie nie jest tylko formalnością prawną. A teraz wracając do Alana. Nigdy nie słyszałem, aby posiadał dom mieszkalny; byłbym zobowiązany, gdyby ktokolwiek wskazał mi miejsce, w którym od czterdziestego piątego roku przebywał nieprzerwanie przez dni czterdzieści; nie ma również takiego hrabstwa, w którym zazwyczaj, lub też wyjątkowo, przebywa; a jeśli ma w ogóle jakiś domicyl, w co wątpię, to jest nim miejsce postoju jego pułku we Francji. Jeśli zaś nie opuścił jeszcze Szkocji (o czym my wiemy, a czego oni się domyślają), to największy nawet kiep wie, dokąd on zamierza się udać. Gdzie zatem i jakim trybem należałoby go pozwać? Pytam się pana jako laika.

– Sam pan to przed chwilą określił: na rynku w Edynburgu tudzież w porcie Leith, w terminie dni sześćdziesięciu.

– A zatem tęższy z pana prawnik niż sam Prestongrange! Raz jeden tylko kazał złożyć pozew przeciwko Alanowi, a działa się to dwudziestego piątego, tego dnia, w którym po raz pierwszy się z nim spotkałem. A gdzie ten pozew został ogłoszony? W Inverary, w stołecznym mieście Campbellów! Powiadam panu, im wcale nie zależy na schwytaniu Alana!

– Jak to?! – zawołałem. – Nie zależy im na tym?

– Nie mogę tego inaczej zrozumieć. Moim skromnym zdaniem oni wcale nie chcą odnaleźć Alana. Może myślą, iż stanąwszy przed sądem mógłby się bronić na tyle skutecznie, że James – a o jego głowę przecież głównie chodzi – mógłby wydostać się z matni. Toteż, jak pan widzi, to nie jest przewód sądowy, ale spisek!

– A jednak Prestongrange pilnie się o niego dopytywał, chociaż, po rozwadze, dochodzę do wniosku, że cokolwiek zbyt łatwo dał się zniechęcić.

– Hm... to zastanawiające, może zresztą się myślę, to są tylko domysły. Ale powróćmy do faktów. Otóż dowiedziałem się, że James i świadkowie – świadkowie, panie Balfour! – znajdują się w osobnych lochach, zakuci w kajdany, w więzieniu wojskowym w Fort William. Nikt do nich nie jest dopuszczany, im zaś do nikogo nie wolno pisywać. Świadców w więzieniu! Słyszał pan kiedy o czymś podobnym? Zapewniam pana, że żaden Stewart nigdy nie łamał prawa tak bezczelnie! Ten stan rzeczy jest w rażącej sprzeczności z ustawą parlamentu z 1700 roku, dotyczącą bezprawnego uwięzienia. Natychmiast po otrzymaniu tych wieści złożyłem petycję do naczelnego sekretarza trybunału. Dzisiaj otrzymałem odpowiedź. I to ma być zgodne z prawem! I to ma być sprawiedliwość!

Co mówiąc, wcisnął mi do ręki pismo, którego obłudna treść, utrzymana w słodkim, urzędowym stylu została następnie przedrukowana w broszurze anonimowego autora, występującego (jak głosiła karta tytułowa) w imieniu „nieszczęsnej wdowy po Jamesie Stewarcie z Glens i jego pięciorga dzieci”.

– Jak pan widzi – mówił dalej prawnik – nie ośmielił się odmówić mi wstępu do mego klienta, a więc „prosi dowódcę fortu, aby zechciał mi umożliwić dostęp do oskarżonego”. Naczelnym sekretarzem trybunału prosi! Czyż nie jasne, do czego zmierza takie sformułowanie?

Mają nadzieję, że dowódca fortu okaże się na tyle głupi albo na tyle sprytny, aby odmówić memu żądaniu. Na skutek czego musiałbym po daremnej podróży do Fort William powrócić tutaj i odwołać się do tej decyzji, przez co nastąpiłaby nowa zwłoka. Oni zaś, uznając niesłuszność stanowiska tego oficera, powołaliby się na notoryczną ignorancję wojskowych w dziedzinie prawa – znam dobrze takie wykręty! W ten sposób niewiele czasu by mi pozostało do rozprawy, zanim zdążyłbym dotrzeć ponownie do Fort William i porozumieć się z moim klientem. Czyż nie mam racji określając takie postępowanie mianem spisku?

– Wszystko wydaje się na to wskazywać.

– Mam na to jeszcze lepsze dowody. Otóż oni mają prawo trzymać Jamesa w więzieniu, aczkolwiek nie wolno im wzbraniać mi do niego dostępu. Nie mają natomiast prawa więzić świadków. A czy mogę się porozumieć z uwięzionymi świadkami, którzy winni być wolni w tej samej mierze co sekretarz trybunału? Proszę przeczytać: „Nie widzę powodów do wydawania jakichkolwiek rozkazów władzom więziennym, którym nie zarzuca się nic, co by było sprzeczne z wykonywaniem przypisanych im obowiązków urzędowych”. Nic sprzecznego! Panowie! A ustawa z 1700 roku? Panie Balfour, serce mi pęka! Krew przodków we mnie się burzy!

– To zdanie przetłumaczone na potoczny język angielski oznacza po prostu, że świadkowie mają pozostać w więzieniu, a panu nie wolno porozumiewać się z nimi?

– Tak, zostaną do nich dopuszczony dopiero w Inverary, w przeddzień rozprawy! I usłyszę tam, jak Prestongrange peroruje o „bezstronności, z jaką sprawuje swe funkcje, i o wszelkich ułatwieniach zapewnionych obronie!” Ale ja właśnie na tym polu potrafię ich okpić, panie Dawidzie. Umyśliłem już sobie, jak spotkać świadków podczas ich podróży do Inverary; będę usiłował przemówić do poczucia sprawiedliwości dowodzącego eskortą przedstawiciela „notorycznych ignorantów w dziedzinie prawa”.

Tak się też stało. Stewart zetknął się po raz pierwszy ze świadkami, przewożonymi na rozprawę przeciwko Jamesowi *of the Glens*, na drodze koło Tynedrum i rozmówił się z nimi za zgodą odpowiedzialnego za nich oficera.

– Nic mnie już w tej sprawie zadziwić nie zdoła – powiedziałem.

– A jednak potrafię pana zadziwić! – wykrzyknął Stewart. – Spójrz pan na to! – i wydobyl z kieszeni wilgotny jeszcze, świeżo zadrukowany arkusz papieru. – Oto jest pamflet opisujący zbrodnię i związane z nią okoliczności, proszę przeczytać podpisaną przez Prestongrange’a listę świadków, a nie znajdzie pan tam żadnego Balfoura. Ale nie o to mi chodzi. Jak pan sądzi, czyim sumptem wydrukowano ten tekst?

– Wydaje mi się, że chyba króla Jerzego.

– Otóż właśnie, że moim! Początkowo wydrukowano ten pamflet oczywiście na ich zlecenie i na ich użytek, to jest Prestongrange’a, Erskine’a i tego oczajduszy z piekła rodem Simona Frasera. Ale żaden egzemplarz nie był dla mnie przeznaczony. Miałem bronić mego klienta na ślepo, miałem poznać treść aktu oskarżenia dopiero na sali sądowej, wraz z przysięgłymi.

– Czy to nie jest sprzeczne z prawem? – zapytałem.

– Tego bym nie powiedział. Zaznajomienie się w porę z aktem oskarżenia jest tak oczywistym – i zawsze dotychczas respektowanym – przywilejem obrońcy, że żaden przepis prawny go nie uwzględnia. Ale oddajmy cześć rządzeniom Opatrzności! Pewien mój znajomy znajdował się przypadkowo w drukarni Fleminga, spostrzegł leżącą na podłodze odbitkę, podniósł ją i mnie przyniósł. I cóż się okazało? To był właśnie ten pamflet. Kazałem więc złożyć na nowo tekst i wydrukować na koszt własny: *sumptibus moesti rei*. Czy słyszał pan kiedy o czymś podobnym? I oto jest do wiadomości każdego. Cały ich tak pilnie strzeżony sekret ujawniony. Ale czyż mogę się z tego cieszyć, skoro ciąży na mnie odpowiedzialność za życie mego krewniaka?

– Dalibóg, okoliczności nie sprzyjają radowaniu się tym sukcesem.

– Teraz pan chyba rozumie, dlaczego nie uwierzyłem w te zeznania, które jakoby pozwolono panu złożyć – zakończył swoje wywody Stewart.

Po czym ja z kolei głos zabrałem i opowiedziałem mu pokrótce o ofertach i pogróżkach Frasera, o incydencie z nasłanym na mnie jurgieltnikiem i opisałem mu scenę, jaka się następnie rozegrała u Prestongrange’a. O pierwszej z nim rozmowie, zgodnie z danym mu przyrzeczeniem, nie wspomniałem ani słowem, zresztą nie było to potrzebne. Przez cały czas mojej narracji Stewart kiwał głową jak kukła pociągana za sznurek, lecz zaledwie umilkłem, wypowiedział swoją opinię w dwóch słowach, kładąc nacisk na oba.

– Należy zniknąć.

– Nie rozumiem...

– Zaraz to panu wytłumaczę. Otóż moim zdaniem, zniknie pan tak czy siak. To nie ulega najmniejszej kwestii. Lord prokurator, w którego duszy kołacze się jeszcze odrobina uczciwości, wywalczył pańskie życie od księcia i Frasera. Nie zgodził się na oskarżenie pana przed sądem, nie zgodził się również na zabicie pana. I dlatego właśnie doszło do kłótni pomiędzy nim a Fraserem; ani Fraser bowiem, ani książę nie są w stanie dotrzymać słowa czy to przyjacielowi, czy wrogowi. Nie postawią pana przed sądem i nie zamordują, ale chyba się nie myślę twierdząc, że zostanie pan porwany i uprowadzony jak lady Grange. Jestem gotów się założyć, o co pan chce, że to jest i właśnie ich „sposób”!

– Warto się nad tym zastanowić – i opowiedziałem mu o rudym Neilu, totumfackim More’a.

– Do czegokolwiek James More się przyczyni, to nieczysta sprawa – rzekł Stewart – tego może pan być pewien. Jego ojciec nie był tak bezecnym jak on człowiekiem, chociaż miał cokolwiek na pieńku z prawem; nie należał do przyjaciół mojej rodziny, żebym strzegił sobie język w obronie jego reputacji. James natomiast to łotr i infamis. Pojawienie się tego rudo-włosego Neila i mnie się wydaje podejrzanę, ba! to wyraźnie jakimś łajdactwem trąci! Stary Lovat kazał porwać lady Grange; jeśli młody Lovat panem się zajmie, to wszystko pozostanie w rodzinie. Za co James siedzi w więzieniu? Za to samo przestępstwo: uprowadzenie panny w celu zawarcia z nią małżeństwa wbrew jej woli. Gardłowa to sprawa! Jego ludzie nabrali już wprawy w tego rodzaju imprezach. James chętnie ich użyczy Fraserowi i posłyszemy wkrótce bądź to, że darowano mu winę, bądź że uciekł z więzienia. Pan zaś znajdzie się na Benbecula, lub na jakiejś innej mało dostępnej wyspie.

– Bardzo przekonująco to pan przedstawia.

– Oto do czego zmierzam: winien pan zniknąć na własną rękę, zanim zdołają pana przychwycić. Po czym należałoby się ukrywać aż do rozprawy i zjawić się nagle, w ostatniej chwili, kiedy się pana będą najmniej spodziewać. Zakładając, oczywiście, że treść pańskich zeznań jest tak ważka, iż warto ponosić wielkie ryzyko i narażać się na uciążliwe kłopoty.

– Tylko tyle panu powiem: widziałem mordercę i nie był nim Alan.

– Na Boga! W takim razie mój kuzyn jest uratowany! Jego życie zależy od słów, jakie pan wypowie. Nie liczymy się więc z czasem, ryzykiem czy kosztami, byle tylko umożliwić panu złożenie tych zeznań przed sądem! – Co mówiąc wyrzucił na podłogę zawartość swych kieszeni. – Oto wszystko, co mam przy sobie. Proszę to zgarnąć, przyda się panu w tej ciężkiej przeprawie. Z tego zaułka można wyjść bezpośrednio na Lang Dykes i tamtędy wydostać się z miasta. Zaklinam pana, nie pokazuj się w Edynburgu, aż będzie po wszystkim.

– A gdzież mam się udać?

– Chciałbym móc to panu powiedzieć. Gdziekolwiek bym pana skierował, tam właśnie będą pana szukać. Musi pan działać samodzielnie i niech Bóg pana prowadzi! Na pięć dni przed rozpoczęciem rozprawy, szesnastego września, proszę mi dać znać o sobie w oberży King’s Arms w Stirling, a jeśli do tego czasu zdoła pan się gdzieś przyczaić, biorę na siebie dostawienie pana do Inverary.



– Jeszcze jedno pytanie: czy nie mógłbym się zobaczyć z Alanem?

Stewart stropił się i rzekł po namyśle: – Wolałbym tego uniknąć, ale przyznaję, że Alano-  
wi bardzo na tym zależy i właśnie w tym celu będzie dziś w nocy w lesie, w pobliżu młyna  
zwanego Silvermills. Nawet jeśli będzie pan pewien – najzupełniej pewien, panie Balfour –  
że nikt pana nie śledzi, winien pan przeleżeć w odpowiednim miejscu przez dobrą godzinę,  
obserwując drogę, zanim pan zaryzykuje to spotkanie. Straszne to byłoby nieszczęście, gdyby  
się wam obu noga powinęła!

## X. RUDOWŁOSY MĘŻCZYŻNA

Minąłem Lang Dykes około godziny wpół do czwartej, kierując się ku wiosce Dean. Ponieważ tam właśnie mieszkała Katriona, a jej rodzina, Macgregorowie z Glongyle, znajdowała się prawie na pewno na usługach działających na moją zgubę Lovata i Prestongrange'a, powinienem był trzymać się z daleka od tego miejsca; ale będąc bardzo młody i ulegając impulsom rozkwitającej w moim sercu miłości, wyruszyłem bez wahania w tamtym kierunku.

Gwoli jednak spokoju sumienia i zadośćuczynienia nakazom rozsądku przedsięwziąłem pewne środki ostrożności. Zszedłszy z niewielkiego wzniesienia na drodze, skoczyłem w ciągnące się opodal pole jęczmienia, położyłem się w nim i zacząłem wypatrywać. Po chwili przeszedł drogą nieznan mi mężczyzna wyglądający na górala. Wkrótce potem pojawił się rudowłosy Neil, następnie przejechał dwukółką młynarz, a po nich już tylko kilku miejscowych wieśniaków. To, co widziałem, powinno by skłonić najbardziej nieprzezornego do zmiany jego zamierzeń, lecz uczucie gnało mnie nieodparcie w stronę Dean. Wytłumaczyłem sobie, że obecność Neila na tej drodze należy uznać za naturalne zjawisko, skoro prowadziła prosto do córki jego wodza. Co do drugiego górala, to jeślibym miał się obawiać każdego napotkanego górala, nigdzie nie zdołałbym dotrzeć. Takie naiwne rozumowanie uspokoiło mnie najzupełniej. Ruszyłem więc rażno naprzód i nieco po godzinie czwartej stanąłem przed siedzibą pani Drummond-Ogilvy.

Zastałem obie panie w domu i dostrzegłszy je przez otwarte okno, zerwałem z głowy kapelusze i rzekłem: – Oto przybywa młodzieniec poszukujący sześciu pensów. – Chciałem się w ten sposób przypodobać matronie.

Katriona wybiegła i powitała mnie serdecznie, stara zaś lady, ku memu zdziwieniu, przyjęła mnie z niewiele mniejszą wylewnością. Dopiero po jakimś czasie dowiedziałem się, że wysłała konnego posłańca do Rankeillora, o którym wiedziała, iż jest pełnomocnikiem właściciela majątku Shaws, a teraz miała w kieszeni list, w którym ten mój zacny przyjaciel przedstawiał w nader dodatnim świetle mój charakter i perspekty.

Przejrzałem jednak wkrótce jej zamiary, nie gorzej niż gdybym ów list przeczytał. Byłem może „wiejskim prostakiem”, ale nie aż takim, za jakiego mnie miała, i nawet dla mego domorosłego dowcipu stało się jasne, że postanowiła zaciągnąć na ślubny kobierzec swą kuzynkę i gołowasa, dziedzica sporej posiadłości w hrabstwie Lothian.

– Pan Sześćpensik zechce zapewne zasiąść z nami do kolacji – rzekła do Katriony – skocz no do kuchni i powiedz o tym dziewczętom.

Pozostaliśmy więc sami i przez tę krótką chwilę pani Ogilvy zadała sobie niemało trudu, aby mi pochlebić; sprytnie się do tego zabrała prowadząc rozmowę pozornie drwiącym tonem, zwracając się nadal do mnie per panie Sześćpensik, ale zawsze tak, by mnie podnieść we własnych oczach. Po powrocie Katriony jej gra stała się, o ile to możliwe, jeszcze bardziej przejrzysta; zaczęła zachwalać jej zalety z natarczywością handlarza koni na jarmarku. Zarmieniłem się na myśl, że aż za takiego poczytywała mnie głupca. Chwilami zdawało mi się, że Katriona jest niewinną ofiarą tej obcesowej demonstracji jej cnót i taka ogarniała mnie wściekłość, że chętnie bym parę kijów połamał na grzbiecie starej kłepy. Chwilami zaś zda-

wało mi się, że obie zmówiły się, by mnie omotać i usidlić, a wtedy siedziałem pomiędzy nimi ponury i napuszony. Aż wreszcie swatka zastosowała lepszą taktykę i pozostawiła nas samych. Raz obudzoną nieufność trudno jest na ogół przewyciężyć, ale chociaż wiedziałem, z jakiego Katriona pochodzi gniazda – z gniazda opryszków – nie mogłem patrzeć w jej oczy i wątpić w jej szczerłość.

Zaledwie znikła stara Ogilvy, Katriona zwróciła się do mnie żywo: – Czy wolno mi zapytać o pańskie sprawy?

– Dzisiaj – odpowiedziałem – mogę o tym mówić. Nie jestem już związany słowem, a po tym, co zaszło dziś rano, odmówiłbym dalszego pod tym względem zobowiązania, nawet gdyby mnie o to proszono.

– Cóż się stało? Słucham pilnie, moja kuzynka niebawem powróci.

Opowiedziałem jej więc od początku do końca cały incydent z porucznikiem, starając się go przedstawić jak najzabawniej, co zresztą, zważywszy na komizm sytuacji, przyszło mi z łatwością.

– A zatem – rzekła po wysłuchaniu mojej relacji – jest pan równie źle zaprawiony do stawiania czoła nieokrzesanym mężczyznom, jak pięknym damom. Kimże był pański ojciec, że nie nauczył pana władać szablą? To doprawdy niegodne szlachcica! Nigdy o czymś podobnym nie słyszałam.

– Jest to zaiste co najmniej uciążliwy mankament, a mój ojciec (zacości to był człowiek!) uważał widocznie za stosowniejsze uczyć mnie łaciny. Ale jak pani widzi, radzę sobie, jak mogę, i przyjmuję ich ciosy nieruchomo, niczym żona Lota.

– Czy wie pan, co mnie w tym wszystkim bawi? Otóż takie już mam usposobienie, że powinnam była urodzić się chłopcem. Nie umiem myśleć o sobie jako o kobiecie i zawsze we wszystkich marzeniach widzę siebie w takiej czy w innej roli mężczyzny. Ale gdy dochodzi w nich do momentu walki, chcąc nie chcąc, muszę uwzględnić, że jestem przecież tylko niewiastą i nie mogę szabli utrzymać w garści lub dobrze kogoś pięścią zdzielić. Muszę więc zmienić wyimaginowany przebieg wypadków w taki sposób, że chociaż do walki nie dochodzi, zwyciężam, tak właśnie jak pan w pojedynku z porucznikiem. Upodabnam się wtedy do chłopca o pięknej wymowie, takiego jak pan Dawid Balfour.

– Krwiożercza z pani dziewczyna.

– Ha, to bardzo pięknie szyć, prząść i haftować, ale jeśli się nigdy nic innego nie robi na tym szerokim świecie, te zbożne zajęcia stają się okropnie nudne. Nikogo zresztą nie mam ochoty zabić. Czy zabił pan kogo kiedykolwiek?

– Owszem, tak się złożyło. Dwóch mam na rozkładzie, a powinienem był wtedy siedzieć jeszcze na szkolnej ławie. Wszelako gdy cofam się myślą wstecz do tych wypadków, nie wstydzę się mego w nich udziału.

– A jak pan się czuł wtedy... potem?

– Usiadłem i płakałem jak dzieciuch.

– Znam to uczucie! Wiem, jak rodzą się takie łzy. W każdym razie nie chciałabym nikogo zabijać, tylko być kimś takim jak Katarzyna Douglas, która włożyła rękę w skobel u drzwi.... To jest moja ulubiona bohaterka. Czy nie pragnie pan tak zginąć... dla swego króla?

– Dalibóg, uczucia, jakie żywię dla mego króla, niech Bóg ma w swej opiece jego puciołowatą twarz, nie są aż tak namiętne. Patrzyłem ostatnio śmierci w oczy tak z bliska, że to raczej wzmogło moje przywiązanie do życia.

– Słusznie! Tak myśli prawdziwy mężczyzna! Ale musi się pan nauczyć władania bronią. Nie chciałabym mieć przyjaciela, co nie umie rąbać. Przecież chyba nie szablą pan tamtych dwóch uśmiercił?

– Nie, zaiste, ale za pomocą dwóch pistoletów. I to tylko dlatego, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności znaleźli się tuż obok mnie, gdyż pistoletem posługuję się nie lepiej niż szablą!

Po czym musiałem jej opowiedzieć o walce na brygu, którą pominąłem w pierwszej relacji moich przygód.

– Mężny z pana chłopak – rzekła po wysłuchaniu mnie – a tego pańskiego przyjaciela podziwiam i uwielbiam.

– Wszyscy winni podzielać pani uczucia. Ma on swoje przywary, jak wszyscy ludzie, ale jest odważny, wierny i ma dobre serce. Nie wyobrażam sobie, abym mógł kiedykolwiek o nim zapomnieć. – I na myśl o Alanie i o tym, że leży w mojej mocy, aby się z nim tegoż wieczora zobaczyć, przemożne ogarnęło mnie wzruszenie.

– Ale, ale, gdzież ja mam głowę – zawołała nagle Katriona – wszak pan nic jeszcze nie wie o moich nowinach!

I opowiedziała mi o liście od ojca, w którym donosił, że nazajutrz spodziewa się jej odwiedzin w zamku, dokąd został ostatnio przeniesiony, oraz że jego sprawy przybierają pomyślny obrót.

– Nie cieszy pana ta wiadomość, czyż godzi się sądzić mego ojca nie znając go?

– Jestem jak najbardziej daleki od sądenia go i daję pani słowo, że miło mi jest się dowiedzieć o tym radosnym dla pani wydarzeniu. A jeśli, jak przypuszczam, na mojej twarzy maluje się frasunek, to tylko dlatego, że obecna pora nie wydaje mi się stosowna do jakichkolwiek kompromisów, a ludzie u władzy nie należą do godnych zaufania kontrahentów. Nie mogę tak łatwo zapomnieć o niecnym knowaniach Simona Frasera.

– Ależ pan chyba nie mierzy jego i mego ojca tą samą miarą! Winien pan również uwzględnić, że Prestongrange i James More, mój ojciec, pochodzą z tego samego rodu.

– Nigdy o tym nie słyszałem.

– Jakże wiele pan się jeszcze musi nauczyć! To doprawdy zadziwiające! Rodzina lorda prokuratora nosi nazwisko Grant, nasza zaś Macgregor, ale obie należą nadal do tego samego klanu. Wszyscy są potomkami Alpina, od którego, jak przypuszczam wzięł nazwę nasz kraj.

– Jaki kraj pani ma na myśli?

– Mój i pański.

– Dzień dzisiejszy pełen jest dla mnie niespodzianek. Zawsze sądziłem, że nasz kraj nazywa się Szkocja.

– Szkocja jest właściwą nazwą kraju, który pan określa mianem Irlandii. Ale starodawna i prawdziwa nazwa kraju, po którego ziemiach stąpamy i którego krew w żyłach naszych płynie, brzmi Alban. Tak się nazywały te okolice, gdy przodkowie nasi walczyli z Rzymianami i Aleksandrem. I tak się ten kraj nadal nazywa w pańskiej ojczystej mowie, której pan zapomniał.

– Dalibóg, nigdy jej nie znałem – odrzekłem. Puściłem płazem Katrionie nieznajomość historii, jakiej dała dowód wspominając o wojnach Aleksandra Macedońskiego.

– Ale to była od zarania wieków mowa ojców i matek naszych. W tym to języku śpiewano u kołysek wielu pokoleń, kiedy o nas się jeszcze nikomu nie śniło. A pańskie nazwisko pamięta te czasy. Ach, gdyby pan umiał mówić tym językiem, inną byłabym dla pana dziewczyną. Albowiem serce przemawia w tej naszej szkockiej mowie.

Spożyłem wieczerzę z obu paniami, smaczną, obfitą, podaną na pięknej, starej zastawie i zakrapianą dobrym winem; pani Ogilvy musiała być zamożną osobą. Rozmowa przy stole również toczyła się wartko i miło, lecz zaledwie słońce zaczęło się skłaniać ku zachodowi i wydłużyły się cienie, powstałem dziękując za gościnę. Postanowiłem bowiem pożegnać się z Alanem i chciałem dotrzeć do owego lasu i rozejrzeć się na miejscu przed zapadnięciem ciemności. Katriona odprowadziła mnie do furtki w ogrodzie.

– Kiedy pana znowu zobaczę? – zapytała.

– Nie umiem na to odpowiedzieć. Z pewnością nierychło, a może nigdy.

– Tak, to możliwe... a czy panu... nie smutno?

Spojrzałem w jej oczy i pochyliłem głowę.

– Mnie również smutek ogarnia. Niewiele przebywaliśmy ze sobą, lecz cenę pana bardzo wysoko. Jest pan odważny i wierny, a z czasem staniesz się na pewno jeszcze bardziej mężczyzną. Dumna będę o tym posłyszeć. A jeśli, czego oboje się obawiamy, los okaże się panu przeciwny, jeśli przyjdzie panu życie postradać... wspomnij, że masz we mnie oddanego ci przyjaciela. A po wielu, wielu latach, gdy będę już staruszką, ze łzami prawie będę wnukom o Dawidzie Balfour. Opowiadać będę o naszym pożegnaniu, o tym, co panu wtedy powiedziałam i co uczyniłam. A oto co panu mówię: Niech panu Bóg sekunduje; modlić się będzie twoja młoda przyjaciółka. A oto co czynię – i ucałowała moją dłoń.

Tak wielkie opanowało mnie zdumienie, że krzyknąłem jak bólem gwałtownym rażony. Lica jej zapalały rumieńcem, spojrzała na mnie i skinęła głową.

– Tak, panie Dawidzie, wargi wyraziły to, co mam w sercu.

Wyczytałem na jej obliczu szlachetne uniesienie i rycerskość; ale nic więcej. Ucałowała moją dłoń tak samo, jak ucałowała dłoń księcia Karola Edwarda, szlachetniejszą wiedzioną namiętnością niż ludzie z powszedniejszej ulepieni gliny. Nic dotąd nie wskazywało, iż potrafiłem wzbudzić jej miłość, nie wiedziałem nadal, jak wysoko jeszcze wspiąć się powinienem, aby zaczęła o mnie myśleć tymi kategoriami. Jednakże mogłem sobie powiedzieć, że posuwałem się naprzód na tej drodze, że na myśl o mnie serce w niej żywiej biło.

Po tym zaszczytnym z jej strony hołdzie nie mogłem się z nią rozstać okazując zwykłą tylko uprzejmość. A zresztą słowa więzły mi w gardle; jakaś wysoka nuta w jej głosie wyzwoliła moje własne łzy.

– Bogu składam dzięki za twoją życzliwość, droga moja. Bądź zdrowa, moja młoda przyjaciółko – wyszeptalem wreszcie, określając ją takim mianem, jakie sama sobie nadała. Po czym skłoniłem się i odszedłem.

Podążałem wzdłuż doliny, której środkiem płynęła rzeka Leith, w stronę Stockbridge i Silvermills. Ścieżka wiodła opodal śpiwnie szemrzących wód; promieniejący z zachodu blask gasnącego słońca rozrzucił hojnie długie, mieniące się cienie i w miarę jak dolina skręcała, stwarzał coraz to inny uroczy krajobraz. Mając Katrionę za sobą i Alana przed sobą szedłem rześko, jak na skrzydłach niesiony. Wszystko dokoła, nawet monotonna gadanina rzeki, zachwycało mnie w tej wieczornej dobie. Toteż przystawałem raz po raz, rozglądając się na wszystkie strony, dzięki czemu, tudzież opiece Opatrzności, dostrzegłem nagle rudą głowę wychylającą się nieco poza mną z krzaków.

Wściekłość mnie ogarnęła. Zawróciłem natychmiast i ruszyłem szparko z powrotem do Dean. Ścieżka prowadziła tuż obok krzaków, w których zauważyłem głowę, i przechodząc tamtędy, zwarłem się w sobie napinając mięśnie i gotując się na przyjęcie i odparcie napastników. Nic jednak takiego nie zaszło i przeszedłem przez nikogo nie napastowany, co wzmoгло jeszcze moje obawy. Wieczór jeszcze nie nastał co prawda, lecz znajdowałem się w zupełnym pustkowiu. Jeśli polujący na mnie wzgardzili tak doskonałą okazją, cóż mogłem z tego wywnioskować, jak nie to, że czyhali na grubszą zwierzynę, nie tylko na Dawida Balfoura. Poczulem, jak odpowiedzialność za życie Alana i Jamesa ciąży mi na barkach niczym ciała co najmniej dwóch dorosłych bawołów.

Zastałem Katrionę przechadzającą się samotnie w ogrodzie.

– Katriono – rzekłem – oto widzisz mnie znowu.

– Ze zmienioną twarzą – odpowiedziała.

– Dźwigam ciężar życia dwóch ludzi, oprócz mojego. W takiej sytuacji każdy z mojej strony nierozważny krok byłby grzechem i hańbą. Przychodząc tutaj nie byłem pewny, czy wolno mi tak postąpić, a miałbym sobie bardzo za złe, gdybyśmy przez to mieli popaść w nieszczęście.

– Znam kogoś, kto jeszcze gorsze czyniłby sobie o to wyrzuty, kogoś, kto nie chce takich słów od pana słyszeć. W czym zresztą zawiniłam?

– Nie o ciebie chodzi. Po odejściu stąd odkryłem, że znowu mnie śledzą, i mogę ci podać nazwisko tego, który szedł trop w trop za mną. To Neil, syn Duncana, twój sługa lub twego ojca.

– Co do Neila, myli się pan na pewno – rzekła i twarz jej pobladła. – Neil znajduje się w Edynburgu, gdzie ma coś załatwić na zlecenie mego ojca.

– Tego zlecenia właśnie obawiam się najbardziej. A co do jego pobytu w Edynburgu, to wydaje mi się, że potrafię ci dowieść, ile jest w tym prawdy. Macie chyba na pewno jakiś umówiony sygnał, coś jakby wezwanie o pomoc, na który jeśli dobiegnie uszu Neila, przybędzie ci niezwłocznie na ratunek?

– Skąd pan wie o tym?

– Dzięki magicznemu talizmanowi, jakim Bóg mnie obdarował przy urodzeniu, a nazywają go na ogół zdrowym rozsądkiem. Proszę cię, daj sygnał, a pokażę ci rudy łeb Neila.

Przemawiałem do niej ostro, ale gorycz zalewała mi serce. Winiłem siebie samego i tę dziewczynę i nienawidziłem obojga; ją za to, że pochodziła z tak niegodziwego środowiska, siebie zaś, że byłem na tyle szalony i wpakowałem głowę w sam środek takiego gniazda os.

Katriona przyłożyła palce do warg i gwizdnęła jednym ciągiem, niesłychanie przenikliwym, wznoszącym się tonem i tak donośnie, że najężny wiejski urwis by się tego nie powstydział. Przez chwilę staliśmy oboje w milczeniu i już zamierzałem ją prosić o powtórzenie sygnału, gdy usłyszałem, jak ktoś przedziera się gwałtownie przez krzaki w ciągnącym się opodal parowie. Wskazałem jej z uśmiechem ten kierunek i natychmiast potem Neil wskoczył do ogrodu. Oczy mu błyszczwały okrutnym blaskiem, a w rękę trzymał obnażony sztylet. Ujrzawszy mnie obok jego pani, stanął jak rażony piorunem.

– Pojawił się na twoje wezwanie – rzekłem do niej – sama więc widzisz, jak blisko Edynburga się znajdował i jakiego rodzaju było zlecenie twego ojca. Zresztą zapytaj go; jeśli ja lub ci, których los ode mnie zależy, mamy postradać życie za sprawą twego klanu, to pozwól mi iść, dokąd zmierzam, z otwartymi oczyma.

Przemówiła do Neila po szkocku, drżącym głosem. Pamiętałem, jak starannie unikał Alan posługiwania się tym językiem w mojej obecności, i miałem ochotę roześmiać się szyderczo. Przecież właśnie w takiej chwili, gdy tak okropne nurtowały mnie podejrzenia, powinna była ograniczyć się do angielskiego.

Wymienili pomiędzy sobą dwa, trzy zdania i uświadomiłem sobie, że Neil, przy całej swej uniżoności, był wściekły.

– On przysięga, że pana nie śledził – rzekła do mnie Katriona.

– I ty mu wierzysz?

Załamana ręce rozpaczliwym gestem.

– Skądże mam wiedzieć?! – wykrzyknęła.

– Ale ja muszę w jakiś sposób się dowiedzieć. Nie mogę puszczać się w drogę w głuchą noc, skoro życie dwóch ludzi mam za pazuchą. Na miły Bóg, Katriono, spróbuj się postawić w moim położeniu, tak samo jak ja się staram z całej duszy postawić w twoim. Nigdy nie powinno dojść do takiej rozmowy pomiędzy nami i boleję nad tym serdecznie. Zatrzymaj go tutaj do godziny drugiej nad ranem, to mi wystarczy. Postaraj się o to.

Pogadali ze sobą po szkocku, po czym Katriona zwróciła się do mnie.

– On powiada, że musi wykonać zlecenie Jamesa More’a, mego ojca.

Twarz jej jeszcze bardziej pobladła i głos się załamywał, gdy to mówiła.

– Teraz chyba wszystko jest jasne, oby Bóg odpuścił niegodziwym!

Nic mi nie odpowiedziała, tylko spozierała na mnie blada i drżąca.

– Zachęcająco się to zapowiada, nie ma co mówić; a więc mam zginąć i tamci dwaj wraz ze mną?

– Cóż ja mam uczynić nieszczęsna? Czyż mogę się sprzeciwić rozkazom mego ojca? A do tego jest on w więzieniu i śmierć mu zagraża.

– Kto wie, czy nie wnioskujemy zbyt pochopnie. To również może być kłamstwo. Może Neil nie otrzymał od twego ojca żadnych rozkazów? I to wszystko jest uknute przez Frasera, bez wiedzy twego ojca?

Stojąca pomiędzy Neilem a mną Katriona wybuchnęła płaczem; serce wezbrało mi wielką litością i żalem, zdawałem sobie bowiem sprawę z jej okropnego położenia.

– No cóż, zatrzymaj tutaj Neila choć tylko przez godzinę. Może mi to wystarczy i niech cię Bóg błogosławi.

Wyciągnęła do mnie dłoń: – Czyż nie usłyszę od pana dobrego słowa? – wyszłochała.

– A więc na pełną godzinę? – mówiłem pieszcząc jej dłoń. – Życie nas trzech od tego zależy, dziewczyno!

– Pełną godzinę! – zawołała – i niech mi Chrystus przebaczy.

Czas już najwyższy stąd zmykać – pomyślałem sobie i wybiegłem z ogrodu.

## XI. LAS KOŁO SILVERMILLS

Nie tracąc ani chwili pomknąłem doliną, co sił w nogach, ku Stockbridge i Silvermills. Alan zobowiązał się leżeć co noc, pomiędzy godziną dwunastą a drugą, w zagajniku położonym na wschód od osiedla zwanego Silvermills i po południowej stronie ruczaju, opodal stojącego nad nim młyna. Las ten odnalazłem z łatwością, porastał bowiem zbocza stromego wzgórza, u którego stóp płynął rączy, głęboki ruczaj. Dopadłszy tam, zwolniłem kroku i już spokojniej zacząłem się zastanawiać nad sytuacją; zdałem sobie sprawę, jak niedorzeczny układ zawarłem z Katrioną.

Trudno było przypuszczać, że Neil został za mną wysłany samopas, natomiast może on jeden ze ścigających mnie należał do Jamesa More'a; w takim wypadku zrobiłem, co mogłem, aby stryczek nie ominął ojca Katriony, sam z tego najmniejszej nie odnosząc korzyści. Prawdę rzekłszy, obie możliwości przedstawiały się ponuro: jeśli Katriona, zatrzymując Neila przy sobie, przyczyniłaby się do zguby ojca, nigdy by sobie tego nie wybaczyła; jeśli zaś tej nocy polowały na mnie inne jeszcze zbiry, ściągałem całą tę sforę wprost na kark Alana.

Znajdowałem się na zachodnim krańcu lasu, gdy myśl o tych dwóch możliwościach wstrząsnęła mną, jakby mnie kto kijem zdzielił. Stałem jak wryty i serce we mnie zamarło. – Cóż ja zrobiłem najlepszego? – pomyślałem sobie i zawróciwszy ruszyłem szybko w inną stronę.

Niebawem ujrzałem wprost przed sobą domy i opłotki Silvermills, pomiędzy którymi wiodła ścieżka kręta, lecz dobrze widoczna. Przypomniałem sobie wskazówki Stewarta i postanowiłem wykorzystać ten układ terenu. Pobiegłem więc brzegiem ruczaju, dotarłem do wschodniego skraju lasu, zawróciłem i przedarłszy się przez jego środek, powróciłem na skraj zachodni, skąd mogłem znowu objąć wzrokiem ścieżkę, sam pozostając niewidoczny. Nikogo tam nie dostrzegłem i otucha zaczęła we mnie wstępować.

Przez przeszło godzinę siedziałem ukryty na skraju lasu i żaden zając czy orzeł nie pełniłby straży czujniej ode mnie. Gdy się tam zaszyłem, było już po zachodzie słońca, lecz całe niebo lśniło jeszcze złotym blaskiem i światło dzienne panowało wszędzie; przed upływem godziny nastał zmierzch, obrazy i odległości pomiędzy nimi zaczęły się zlewać ze sobą, i obserwacja stawała się coraz trudniejsza. Przez cały ten czas żadna ludzka istota nie wyszła z Silvermills w kierunku wschodnim, nieliczne zaś osoby podążające na zachód rozpoznałem jako Bogu ducha winnych wieśniaków oraz ich żony, powracające na noc do domu; wywnioskowałem z tego, że nawet gdyby na moje tropy puszczono najprzebieglejszych szpiegów w Europie, to żadnym naturalnym rzeczy porządkiem nie zdołaliby się wywiedzieć, gdzie się znajdują. Wszedłem więc nieco dalej w głąb zagajnika i położyłem się w gęstym podszyciu drzew, czekając na Alana.

Czułem się zmęczony wysiłkiem natężonej uwagi, z jaką obserwowałem nie tylko ścieżkę, ale i każdy krzak czy pole w zasięgu mego wzroku. Księżyc, wchodzący w pierwszą kwadrę, rozświetlał nieco las, wszędzie dokoła panowała wiejska cisza. A że miałem tam leżeć przez parę następnych godzin, uznałem za stosowne przeanalizować moje ostatnie poczynania.



Dwie myśli narzuciły mi się od razu: nie wolno mi było iść tego dnia do Dean, a skoro już tam poszedłem, nie wolno mi było przebywać tam, gdzie się właśnie znajdowałem. Alan miał się tam pojawić, a więc był to jedyny las, jak Szkocja długa i szeroka, którego rozsądek nakazywał mi unikać. Zgodziłem się z tym, a jednak pozostałem na miejscu, dalsze sobie czyniąc wyrzuty. Rozmyślałem o tym, jak potraktowałem Katrionę tej nocy: jak paplałem o ciężającej na mnie odpowiedzialności za życie dwóch ludzi – przez co zmusiłem ją do narażenia życia jej ojca; i o tym, jak ponownie bez ważkiego uzasadnienia, wystawiałem na niebezpieczeństwo losy Alana i Jamesa. Świadomość dobrze spełnionego obowiązku jest główną podstawą odwagi. Zaledwie straciłem tę ufność, poczułem się bezbronny wobec całej chmary przerażających obaw. Aż nagle poderwałem się nową myślą tknięty. Dlaczegoż nie miałbym wyruszyć natychmiast do Prestongrange'a, stawić się u niego (na co by mi czasu starczyło) przed jego udaniem się na spoczynek i zdać się całkowicie na jego wolę? Któż miałby mi to za złe? Przecież nie prawnik Stewart; wystarczyłoby mu powiedzieć, że mnie śledzą, że nie potrafię wydostać się z matni, wobec czego dałem za wygraną. Przecież nie Katriona; i dla niej miałem gotową odpowiedź: że nie mogłem się pogodzić z tym, by przeze mnie narażała życie swego ojca. Tak więc mógłbym w jednej chwili otrząsnąć się ze wszystkich moich kłopotów, które mówiąc szczerze nie były wcale moimi: odczepić się ostatecznie od morderstwa w Ap-pin; pozbyć się za jednym zamachem wszystkich Stewartów i Campbellów, wszystkich wigów i torysów w całym kraju; żyć odtąd niezależnie, cieszyć się własną fortuną i powiększać swój stan posiadania, i wreszcie móc poświęcić nieco czasu własnej młodości, ubieganiu się o Katrionę, co byłoby stanowczo odpowiedniejszym dla mnie zajęciem, i niż ukrywać się jak ścigany złoczyńca i rozpoczynać od nowa straszliwe trudy ucieczki z Alanem.

Początkowo taka kapitulacja nie wydawała mi się niczym hańbiącym. Dziwiłem się nawet, że nie wpadłem wcześniej na ten pomysł, i zacząłem się zastanawiać nad przyczynami zmiany mego stanowiska. Należało się ich doszukiwać – orzekł głos mego sumienia – w małoduszności, w którą popadłem na skutek ostatnich nieopatrznych kroków, a te z kolei, wywodziły się z odwiecznego, powszechnego, zbyt lekceważonego grzechu samolubstwa. I zaraz przyszły mi na myśl słowa psalmisty: „Azali szatan może się wyrzec szatana” – Cóżem uczynił? – pomyślałem sobie – w imię samolubstwa, wybierając drogę najmniejszego oporu, ulegając powabom młodej dziewczyny, sprzeniewierzyłem się wszystkim dobrym cechom mego charakteru i naraziłem na szwank życie Alana i Jamesa. I miałbym szukać wyjścia z tej sytuacji na tej samej drodze, która doprowadziła mnie do upadku? Nie, szkoda, jaką wyrządziłem przez samolubstwo, musi być naprawiona przez poświęcenie; słabość, której schlebiałem, musi być pogięta. Do czego więc największą odczuwałem niechęć? Do opuszczenia tego lasu, nie widząc się z Alanem, i wyruszenia znowu samotnie w ciemność, gdzie czyhały na mnie nieznanne i groźne niebezpieczeństwa.

Opisałem nieco dokładniej te moje refleksje, sądzę bowiem, że płynie z nich pewna nauka mogąca posłużyć za przykład dla młodzieży. Lecz jest – jak powiadają – sens w sadzeniu kapusty i nawet w etyce i w religii jest miejsce dla zdrowego rozsądku. Zbliżała się godzina Alana i księżyc już zaszedł. Jeślibym wówczas odszedł (a nie należało się spodziewać, abym usłużnym gwizdaniem dał znać szpiegom, któredy mają iść za mną), mogliby łącznie zgubić mnie w ciemności i natknąć się omyłkowo na Alana. Pozostając zaś na miejscu, mogłem przynajmniej ostrzec przyjaciela i kto wie, czy nie zdecydować w ten sposób o jego losie. Zaniechałem ochrony innych osób ulegając podszeptom samolubstwa; ponowne ich narażenie gwoli tylko pokuty byłoby zaiste nierozsądnym krokiem. Toteż zaledwie porwałem się na nogi z mojej kryjówki, przycupnąłem w niej znowu, ale w innym już stanie ducha; dziwiąc się mej przeszłej słabości i radując się z jej opanowania.

Wkrótce potem usłyszałem trzask gałązek w pobliskich krzakach. Przyłożyłem usta prawie do samej ziemi i zagwizdałem parę taktów melodii Alana. Odpowiedział mi pogwizdując cichutko parę jej dalszych taktów i po chwili zetknęliśmy się w ciemności.

- Czy to ty, Davie? – wyszeptał.
- We własnej osobie.
- Mój Boże, jakże się za tobą stęskniłem! Przez cały dzień tkwiłem wewnątrz kopy siana, gdzie nie mogłem dojrzeć czubków moich dziesięciu palców, a potem co noc przez dwie godziny tutaj, a ty wciąż się nie pojawiałeś. Do licha, w samą porę przylazłeś, bo odpływam dziś w nocy. Dziś w nocy? Co ja mówię, dzisiaj rano!
- Tak, drogi Alanie, oczywiście dzisiaj rano, bo już północ minęła, a ty tego dnia masz odpłynąć. I długą masz jeszcze drogę przed sobą.
- Przedtem musimy się nagadać do syta.
- A jakże, niemało mam wiadomości do podzielenia się z tobą.
- Opowiedziałem mu wszystko, co zaszło, raczej bez ładu i składu, ale wystarczająco jasno. Słuchał mnie, z rzadka tylko przerywając pytaniem i wybuchając od czasu do czasu śmiechem, jakby uradowany przebiegiem wypadków. Odgłos śmiechu Alana (zwłaszcza w mroku tak gęstym, że nie widzieliśmy się wzajemnie) podniósł mnie znakomicie na duchu.
- Dziwny z ciebie chłopak, Davie – rzekł, gdy umilkłem wreszcie – i nie spotkam chyba takiego drugiego. A jeśli chodzi o twoje przeżycia, to Prestongrange jest wigiem, tak samo jak ty, więc lepiej nie mówmy o tym, lubo uważam, że najżyczliwszego miałbyś w nim człowieka, gdybyś tylko mógł mu zaufać. Ale Simon Fraser i James More należą do zwierzyny, w której nie gustuję i określam ich mianem, na jakie zasługują. Najbrzydliwszy, rogaty i ogoniasty diabeł spłodził cały ród Fraserów, wszak wszyscy o tym wiedzą. A co do Macgregorów, od małego pędraka nie mogłem znieść ich smrodliwej obecności. Pamiętam, jak jednego z nich zbiłem wtedy na kwaśne jabłko, a tak kiepsko się jeszcze wówczas trzymałem na nogach, że się o niego przewróciłem. Dumny był mój ojciec tego dnia, Panie, świeć nad jego duszą, i miał na pewno rację. Robin jest nie lada kobziarzem, nigdy temu nie zaprzeczę, ale James More to iście diabelskie nasienie.
- Musimy przede wszystkim rozważyć – rzekłem – czy Charles Stewart miał, czy nie miał racji. Czy oni na mnie tylko polują, czy też na nas obu?
- A cóż ty o tym myślisz? Niemałego już nabyłeś doświadczenia.
- Nie mam pojęcia.
- I ja również. Czy sądzisz, że ta dziewczyna dotrzyma słowa?
- Tak, na pewno.
- Hm, kobiety nigdy nie można być pewnym. Ale co się stało, już się nie odstanie, a zresztą Neil już dawno dołączył do tamtych.
- Jak myślisz, wielu ich może być?
- To zależy. Gdyby o ciebie tylko chodziło, wysłaliby dwóch, może trzech młodych, krzepkich zbirów, ale jeśli spodziewają się mego udziału w tej zabawie, to sądzę, że nie mniej jak dwunastu.
- Nie mogłem nad sobą zapanować i roześmiałem się cicho.
- I zobaczyłbyś na własne oczy, jak przegnałbym cały ich tuzin! Ażby się za nimi kurzyło!
- Mniejsza o to, tym razem udało mi się ich pozbyć na czas jakiś.
- Tak ci się wydaje, a ja nie byłbym wcale zaskoczony, gdyby się okazało, że oto teraz myszczą w naszym lesie. Widzisz, Davie, mój chłopcze, to na pewno są górale, a dla nich to fraszka. Jedni należą do Frasera, drudzy, jak sądzę, do Macgregora, a nie ma co gadać, obaj, zwłaszcza Macgregor, to sprytni i doświadczeni ludzie. Człowiek niewiele umie tak długo, dopóki nie potrafi przegnać stada dorodnego bydła przez gęsto porośnięte okolice, mając nieraz żołnierzy następujących mu na pięty. W taki to przeważnie sposób nauczyłem się obrotności. Co tu gadać, kradzież bydła jest najlepszą szkołą, a drugą dopiero z kolei jest wojna, chociaż na ogół mniej intratny to interes. Otóż Macgregorowie mają pod tym względem nie lada praktykę.
- Ta część mojego wykształcenia została istotnie zaniedbana.

– Co rzuca się w oczy na każdym kroku. Dziwni jesteście wy wszyscy, w szkołach uczeni; nie zdajecie sobie sprawy z własnej ignorancji. Cóż by mi przyszło ze znajomości greki czy hebrajskiego? Ale wiem przynajmniej, że nie mam o tym pojęcia. A ty? Poleżałeś sobie dłuższą chwilę na brzuchu w tych zaroślach i powiadasz, że pozbyłeś się Fraserów i Macgregorów! Tylko dlatego, że ich nie widzisz. Ależ durniu, oni z tego żyją!

– Przyjmując tę najgorszą możliwość, co mamy robić?

– Nad tym właśnie się głowię. Moglibyśmy się rozdzielić. Wszelako nie w smak mi taka decyzja, a ponadto ważkie przeciwko niej przemawiają argumenty. Po pierwsze, teraz jest wyjątkowo ciemno i kto wie, czy nie udałoby się nam czmychnąć im gładko sprzed nosa. Trzymając się razem, poruszamy się po jednej linii, idąc zaś osobno, zwiększamy prawdopodobieństwo natknięcia się na któregoś z twoich natrętnych opiekunów. Po drugie, o ile zdolają się utrzymać na naszym tropie, może nam wypadnie rozprawić się z nimi z bronią w ręku. A wtedy, wyznaję szczerze, różniej mi będzie mieć ciebie u boku, i sądzę, że i ty dobrze wyjdiesz na dotrzymaniu mi towarzystwa. A więc, moim zdaniem, powinniśmy, nie tracąc ani chwili, wyczołgać się z tego lasu, pomknąć ku wybrzeżu i tam zapaść gdzieś na wschód od Gillane, gdzie mam oczekiwać na statek. Powędrujemy sobie razem, Davie, tak samo jak ongiś, a gdy nadejdzie pora, namyślimy się, co masz dalej ze sobą począć. Nie mogę się zdobyć na pozostawienie ciebie tutaj samego.

– Niech i tak będzie! Czy wrócisz tam, gdzie się dotychczas ukrywałeś?

– Broń Boże! Na pocziwych trafiłem ludzi, ale nie sądzę, aby mieli ochotę jeszcze ujrzeć szlachetne rysy mojej twarzy. W takich jak obecne okolicznościach trudno mnie zaliczyć do mile widzianych gości. Tym bardziej więc mi zależy na twoim towarzystwie, panie Dawidzie Balfourze z Shaws, zwłaszcza że pomijając dwie krótkie pogawędki z Charlie Stewartem w tym lesie, prawie z nikim nie miałem okazji pogadać od czasu, gdy się rozstaliśmy w Corstorphine.

Co rzekłszy, Alan powstał i zaczęliśmy się przedzierać przez las, bardzo powoli i ostrożnie, w kierunku wschodnim.

## XII. ZNOWU W DRODZE Z ALANEM

Godzina była między pierwszą a drugą po północy. Księżyc już zaszedł (o czym wspomniałem poprzednio) i dosyć porywisty wiatr, gnający wielkie zwały chmur, zerwał się nagle z zachodu. Wyruszyliśmy więc w mroku tak gęstym, że żaden zbieg lub morderca nie mógłby sposobniejszej sobie życzyć nocy. Widniejąca na tym tle biała ścieżka zawiodła nas do śpiącego miasteczka Broughton; następnie przeszliśmy przez wioskę Picardy i obok mojej starej znajomej szubienicy z wiszącymi na niej złodziejami. Nieco dalej mrugające z oddali światło w górnym oknie któregoś z domów w Lochend wskazało nam kierunek i orientując się według niego, przeważnie jednak na chybił trafił, brnęliśmy na przełaj, deptając zboża na polach, upadając i potykając się o miedze, aż doszliśmy wreszcie do płaskiego obszaru oparzelisk i mokradeł, zwanego Figgate Whins. Położyliśmy się tam pod krzakiem żarnowca i przespaliśmy resztę nocy.

Rozwidniło się koło godziny piątej i piękny nastał poranek. Zachodni wiatr dął nadal raźnie, lecz wszystkie chmury odpływały ku Europie. Alan już nie spał, siedział uśmiechając się do siebie. Widziałem mego przyjaciela po raz pierwszy od chwili naszej rozłąki i patrzyłem na niego z radością. Miał na sobie ten sam obszerny płaszcz; nową natomiast częścią jego stroju były grube, wełniane pończochy domowego wyrobu, naciągnięte aż powyżej kolan. Chodziło mu oczywiście o coś w rodzaju przebrania, ale że dzień zapowiadał się upalny, nadawało to jego postaci nader dziwaczny wygląd.

– Jak się masz, Davie – rzekł. – Czyż nie śliczny mamy poranek? Tak właśnie uczciwy dzień winien wyglądać. Nie przypomina to w niczym ciemności wewnątrz mego stogu siana. A podczas gdy ty pochrapywałeś w najlepsze, ja pochłonięty byłem czynnością, której może zbyt rzadko się oddaję.

– Cóż robiłeś?

– Po prostu odmawiałem pacierze.

– A gdzie są moi, jak ich nazywasz, opiekunowie?

– Bóg raczy wiedzieć, a my, krótko mówiąc, musimy z tego skorzystać. Nogi za pas, Davie! Raz jeszcze – prowadź, Fortuno! Spory szmat drogi mamy przed sobą.

Ruszyliśmy więc w kierunku wschodnim, wzdłuż morza, w stronę ujścia rzeki Esk, gdzie dymiły warzelnie soli. Przepyszne poranne słońce krasilo całą okolicę, co wprowadziło Alana w wylewny nastrój.

– Czuję się jak skończony bęcwał – mówił – opuszczając Szkocję w taki dzień. Przychodzi mi do głowy, czy nie byłoby lepiej pozostać tutaj w ukryciu?

– Tego nie możesz uczynić, Alanie.

– Masz rację; we Francji również niezgorzej się żyje, ale jakoś nie tak samo. Piękniejszy to nawet, jak mi się wydaje, kraj, ale cóż z tego, to nie Szkocja. Lubię Francję, skoro już tam jestem, ale cni mi się za strzechami z torfu i zapachem, jaki niesie dym torfowego ogniska.

– Jeśli to jest jedyne twoje zmartwienie, nie masz powodów tak lamentować.

– Nie przystoi mi narzekać, wszak tylko co wylazłem z tej obrzydłej kopy siana.

- Tak ci się tam przykrzyło?
- To nie jest właściwe wyrażenie, nie należę bowiem do ludzi łatwo upadających na duchu, ale lepiej się czuję na otwartym powietrzu, niebo tylko mając nad głową. Jak mawiała jedna z moich starych ciotek: milszy dla ucha jest śpiew skowronka niż chrobotanie myszy. To miejsce, przyznaję, nadawało się doskonale na kryjówkę, ale ciemno tam było od świtu do zmierzchu jak w piwnicy i bywały dni – a może i noce, bo jakże miałem je odróżnić – kiedy czas dłużył mi się okropnie, jak przed nadejściem wiosny po długiej zimie.
- A skąd wiedziałeś, która godzina, wychodząc na umówione spotkanie?
- Zaczny mój gospodarz przynosił mi około godziny jedenastej coś do zjedzenia, kapkę gorzały i ogarek lojówki, abym się przy jej świetle posilił. Wiedziałem więc, że wkrótce potem trzeba się wysmyknąć do lasu, gdzie kładłem się w krzakach i wyczekiwałem z utęsknieniem ciebie, Davie – co mówiąc położył mi rękę na ramieniu – zastanawiając się, ile czasu mogło już upłynąć i ile mi jeszcze zostało, chyba że zjawiał się Charlie Stewart i mogłem się posłużyć jego zegarkiem, po czym hyc z powrotem do mojej nieszczęsnej szopy. Uf, wynudziłem się setnie i Bogu składam dzięki, że pozwolił mi wytrwać.
- Jakże spędzałeś czas?
- Najmilej jak tylko się dało! Czasami grałem w kości. Należę do wyjątkowo zręcznych graczy, ale niewielka to jest satysfakcja, gdy nie ma nikogo, co by mnie podziwiał. Czasami zaś układałem pieśni.
- O czym?
- Po prostu o jeleniach i wrzosowiskach, o czynach i chwale dawnych wodzów, i w ogóle o wszystkim, co się w pieśniach śpiewa. Chwilami wyobrażałem sobie, że mam kobzę i gram na niej. Skomponowałem nawet parę pięknych utworów i wygrywałem je od ucha. Dalibóg zdawało mi się wtedy, że słyszę, jak moja kobza kwili, zawodzi i śpiewa. Ale co najważniejsze, mam to wszystko już za sobą!
- Po czym zachęcił mnie do opowiedzenia mu raz jeszcze, bardziej szczegółowo, o moich przeżyciach, których ponownie wysłuchał, przytakując, wychwalając mnie hojnie i coraz to wydziwiając, jako że – powiadał – „dziwnego pokroju z ciebie chłopak”.
- A więc bałeś się Simona Frasera? – przerwał mi w pewnej chwili.
- Dalibóg bałem się go okropnie!
- Mnie również on by strachu napędził, gdyż zaiste straszny to człowiek. Trzeba oddać czartu, co piekielne: powiadam ci, na polu bitwy należy on do godnych największego szacunku.
- Taki mężny?
- Mężny? Równie mężny jak klinga mojej szabli!
- Relacja o moim pojedynku napełniła Alana niezwykłym wzburzeniem.
- Coś podobnego! – wykrzyknął. – Przecież pokazywałem ci tę sztuczkę jeszcze w Corrynakiegh! Trzy razy! Trzy razy rozbrojony! To hańba dla mnie, który cię uczyłem władać bronią. Zatrzymaj się natychmiast i dobądź szpady z pochwy. Nie ruszysz się ani kroku dalej, zanim nie nauczę cię lepiej dbać o swoją – i moją – reputację!
- Oszalałeś, Alanie, upał uderza ci do głowy. Teraz nie pora na lekcje fechtunku.
- Temu nie mogę zaprzeczyć. Ale trzy razy... chłopie! Stałeś tam na placu jak słomiane straszdyło na wróble, aportowałeś swoją broń jak pudel chustkę do nosa! Ten porucznik Duncansby musi być wprost wyjątkowym człowiekiem! Niesłuchanie wprawnym we władaniu białą bronią! Gdybym miał czas po temu, tobym zawrócił i sam się z nim zmierzył. On musi być fechtmistrem w swym pułku.
- Zapominasz, głuptasie, że tylko ze mną miał do czynienia.
- Ależ trzy razy! Trzy razy rozbrojony!
- Przecież sam wiesz dobrze, jaki ze mnie niezdar.
- Nie szkodzi. Trzy razy! Nigdy nic podobnego nie słyszałem.

– Jedno mogę ci obiecać, Alanie: gdy się następnym razem spotkamy, będę już lepiej wykształcony. Nie powstydzisz się już przyjaciela, co nie może ani szabli w garści utrzymać, ani ciosu zadać.

– Następnym razem! Kiedyż to będzie, chciałbym wiedzieć?

– Ja również rozmyślałem o tym cokolwiek i mój plan jest następujący: chciałbym zostać adwokatem.

– Cóż to za nudna profesja, Davie, a do tego raczej szelmowska. Z dwojga złego lepiej nosić mundur królewskiego oficera.

– To by nam na pewno ułatwiło spotkanie. Ponieważ jednak ty będziesz w mundurze króla Ludwika, ja zaś w mundurze króla Jerzego, kiepsko by się to mogło zakończyć.

– Jest w tym nieco racji.

– A więc wolę już zostać adwokatem, co zresztą dla dżentelmena, którego trzy razy rozbroił przeciwnik, odpowiedniejszym jest od żołnierki zajęciem. Ale mój plan ma jeszcze inne, bardziej nęcące zalety; jedną z najlepszych szkół dla tego rodzaju studiów jest uniwersytet w Leyden, w Holandii. Tam właśnie kształcił się mój powinowaty, uczony pan Balfour z Pilrig. A teraz słuchaj uważnie, Alanie: czy oficer z Royal Ecossais nie mógłby postarać się o urlop, przedostać się przez granicę i odwiedzić pewnego studenta w Leyden?

– Ależ oczywiście! – zawołał. – Cieszę się względami mego pułkownika, hrabiego Drummond-Melfort, a co ważniejsze w tym wypadku, mój kuzyn jest podpułkownikiem szkockiego regimentu na holenderskim żołdzie. Nic zatem bardziej naturalnego jak prośba o urlop w celu odwiedzenia podpułkownika Stewarta z Halketts. Zaś lord Melfort, który jest bardzo uczonym człowiekiem i pisze książki, jak sam Cezar, na pewno chętnie skorzysta z obserwacji, jakie przy tej sposobności będę mógł poczynić.

– A więc lord Melfort jest pisarzem? – zapytałem. Aczkolwiek bowiem Alan wysoko cenił wojskowych, ja wyżej jeszcze stawiałem autorów książek.

– Tak, właśnie. A zdawałoby się, że pułkownik powinien mieć coś ważniejszego do roboty. Nie przystoi mi jednak takiej wyrażać opinii, mnie, który układa pieśni.

– A zatem pozostaje ci tylko podać swój adres we Francji, a skoro tylko znajdę się w Leyden, dostarczę ci mój.

– Najlepiej byłoby pisać do mnie na adres mego wodza: Jaśnie Wielmożny Charles Stewart z Ardshiel, w mieście Melons, w prowincji Isle de France. Prędzej czy później twój list dojdzie do moich rąk.

W Musselburgh zjedliśmy śniadanie, złożone ze smażonych ryb i ubawiłem się szczerze słuchając rozmowy Alana z usługującą nam właścicielką gospody. Jego płaszcz i wełniane pończochy rzucały się w oczy w ten ciepły poranek i jakieś wytłumaczenie tego dziwaczного stroju wydawało się wskazane. Alan nie omieszkiał skierować jej ciekawości, która mogłaby się okazać zbyt natrętna, w innym kierunku; rozpoczął od komplementów na temat jej smażonych ryb i przez resztę naszego tam pobytu prowadził z nią nader ożywiony dyskurs o zaziębieniu swego żołądka, wtajemniczając ją szczegółowo i z całą powagą w liczne symptomy swej choroby oraz związanych z nią cierpień i wysłuchując z niesłabnącym zainteresowaniem jej rad i wzmianek o przeróżnych babskich sposobach leczenia.

Opuściliśmy Musselburgh, zanim nadjechał codzienny dylizans z Edynburga, gdyż Alan wolał unikać tego rodzaju spotkań. Wiatr, chociaż nadal silny, był bardzo ciepły, słońce przypiekało niezgorzej, co Alanowi dawało się coraz bardziej we znaki. Dochodząc do Prestonpans zboczyliśmy na jego żądanie i Alan zmęczył się bardziej, niż należało, pokazując mi pole bitwy stoczonej tam w 1745 roku i opowiadając jej kolejne perypetie. Stamtąd, wciąż forsownym marszem, zawędrowaliśmy do Cockenzie. Budowano tam kutry do połowu śledzi, lecz pomimo to miasteczko wydawało się podupadłe i wyludnione, około połowy domów stało w ruinach. Karczma natomiast była schludna i Alan, któremu upał dokuczył już niemało,

skorzystał z okazji, aby się pokrzepić butelką piwa i uraczyć następną babinę tą samą wersją swych żołądkowych dolegliwości, z taką tylko różnicą, że tym razem symptomy były inne.

Słuchając jego wyrzekań uświadomiłem sobie, że nigdy go właściwie nie słyszałem przemawiającego poważnie do jakiegokolwiek kobiety. Pokpiwał sobie z nich zawsze, najprzeróżniejsze wygadując facecje, a jednak nie szczędził na to energii i pomysłowości. Wspomniałem mu o tym, gdy gospodyni, odwołana do jakiejś roboty, pozostawiła nas samych.

– Mężczyzna – odpowiedział Alan – powinien zawsze olśniewać niewiasty i radować niebogi gadaniem. Oto czego musisz się jeszcze nauczyć, Davie, jeśli chcesz osiąść arkana mądrości życiowej. Gdyby ta tutaj karczmarka była młodą lub choćby tylko urodziwą dziewczyną, nigdy bym jej nie wspomniał o perturbacjach w moim brzuchu. Ale gdy białogłowy są już zbyt leciwe, aby pożądać miłosnych przeżyć, ich ulubionym zajęciem staje się stosowanie leków. Nie wiem dlaczego, ale tak już jest, widocznie Stwórca taką właśnie obdarzył je naturą. I kpm jest taki mężczyzna, który się z tym nie liczy.

W tej chwili gospodyni zjawiała się z powrotem i Alan odwrócił się ode mnie, jakby oczekiwał z niecierpliwością wznowienia przerwanej rozmowy. Już przedtem kobiecina przeszła była od przypadku Alanowego żołądka do losu swego szwagra w Aberlady i teraz przystąpiła do wyczerpującego opisu jego choroby i zgonu. Chwilami było to tylko nudne, chwilami zarówno nudne jak i drażniące, mówiła bowiem z niemałym namaszczeniem. Na skutek czego popadłem w senną zadumę, gapiąc się w okno wychodzące na drogę, nie zwracając jednak zbyt uwagi na to, co się za nim dzieje. Wszelako gdyby ktokolwiek na mnie wówczas patrzył, musiałby dostrzec, że wzdrygnąłem się nagle.

– Zanurzyliśmy mu nogi w kwaśnym mleku – mówiła stara – na brzuch dałyśmy okład z lnianego siemienia, do wypicia wywar z szaławii, macierzanki i tymianku, natarliśmy mu piersi doskonałym siarkowym balsamem...

– Panie – przerwałem jej bardzo spokojnie, zwracając się do Alana – jeden z moich przyjaciół przeszedł właśnie koło domu.

– Czyżby? – rzekł Alan od niechcienia, jakby chodziło o błahostkę. Po czym do niej: – Co pani mówiła? – I stara nudziarka zaczęła dalej trajkotać.

Po chwili jednak zapłacił jej za śniadanie półkoronową monetą, co zmusiło ją do wyjścia z izby, aby przynieść nam resztę.

– Czy ten z rudym łbem? – zapytał Alan.

– Tenże sam.

– A co ci mówiłem tam w lesie?! – wykrzyknął. – Ale swoją drogą to dziwne, że i on się tutaj przypętał. Czy był sam?

– Tak, o ile mogłem zmiarkować.

– I powiadasz, że przeszedł koło domu?

– Prościutko, nie rozglądając się ani na prawo, ani na lewo.

– Hm... to jeszcze dziwniejsze, Davie, mój chłopcze, coś mi się widzi, że należy stąd zmykać. Ale dokąd? Diabli wiedzą. To doprawdy zupełnie jak podczas naszej dawnej wspólnej wędrówki.

– Z tą niemałą różnicą, że tym razem mamy pieniądze w kieszeni.

– I z tą jeszcze niemałą różnicą, panie Balfour, że tym razem ściga nas sfora psów gończych. Już są na naszym tropie, już grają, Davie! Coś licha układają się nasze sprawy. – Alan zamilkł i siedział zamyślony, a twarz jego przybrała dobrze mi znany wyraz.

– Słuchaj no, gospośiu – rzekł do karczmarki po jej powrocie – czy nie można stąd wyjść na jakąś boczną drogę?

Odpowiedziała twierdząco i dodała, dokąd prowadzi.

– A więc, panie – rzekł Alan zwracając się do mnie – sądzę, że tamtędy będzie nam najbliżej. Do widzenia, czcigodna niewiasto, będę pamiętał o twoim przepisie na cynamonowy odwar.

Opuściliśmy karczmę przez podwórze i wyszliśmy na dróżkę wijącą się wśród pól. Alan rozejrzał się bystro dokoła i stwierdziwszy, że znajdujemy się w małej, niewidocznej z daleka kotlinie, usiadł na ziemi.

– A teraz, Davie, przystąpimy do narady wojennej... Przedtem jednak wysłuchaj małej lekcji. Przypuśćmy, że zachowałbym się tak jak ty, co by pomyślała o nas ta starucha? Po prostu, że woleliśmy wyjść z karczmy tylnymi drzwiami. A teraz co sobie pomyśli? „Cóż to za miły, pocziwy jegomość, cierpiący stale na żołądek, i jakże szczerze interesował się losem mego szwagra”. Davie, mój chłopcze, spróbuj wreszcie nauczyć się jakiej takiej roztropności.

– Postaram się, Alanie.

– A teraz zajmijmy się właścicielem rudej czupryny. Czy szedł szybko, czy powoli?

– Ni tak, ni siak.

– Nic nie wskazywało, że mu pilno?

– Nic, zupełnie nic.

– Hm... to podejrzane. Żadnego z nich, żadnego śladu po nich nie dostrzeżliśmy dziś rano. Przeszedł opodal nas, nie wydawał się nikogo śledzić czy szukać, a jednak znalazł się na naszej drodze! Dalibóg, coś mi zaczyna w głowie świtać. Oni nie na ciebie mają chrapkę, lecz na mnie, i coś mi się widzi, że wiedzą, gdzie mnie można spotkać.

– Skądże mogą wiedzieć?

– Widocznie kapitan Andie Scougal mnie wydał, a może jego pierwszy oficer, który wiedział coś nieco o tej sprawie, a kto wie, czy pisarz Charlie Stewarta nie okazał się zdrajcą? Z czego również nic dobrego wyniknąć nie może. Jeśli więc mnie zapytasz, co ja osobiście o tym sądzę, odpowiem, że parę głów zostanie rozbitych na piaskach Gillane.

– Jeśli masz rację, będzie ich tam cała zgraja i niewiele nam przyjdzie z rozbijania głów.

– Tak, ale przynajmniej będziemy mieli nie lada satysfakcję. Poczekaj no jednak, Davie, muszę się nieco zastanowić... zdaje mi się, że dzięki temu pocziwemu wiatrowi z zachodu mogę się jeszcze z matni wydostać. Posłuchaj no, Davie: kapitan Scougal ma mnie wypatrywać dopiero o zmierzchu. „Ale – mówił – jeśli dostanę choć trochę zachodniego wiatru, mogę się tam znaleźć wcześniej i będę ciebie oczekiwał na kotwicy, za wyspą Fidra”. Otóż jeśli twoi opiekunowie znają to umówione ze Scougalem miejsce, wiedzą również, kiedy mam się tam zjawić. Zgadujesz, co mam na myśli? Dzięki generałowi Johnnie Cope i innym niedojdom w czerwonych mundurach znam te okolice jak własną kieszeń i jeśli gotów jesteś na jeszcze jedną wycieczkę z Alanem Breckiem, zawrócimy w głąb lasu i wyjdziemy znowu na wybrzeże od strony Dirleton. Jeśli zastaniemy tam statek, postaramy się dostać na jego pokład, a jeśli nie... będę musiał powrócić do mego ponurego stogu siana. Ale, tak czy inaczej, twoich opiekunów wystrychniemy na dudków.

– Może się nam to uda – odrzekłem – A więc w drogę, Alanie.



### XIII. NA PIASKACH GILLANE

Nie osiągnąłem pod przewodnictwem Alana takich korzyści, jak on ze swych marszów pod rozkazami generała Cope; nie potrafię bowiem, nawet w przybliżeniu, określić, którądy prowadziła nasza droga. Usprawiedliwia mnie szybkość naszej wędrówki; bądź rwaliśmy co siły w nogach, bądź biegliśmy truchtem lub szliśmy w zabójczym pośpiechu. Dwukrotnie, gdy biegliśmy całym pędem, natknęliśmy się na okolicznych wieśniaków, ale chociaż na pierwszego z nich wpadliśmy zupełnie niespodziewanie, Alan przygotowany był na wszystko, jak nabity muszkiet.

– Czy nie widziałeś mego konia? – zapytał dysząc ciężko.

– Nie, panie, żadnego konia dzisiaj nie widziałem – odpowiedział chłop.

Alan odżałował nieco czasu, aby mu wytłumaczyć, że podróżujemy, jak to się mówi, „na i przy koniu” (to znaczy, mając tylko jednego konia, kolejno jeden na nim siedzi, a drugi biegnie obok), że uciekł nasz wierzchowiec i obawiamy się, iż powrócił do domu, w Linton. Alan nie ograniczył się do tego i poświęcił nieco tchu (a niewiele mu go pozostało) na przeklinanie swego strapienia i mojej głupoty, która jak twierdził, była tego przyczyną.

– Ci, co nie mogą powiedzieć prawdy – mówił dalej – winni pamiętać o konieczności pozostawienia za sobą jakiegoś uczciwego, poręcznego łgarstwa. Jeśli bowiem ludziska nie wiedzą, co robisz, Davie, trapi to ich i korci, a jeśli myślą, że wiedzą, obchodzi to ich tyle, co mnie miska grochówki.

Ponieważ skierowaliśmy się początkowo w głąb lądu, droga nasza prowadziła prawie prosto na północ; po lewej ręce wskazywała nam kierunek widoczna z daleka dzwonnica starego kościoła w Aberlady; po prawej zaś szczyt wzgórz Berwick Law. I tak wyszliśmy znowu na wybrzeże niedaleko Dirleton.

Na zachód od North Berwick ciągnie się ku przylądkowi Gillane Ness łańcuch czterech małych wysepek, których szczególną cechą jest różnaitość ich rozmiarów i kształtów. Fidra jest najosobliwszą z nich, na tę bowiem szarą, skalistą wysepkę składają się dwa wysokie pagórki, zaokrąglone i obok siebie leżące, jak garby wielbłąda, a kontury jej tym bardziej zwracają uwagę, że stoją tam ruiny jakiegoś zamczyska. Pamiętam, w miarę jak się do nich zbliżaliśmy, morze zaczęło przeświecać przez jakieś okno lub drzwi i mrugać niczym ludzkie oko. Przy zachodnim wietrze wyspa Fidra stanowi dogodną osłonę dla zakotwiczonych za nią statków i tamże dostrzeżliśmy z daleka kołyszący się lekko na falach bryg „Thistle”.

Wybrzeże naprzeciwko tych wysp jest pełnym pustkowiem. Żadnej tam nie masz ludzkiej siedziby czy choćby tylko ścieżki. Gillane jest małą wioszczyną po przeciwnej stronie przylądka, pola mieszkańców Dirleton położone są dalej w głąb lądu, ci zaś z North Berwick wyruszają na połów ryb wprost z własnej przystani w zatoce. Toteż mało która część wybrzeża w tych stronach jest bardziej bezludna. Pamiętam jednak, że gdy czołgaliśmy się na brzuchach po tamtejszych rozlicznych wertepach, rozglądając się bystro na wszystkie strony, a serca waliły nam w piersiach, aż, rzekłbyś, zebra trzeszczały, tak powabny był blask słońca i morza, tak głośno wiatr szemrał wśród traw i taki ruch panował wśród chroniących się pod nami, w norach, królików i podrywających się nad nami mew, że zdawało mi się, iż owa pu-

stynia tętni życiem. Okolica ta nadawała się doskonale na sekretne zaokrętowanie, o ile sekret byłby utrzymany; i chociaż już wiedziano, dokąd zmierzamy, i miejsce to było bacznie strzeżone, udało się nam podpełznąć niepostrzeżenie na piaszczyste wzgórza położone bezpośrednio nad plażą i morzem. Dobrnawszy tam Alan znieruchomiał.

– Davie – rzekł po chwili – mamy przed sobą trudną przeprawę. Tak długo, jak tu leżymy, nic nam nie grozi, lecz nie zbliża to mnie ani do mego statku, ani do brzegów Francji. Gdy tylko natomiast powstaniemy i damy znać o naszym przybyciu, w zgoła innej znajdziemy się sytuacji. Jak myślisz, gdzie mogą być teraz twoi opiekunowie?

– Może ich tu jeszcze nie ma, a jeśli nawet są, jedna przynajmniej okoliczność przemawia wyraźnie na naszą korzyść. Wszystkie ich ruchy są obliczone na schwytanie nas, ale spodziewają się naszego nadejścia na tę plażę od wschodu, podczas gdy my znajdujemy się na jej zachodniej stronie.

– Masz rację. Czemuż nie jesteśmy oddziałem wojska przed bitwą, bylibyśmy ich gracko wymanewrowali! Niestety, sprawa przedstawia się cokolwiek mniej zachęcająco i niezbyt przypada do gustu Alanowi Breckowi. Waham się, Davie.

– Czas leci, Alanie.

– Wiem o tym, o niczym innym nie myślę, jak powiadają Francuzi. Ale to jest gra w orła i reszkę, a stawką jest moja głowa. Ach, gdybym mógł wiedzieć, gdzie są w tej chwili twoi opiekunowie!

– Niegodna ciebie taka postawa, Alanie; teraz albo nigdy!

*Ani ja, ani ty, lecz tylko ten trzeci,  
Hej, chłopcze, pamiętaj, skorzysta ten trzeci!*

Zaśpiewał Alan przybierając pocieszna, ni to przerażona, ni to drwiąca minę.

Po czym zerwał się na równe nogi i wymachując trzymaną w prawej ręce chustką, zbiegł prosto na plażę. Powstałem również, lecz szedłem nieco za nim, rozglądając się po wschodniej stronie ciągnących się wzdłuż morza piaszczystych wydmy. Pojawienie się Alana nie zwróciło początkowo niczyjej uwagi. Kapitan Scougal nie spodziewał się go tak szybko, moi zaś „opiekunowie” wypatrywali nas od wschodu. Wkrótce jednak dojrżeli go na brygu i musieli być na to przygotowani, gdyż po paru zaledwie sekundach bieganiny po pokładzie spuścili łódź z rufy i zaczęli wiosłować co sił ku wybrzeżu. Bez mała w tej samej chwili na piaszczystej wydmy, w odległości mniej więcej pół mili od strony Gillane Ness, ukazała się przez mgnienie oka postać wymachującego rękami mężczyzny. I chociaż zniknął błyskawicznie, spłoszone mewy krążyły tam jeszcze czas jakiś.

Alan nie widział go, patrzył bowiem na statek i łódź.

– Niech się dzieje co chce – rzekł, gdy mu o tym powiedziałem – machajcie tam żwawo wiosłami, bo inaczej trza mi będzie ich szablą rozpedzić.

Plaża w tym miejscu długa była i płaska, doskonale się po niej chodziło podczas odpływu. Przedzierała ją maleńki, pokryty gęsto rześlą strumyk wpadający do morza, a po obu jego stronach, niczym miejskie wały obronne, ciągnęły się piaszczyste pagórki. Nie mogliśmy dojrzeć, co się poza nimi dzieje, nie mogliśmy w niczym się przyczynić do przyśpieszenia biegu łodzi. Staliśmy więc, wyczekując na nią, bezradni, a czas włókł się przerażająco powoli.

– Jedno chciałbym wiedzieć – rzekł Alan. – Jakie twoi opiekunowie otrzymali rozkazy? Obie nasze głowy są warte czterysta funtów. Czy nie użyją więc strzelb? Ze szczytów tych wydmy byle jaki strzelec z łatwością nas kulą dosięgnie.

– Tego się nie obawiaj, a to z bardzo prostego powodu: oni nie mogą nosić strzelb, to zbyt widoczna broń, a cała ta impreza jest poufna. Mogą mieć pistolety, ale nie strzelby.

– Masz zapewne rację, ale pomimo to bardzo mi pilno znaleźć się w łodzi. – Trzasnął palcami i zagwizdał, jakby przywołując psa.

Łódź przebyła już około jednej trzeciej odległości dzielącej statek od plaży, my zaś staliśmy już na samym przylegającym do morza jej skraju i moje nogi grzęzły w mokrym piasku. Nie mogliśmy nic więcej uczynić, jak tylko czekać, wpatrując się z utęsknieniem przed siebie, w zbliżającą się łódź, i unikać spoglądania za siebie, ku pasmu piaszczystych wzgórz, nad którymi kwiliły mewy i poza którymi zbiegali się na pewno nasi wrogowie.

– Chcąc kogoś zastrzelić, trudno byłoby znaleźć sposobniejsze miejsce – rzekł nagle Alan.  
– Zazdroszczę ci twojej odwagi!

– Co też ty wygadujesz, Alanie! Jesteś uosobieniem odwagi; to jest naczelną cnotą męskiego charakteru i byłbym tego dowodem, gdyby tu nikogo innego nie było.

– Mylisz się gruntownie. Góruję istotnie nad tobą pod względem pomysłu i doświadczenia życiowego, ale jeśli chodzi o butną, zaciętą, nieustępliwą, upartą odwagę, niewart jestem być twoim pachołkiem. Oto stoimy tutaj na tej piaszczystej łasze i mnie aż pięty świerzbą, tak mi pilno stąd uchodzić, ty zaś, jak mi się wydaje, zastanawiasz się, czy by tu nie pozostać. Czy myślisz, że ja, będąc na twoim miejscu, zawahałbym się choćby przez chwilę? Na pewno nie! Po pierwsze dlatego, że nie starczyłoby mi na to odwagi, a po drugie, że roztropniejszy jestem od ciebie i bardziej przewidujący i... niech mnie diabli wezmą, jeśli ci pozwolę tutaj pozostać!

– A więc do tego zmierzasz?! – zawołałem. – Drogi mój Alanie, potrafisz omamić stare baby, ale nie mnie.

Wspomnienie pokusy, jaka nawiedziła mnie w lesie koło Silvermills, twardym mnie uczyniło jak stal.

– Polegających na mnie zawieść nie mogę. Umówiłem się z twoim kuzynem Charlie Stewartem i zobowiązałem się słowem.

– Nie zdołasz słowa dotrzymać, te zbiry za wzgórzami nigdy do tego nie dopuszczą. Więc po co miałbyś tutaj pozostać? Odpowiedz mi na to, braciszku! – Alan przemawiał z rosnącą i grozę budzącą powagą. – Czy po to, aby cię uprowadzili jak lady Grange? Czy po to, aby cię zadźgali sztyletami i zakopali w tych piaskach? A może po to, abyś zasiadł na ławie oskarżonych obok Jamesa? Czy to są ludzie, którym można zawierzyć? Czy chcesz złożyć głowę prosto w paszczę Simona Frasera i reszty tych nikczemnych wigów? – Te ostatnie słowa Alan wymówił z przejmującą goryczą.

– Alanie! – zawołałem. – Kłamcy to są i łotry, co do tego zgadzam się z tobą. Tym bardziej choć jeden uczciwy człowiek powinien się znaleźć w tym kraju opryszków! Obiecałem swego czasu żonie Jamesa, twojej krewniaczce, że przed żadnym nie cofnę się ryzykiem. Pamiętaj, kiedy to było? Też same nocy, kiedy padł Czerwony Lis, Colin Campbell. Danego jej słowa dotrzymam i tutaj pozostanę. Prestongrange obiecał mi życie, a jeśli jest wiarołomcą, tutaj przyjdzie mi umrzeć...

– Ha... – odrzekł Alan – skoro taka twoja wola... Od chwili, kiedy wyszliśmy z ukrycia, prześladowcy nasi nie dali znać o sobie. Udało nam się ich zaskoczyć i jak się później dowiedziałem, nie wszyscy znajdowali się wówczas nad morzem, a ci, co tam byli, czatowali na nas rozproszeni wśród wydm od strony Gillane. Jak się okazało, niełatwo im było się zebrać i dobiec na plażę, a tymczasem łódź zbliżała się szybko. Poza tym tchórzliwa to była zgraja; zbieranina górali, zwykłych złodziei bydła, należących do różnych klanów, i żaden dżentelmen nie stał na ich czele. Im dokładniej, jak sądzę, widzieli Alana i mnie stojących na plaży, tym większym strachem napawała ich nasza postawa.

Ktokolwiek zdradził Alana, nie był to kapitan brygu. Siedział bowiem sam w łodzi, sterując i zachęcając swych wiosłarzy, jak ktoś szczerze mający na sercu powierzone mu zadanie. Już się gotował, by przybić do brzegu, a twarz Alana aż poczerwieniała z podniecenia, gdy nagle nasi przyjaciele na wzgórzach, czy to z wściekłości na widok wymykającej się im zwierzyny, czy to chcąc przstraszyć kapitana, podnieśli nagle chóralny i przeraźliwy wrzask. Ten

dźwięk ludzkich głosów na całkowicie, zdawałoby się, bezludnym wybrzeżu zabrzmiał zgoła niesamowicie i marynarze natychmiast zahamowali wiosłami bieg łodzi.

– Co to jest? – krzyknął kapitan, znajdowali się już bowiem w zasięgu głosu.

– To moi przyjaciele! – odkrzyknął Alan i brodząc w płytkim morzu ruszył szybko ku łodzi. – Davie – rzekł zatrzymując się – zaklinam cię, chodź ze mną. Straszna żalność mi ciebie opuszczać.

– Ani kroku się stąd nie ruszę – odpowiedziałem.

Wahał się jeszcze przez chwilę, stojąc po kolana w słonej wodzie, wreszcie ruszył naprzód. Woda sięgała mu do piersi, gdy wciągnęli go do łodzi, i zawrócili niezwłocznie w stronę statku.

Z rękami założonymi na piersi stałem tam, gdzie mnie pozostawił; Alan zaś siedział z twarzą zwróconą ku mnie, podczas gdy łódź oddalała się szparko. Nagle przemożny szloch wezbrał mi w piersiach i zdawało mi się, że jestem najnieścieśliwszym, najbardziej osamotnionym chłopcem w Szkocji. Z tym uczuciem odwróciłem się od morza i spojrzałem ku wznoszącym się tuż za mną piaszczystym wydmom. Nie usłyszałem i nie dojrzałem tam żadnej ludzkiej istoty. Blask słońca igrał na wilgotnym piasku, porywisty wiatr hulał wśród wydm, mewy zawodziły piskliwie i monotennie, a wśród pozostawionych przez odpływ na plaży wodorostów rzucały się malutkie, węzowate rybki. Nic więcej dokoła mnie na tym smętnym roztoczu piasku i morskich wód. A przecież wiedziałem, że opodal znajdują się ludzie i wypatrują mnie z jakimś tajemniczym zamiarem. Nie byli to żołnierze, gdyż już dawno dopadliby nas i pojмали. Było to zwykłe hultajstwo, wynajęte na moją zgubę, którym kazano mnie porwać lub zamordować bez ceregieli. Sądząc z pozycji społecznej tych osób, pierwsza alternatywa była bardziej prawdopodobna; to jednak, co wiedziałem o ich charakterze i zapalczywości, wskazywało, że i z tą drugą powinienem się liczyć. Poczulem, jak krew stygnie mi w żyłach.

Przemknęła mi wtedy przez głowę myśl szalona: czyby nie należało rozluźnić szpady w pochwie? Aczkolwiek bowiem nie umiałem, jak na dżentelmena przystało, ostrzem odpowiedzieć na ostrze, zdawało mi się, że w luźnej walce zdołałbym temu czy owemu wygodzić. Uświadomiłem sobie jednak w porę, jak nierozsądny byłby wszelki opór. To, co mnie czekało, było niewątpliwie ukartowanym i uzgodnionym przez Prestongrange'a i Frasera „sposobem”. Pierwszy z nich, nie miałem co do tego wątpliwości, poczynił jakieś kroki, aby mnie zachować przy życiu; drugi natomiast szepnął zapewne do ucha Neilowi i jego kamratom jakieś zgoła odmienne rady i gdybym ich przyjął z obnażoną szpadą w dłoni, spełniłbym życzenie mego najgorszego wroga i przypieczętowałbym własną zgubę.

Tak rozmyślając doszedłem do przeciwległego skraju plaży. Spojrzałem poza siebie; łódź zbliżała się do brygu. Alan powiewał chustką na pożegnanie, na co odpowiedziałem wymachując ręką. Lecz w porównaniu z oczekującą mnie przeprawą nawet osoba Alana zmalowała w moich oczach i straciła na znaczeniu. Osadziłem kapelusz mocno na głowie, zacisnąłem zęby i ruszyłem wprost przed siebie, na ciągnące się wzdłuż plaży pasma piaszczystych wzgórz. Uciążliwa to była wspinaczka, gdyż zbocze należało do bardzo stromych, a piasek usuwał się spod nóg jak woda. Wreszcie dosięgłem ręką kępy trawy porastającej miejscami szczyt wzgórza i podciągnąwszy się w górę, wydostałem się na twardszy grunt. W tej samej chwili sześciu czy siedmiu obdartych, odrażających drabów wynurzyło się zewsząd dokoła, a każdy trzymał sztylet w ręku. Prawdę rzekłszy zamknąłem oczy i zacząłem się modlić. Po ich ponownym otwarciu skonstatowałem, że podeszli chyłkiem nieco bliżej, bez pośpiechu i w zupełnym milczeniu. Wszystkie oczy były na mnie zwrócone i uderzył mnie ich dziwny blask tudzież malujący się w nich wyraz lęku, w miarę jak się do mnie zbliżali. Wyciągnąłem do przodu obie puste dłonie, na co jeden z nich, mówiący wybitnym akcentem tubylców Górnej Szkocji, zapytał, czy się poddaję.

– Tak, ale protestuję przeciwko przemocy, o ile rozumiecie, co to znaczy, w co wątpię – odpowiedziałem.

Na te słowa rzucili się na mnie jak ptactwo na padlinę, odebrali mi szpadę i wszystkie pieniądze z kieszeni, związali mi ręce i nogi tęgim postronkiem i cisnęli na kępę trawy. Następ-

nie zasiedli półkolem przy swoim jeńcu i wpatrywali się we mnie milcząco, jakby mieli przed sobą jakieś drapieżne stworzenie, lwa lub tygrysa gotującego się do skoku. Wreszcie obrzydła im taka czujność; zbliżyli się do siebie, zaczęli gadać po szkocku i z całym cynizmem podzielili się w moich oczach moim mieniem.

Z miejsca, na którym wówczas leżałem, mogłem śledzić kolejne fazy ucieczki mego przyjaciela, co niemałą było dla mnie pociechą. Widziałem, jak łódź dobiła do brygu, jak ją wciągnięto na pokład i rozwinięto żagle, po czym statek odpłynął ku pełnemu morzu.

W ciągu następnych dwóch mniej więcej godzin dołączali się do moich opiekunów coraz to inni obdarci górale, jednym z pierwszych był Neil, aż wreszcie zebrano się tej hołoty około dwudziestu. Pojawienie się każdego z nich wywoływało od nowa zaciętą gadaninę, brzmącą jak wymiana narzekań i wyjaśnień; zauważyłem, że z żadnym z przybyszów nie dzielono się zdobytymi na mnie łupami. Ostatnia dyskusja przybrała tak namiętny obrót, że zdawało mi się, iż lada chwila dojdzie do bitki. Wreszcie banda się rozdzieliła; większość wyruszyła gromadnie w kierunku zachodnim, a trzech tylko, Neil i dwóch innych, pozostało przy mnie.

– Mógłbym wymienić kogoś, kto nie będzie rad twojej dzisiejszej robocie, Neilu, synu Duncana – odezwałem się po odejściu tamtych górali.

Na co mnie zapewnił, że będę łagodnie traktowany, wiedział bowiem, iż „znam się z panienką”.

Do tego ograniczyła się nasza rozmowa i aż do wieczora żadna inna ludzka istota nie pojawiła się w tej części wybrzeża. Dopiero gdy słońce zapadło za rysujące się na widnokręgu góry Górnej Szkocji, wynurzył się spomiędzy wydm jadący na wieśniaczej szkapie wysoki, chudy, kościsty mężczyzna o bardzo ogorzalej cerze. Słyszając jego wymowę zdałem sobie sprawę, że to ktoś z miejscowych ludzi, z hrabstwa Lothian, w Dolnej Szkocji.

– Chłopcy – zawołał – czy macie taki papier? – I pokazał im trzymaną w ręku kartkę. Neil wy dobył podobną, przybysz przestudiował ją za pomocą pary rogowych okularów i orzekł, że wszystko się zgadza i że jesteśmy tymi właśnie ludźmi, których szuka, po czym niezwłocznie zlął z konia. Posadzili mnie na jego miejsce, związali nogi pod końskim brzuchem i wyruszyliśmy z moim ziomkiem na czele. Wiedział dobrze, którądy nas prowadzić, przez całą bowiem drogę napotkaliśmy tylko dwie osoby – parę zakochanych – które biorąc nas zapewne za przemytników, umknęły na nasz widok.

Wędrowaliśmy czas jakiś u podnóża gór Berwick Law, a następnie przez jakieś nagie pagórki, opodal których dostrzegłem światła wioski oraz otoczoną drzewami starą wieżę kościelną, zbyt daleko jednak, aby wołać o pomoc, gdybym zechciał się o to pokusić. Wreszcie doczłapaliśmy znowu na wybrzeże i usłyszałem szum morza. Księżyc wzeszedł, lecz świecił słabo; w jego sinym blasku dojrzałem trzy ogromne baszty i rozwaliny warownych murów zamku Tantallon, niegdyś głównej ostoji klanu Douglasów.

Po przywiązaniu konia do wbitego w ziemię palika w dawnej fosie górale zawiedli mnie poprzez podwórze do zrujnowanej kamiennej sieni, gdzie na środku posadzki rozniecili spory ogień, jako że noc zapowiadała się chłodna. Po czym rozluźnili mi więzy na rękach i posadzili przy ścianie, w głębi sieni, a mój ziomek, który był zaopatrzony w żywność, dał mi kromkę chleba oraz czarkę francuskiej brandy i odszedł, pozostawiając mnie znowu pod opieką moich trzech górali. Siedzieli koło ogniska, pijąc i gawędząc; wiatr wdzierał się do sieni przez dziury w ścianach, a rozganiając płomienie i kłęby dymu, zawodził na szczytach baszt; słyszałem chłopot fal rozbijających się o skały, a że wiedziałem już, iż śmierć mi nie grozi, i zmęczony byłem na ciele i duszy przeżyciami ostatniego tygodnia, położyłem się i zasnąłem.

Nie miałem pojęcia, o której mnie obudzono, lecz księżyc już był zniknął, a ogień wygasł. Rozluźnili mi więzy na nogach i zanieśli poprzez ruiny stromą ścieżką prowadzącą w dół urwiska do małego wgłębienia w skałach, gdzie znajdowała się łódź rybacka. Zaledwie się w niej znalazłem, odbiliśmy od brzegu w mdłym świetle gwiazd.

## XIV. NA WYSPIE BASS

Nie wiedziałem dokąd mnie wiozą, lecz przyszło mi na myśl słowo „dwudziestofuntowcy”, użyte w swoim czasie przez Ransome’a, i rozejrzałem się ukradkiem w obawie, czy nie dostrzegę gdzieś konturów statku. Jeśli i tym razem przeznaczeniem moim miała się stać praca niewolnicza na plantacjach w Ameryce, sytuacja zapowiadała się beznadziejnie. Wszak nie mogłem liczyć na ponowne pojawienie się Alana, na zatonięcie statku i uratowanie życia za pomocą zapasowej rei, i widziałem już siebie pod batem, pielącego motyką pola tytoniu. Myśl ta przejęła mnie dreszczem zgrozy, a że powietrze było chłodne i ławki w łodzi pokryte zimną rosą, drżałem cały, siedząc skulony obok sternika. Był nim ten sam wysoki mężczyzna z Lothian, którego określałem dotychczas mianem ziomka. Nazywał się Dale, a znany był ogólnie jako Czarny Andie. Słyszając, jak szcękam zębami, podał mi litościwie kurtkę z szorstkiej wełny, którą się nader chętnie okryłem.

– Dziękuję ci za tę pocziwość – rzekłem – i pozwól, że odwdzięczę ci się ostrzeżeniem. Niemałą bierzesz na siebie odpowiedzialność w tej sprawie. Nie jesteś przecie jak ci głupi, dzicy górale, wiesz, co to jest prawo i jak wiele ryzykują ci, co je łamią.

– Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach – odpowiedział – nie należę do skrupulatnie liczących się z prawem, ale tym razem pod dobrymi działam auspicjami.

– Co zamierzacie ze mną uczynić?

– Nic złego, na pewno nic złego. Potężnych musicie, panie, mieć przyjaciół. Wszystko się jeszcze dobrze skończy.

Powierzchnia morza poczęła z wolna szarzeć, drobne, różowe, stopniowo czerwieniejące błyski, jak zaledwie tłące się węgielki, pojawiły się na wschodniej połaci nieba.

Dzikie gęsi obudziły się i rozkrzyczały nad wysepką zwaną Bass, którą stanowi, jak to wszyscy wiedzą, jedna, stromo wynurzająca się z morza kamienna góra, ale tak olbrzymia, że całe miasto można by w niej wykuć. Morze było prawie zupełnie gładkie, lecz u jej podnóża rozlegał się głuchy odgłos fal. W miarę jak dojrzewał świt, widziałem wysepkę coraz wyraźniej: prostopadle opadające turnie pokryte ptactwem, które znikalo z nich jak topniejący szron poranny; spadziste, porośnięte trawą zbocza jej szczytu; krążące ponad nim klucze białych gęsi; czarne, zmurszałe, rozpadające się mury więzienia, zbudowanego tuż nad morzem.

I nagle na ten widok uświadomiłem sobie prawdę.

– Więc tam mnie wieziecie! – wykrzyknąłem.

– Tylko na wyspę Bass – odrzekł sternik. – Zamieszkiwali tam niegdyś świątobliwi pustelnicy i wątpię, czy zasługujecie na tak okazałe więzienie.

– Ależ tam nikt nie mieszka! Tam są od dawna tylko ruiny.

– Tym chętniej gęsi powitają wasze towarzystwo – odburknął Czarny Andie.

Rozwidniało się powoli i na dnie łodzi, pomiędzy kamieniami służącymi za balast rybakom, dostrzegłem kilkanaście baryłek i koszy oraz zapas opałowego drzewa. To wszystko zostało wyładowane na wyspie, po czym Andie, ja i moi trzej górale (nazywam ich moimi, chociaż sytuacja przedstawiała się zgoła odwrotnie) wyszliśmy na ląd. Słońce nie ukazało się

jeszcze w pełni, gdy łódź odpłynęła, zgrzytem wiosł w dulkach budząc echo wśród skał, i pozostaliśmy osamotnieni na tym pustkowiu.

Andie Dale był włodarzem tej małej, lecz bogatej posiadłości i jako taki objął funkcję prefekta (taki mu żartobliwy nadałem tytuł). Doglądał około tuzina owiec szczypiących trawę i tuczących się na zboczu góry, przez co sprawiały wrażenie zwierząt pasących się na dachu katedry. Opiekował się ponadto dzikimi morskimi gęśmi gnieźdzącymi się wśród skał i nie małe z nich czerpał dochody; młode uchodzą za wyszukany przysmak i smakosze płacili za nie chętnie aż po dwa szylingi za sztukę, ale i stare są cenne dla ich pierza i tłuszczu (część należącej pastorowi w North Berwick prebendy płaci się po dziś dzień w postaci dzikich gęsi z wyspy Bass, co czyni, w oczach niektórych, tę parafię szczególnie ponętną). Aby podołać tym różnorodnym obowiązkom i chronić gęsi przed kłusownikami, Andie spędzał nieraz całe dnie i noce na wyspie i był tam zadomowiony jak chłop na swej zagrodzie.

Po odpłynięciu łodzi Andie kazał nam obarczyć się pakunkami, na co się chętnie zgodziłem, otworzył zamczystą bramę – zamykającą jedyny dostęp do wnętrza wyspy – i poprzez ruiny twierdzy zaprowadził nas do domu gubernatora. Widząc tam popiół w kominie i łóżko stojące w kącie, zmiarkowaliśmy, że jest to jego zwykła kwatery.

Andie poprosił mnie o zajęcie tego łóżka, wyrażając nadzieję, że uznam je za dosyć wygodne dla urodzonego dżentelmena.

– Moje urodzenie nie ma nic do tego, gdzie sypiam – odpowiedziałem – z opieką boską leżałem już na twardszych posłaniach i mogę się z tym tutaj z wdzięcznością pogodzić. Podczas gdy tu jestem, mości Andie, wszak takie jakoby nosisz imię, uczynię, co do mnie będzie należało, i zajęcie miejsca obok was za ujmę nie będę sobie poczytywał. Proszę cię natomiast o zaoszczędzenie mi drwin, jako że w nich nie gustuję.

Nasrożył się nieco na takie *dictum*, ale po namyśle zdawał się je aprobować. Istotnie, był to w gruncie rzeczy rozsądny człowiek, dobry wig i gorliwy prezbiterianin. Odczytywał codziennie ustęp z kieszonkowej Biblii i zarówno lubił, jak potrafił prowadzić poważne rozmowy na tematy religijne, skłaniając się wyraźnie ku poglądom Camerona. Jego moralność natomiast pozostawiała niemało do życzenia. Odkryłem, że uprawiał przemyt na wielką skalę i wykorzystywał ruiny zamku Tantallon do przechowywania przemyconych towarów. Nie sądzę, aby życie celnika ceniał wyżej niż miedzianą monetę. Co prawda ta część wybrzeża w hrabstwie Lothian należy dziś jeszcze do najdzikszych w całej Szkocji okolic, a jej mieszkańcy zasługują nadal w pewnej mierze na miano opryszków.

Ze względu na jego późniejsze konsekwencje wspomnę o pewnym epizodzie z okresu mego uwięzienia na wyspie Bass. Otóż na wodach zatoki Forth przebywał w owym czasie okręt wojenny „Seahorse”, pod dowództwem kapitana Pallisera, i tak się złożyło, że właśnie we wrześniu krążył u wybrzeży hrabstw Lothian oraz Fife w celu odszukania raf podwodnych i oznaczenia ich na mapach morskich. Pewnego pięknego poranka, o wczesnej godzinie, dostrzegliśmy „Seahorse” o jakie dwie mile na wschód od naszej wyspy; spuszczone z niego szalupa skierowała się ku zbiorowisku skał Wildfire Rocks, ogólnie znanych z niebezpieczeństwa, jakie stanowiły dla żeglugi przybrzeżnej, zapewne w celu ich zbadania. Po powrocie szalupy i wciągnięciu jej na pokład okręt zawrócił z wiatrem i popłynął wprost ku nam. Zaniepokoiło to Andiego i górali, cała bowiem afera pozbawienia mnie wolności winna była pozostać tajemnicą, a przypadkowe jej odkrycie przez kapitana marynarki królewskiej mogło pociągnąć za sobą jej rozgłos, o ile nie gorsze następstwa. Miałem przeciwko sobie czterech mężczyzn i nie jestem Alanem, aby rzucić się na nich sam jeden, a zresztą nie byłem bynajmniej przekonany, że pojawienie się okrętu wojennego wpłynie dodatnio na moje losy. Dałem więc Andiemu parol na posłuszeństwo i uległość i skoczyliśmy wszyscy na szczyt góry, gdzie legliśmy na samym skraju urwiska, w miejscu zapewniającym nam zarówno kryjówkę, jak dobrą obserwację.

„Seahorse” podpłynął tak blisko, że już myślałem, iż uderzy w skałę, i patrząc z góry (nie bez zawrotu głowy) widzieliśmy poszczególnych członków załogi na stanowiskach oraz marynarza, który stojąc na dziobie okrętu spuszczał sondę do wody i raz po raz wykrzykiwał jej głębokość. Nagle okręt skręcił i oddał salwę z nie wiem ilu ciężkich dział. Straszliwy huk wstrząsnął górą, kłęby prochowego dymu zawirowały nad naszymi głowami i niezliczone, wprost nieprawdopodobne chmury dzikich gęsi zerwały się w popłochu. Ta skrzydlata i wrzeszcząca masa kotłująca się w powietrzu była ciekawym i niewątpliwie jedynym w swoim rodzaju widowiskiem. Przypuszczam, że kapitan Palliser podpłynął tak blisko wyspy Bass po to właśnie, aby móc sobie pozwolić na tę cokolwiek dziecinną przyjemność. Z czasem miał za to odpokutować. Podczas gdy „Seahorse” się zbliżał, przypatrywałem się wszystkim szczegółom jego olinowania i obraz ten pozostał tak dokładnie wryty w mej pamięci, iż mógłbym rozpoznać tę fregatę z odległości wielu mil. Dzięki czemu (oraz łasce Opatrzności) udało mi się uratować przyjaciela od wielkiego nieszczęścia, kapitan Palliser zaś doznał bolesnego rozczarowania.

Przez cały okres mego pobytu na wyspie, żyliśmy dostatnio. Mieliśmy obfity zapas piwa i gorzałki tudzież mąki owsianej, z której co rano i wieczór gotowaliśmy polewkę. Od czasu do czasu łódź z Castleton dostarczała nam ćwiartkę baraniny, gdyż owiec miejscowych, jako przeznaczonych na sprzedaż, nie wolno nam było ruszyć. Gęsi nie nadają się na pieczone o tej porze roku, pozostawialiśmy je więc w spokoju. Łowiliśmy natomiast ryby, a raczej pozwalaliśmy gęsiom łowić je dla nas: wystarczyło poczekać, aż która pochwyti rybę i spłoszy ją, zanim zdążyłaby połknąć swoją ofiarę.

Osobliwa natura wyspy i liczne jej ciekawostki bawiły mnie i wypełniały czas. Ucieczka była niemożliwa, pozostawiono mi więc zupełną swobodę, z której korzystając włóczyłem się wszędzie, gdzie stopa ludzka mogła się utrzymać. Ślady dawnego ogrodu więziennego były jeszcze widoczne: nieco zdziczałych kwiatów i roślin oraz spory krzew wiśniowy. Nieco poniżej znajdowała się kaplica lub cela pustelnika; kto ją zbudował lub kto w niej mieszkał, nikomu nie było wiadomo i myśl o jej przeszłości skłaniała mnie do przeróżnych medytacji. Więzienie, w którym obozowałem ze złodziejami bydła z Górnej Szkocji, było również miejscem historycznym z ludzkiego i boskiego punktu widzenia. Dziwiłem się, że przecież tak niedawno jeszcze tylu męczenników i świętobliwych mężów tam przebywało, a nie pozostawiło po sobie żadnych śladów – ani jednej kartki z Biblii, ani nazwiska wrytego na ścianie – podczas gdy po nieokrzesanych żołnierzach trzymających straż na wałach twierdzy mnóstwo napotykało się pamiątek; przeważnie, i to w olbrzymiej ilości, rozbite fajki gliniane i metalowe guziki od mundurów. Chwilami wydawało mi się, że słyszę rozlegające się z lochów nabożne pienia i widzę, na tle powstającego na Morzu Północnym brzasku, kroczących po wałach żołnierzy z iskrzącymi się w półmroku fajkami.

Te mrzonki rodziły się w mojej głowie przeważnie pod wpływem Andiego i jego opowiadań. Znał drobiazgowo dzieje wyspy i twierdzy, aż do nazwisk prostych żołnierzy, jego ojciec bowiem pełnił tam jakieś funkcje. Miał ponadto wrodzony i niepośledni talent narracyjny, tak iż chwilami zdawało mi się, że przemawiają tamci ludzie i że przed moimi oczyma dzieje się to wszystko, o czym opowiadał. Ten jego dar oraz pilność, z jaką go słuchałem, doprowadziły do zbliżenia pomiędzy nami i – wyznaję – polubiłem go szczerze. Wkrótce zdałem sobie sprawę, że i on darzy mnie sympatią; zresztą starałem się od pierwszej chwili pozyskać jego względy. Przypadkowa okoliczność (o czym później) pozwoliła mi zaskarbić sobie jego względy w większej mierze, niż się tego mogłem spodziewać. Lecz nawet na początku nasze stosunki, jak na więźnia i dozorcę, ułożyły się przyjaźnie.

Zlekceważyłbym głos mego sumienia twierdząc, iż mój pobyt na wyspie Bass zaliczam do niemiłych pod każdym względem przeżyć. Bezpieczne to było ustronie i zdawało mi się, że leży poza zasięgiem moich trosk. Niczego złego nie mogłem się tam spodziewać, a materialne, niemożliwe do przewyciężenia przeszkody – skały i morze – wykluczały nowe z mojej



strony zamysły. Zarówno moje życie, jak i honor mogłem uważać za zabezpieczone i chwilami gratulowałem sobie, iż tak właśnie wszystko się ułożyło. Lecz od czasu do czasu inne ogarniały mnie refleksje. Przypominałem sobie, jak wiążących użyłem słów w rozmowach z Rankeillorem i Stewartem; przychodziło mi na myśl, że moje uwięzienie na wyspie Bass, opodal wybrzeży Fife i Lothian, łatwiej będzie uznać za zmyślony przeze mnie wykręt niż przeżyta rzeczywistość, a wtedy w oczach co najmniej tych dwóch dżentelmenów uchodziłbym za łgarza i samochwalcę.

Staralem się nie brać do serca tej ostatniej ewentualności; wmawiałem w siebie, że tak długo, jak nie straciłem miru u Katriony Drummond, opinia innych ludzi obchodzi mnie tyle co przeszłoroczny śnieg; dawało to asumpt marzeniom zakochanego, tak zachwycających dla niego i tak nużących dla czytelnika. Wszelako nurtujący mnie lęk nie dawał mi spokoju, i aż wzdygałem się z obawy o moją godność i dumę, a wówczas te ewentualne, potępiające mnie sądy wydawały mi się niesprawiedliwością nie do zniesienia. Co wnet kojarzyło się z innym tokiem myśli i zaledwie zaczynałem się przejmować sądami o mnie tamtych ludzi, przypominałem sobie Jamesa Stewarta w więzieniu i lamentsy jego żony. A wówczas wzbierały we mnie namiętne uczucia i nie mogłem sobie mej bezczynności wybaczyć. Zdawało mi się, że (o ile zasługuję na miano mężczyzny) powinienem ulecieć lub odpłynąć z mego schroniska. Wtedy to, gdy taki ogarniał mnie nastrój i aby ukoić dręczące mnie wyrzuty sumienia, starałem się najusilniej pozyskać sobie względy Andie Dale'a.

Aż wreszcie któregoś słonecznego poranka, gdy znajdowaliśmy się sami na szczycie góry, ośmieliłem się napomknąć mu o przekupstwie. Spojrzał na mnie, odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

– Zabawne ci się to wydaje – rzekłem – ale zechciej proszę spojrzeć na ten papier, a wtedy może zaśpiewasz inaczej.

Po schwytaniu mnie głupi górale zabrali mi tylko całą posiadaną gotowiznę, a papier, jaki pokazałem Andiemu, był opiewającym na okazałą sumę listem kredytowym domu handlowego British Linen Company.

Przeczytał go i rzekł: – Do licha, należysz do majątnych ludzi.

– Może to zdoła wpłynąć na twoją opinię?

– He, he, to jeno potwierdza, że masz za co kogoś przekupić, ale ja nie jestem do kupienia.

– Do tego jeszcze powrócimy, ale przedtem dowiodę ci, że wiem, o co chodzi: zgodnie z danym ci rozkazem masz mnie tutaj przytrzymać do czwartku, dwudziestego pierwszego września.

– Niewiele się mylisz pod tym względem; w braku przeciwnych rozkazów mam ciebie uwolnić w sobotę, dwudziestego trzeciego września.

Uświadomiłem sobie od razu całą przewrotność tego planu: moje zgłoszenie się u władz sądowych, wtedy gdy już będzie po wszystkim, ułatwiłoby zdyskredytowanie moich zeznań, w wypadku gdybym nadal zamierzał je złożyć. Tym uparciej więc postanowiłem nie dać za wygraną.

– Andie – rzekłem – jesteś człowiekiem bywałym, wysłuchaj, co ci powiem, i rozważ dokładnie moje słowa. Wiem, że tą sprawą interesuje się niejeden wielmoża, i nie wątpię, że liczysz na ich poparcie i wpływy. Z niektórymi z nich zetknąłem się osobiście i powiedziałem im w oczy, co należało. Jakąż przez to popełniłem zbrodnię? I cóż to za proceder względem mnie zastosowano? Trzydziestego sierpnia zostałem napadnięty i pojmany przez szajkę górali, a następnie wywieziony do tego rumowiska, obecnie ni to twierdzy, ni więzienia, lecz po prostu (bez względu na to, czym było dawniej) siedziby włodarza wyspy Bass... Dwudziestego trzeciego zaś września mam odzyskać wolność nie mniej sekretnie niż wtedy, gdy jej zostałem pozbawiony... Czy nie wydaje ci się to bezprawiem? Czy to może mieć cokolwiek wspólnego ze sprawiedliwością? Czyż nie wskazuje to raczej na niecną intrygę, hańbiącą wszystkich jej uczestników?

– Nie potrafię ci na to odpowiedzieć – odparł Andie. – Na pierwszy rzut oka wygląda na jakieś szelmstwo. I gdyby ci, którzy za mną stoją, nie należeli do gorliwych wigów i siarczystych presbiterianów, prędzej bym ich zobaczył pielgrzymujących do Jeruzalem, niżbym rękę do tego przyłożył.

– Dziedzic z Lovat to zaiste dzielny wig i nabożny presbiterianin!

– Nic o nim nie wiem, nie mam do czynienia z Lovatami.

– Twoim mocodawcą jest Prestongrange.

– Tego ci nie powiem.

– Wiem o tym i bez twojej łaski.

– Jednego natomiast możesz być pewny: jakkolwiek byś próbował mnie podejść, nie zamierzam, ani teraz, ani później, wchodzić z tobą w żadne konszachty.

– Ha, cóż, Andie, widzę, że muszę pomówić z tobą otwarcie. – Po czym zaznajomiłem go z faktami, w mierze, w jakiej wydawało mi się to wskazane.

Wysłuchał mnie z bacznością, a gdy zamilkłem, siedział czas jakiś w zamyśleniu.

– Wyznam ci moją o tym opinię – rzekł wreszcie – niczego nie skrywając. Dziwna jest twoja opowieść i sądząc z tego, co mi powiedziałaś, niezbyt budująca. Daleki jestem również od powątpiewania w twoją prawdomówność, gdyż wydajesz mi się być zacnym chłopcem. Starszym atoli będąc od ciebie i roztropniejszym, widzę może w tym wypadku nieco dalej i powiem ci jasno i szczerze, co o tym myślę. Nic na tym nie stracisz, jeśli przetrzymam cię tutaj, ba, uważam nawet, że lepiej na tym wyjdiesz. Kraj nasz nic na tym nie straci – wszak powiesz tylko jednego górala, a miły Bogu to ubytek! Z drugiej strony, jeśli cię wypuszczę, niemało na tym stracę. Powiadam ci jako dobry wig, jako człowiek szczerze ci przyjazny, a zarazem umiejący dbać o własną korzyść: lepiej będzie, jeśli pozostaniesz tu jeszcze czas jakiś w towarzystwie moim i dzikich gęsi.

– Andie – rzekłem, kładąc mu dłoń na kolanie – tamten góral jest niewinny.

– Tak, i wielka to szkoda, ale widzisz, na tym świecie, takim, jakim go Pan Bóg stworzył, nie zawsze możemy osiągnąć to, co chcemy.

## XV. OPOWIEŚĆ O CZARNOKSIEŻNIKU

Niewiele dotychczas mówiłem o moich góralach. Wszyscy trzej należeli do klanu podległego Macgregorom i byli jakby dworzanami Jamesa More'a; potwierdzało to aż nazbyt dobitnie jego udział w spisku. Wszyscy trzej rozumieli coś niecoś po angielsku, lecz tylko Neil uważał, że zna na tyle język, aby uczestniczyć w ogólnej rozmowie, w co (gdy się na dobre rozgadał) jego interlokutorzy byli skłonni powątpiewać. Wszyscy trzej byli to prości, dobroduszni ludzie; okazywali o wiele więcej kurtuazji, niż się tego należało spodziewać po ich łachmanach i plugawym wyglądzie; względem Andiego i mnie przyjęli samorzutnie postawę sług.

Przebywając na tej odosobnionej wysepce, w rozwalinach starego więzienia, otoczony nieustannym gwarem morskiego ptactwa i poszumu fal, dostrzegłem niebawem u moich górali objawy zabobonnej trwogi. Gdy nie mieli nic do roboty, bądź kładli się spać, a ich potrzeba snu wydawała się nigdy nienasycona, bądź słuchali, jak Neil opowiada baśnie i gadki przeróżne, których wątek był z reguły przerażający. Jeśli żadnej z tych uciech nie mogli się oddawać lub dwóch spało, a trzeci nie miał ochoty pójść za ich przykładem, zwykł przesiadywać samotnie w jakimś skalnym załomie, gdzie nasłuchiwał i rozglądał się z rosnącym lękiem; twarz mu bladła, zaciskały się pięści i cały wydawał się napięty jak ścięta łuka. Nigdy nie zdołałem stwierdzić, czego się właściwie obawiał, lecz widok był przejmujący, a przyznaję, że charakter miejsca, w którym się znajdowaliśmy, istotnie sprzyjał tajemniczym uczuciom przerażenia. W języku angielskim nie znam na to odpowiedniego słowa, lecz Andie posługiwał się stale tym samym szkockim wyrażeniem.

– Tak – mawiał – Bass to niesamowite miejsce.

Podzielałem tę opinię. Niesamowite to było miejsce dniem i nocą; niesamowite były wszechobecne odgłosy przyrody, klangor dzikich gęsi, pomruk bezmiernych wód i echa, jakie budziły na tym morskim uroczysku. Zaledwie fale rozrastały się nieco, huczały wśród skał i łomotały jak werble bojowe; straszne to było, lecz miłe dla ucha. Zwłaszcza jednak grozę wywoływały w ciche, bezwietrzne dni – i to nie tylko w duszy górala, jak się o tym przekonałem – rozliczne, głuche, nieokreślone dźwięki rozchodzące się i potęgujące wśród żlebów i turni.

Łączy się to z opowiadaniem, jakie tam usłyszałem, i ze sceną, w jakiej wziąłem udział, która zmieniła całkowicie nasz tryb życia i zaciążyła na późniejszych wypadkach. Pewnego wieczora siedziałem zadumany przy ognisku i przypomniawszy sobie melodię Alana, zacząłem pogwizdywać ją z cicha. Nagle czyjaś ręka dotknęła mego ramienia i usłyszałem głos Neila; prosił mnie, abym zaprzestał, jako że „niesamowita to jest muzyka”.

– Niesamowita? – odpowiedziałem. – Dlaczego?

– Bo tak śpiewa upiór szukający swej odciętej głowy.

– Przecież tutaj nie ma upiórów, co by im przyszło ze straszenia dzikich gęsi?

– Tak ci się wydaje – wtrącił Andie. – A ja powiadam, że były tu zjawiska gorsze od upiórów.

- A cóż może być gorszego od upiorów?
- Czarnoksiężnicy. A byli tu tacy, co najmniej jeden. Dziwna to jest gadka i jeśli chcecie, opowiem ją wam.

Zgodziliśmy się oczywiście wszyscy ochoczo i nawet ten z górali, który najmniej rozumiał po angielsku, zasiadł z napiętą uwagą do słuchania.

„Mój ojciec, Tom Dale, pokój jego duszy, był w swych młodych latach znanym szalawicą, dzikim, swawolnym chłopakiem, niewiele miał oleju w głowie, a jeszcze mniej godziwych uczuć w sercu. Lubił tego sobie popić, gzić się z dziewczkami, pobaraszkować hucznie, ale nie słyszałem, by zabrał się wówczas do jakiegokolwiek uczciwej pracy. I tak, jedno z drugim, zaciągnął się do wojska. Należał do załogi tej twierdzy, tak się też stało, że pierwszy z rodziny Dale'ów wylądował na wyspie Bass. Ciężka to była służba. Dowódca warzył piwo na własną rękę i trudno sobie wyobrazić gorszą lurę. Twierdzę zaopatrywano w żywność z wybrzeża, a tak kiepsko tym zawiadywano, że bywało, nieraz żołnierze musieli łowić ryby i strzelać dzikie gęsi, aby mieć co do gęby włożyć. Na domiar złego były to czasy prześladowania naszego szkockiego kościoła. W straszliwie zimnych celach pełno było świętych i męczenników, soli naszej, niegodnej ich, ziemi. I chociaż Tom Dale, prosty żołnierz, dźwigał muszkiet i, jako się rzekło, lubił pohulać przy szklance i dziewczynie, więcej miał w sobie prawości, niż to bywa we zwyczaju wśród takich jak on. Wiedział cokolwiek o chwale naszego kościoła i nieraz gniew go dławiał na widok tak sponiewieranych najlepszych sług Zbawiciela i wstyd go ogarniał, jako że musiał pomagać w tak bezecnej robocie. Nieraz w nocy, gdy stał na warcie, a chłód zimowy kąsał i wicher wył w tych murach, słyszał, jak któryś z więźniów zamkniętych w lochach zaczynał śpiewać psalmy, a inni mu wtórowali i zewsząd rozchodziły się świętobliwe pienia, jakby ta wyspa stała się zakątkiem niebios. Żalność sromotna nawiedzała wówczas jego duszę, a grzechy ciążyły jak te skały zewsząd nad nim górujące, a zwłaszcza ten grzech najcięższy: iż dopomagał w gnębieniu i rugowaniu Chrystusowego Kościoła. Lecz prawdę rzekłszy, Tom Dale nie chciał słuchać głosu sumienia; zaledwie nadszedł dzień, powracał do sprośnej kompanii i znikły jego dobre chęci.

Onego czasu żył na wyspie Bass pustelnik, człowiek boży, nazywano go Prorok Peden. Słyszeliście zapewne o nim. Nigdy odtąd nie pojawił się jemu podobny, a niejedni sądzą, że i przedtem nigdy takiego nie było na świecie. Dziki był jak wilkołak na trzęsawiskach, strach było patrzeć na niego, strach było go słyszeć, a twarz miał jak Sąd Ostateczny. Głos jego był niczym krzyk dzikich gęsi i przeraźliwie brzmiał w uszach ludzkich, a słowa parzyły jak rozżarzone węgle.

Znajdowała się wtedy na wyspie pewna dziewczyna, a nie miała tam nic do roboty, jako że nie było to miejsce dla przyzwoitych niewiast. Urodziwa była, toteż ona i Tom Dale łatwo się względem tego porozumieli. Pewnego razu, gdy Peden modlił się samotnie, nadszedł Tom wraz z tą dziewczyną; licho ją podkusiło i dalej się śmiać i naigrawać ze świętego męża i jego nabożnych praktyk. Powstał, spojrzął na nich oboje i kolana ugięły się pod Tomem. Wszelako ze smutkiem raczej przemówił niż z gniewem. – Niebożę – rzekł, spojierając na dziewczkę – słyszę, jak skrzeczysz i rechoczesz, a Bóg cios śmiertelny na ciebie gotuje, a gdy dosięgnie cię jego ręka karząca, zaskrzeczysz, ale raz tylko.

Rychło potem dziewczyna przechadzała się wśród skał z paroma żołnierzami, a wiatr dął srogi tego dnia; nagle skłębził się dokoła nich podmuch wichury, za suknie ją ułapił i unióśł ją hen w góry, tak jak stała, ze wszystkim, co miała na sobie. A żołnierze zauważyli, iż raz tylko zdążyła wrzasnąć.

Ton wyrok boski stropił Toma okrutnie; lecz niebawem o tym zapomniał i żadnej skruchy nie okazał. Pewnego razu zabawiał się z którymś z kamratów. – Niech mnie diabli porwą – rzecze Tom, jako że zwykł bluźnić i przeklinać okropnie. Patrzy, a podle niego stoi Peden ponury i markotny; ślepia mu błyskają, piersi okryte zgrzebnym pledem z nieprzędzonej weł-

ny, ręce o czarnych pazurach, jako że nie dbał o swoje ciało. – Co mówisz, nieszczęsny głupcze – powiada do Toma. – Niech mnie diabli porwą? A widzę diabła u twego boku!

Żal pokuty i wdzięczność za okazaną łaskę ogarnęły serce Toma, jakby się z bezgłębnej wydobył topieli. Cisnął na ziemię swą pikę i rzekł: – Nigdy już więcej nie podniosę ręki przeciwko Chrystusowej sprawie! – I słowa dotrzymał. Niemało było z tego potem frasunku, ale dowódca fortu widząc, że Tom obstaje przy swoim, zwolnił go wreszcie z wojska. Tom osiadł i ożenił się w North Berwick, gdzie odtąd cieszył się dobrym imieniem wśród uczciwych ludzi.

W roku tysiąc siedemset szóstym wyspa Baas przeszła w ręce rodziny Dalrymple i dwóch ludzi zabiegało o włodarstwo na niej. Obaj nadawali się do tego, jako że obaj byli tam ongiś żołnierzami załogi i wiedzieli, jak się obchodzić z gęśmi i o jakich porach roku najczęściej z nich można uzyskać. A do tego byli – lub za takowych uchodzili – ludźmi uczonymi i obrotowymi. Jednym był Tom Dale, mój ojciec, a drugim niejaki Tod Lapraik.

Pewnego razu Tom poszedł pogadać z nim w tej sprawie i wziął mnie, małego podówczas skrzata, ze sobą. Lapraik mieszkał w długim zaułku, przy kościelnym cmentarzu. Mroczny to był i ponury zaułek, a przy tym od czasów Jakuba VI źle mówili o tym kościele, kiedy to różne tam odprawiano czary i szatańskie gody. A o domu Lapraika, w najciemniejszym zakątku tego zaułka, ci, co wiedzieli, powiadali, że... tam straszy. Skobel na drzwiach był odsunięty i mój ojciec i ja weszliśmy do środka. Tod był tkaczem z zawodu i jego warsztat stał na przodzie izby. Siedział tam tłusty, niechlujny, a na twarzy miał obleśny uśmiech, aż strach mnie ogarnął. Rękami poruszał czólenko tkackie, ale oczy miał zamknięte. Wołaliśmy na niego po imieniu, krzyczeliśmy mu w same uszy, potrząsaliśmy go za ramię – nic z tego! Siedział na swoim stołku, uśmiechał się i popychał czólenko.

– Oddajmy się Bogu w opiekę – rzecze mój ojciec – to coś niesamowitego.

Zaledwie wypowiedział te słowa, Tod się ocknął i powiada:

– To ty Dale? Jak się masz? Witaj w moim domu. Nieraz w taką popadam omdłałość, gdy mi w brzuchu burczy.

Zaczęli rozmawiać o wyspie Bass i o tym, który z nich ma tam zarządzać, i tak od słowa do słowa, pokłócili się srodze. Pamiętam dobrze, jak mój ojciec, wracając ze mną do domu, wyrzekął szpetnie na Lapraika.

– Takie omdlenia – powiadał – to niechybny znak kumania się z diabłem, takich jak on niejednego już spalili na stosie.

Wreszcie mój ojciec dochrapał się włodarstwa na wyspie Bass i Lapraik wielce rozżarł się o to. Ludzie pamiętali, jak pomstował i powiadał: – Tomowi udało się raz jeszcze mnie ubiec, ale oby go na wyspie spotkało to, czego się nie spodziewa.

Aż nadszedł czas, kiedy Tom miał chwycić dzikie gęsi. Znał się dobrze na tej robocie, jako że łąził po urwiskach od dziecka i nie polegał na nikim, jak tylko na sobie. Pewnego dnia, zawieszony na linie, szperał w załomach najwyższej i najbardziej stromej turni; ze dwudziestu chłopaków – ptasznikami zwanych, stało ponad nim na jej szczycie, trzymając linę i bacząc na jego sygnały. Lecz tam, gdzie wisiał Tom, nie było nic jeno stroma ściana skały, morze na dole i gęsi skrzeczące i latające dokoła. Piękny to był poranek i Tom pogwizdywał wesoło, chwytając dzikie gęsi. Wiele razy słyszałem, jak opowiadał o tym wypadku i zawsze zimnym zalewał się potem.

Zdarzyło się, że Tom spojrzał w górę i dostrzegł ogromnego gąsiora, jak kuje dziobem w linę. Zdziwił się wielce, jako że nic takiego to ptactwo nie ma w obyczaju. Wiedział, że lina była cienka, dziób zaś gęsi twarde, skały również, a dwieście stóp to cokolwiek za dużo jak na ludzkie kości.

– Sz!... – zawołał. – Zabieraj się stamtąd, gęgało!

Gąsior spojrzał w dół, prosto w twarz Toma, i było coś niesamowitego w oczach tego ptaka. Raz tylko spojrzał i dalej ciapać w linę. Zabrał się ostro do dzieła i zdawało się, że rozumie, o co chodzi, bo chwycił dziobem za linę i targał nią o ostry występ skalny. Tom stru-

chłał. Ten stwór to nie ptak – pomyślał sobie. I zaraz potem zakręciło mu się w głowie i pociemniało w oczach. Jeśli zemdleję – pomyślał – to po mnie. I dał znak chłopakom, aby go wyciągnęli.

Ale zdawało się, że gąsior rozumie ten sygnał. Zaledwie bowiem Tom dał znać chłopakom, gąsior puścił linę, rozpostarł skrzydła, zaskrzeczał głośno, zerwał się i rzucił prosto w twarz Toma. Tom miał nóż i zdążył go wydobyć. Ale zdawało się, że gąsior rozumie, co to są noże, zaledwie bowiem dojrzał w słońcu błysk stali, zaskrzeczał, tym razem żałośnie, jakby stropiony, i okrążywszy turnię odleciał i zniknął. Zaraz potem głowa opadła Tomowi na ramię i wyciągnęli go wiszącego na linie jak martwe ciało.

Parę łyków gorzały (a nigdzie się bez niej nie ruszał) przywróciło mu przytomność, a raczej jej szczątki. Usiadł i zawołał:

– Hej, George, biegnij do łodzi! Żywo! Pilnuj łodzi! Bo nam ją gąsior zabierze!

Ptaszniki nużę śmiać się i zagadywać. Wszelako Tom się uparł i dopóty nie uspokoił, aż jeden z nich objął straż przy łodzi. Inni zapytywali mego ojca, czy wybiera się znowu w dół skały.

– O nie – odrzekł – to nie miejsce ani dla mnie, ani dla was; jak tylko będę się mógł utrzymać na nogach, opuścimy te szatańskie urwiska.

Tak się też stało. Odpłynęli co rychlej z wyspy Bass, ale zanim powrócili do North Berwick, mój ojciec zapadł na okropną gorączkę. Leżał i majaczył, coraz to inne dusiły go znozy, a któż się okazał troskliwym o niego druhem, jak nie onże Tod Lapraik. Ludzie powiadali później, że ilekroć Tod zbliżał się do naszego domu, straszniejsza morzyła ojca gorączka. Ja wiem, że to prawda, ale najlepiej wiem, jak się to zakończyło.

– Było to mniej więcej w tej samej co teraz porze roku. Mój dziadek wypłynął łowić ryby; mnie, małego wówczas brzdąca, zabrał ze sobą. Pamiętam, jak pełne tego dnia wyciągnęliśmy sieci i tak śledząc za rybami, dopłynęliśmy w pobliże wyspy Bass, gdzie spotkaliśmy inną łódź, niejakiego Sandie Fletchera z Castleton. Umarł niedawno, bo inaczej mógłby to wam sam opowiedzieć.

Ten Sandie zaczął wołać do nas:

– Widzieliście t o na wyspie Bass?

– Na wyspie Bass? – rzecze mój dziadek.

– Tak, po jej zielonej stronie.

– A cóż takiego? Tam nic nie może być, jak tylko owce.

– T o mi wygląda na coś jakby ludzką postać.

– Postać? – my na to i strach nas obleciał. Bo nie widzieliśmy tam żadnej łodzi, a klucze od więzienia wisiały u nas w domu, nad łóżkiem ojca.

Podpłynęliśmy bliżej, trzymając obie łodzie jedna przy drugiej. Dziadek miał lunetę, jako że był ongiś marynarzem, kapitanem własnego zagłowca, ale go stracił na mieliźnie koło zatoki Tay. I kiedy zaczęliśmy patrzeć przez lunetę – zaprawdę był tam jakiś mężczyzna. Był na szczycie trawą porośłego stoku, nieco poniżej kaplicy, zupełnie sam, i skakał, i tańczył, i miotał się jak rozchukana dziewczka na weselu.

– To Lapraik – rzekł dziadek i podał lunetę Sandiemu.

– Tak, to on – powiada Sandie.

– Albo ktoś, co jak on z diabłem pakuje.

– Szatański kumoter czy czarnoksiężnik, co mi za różnica! Spróbuję mojej strzelby na nim – rzekł Sandie i wydobył myśliwską flintę, którą zawsze miał ze sobą, a Sandie sławnym był strzelcem na całą okolicę.

– Poczekaj – mówi dziadek – trza lepiej mu się przyjrzeć. Bo inaczej może to nas drogo kosztować.

– Furda! – rzecze Sandie – takie już jest na pewno zrządzenie boskie i diabłu trzeba oddać, co mu się należy.

– Może tak, a może nie – mówi mój dziadek, a przemyślnym był człowiekiem – ale pamiętaj o urzędnikach, z którymi, coś mi się widzi, miałeś już pewne kłopoty.

Co było prawdą i Sandie stropił się nieco. – A ty co byś radził? – powiada.

A dziadek na to: – Na mój rozum, tak trzeba zrobić: moja łódź śmiglejsza jest od twojej, wróć więc do North Berwick, a ty pozostaniesz tutaj i będziesz Złe doglądał. Jeśli nie odnajdę tam Toda Lapraika, wróć tutaj do ciebie i wtedy spróbujemy obaj dobrać się temu stwora do skóry. A jeśli Lapraik jest w domu, dam ci znać flagą z przystani i możesz to Złe, tam na górze, z twojej strzelby przeżegnać.

Obaj ugodzili się na to. A że mnie, dzieciaka, ciekawiło to wszystko, przelazłem do łodzi Sandiego. Odpływając mój dziadek dał mu srebrnego szylinga do nabicia strzelby wraz z ołowianym śrutem, bo jak wiadomo, to daje skuteczniejszy strzał do upiora i wszystkiego, co zaczarowane. Sandie zaś pozostał i pilnował tego niesamowitego stwora na zboczu góry.

A przez cały ten czas on skakał, podrygiwał, ciskał się i wirował w kółko jak bąk dziecinny, i od czasu do czasu słyszeliśmy, jak porykuje i piszczy z uciechy. Widziałem dziewczyny pływające jak opętane przez całą zimową noc i jakby im tego było za mało, przez cały następny zimowy dzień; ale dokoła nich pełno zawsze jest ludzi, co się z nimi wesela, i chłopaków, co ich podniecają; atoli tamten był zupełnie sam. Takim dziewczynom skrzypek siedzący u komina przygrywa skocznie; atoli tamten nie miał innej muzyki, jak tylko skrzeczenie gęsi. W takich dziewczynach wre i burzy się krew młoda, a ciało całe o jurne woła igraszki, atoli tamten był opasłym, pokracznym, podeszłym w lecach mężczyzną. Mówcie sobie, co chcecie, ja wam powiem, w co wierzę: radość wielka była w sercu tego stwora. Radość piekielna, ani chybi, ale wyuzdana i przemożna, ludzkich nieznająca granic. Nieraz sobie myślę: dlaczego czarownice i czarnoksiężnicy sprzedają diabłu swe dusze (a najcenniejsze to ze wszystkiego, co mają), a przecież pozostają starymi, pomarszczonymi, nędznymi, plugawymi kobietami i mężczyznami. I wtedy przypominam sobie, jak Tod Lapraik tańczył samotnie, całymi godzinami, z natchnioną przez czarta radością w sercu. Zaiste smażyć się będą za to w ogniu piekielnym, ale w zamian, tutaj na ziemi, takiej zazną uciechy, jakiej zwykłym ludziom zakosztować nie przyjdzie

– i niech nam Bóg przebaczy!

Aż tu widzimy, na maszcie stojącym na skałach koło przystani w North Berwick ukazała się flaga. Na to tylko czekał Sandie. Pochwycił strzelbę, wymierzył starannie i pociągnął za cyngiel. Rozległ się huk, a potem wrzask na wyspie Bass. A my otwieramy oczy i patrzymy jak ogłupiali, bo z tym hukiem i wrzaskiem stwór zniknął. Słońce świeciło i wiatr dał po dawnemu, ale przed nami, tam, gdzie przed chwilą tańczył i skakał czarnoksiężnik, nic – tylko nagie zbocze.

Przez całą powrotną drogę ryczałem i płakałem ze strachu. Ale i dorosłym straszno było na duszy i wszyscy tylko Boga wzywali, a gdy dopłynęliśmy do przystani, aż czarno tam było od czekających na nas ludzi. Okazało się, że zastali Lapraika; siedział omdłały przy swoim warsztacie, uśmiechał się i przesuwiał tkackie czółenko. Posłali więc zaraz jednego chłopaka, żeby wciągnął flagę na maszt, a reszta pozostała w domu tkacza. A lęk luty im serca ścisnął, to pewne; lecz niejednen uważał to za dobry uczynek i modlił się w duchu (bo nikt głośno modlić się nie śmiał) patrząc, jak ten zakląty popycha swoje czółenko. Nagle Tod zerwał się ze straszliwym wrzaskiem i runął na podłogę cały zakrwawiony i martwy.

Gdy oglądali zwłoki, nie znaleźli ani śladu postrzału, ani jednej śruciny w ciele czarnoksiężnika, tylko srebrnik mego dziadka wbity w jego wszeteczne serce.

Zaledwie Andie zakończył swoją opowieść, nastąpił dosyć głupi incydent, który niemałe później wywołał następstwa. Neil, jak już wspomniałem, był sam nie lada narratorem i powia-

dano o nim, że znał wszystkie szkockie klechdy góralskie. Z tegoż powodu nosił się wysoko i cieszył wielkim mirem u sobie podobnych. Opowiadanie Andiego wydało mu się znajome.

– Znałem już przedtem tę opowieść – rzekł – a zdarzyło się to jednemu, co się zwał Uistean More Macgillie.

– Nic podobnego! – zawołał Andie – to wszystko, co mówiłem, zdarzyło się memu ojcu, a tym czarnoksiężnikiem był Tod Lapraik. Kłamiesz bezczelnie! Lepiej byś nie otwierał twojej góralskiej paszczy!

Dobrze urodzonym z Dolnej Szkocji nader trudno jest dojść do ładu z tubylcami z Górnej Szkocji (jak to potwierdza historia), ale prostakom to się prawie nigdy nie udaje. Zdawałem już sobie przedtem sprawę, że Andie był stale o krok od kłótni z naszymi trzema Macgregorami, a oto ta chwila nadeszła.

– Takich słów nie wolno używać do dżentelmenów – rzekł Neil.

– Dżentelmenów! – wykrzyknął Andie. – Ty masz się za dżentelmena, góralski głąbie? Gdyby cię Pan Bóg oświecił na tyle, abyś dojrzał siebie takim, jakim inni cię widzą, toby ci kudły stanęły na twoim ryżym łbie!

Z ust Neila padło jakieś szkockie przekleństwo i w tejże chwili sztylet błysnął w jego ręce.

Nie było czasu do namysłu; zanim wiedziałem, co robię, chwyciłem Neila za nogę, szarpnąłem mocno, obaliłem na ziemię i przycisnąłem jego uzbrojoną rękę do ziemi. Kamraci Neila skoczyli mu na pomoc. Andie i ja nie mieliśmy żadnej broni i dwóch nas było przeciwko trzem góralom. Zdawało się, że ostatnia wybiła dla nas godzina, gdy Neil wrzasnął coś po szkocku, kazał tamtym się cofnąć i przeprosił mnie z przesadną uniżonością, oddając mi nawet swój sztylet, który (po parokrotnie ponawianych z jego strony obietnicach) zwróciłem mu nazajutrz.

Z tego wypadku wypływały dla mnie dwa oczywiste wnioski: po pierwsze, nie mogłem zbyt liczyć na Andiego, który błady jak śmierć, oparł się o ścianę i nie ruszył się stamtąd, aż było po wszystkim. Po drugie, górale musieli otrzymać bardzo surowe rozkazy co do bezpieczeństwa mojej osoby, co mi znakomicie dodało otuchy. O ile jednak Andie okazał się raczej tchórzem, nie mogłem mu zarzucić niewdzięczności. Nie kwapił się co prawda z podziękowaniem, natomiast cała jego postawa i stosunek do mnie uległy zmianie. Od tego wieczora unikał lekliwie naszych towarzyszy i coraz częściej przebywał ze mną.



## XVI. NIEOBECNY ŚWIADEK

Siedemnastego września, w dniu wyznaczonym przez Charlie Stewarta, uczucie buntu przeciwko losowi ogarnęło mnie ze zdwojoną siłą. Myśl o prawniku oczekującym mnie na próżno w oberży „King’s Arm” w Stirling, o jego o mnie opinii i o tym, co z ust jego posłyszę przy naszym następnym spotkaniu, przygnębiała mnie i dręczyła nieznośnie. Zdawałem sobie sprawę, że trudno będzie uwierzyć moim słowom, a oskarżenie mnie o wiarołomność i tchórzostwo, podczas gdy w rzeczywistości nie zaniedbałem świadomie niczego, co leżało w mojej mocy, oceniałem jako szczególnie niezasłużone i okrutne. Powtarzałem to sobie z czymś w rodzaju gorzkiej satysfakcji i rozpamiętując w tym świetle poszczególne fazy mego postępowania, dochodziłem do wniosku, że w stosunku do Jamesa Stewarta i brat rodzony nie zachowałby się lepiej. Ze wszystkiego, co zdołałem, mogłem być dumny, należało jednak uwzględnić terażniejszość. Nie mogłem przepłynąć morza lub jak ptak przelecieć w powietrzu, lecz pozostawał mi nadal Andie. Oddałem mu przysługę, darzył mnie przyjaźnią; miałem więc dźwignię do podważenia jego uporu. Postanowiłem, choćby dla spokoju sumienia, spróbować raz jeszcze przekabacić go na swoją stronę.

Późne już było popołudnie; zupełną ciszę na całej wysepce maćił jedynie leciutki szum morza. Moi towarzysze rozleźli się każdy w swoją stronę; trzech ludzi Macgregora poszli gdzieś na skały, Andie zaś ze swoją Biblią wygrzewał się na słońcu wśród ruin. Odnalazłem go tam śpiącego smacznie i zaledwie się zbudził, zaatakowałem go z niemałą natarczywością i siłą argumentacji.

– Gdybym był przekonany, że to ci wyjdzie na dobre! – rzekł, spoglądając na mnie z ponad okularów.

– Chodzi o ratowanie życia bliźniego i dotrzymanie danego przeze mnie słowa. Czyż może być godniejszy od tego uczynek? Andie, czyż nie pamiętasz, co powiedziane jest w Piśmie świętym? Wszak masz je w tej chwili za pazuchą! „Cóż może zyskać ten, co utracił Królestwo Niebieskie?”

– Dobrze ci tak mówić, bo to tak wygląda od twojej strony. Ale z mojej całkiem inaczej. Ja również winienem dotrzymać słowa, tak samo jak ty. A to, czego się domagasz ode mnie, nie jest niczym innym, jak żądaniem, abym ci sprzedał mój honor za pieniądze.

– Andie? Czyż wspomniałem o pieniądzach?

– Nie chodzi o to, co mówisz, ale o to, co masz na myśli. Wszystko sprowadza się bowiem do tego: jeśli pójde ci na rękę w tym, co mi proponujesz, stracę środki utrzymania. Jasne jest więc, że będziesz mi to musiał wynagrodzić i, gwoli twojej reputacji, cokolwiek jeszcze dorzucić. Czyż to nie jest zatem przekupstwo? I gdybym chociaż mógł być pewny, że tę cenę otrzymam! Ale z tego, co miarkuję, bynajmniej tak nie wynika. Gdyby tak ciebie powiesili, jakże ja bym na tym wyszedł? Nie, nic z tego nie będzie, poczekaj cierpliwie, jak na rozsądnego chłopca przystało, i pozwól Andiemu doczytać rozdział do końca.

Pamiętam, że w głębi duszy cieszyłem się rezultatem tej rozmowy, a nawet nie mogłem się obronić przed uczuciem zbliżonym do wdzięczności dla Prestongrange’a, który w brutalny, bezprawny sposób wybawił mnie z niebezpieczeństw, rozterek i pokus. Lecz myśli takie zbyt

były podłe i tchórzliwe, aby mnie opanować na dłużej i wspominając los Jamesa odzyskałem stopniowo hart ducha. Nie sądzę, abym kiedykolwiek, z wyjątkiem mego pobytu na wyspie Earraid, przecierpiał tak straszne moralne katusze jak w dniu dwudziestego pierwszego września, wyznaczonym na rozprawę. Przeważną część tego dnia przeleżałem na zboczu góry, ni to we śnie, ni na jawie; ciało moje pozostawało w bezruchu, lecz w duszy aż się kotłowało. Drzemałem chwilami, lecz obraz sali trybunału w Inverary i więźnia rozglądającego się na próżno za nieobecnym świadkiem nie opuszczał mnie i we śnie. Budziłem się złamany na duchu i obolały na ciele. Zdawało mi się, że Andie mnie obserwuje, nie zwracałem jednak na niego uwagi. Zaprawdę gorzki był mi wówczas chleb, a życie stało się obmierzłym ciężarem.

Wczesnym rankiem następnego dnia (piątek dwudziestego drugiego września) do wysepki przybiła łódź zaopatrująca nas w prowiant i przewoźnik, Tom Anster, wręczył mi pakiet pozabawiony adresu, lecz zapieczętowany rządową pieczęcią. Wewnątrz znalazłem dwie notatki. W pierwszej, napisanej mozolnie lewą ręką, wyczytałem, co następuje:

*Pan Balfour sam rozumie, że jest już za późno na wtrącanie się do wiadomej sprawy. Jego zachowanie się będzie obserwowane, a dyskrecja wynagrodzona!*

Treść listu nie zawierała nic, co by mogło skompromitować jego autora, nawet w wypadku gdyby udało się wykryć tę osobę; groźna pieczęć zastępująca podpis przytwierdzona była do drugiej, czystej kartki papieru. Nie pozostawało mi nic innego, tylko przyznać, że moi adwersarze z ręcznie (jak dotąd) sobie poczynali, i strawić, jak mogłem najlepiej, ukrytą w obietnicy pogroźkę.

Druga natomiast notatka, skreślona kobiecym pismem, była znacznie bardziej zagadkowej natury:

*Podaje się do wiadomości pana Dawida Balfoura, że dopytuje się o niego pewna oddana mu osoba, a oczy jej są siwe.*

Tego rodzaju dokument, dochodzący do moich rąk w takim momencie, pod rządową pieczęcią, wydawał mi się zaiste zdumiewającym zjawiskiem. Stałem jak wryty, urzeczony wspomnieniem siwych oczu Katriony. Wszak to ona, myślałem sobie uradowany, jest tą oddaną mi osobą. Ale kim była autorka bileciku, by móc go dołączyć do listu Prestongrange'a? A co najdziwniejsze, dlaczego uważała za wskazane przesłać mi tę miłą, lecz chwilowo pozabawioną praktycznego znaczenia wiadomość na wyspę Bass? Co do autorki, nikt inny nie przychodził mi na myśl, jak tylko panna Grant, najstarsza córka lorda prokuratora. Pamiętałem, że piękno oczu Katriony nie uszło uwagi jego rodziny, nazywali ją nawet „siwe oczy”, a poza tym panna Grant mieszkała przecież w tym samym domu, z którego pochodził pakiet. Pozostawało mi więc wytłumaczyć jeden tylko szczegół: dlaczego Prestongrange wtajemniczył córkę w tak sekretną sprawę lub umożliwił dołączenie jej figlarnego bileciku do własnego listu? Ale i na to nasunęła mi się odpowiedź. Przede wszystkim było coś nieopanowanego i władczego w charakterze tej pani i ojczulek mógł jej ulegać bardziej, niż o tym wiedziałem. A ponadto należało pamiętać o jego stałej wobec mnie taktyce: ciągle karesy i ustępstwa i nigdy, nawet w chwilach gwałtownych konfliktów, Prestongrange nie porzucił maski przyjaźni. Musiał zdawać sobie sprawę, jak bardzo oburzyło mnie moje uwięzienie. Czyż nie zamierzał więc za pomocą tego żartobliwego, nacechowanego życzliwością manewru ugłaskać mnie i rozbroić moją wściekłość?

Przyznaję uczciwie, że jeśli o to mu chodziło, dopiął celu. Ogarnęło mnie bowiem uczucie serdecznej wdzięczności dla pięknej panny Grant, która okazała tyle zainteresowania dla mojej sprawy. Samo powołanie się na Katrionę skłoniło mnie do tchórzliwej ustępliwości.

Jeśli lord prokurator wiedział o Katrionie i naszej znajomości, jeśli bym pozyskał jego względy zachowując „dyskrecję”, do czego mnie namawiał w swym liście, czyż nie wspinała mogło to otworzyć przede mną perspekty? „Na próżno rozpościeracie sieci przed ptactwem” – mówi Pismo święte. Ptactwo jest widocznie mądrzejsze od ludzi, zdawało mi się bowiem, że rozumiem, na czym polega gra Prestongrange’a, a jednak dałem jej się zwieść.

W takim to nastroju, wpatrzonemu ze wzburzonym sercem w parę siwych oczu błyszczących przede mną jak dwie gwiazdy, zastał mnie Andie i przerwał moją zadumę.

– Widzę – rzekł – że dobre otrzymałeś nowiny.

Przyglądał się bacznie wyrazowi mej twarzy; wywołało to w mojej wyobraźni wizję Jamesa Stewarta i trybunału w Inverary. Pod jej wpływem moje postanowienia odwróciły się nagle jak drzwi na zawiasach. Rozprawa sądowa – pomyślałem sobie – trwa nieraz dłużej, niż się przewiduje. Nawet gdybym za późno zjawił się w Inverary, coś jeszcze dałoby się może przedsięwziąć na korzyść Jamesa, a w obronie własnej czci nic lepszego nie mogłem uczynić. W jednej chwili, bez najmniejszego zdawałoby się namysłu, plan mój był gotów.

– Andie – rzekłem – wszak jutro masz mnie uwolnić?

Odpowiedział, że otrzymane w swoim czasie rozkazy pozostają niezmienione.

– Czy wspomniano cokolwiek o godzinie?

– O drugiej po południu.

– W jakim miejscu?

– O jakie miejsce ci chodzi?

– O to, gdzie mam wylądować po opuszczeniu wyspy.

– Nic mi o tym nie mówili.

– A zatem mogę je wybrać dowolnie. Wiatr wieje ze wschodu, moja droga prowadzi na zachód. Zatrzymaj twoją łódź, wynajmuję ją na własny użytek. Popłyniemy przez cały dzień w głąb zatoki Forth, a jutro, o godzinie drugiej, wysadzisz mnie na ląd w miejscu, jakie zdołamy osiągnąć, jak najdalej na zachodzie.

– Szalony chłopcze! – wykrzyknął. – A potem postarasz się dostać do Inverary!

– Oczywiście!

– Nielatwo ciebie okiełzać. A nie dalej jak wczoraj litowałem się nad tobą. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że ani przez chwilę nie byłem całkiem pewny, czy ty naprawdę chcesz się stąd wydostać przed terminem.

– To, co ci powiem, Andie, zatrzymaj dla siebie. Mój plan ma jeszcze jedną dobrą stronę. Możemy pozostawić naszych górali na tej skale, a któraś z twoich łodzi z Castleton jutro ich stąd zabierze. Neil patrzy na ciebie krzywym okiem, kto wie, czy po opuszczeniu przeze mnie wyspy noże nie będą znowu w robocie. Górale szkoccy są niezwykle mściwi. A gdyby ktośkolwiek miał ci to za złe, masz gotową wymówkę. Te dzikusy – powiesz – dybały na nasze życie, o mało nas nie zarżnęły. Będąc odpowiedzialny za moje bezpieczeństwo, postanowiłem mnie od nich oddalić i zatrzymać przez resztę wyznaczonego czasu na swojej łodzi. I wiesz co, Andie? – dodałem z uśmiechem. – Uważam to doprawdy za całkiem rozsądny pomysł.

– Prawdę rzekłszy, wolałbym się trzymać jak najdalej od Neila i nie pachnie mi narażenie się na rękoczynny z takim szubrawcem. Tom Anster da sobie z nimi radę lepiej ode mnie, on pochodzi z hrabstwa Fife, gdzie jeszcze mówią po szkocku. Tak, tak, on się do tego najlepiej nadaje, a im więcej o tym myślę, tym mniej widzę powodów, abyśmy mieli dłużej tutaj zabawować, niż to jest konieczne... A jeśli chodzi o miejsce... do licha, zapomnieli mi cokolwiek o tym powiedzieć. Łebski z ciebie chłopak, gdy zechcesz, panie dziedzicu z Shaws! A zresztą uratowałeś mi życie – dodał uroczyście i podał mi rękę na znak zgody na moją propozycję.

Nie tracąc ani chwili na dalsze pogawarki skoczyliśmy chyłkiem do łodzi, odbiliśmy i podnieśliśmy żagiel. Górale Macgregora zajęci byli przyrządzaniem śniadania, jako że kuchczenie należało do ich zwykłych obowiązków, lecz jeden z nich, wylazłszy na resztki wałów fortecznych, dostrzegł naszą ucieczkę w chwili gdy oddaliliśmy się zaledwie o dwadzieścia

kabli od wyspy. Wszyscy trzej zaczęli miotać się wśród ruin i na pomoście przybrzeżnym, jak mrówki, gdy ktoś kij wsadzi w mrowisko, wrzeszcząc i nawołując nas do powrotu. Znajdowaliśmy się wciąż jeszcze na podwietrznej i w szeroko rozpościerającym się na morzu cieniu skały, lecz w tej samej bez mała chwili wypłynęliśmy w słońce i na kierunek wiatru. Żagiel załopotał i łódź pomknęła chyżo, unosząc nas poza zasięg ich głosów. Bóg jeden raczy wiedzieć, jak straszna musiała opanować ich zgroza, gdy tak zostali, odcięci od świata i ludzi pozbawieni nawet Biblii. Nie mogli również szukać pociechy w gorzałce, gdyż pomimo sekretności i pośpiechu, z jakim opuszczaliśmy wyspę Bass, skrzętny Andie zdążył pochwycić antałek.

Pierwszą naszą troską było wysadzenie Anstera na ląd w małej zatoczce opodal Glentithy Rocks, przykazując mu uwolnić nazajutrz osamotnionych na wyspie górali Macgregora. Po czym popłynęliśmy w głąb zatoki Forth. Bryza początkowo rześka opadła wkrótce, lecz ani na chwilę nie opuściła nas zupełnie. Przez cały dzień, aczkolwiek wolniutko, posuwaliśmy się naprzód i o zmierzchu dotarliśmy do miasteczka Queensferry. Zgodnie z zobowiązaniem Andiego (a raczej dla zachowania pozorów) musiałem pozostać w łodzi, nic jednak, moim zdaniem, nie stało na przeszkodzie, bym nawiązał pisemną łączność z lądem. W świetle znajdującej się na dziobie łodzi latarni napisałem parę zdań streszczających sytuację i Andie zaniósł ten list do Rankeillora. W braku innego użyłem papieru, w który owinięty był list Prestongrange'a, i przytwierdzona doń pieczęć rządowa wielce musiała zadziwić mego korespondenta. Po mniej więcej godzinie Andie powrócił przynosząc sakiewkę z pieniędzmi i wiadomość, że nazajutrz dobry, osiodłany koń będzie na mnie czekał przy Clackmannan Pool. Po czym opuściliśmy kamienną kotwicę i położyliśmy się spać, okrywając się żaglami.

Następnego dnia dopłynęliśmy tam na długo przed godziną drugą po południu i nie pozostawało mi nic innego, jak siedzieć w łodzi i czekać. Nie uśmiechała mi się ta podróż i powitałbym chętnie każdą godzinę wymówkę, aby jej zaniechać. Nie mogłem jednak na to liczyć i gdybym wybierał się w drogę w pogoni za jakąś od dawna wyczekiwaną uciechą, nie większe ogarnęłoby mnie podniecenie. Około godziny pierwszej mój koń stał już u brzegu i widziałem, jak mężczyzna, który go przyprowadził, przechadzał się tam i z powrotem, czekając, aż wyląduję, co jeszcze bardziej spotęgowało moją niecierpliwość.

Andie, będąc człowiekiem słownym, nader skrupulatnie obliczył chwilę mego uwolnienia, lecz jak się okazało, interpretował zlecenia swoich mocodawców raczej na ich niekorzyść. Nie minęło pięćdziesiąt sekund po godzinie drugiej, a już dosiadłem konia i ruszyłem cwałem w stronę Stirling. Po niespełna godzinie minąłem to miasto i wjechałem w dolinę rzeki Alan Water. Zaraz potem zerwała się burza. Oślepiiony strugami deszczu, smagany wichurą, z największym trudem utrzymywałem się w siodle. Pierwszy zmrok zastał mnie w zupełnym pustkowiu, wciąż jeszcze na wschód od Balquhiddy. Nie byłem pewien, czy w dobrym podążam kierunku, a na domiar złego koń mój zaczął ustawać.

Chcąc uniknąć zwłoki i kłopotów związanych z przewodnikiem, jechałem samotnie starając się trzymać (co dla najlepszego nawet jeźdźca byłoby nie lada próbą) kierunku mojej wędrówki z Alanem. Postąpiłem tak rozmyślnie, świadom ogromnego niebezpieczeństwa, spotęgowanego jeszcze przez burzę. Była może godzina szósta po południu, gdy po raz ostatni zdawało mi się, że wiem, gdzie się znajduję – w okolicach Uam Var. I tylko dzięki niezwykle pomyślnemu dla mnie zrządzeniu losu przybyłem około godziny jedenastej w nocy do celu, to jest do domu Duncana Dhu. Którędy i jak tam dotarłem, koń tylko mógłby powiedzieć. Wiem tylko tyle, że dwukrotnie rozstawałem się z siodłem i raz przejeżdżając w bród przez potok o mało nie zostałem uniesiony przez jego rwące wody. Zarówno mój wierzchowiec, jak i ja byliśmy zabłoceni po uszy.

Przebieg procesu Jamesa Stewarta wzbudził w całej Górnej Szkocji powszechne i namiętne zainteresowanie. Wiadomości z Inverary rozchodziły się z szybkością, z jaką w tych okolicach można było podróżować; dowiedziałem się z ulgą od Duncana, że tegoż dnia, w sobotę,

rozprawa nie była jeszcze zakończona i że wszyscy przypuszczali, iż przeciągnie się jeszcze przez cały poniedziałek.

Zachęcony tą wieścią, nie chciałem zasiaść do posiłku i w towarzystwie Duncana, który podjął się roli przewodnika, wyruszyłem niezwłocznie dalej piechotą, trzymając w ręku kromkę chleba i pogryzając po drodze. Duncan zabrał ze sobą manierkę whisky domowego wyrobu i latarkę olejną. Ta ostatnia ułatwiała nam podróż wtedy tylko, gdy natrafialiśmy na ludzkie siedziby, w których mogliśmy ją zapalić na nowo, gasła bowiem za lada podmuchem, a na dobitkę ciekła obrzydliwie. Przeważną część nocy wędrowaliśmy po omacku i świt zastał nas zabłąkanych w górach. Natknęliśmy się jednak na chatkę nad strumieniem, gdzie pożywił się nieco i otrzymaliśmy wskazówki co do dalszej drogi. I tak w niedzielę rano, na krótko przed końcem kazania, dobrnęliśmy do drzwi kościoła w Inverary.

Deszcz obmył nieco górne części mojej osoby, lecz aż do kolan byłem pokryty grubą warstwą błota; ociekałem wodą, ślaniałem się na nogach ze znużenia, twarz moja przypominała raczej zmorę niż ludzką istotę i zaiste potrzebowałem bardziej zmiany odzieży i wygodnego łóżka niż choćby najwznioślejszej chrześcijańskiej strawy duchowej. Pomimo tego (będąc przekonany, że przede wszystkim muszę zmanifestować swoją tam obecność) pchnąłem drzwi, wszedłem do kościoła i znalazłszy opodał wejścia wolne miejsce w ławce, usiadłem. Mokry i unurzany w błocie Duncan poszedł w moje ślady.

– A pamiętajmy, bracia moi, że prawo winno być uważane za narzędzie łaski – mówił właśnie pastor głosem człowieka delectującego się własną argumentacją.

Kazanie wygłaszał po angielsku, ze względu na zjazd związany z sesją trybunału. Sędziowie, w asyście swej zbrojnej eskorty, której halabardy błyszczały w kącie koło drzwi, przybyli *in corpore*, a w ławkach tłoczyła się niezwykle liczna cizba prawników. Komentowany tekst pochodził z listu św. Pawła do Rzymian, a kaznodzieja był kutym na cztery nogi praktykiem, całe więc dostojne grono, począwszy od księcia Argyle i lordów Elchies i Kilkerran, a skończywszy na towarzyszących im halabardnikach, słuchało jego wywodów w nabożnym skupieniu. Pastor oraz parę osób znajdujących się koło drzwi zauważyli nasze przybycie, lecz po chwili zapomnieli o nas, reszta zaś zebranych nie usłyszała nas lub nie chciała sobie nami głowy zaprzętać. Siedziałem więc czas jakiś niedostrzeżony zarówno przez moich wrogów, jak i przyjaciół.

Pierwszego dojrzałem Prestongrange'a. Siedział rozparty wygodnie, pochylony nieco do przodu jak jeździec w siodle, wpatrzony w kaznodzieję, z ustami jakby cmokającymi z lubością; wygłaszana z ambony doktryna przypadała mu widocznie do smaku. Natomiast Charles Stewart, błądy i wyczerpany, ucinął sobie lekką drzemkę. Postawa Simona Frasera stanowiła wysoce gorszący wyjątek w tak bogobojnym zgromadzeniu; coraz to zanurzał w kieszeniach obie dłonie, wyprostowywał i krzyżował nogi, pochrząkiwał głośno, z pod nieistniejących prawie brwi łypał wzrokiem na prawo i lewo; ziewał lub uśmiechał się ukradkiem. Od czasu do czasu brał do ręki złożoną przed nim Biblię, przerzucał parę kartek, coś tam przeczytał i ziewał od ucha do ucha. A to wszystko jakby na próżno usiłując zwalczyć nudę.

Podczas gdy tak się wiercił, oczy jego spoczęły na mnie. Znieruchomiał na chwilę, po czym oderwał pół strony z Biblii, nagryzmolił na niej parę słów ołówkiem i podał sąsiadowi szepcząc mu coś do ucha.

Kartka doszła do rąk Prestongrange'a, który raz tylko rzucił na mnie bystre spojrzenie, od niego zawędrowała do pana Erskine i dalej do księcia Argyle, przewodniczącego trybunału, siedzącego pomiędzy obu pozostałymi sędziami tej sesji. Jego Wysokość odwrócił się i zaczął mi się przyglądać wyniosłe. Ostatnim z zainteresowanych moją osobą, który mnie dostrzegł, był Charles Stewart; on również pochwycił ołówek i zaczął rozdawać kartki na wszystkie strony, ale nie mogłem dojrzeć, dla kogo w tym tłumie były przeznaczone.

Krażenie tych kartek obudziło powszechną uwagę; wszyscy wtajemniczeni (lub tak mniemający o sobie) wymieniali szeptem informacje, pozostali zaś wypytywali się wzajemnie.

Kaznodzieja, zaskoczony tym nagłym zamętem i szeptaniem w kościele, stropił się wielce, stracił kontenans, głos mu się załamał, i aż do końca już nie odzyskał pełnego rozmachu swej elokwencji. Do końca życia dręczyła go zapewne zagadka, dlaczego owo tak triumfalnie w czterech piątach wygłoszone kazanie w pozostałej jednej piątej okazało się cczą, przez nikogo niesłuchaną gadaniną.

Ja zaś siedziałem nadal w ławce, mokrusieńki i straszliwie znużony, cokolwiek w strachu na myśl o dalszych konsekwencjach mego kroku, lecz szczerze uradowany odniesionym sukcesem.

## XVII. MEMORIAŁ

Zaledwie pastor wypowiedział ostatnie słowa liturgicznego błogosławieństwa, Charles Stewart pochwylił mnie za rękę. Wyszliśmy pierwsi z kościoła, po czym pociągnął mnie za sobą z takim pośpiechem, że zanim powracający z kościoła tłum wypełnił ulicę, my siedzieliśmy już w izbie.

– Czy aby nie za późno? – zapytałem.

– I tak, i nie. Rozprawa została zakończona. Przysięgli siedzą zamknięci na naradzie i jutro rano ogłoszą łaskawie swój werdykt. Mógłbym panu zakomunikować jego treść trzy dni temu, zanim rozpoczęła się ta komedia. Sprawa była jasna od początku. Oskarżony wie o tym: „Zrobisz dla mnie, co będziesz mógł – szepnął mi przedwczoraj – ale ja i tak wiem, co mnie czeka, z tego, co powiedział przed chwilą panu Mackintosh książę Argyle”. Skandal to niesłychany!

*Księżciu Argyle nie poradzisz, niebogo.  
Ma za sobą możnych i strzelby mnogo.*

A nawet woźny trybunału wykrzykiwał rodowe zawołanie Campbellów! Ale teraz, skoro pan tu się zjawił, nie dam za wygraną do ostatniej chwili! Nasz dąb herbowy nie ugnie się przed mirtem w ich klejnocie. Utrzymy jeszcze nosa Campbellom w ich własnym mieście! Daj Boże, abym dożył takiej chwili!

Aż podrygiwał z podniecenia, wypróżniając na podłogę swój worek podróżny, aby mi umożliwić zmianę odzieży, i naprzykrzał mi się pomocą podczas tej czynności. Nie powiedział mi natomiast nic o tym, co pozostało do zrobienia, ani jak należało do tego przystąpić, a nawet, jak sądzę, nie myślał o tym. „Utrzymy nosa Campbellom!” – nic go więcej nie obchodziło. Uświadomiłem sobie wówczas jasno, że to, co pozornie przedstawiało się jako poważny problem prawny, było w istocie rzeczą bitwą pomiędzy klanami Stewartów i Campbellów ulegającymi całkowicie dzikim, klanowym obyczajom. A mój przyjaciel, jurysta Stewart, zasługiwał w niemniejszej mierze na miano dzikusa. Czy ktokolwiek, kto go widział w dostojnej roli adwokata na sali sądowej lub z nie mniej dostojną miną grającego w golfa na murawie w Brumsfield, poznałby tę samą osobę w tym fanatyku klanowych waśni?

Jamesa Stewarta broniło aż czterech prawników: szeryfowie Brown z Colstoun i Miller, pan Robert Mackintosh i pan Stewart junior ze Stewart Hall. Wszyscy czterej umówili się byli na obiad z Charlie Stewartem, zaraz po kazaniu, i zaprosili mnie łaskawie do swego grona. Zaledwie zdjęto obrus i szeryf Miller przyrządził z maestrią pierwszą wagę ponczu, przystąpiliśmy do dyskusji. Opowiedziałem im pokrótce o moim uprowadzeniu i uwięzieniu, a następnie zostałem poddany bardzo szczegółowemu badaniu na temat okoliczności morderstwa w Appin. Wówczas to po raz pierwszy, co należy mieć na względzie, mogłem o wszystkim mówić otwarcie; po raz pierwszy również sprawę rozważali prawnicy.

Wyniki tej narady okazały się, ich zdaniem, wysoce zniechęcające, mnie zaś (przynaję) napęłniły bolesnym rozczarowaniem.

– Reasumując – rzekł szeryf Brown – stwierdza pan, że Alan znajdował się na miejscu zbrodni; słyszał go pan odgrażającego się Campbellowi z Glenure; aczkolwiek pan nas zapewnia, że to nie on wystrzelił, zeznania pańskie nasuwają nieodparcie wnioski, iż Alan był w zмовie z mordercą i godził się na zbrodnię, a może i dopomagał bezpośrednio w jej popełnieniu. Powiada pan również, że Alan czynnie ułatwił mordercy ucieczkę, własną przy tym wolność na szwank narażając. Pańskie zeznania (zakładając, że są istotne) poparte być mogą wyłącznie słowem Alana lub Jamesa, to jest obu oskarżonych. Krótko mówiąc, nie przerywa pan, ale przedłuża o jedno ogniwo, to jest o właściwego pańskim zdaniem sprawcę morderstwa, łańcuch faktów łączący naszego klienta z mordercą. I jasne jest chyba, że wprowadzenie trzeciego współnika wzmacnia raczej domniemanie spisku, co stanowiło dla nas od początku najważniejszą przeszkodę.

– Podzielam tę opinię – rzekł szeryf Miller. – Uważam, że powinniśmy wszyscy być wdzięczni lordowi prokuratorowi za usunięcie tak niewygodnego świadka. A zwłaszcza wdzięcznym winien być pan Balfour. Bo skoro jest mowa o trzecim współniku, to, moim zdaniem, pan Balfour łącznie mógłby zostać uznany za czwartego.

– Za pozwoleniem, panowie! – przerwał Charlie Stewart. – Istnieje inny jeszcze punkt widzenia. Mamy oto tutaj świadka – obojętnie, czy istotnego, czy nie – świadka w toczącej się sprawie, który został porwany przez tę łajdacką szajkę Macgregorów z Glengyle i więziony przez miesiąc bez mała w okropnych lochach, pod gruzami fortecy na wyspie Bass. Ujawnicie ten fakt przed trybunałem, a zdyskredytujecie doszczętnie całe postępowanie władz sądowych. Panowie! Przecież taką gratkę można rozdmuchać na cały świat! Zdziwiłbym się wielce, gdybyśmy mając taką broń w rękę nie zdołali uzyskać ułaskawienia dla mego klienta!

– Przypuśćmy, że już jutro wniesiemy na wokandę sprawę pana Balfoura – rzekł Stewart z Hall. – Nie sądzę, abym się mylił twierdząc, że na tak skuteczne natrafimy ze strony władz impedimenta, iż James zawisnie na szubienicy, zanim znajdziemy sąd, który rozpatrzy naszą skargę. To jest wielki skandal, ale każdy z nas ma przecież świeżo w pamięci jeszcze większy, a mianowicie sprawę lady Grange. Ta kobieta była nadal uwięziona w chwili otwarcia rozprawy; mój przyjaciel pan Rankeillor uczynił wszystko, co było w ludzkiej mocy, i cóż z tego wynikło? Nie udało mu się nawet uzyskać nakazu doprowadzenia jej przed oblicze trybunału! To samo stanie się i teraz; te same zastosują środki. Nie mamy bowiem do czynienia z wymiarem sprawiedliwości, lecz ze sceną, na której rozgrywa się dramat animozji klanowej. Nienawiść do nazwiska, które mam zaszczyt nosić, szaleje wśród dygnitarzy rządowych. Czymże jest bowiem sprawa Jamesa Stewarta, jeśli nie objawem zemsty Campbellów, jeśli nie ohydną, niecną intrygą Campbellów!

Ten temat trafił do serca zebranych przy stole i przez długi czas siedziałem wśród moich uczonych doradców oszołomiony ich retoryką, której rzeczowość wydawała mi się jednak co najmniej wątpliwa. Charlie Stewart zaperzył się i sięgnął do siarczystych wynurzeń; Colstoun uznał za konieczne przemówić mu do rozsądku; reszta nie omieszkała stanąć zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie, a to wszystko w rosnącym gwarze; na księciu Argyle nie pozostawili suchej nitki; król Jerzy również oberwał coś niecoś przy tej okazji, co z kolei nie obešlo się bez długich i nieco zbyt zawiłych wywodów w jego obronie. O jednej tylko osobie zdawali się nie pamiętać, a mianowicie o Jamesie Stewart *of the Glens*.

W całej tej dyskusji pan Miller nie brał udziału. Był to rzeński, niemłody już dżentelmen o rumianej cerze i bystrych oczach; przemawiał dźwięcznym, przyjemnym głosem, cedząc frymuśnie każde słowo, jak to czynią aktorzy, chcąc w ten sposób osiągnąć maksymalny efekt, co nadawało każdej jego wypowiedzi arogancki charakter. Nawet gdy tak siedział w milczeniu, zdjąwszy perukę i położywszy ją przy sobie na stole, trzymając szklanekę w obu dłoniach, z ustami zaciśniętymi, z wysuniętym podbródkiem, mógłby uchodzić za obraz wyrafinowanej przebiegłości. Miał niewątpliwie coś do powiedzenia i czekał na stosowną po temu okazję.



Nadarzyła się wkrótce. Colstoun zakończył właśnie swą kolejną perorę powołaniem się na obowiązek obrońców w stosunku do ich klienta. Millerowi odpowiadała widocznie ta wzmianka, gdyż szerokim gestem i znaczącym spojrzeniem wezwał zebranych do wysłuchania go.

– Przychodzi mi to na myśl – rzekł – pewien aspekt tej sprawy, któremu jak mi się zdaje, nie poświęciliśmy dotychczas dosyć uwagi. Dobro naszego klienta stoi niewątpliwie na pierwszym miejscu, lecz jeśli zabraknie Jamesa Stewarta, świat się przez to nie zawali. – W tym miejscu napuścił się jeszcze bardziej. – Moi przedmówcy ze wszech miar wyczerpująco naświetlili obecny stan sprawy, lecz jedno zagadnienie wydaje mi się górować nad całą ich argumentacją. Pan Balfour ma solidne podstawy do skargi i uważam, panowie, że o ile by jego sprawa została odpowiednio przedstawiona i rozegrana, niejedna peruka znalazłaby się na zielonej trawce. Siedzący przy stole odwrócili się ku niemu jednocześnie.

– Sprawa ta, odpowiednio potraktowana i ostrożnie sformułowana, musiałaby pociągnąć za sobą pewne konsekwencje. Cały zarząd wymiaru sprawiedliwości w naszym kraju, od najwyższego dygnitarza do podległych mu urzędników, zostałby doszczętnie skompromitowany i należałoby się liczyć z potrzebą ich zastąpienia. – Co mówiąc aż promieniał chytrością. – I nie potrzebuję chyba panom tłumaczyć, jak korzystna pod tym względem mogłaby się okazać rola pełnomocnika prawnego pana Balfoura.

Słowa te spłoszyły następnego zająca, w pogoń za którym wszyscy rzucili się ochoczo; i dalejże gardłować o sprawie pokrzywdzonego pana Balfoura, o tym, jakie należałoby wygłosić oracje, i o tym, jakich urzędników można by przy tej okazji usunąć i kto winien zająć ich stanowiska. Ograniczę się do zacytowania dwóch tylko z licznych rozważanych wówczas propozycji: któryś z prawników wpadł na pomysł, aby pozyskać Simona Frasera, którego świadectwo, o ile by się udało go do tego nakłonić, wywołałoby na pewno fatalne skutki dla księcia Argyle i lorda prokuratora Prestongrange'a. Miller popierał gorąco ten projekt. „Mamy oto przed sobą soczystą pieczeń – mówił – starczy jej do syta dla nas wszystkich”. I wszyscy w tej chwili oblizali sobie wargi; tak mi się przynajmniej zdawało.

Druga propozycja nastąpiła przy końcu obrad. Charlie Stewart, wietrząc możliwość zemsty na swym głównym wrogu, księciu Argyle, nie posiadał się wprost z radości.

– Panowie! – wykrzyknął napełniając szklanicę – wznoszę zdrowie szeryfa Millera! Jego talent prawniczy jest ogólnie ceniony, talent kulinarny... ten poncz przed nami mówi sam za siebie. A cóż dopiero, gdy w grę wchodzi polityka! – I wychylił szklanę duszkiem.

– Hm, ta polityka nie okazałaby się tak zupełnie po pańskiej myśli – odrzekł mile połączony Miller. – Rewolucja, owszem, czemu nie, i mogę was zapewnić, że przyszli historycy będą ją datować od sprawy pana Balfoura. Tylko musi być rozsądnie przeprowadzona, panie Stewart! Wyrozumiale, łagodnie, jednym słowem, winna to być pokojowa rewolucja.

– Wszystko mi jedno, byle tylko móc nosa utrzeć tym przeklętym Campbellom! – wrzasnął Stewart, waląc pięścią w stół.

Łatwo odgadnąć, że z tego wszystkiego nie byłem zadowolony, lubo słuchając dowodów naiwności tych starych intrygantów, zaledwie mogłem zapanować nad uśmiechem. Nie po to jednak przeżyłem tyle udręk, aby przyczynić się do zaspokojenia ambicji szeryfa Millera lub wywołać rewolucję w szkockim sądownictwie i palestrze. Wmieszałem się więc do rozmowy z całą skromnością, na jaką było mnie stać.

– Pragnę przede wszystkim panom podziękować za ich cenne rady, a następnie chciałbym, jeśli panowie pozwolą, zadać parę pytań, niektóre bowiem kwestie wydają mi się nabierać cokolwiek zbyt marginesowego charakteru, jak na przykład: czy ta sprawa wyjdzie na korzyść naszemu przyjacielowi Jamesowi Stewartowi *of the Glens*?

Zaskoczyła ich ta dygresja i odpowiedzieli mi w różny sposób, zgadzając się jednak co do jednego punktu: James mógł liczyć już tylko na łaskę królewską.

– Przejdźmy więc – mówiłem dalej – do następnej kwestii: czy wyjdzie to na korzyść Szkocji? Znane panom przysłowie głosi, że zły to ptak, co własne gniazdo kala. Opowiadano mi o pewnych zamieszkach w Edynburgu (byłem wtedy maleńkim jeszcze dzieckiem), które dały nieboszczce królowej asumpt do określenia Szkocji jako kraju barbarzyńców. I chyba jasną jest rzeczą, że nie zyskaliśmy na tym, tylko straciliśmy. Potem nastąpił pamiętny rok czterdziesty piąty i Szkocja znalazła się na ustach wszystkich, ale nigdy nie słyszałem, abyśmy cokolwiek zyskali na tym nieszczęsnym powstaniu. A oto teraz mamy sprawę Balfoura, jak ją panowie określają. Pan szeryf Miller powiada, że może się to stać wydarzeniem historycznym i chętnie gotów jestem mu uwierzyć. Obawiam się jednak, żeby od tego wydarzenia nie notowano okresu klęsk publicznych, za które odpowiedzialność nasze obciążą sumienia.

Sprytny Miller już zwąchał, do czego zmierzam, i przerzucił się pośpiesznie na moją stronę.

– Przekonywająca to jest argumentacja, panie Balfour – wtrącił – wcale trafnie ujmuje pan sedno rzeczy.

– Pozostaje jeszcze pytanie – mówiłem dalej – czy wyjdzie to na korzyść króla Jerzego? Pan szeryf Miller zdaje się nie żywić co do tego większych wątpliwości. Pozwalam sobie jednak mniemać, że przy burzeniu domu stanowiącego siedzibę Jego Królewskiej Mości parę cegieł spadnie mu niechybnie na głowę, a któraś z nich może się okazać ciosem śmiertelnym.

Umilkłem, dając im możliwość repliki, lecz żaden się nie odezwał.

– Wśród tych, którzy mieliby z tej sprawy osiągnąć korzyści – ciągnąłem dalej – pan szeryf Miller zechciał łaskawie wymienić i moją osobę. Proszę mi wybaczyć tę śmiałość, ale nie podzielam jego zdania. Nie wahałem się przed niczym tak długo, póki chodziło o ratowanie życia niewinnego człowieka, atoli przyznaję, że uznałbym się za wybitnie lekkomyślnego, gdybym nie mając jeszcze lat dwudziestu i zamierzając poświęcić się palestrze, naraził się na miano skłonnego do warcholstwa, awanturczego młodzieńca. Co zaś do Jamesa, wydaje mi się, że – w obecnym stadium sprawy, skoro wyrok właściwie już zapadł – cała jego nadzieja leży istotnie w łasce królewskiej. Czy nie należałoby zatem od tego właśnie rozpocząć zabiegi u Jego Królewskiej Mości, zamiast dążyć do publicznej kompromitacji wysokich urzędowych osobistości, przez co znalazłbym się w położeniu nie rokującym dla mnie żadnych nadziei na przyszłość?

Obserwując, jak siedzą wpatrzni w swoje szklanki, zdałem sobie z łatwością sprawę, że moje stanowisko niezbyt im przypadało do gustu. Jednakże Miller miał na wszystko odpowiedź.

– Jeśli mi wolno będzie – rzekł – nadać wypowiedzi naszego młodego przyjaciela bardziej formalne oblicze, to proponuje on, abyśmy uwzględnili fakt jego uwięzienia, a ewentualnie i niektóre ważniejsze elementy z zeznań, jakie był gotów złożyć przed sądem, w memoriale skierowanym do Korony. Ten plan nie jest pozbawiony pewnych szans powodzenia i może wyjść na korzyść naszemu klientowi w tej samej, a kto wie, czy nie większej mierze co jakikolwiek inny. Jego Królewska Mość raczyłby może odczuć pewną wdzięczność względem wszystkich autorów takiego memoriału, w którym należałoby, moim zdaniem, bardzo delikatnie wyrazić naszą wobec niego lojalność. Przy redagowaniu tegoż na tym właśnie położyłbym nacisk.

Wszyscy zgodnie skinęli głowami, aczkolwiek nie bez cichych westchnień, poprzednia bowiem alternatywa była niewątpliwie bliższa ich sercu.

– Proszę wziąć pióro do ręki, panie Stewart – mówił dalej Miller – dokument ten winien być podpisany przez pięć obecnych tu osób działających w charakterze mandatariuszy skazanego.

– W każdym razie to nie może zaszkodzić – rzekł Colstoun, wzdychając powtórnie, przez ostatnie bowiem dziesięć minut widział się już w roli lorda prokuratora Szkocji.

Moi doradcy zabrali się więc, nie okazując zbytniego entuzjazmu, do opracowania memoriału, w trakcie której to czynności rychło unieśli się zawodowym zapalem, ja zaś nie miałem już nic innego do roboty, jak tylko im się przyglądać i od czasu do czasu odpowiadać na pytania. Dokument został bardzo umiejętnie ułożony; rozpoczynał się od opisu dotyczących mnie wypadków, a więc nagrody ofiarowanej za pojmanie mojej osoby, mego dobrowolnego zgłoszenia się u władz, presji na mnie wywieranej, mego uprowadzenia i wreszcie mego spóźnionego przybycia do Inverary. Następnie, w obszernym wywodzie, podawał względy, dla których ulegając trosce o interes publiczny i lojalności względem Korony, postanowiliśmy zrezygnować z uzasadnionego skądinąd prawa skargi. Memoriał kończył się złożonym w imieniu Jamesa przekonywającym apelem do łaski królewskiej.

Zdałem sobie sprawę z daleko idącego pomniejszenia mojej roli oraz że zostałem przedstawiony raczej jako zawadiaka, którego chmara prawników z trudem powstrzymała od światoburczych kroków. Nie zgłosiłem jednak zastrzeżeń; prosiłem tylko, by dopisali, że gotów jestem złożyć zeznania i poprzeć nimi świadectwo innych przed każdą komisją badawczą, tudzież o niezwłoczne doręczenie mi kopii memoriału.

Colstoun skrzywił się i mruknął: – To jest wysoce konfidencjonalny dokument.

– Moje zaś stanowisko względem lorda prokuratora jest bardzo szczególne – odpowiedziałem. – Musiałem mu niewątpliwie trafić do serca podczas pierwszej z nim rozmowy, gdyż konsekwentnie okazywał mi życzliwość. Gdyby nie Prestongrange, pozwałam sobie zwrócić panów uwagę, byłbym już na tamtym świecie lub oczekiwał na wyrok u boku nieszczęsnego Jamesa. Dlatego też zamierzam mu zakomunikować treść tego memoriału natychmiast po sporządzeniu kopii. Proszę również uwzględnić, że chcę to uczynić gwoli własnego bezpieczeństwa. Mam tutaj wrogów niewahających się używać gwałtownych środków. Jego Wysokość książę Argyle jest tu we własnym kraju, a przy nim Lovat i jeśli moje postępowanie wzbudzi jakiegokolwiek podejrzenie, mogę się jutro rano obudzić w więzieniu.

Nie znalazłszy na to żadnej odpowiedzi, grono moich doradców przystało na moje żądanie, z jednym tylko warunkiem: miałem złożyć dokument do rąk Prestongrange'a zaznaczając wyraźnie, iż czynię to w imieniu wszystkich jego autorów.

Lord prokurator przebywał w zamku, gdzie obiadował u księcia Argyle. Przez jednego ze służących Colstouna posłałem mu kartkę z prośbą o audiencję i otrzymałem odpowiedź wzywającą mnie do niezwłocznego stawienia się w pewnym prywatnym domu w mieście. Oczekiwał mnie sam; nic nie mogłem wymiarkować z wyrazu jego twarzy, nie byłem jednak aż takim gapą, aby nie dostrzec halabardników w sieni, i aż takim kpem, aby się nie domyślić, że Prestongrange gotów był w razie uznania tego za wskazane, natychmiast mnie uwięzić.

– A więc – rzekł – spotykamy się znowu, panie Dawidzie?

– Obawiam się, że nie jestem tu mile widziany, lecz zanim przejdę do innej materii, pragnę wyrazić Waszej Wielmożności moją wdzięczność za opiekę, jaką zechciał nieustannie mnie otaczać.

– Słyszałem już przedtem o pańskiej wdzięczności i nie sądzę, aby mnie pan oderwał od poobiedniego wina tylko w tym celu. Będąc na pańskim miejscu pamiętałbym również, że stoi pan nadal na bardzo grząskim gruncie.

– Pozwalam sobie sądzić, że już przynajmniej jedną nogą stoję na bezpiecznym i, jeśli Wasza Wielmożność zechce rzucić okiem na ten papier, tuszę, iż podzieli moje zdanie.

Przeczytał memoriał dokładnie, aż do końca, po czym powrócił do niektórych ustępów i zdawał się ważyć i oceniać ich treść. Jego twarz rozchmurzyła się nieco. – To nie jest najgorsze ze wszystkiego, co mogło mnie spotkać – rzekł – aczkolwiek wypadnie mi chyba zapłacić słoną cenę za moją znajomość z panem Dawidem Balfourem.

– Raczej za wyrozumiałość Waszej Wielmożności dla tego nieszczęsnego młodzieńca.

Przeglądał nadal memoriał i zdawał się odzyskiwać stopniowo pogodę ducha.

– I komuż to zawdzięczam? Niejedna prawnicza głowa musiała to wykoncytować. Kto zaproponował tę metodę? Miller?

– Ja, Wielmożny Panie. Tamci dżentelmeni nie okazali mi tylu względów, abym nie miał rewindykować zasługi, która mi się doprawdy należy, lub chronić ich przed odpowiedzialnością, jaka słusznie na ich barkach spoczywa. Prawdę rzekłszy, oni byli zwolennikami postępowania, które pociągnęłoby za sobą niemałe perturbacje w łonie rządu, co dla nich (że cytuję ich własne wyrażenie) okazałoby się soczystą pieczęcią. Zanim zabrałem głos w tej sprawie, dzielili już pomiędzy sobą różne stanowiska w sądownictwie naszego kraju. Nasz przyjaciel Simon Fraser miał tam odegrać jakąś rolę.

Prestongrange uśmiechnął się i rzekł: – Takich mamy przyjaciół! A jakie powody skłoniły pana do zgłoszenia sprzeciwu?

Podąłem mu je otwarcie, kładąc jednak nacisk i rozwodząc się nieco dłużej nad tymi, które dotyczyły samego Prestongrange'a.

– Oddaje mi pan nie więcej niż sprawiedliwość – rzekł. – Walczyłem w obronie pańskich interesów równie wytrwale, jak pan przeciwko moim. A jak się to stało, że pan zjawił się dzisiaj w Inverary? W miarę jak rozprawa się przeciągała, zaczynałem się obawiać, czy nie obliczyłem terminu pańskiego zwolnienia zbyt liberalnie; spodziewałem się pana jutro, ale nigdy dzisiaj.

Nie mogłem oczywiście zdradzić Andiego.

– Coś mi się widzi – odpowiedziałem – że pozostawiłem za sobą upadającego konia.

– Gdybym wiedział, że taki z pana chwyt w siodle, zabawiłby pan nieco dłużej na wyspie Bass.

– Skoro już o niej mowa, zwracam list Waszej Wielmożności.

I oddałem mu kartkę napisaną lewą ręką.

– Miał pan również opaskę z pieczęcią.

– Tej nie posiadam, ale nic na niej nie było poza pieczęcią i nawet kota nie mogłaby skompromitować. Drugie natomiast pismo posiadam i chciałbym je, za pozwoleniem Waszej Wielmożności, zatrzymać.

Skrzywił się nieco, lecz nie zaoponował. – Jutro zakończymy nasze tutaj sprawy, po czym udaję się do Glasgow i cieszyłbym się z pańskiej kompanii w tej podróży, panie Dawidzie.

– Wasza Wielmożność...

– Nie neguję, iż zależy mi na tym; co więcej, chciałbym, abyś po przybyciu do Edynburga stanął w moim domu. Moje córki są wielce panu życzliwe i nader chętnie pana zagarną w swoje wyłączne władanie. Jeśli pan uznaje, iż oddałem mu pewne usługi – oto okazja, aby mi się z łatwością odwdziaczyć, nie bez korzyści dla siebie. Byle młokos nie bywa wprowadzany w towarzystwo przez królewskiego lorda prokuratora.

Nieraz już przedtem (w czasie naszej krótkiej znajomości) Prestongrange schlebiał mojej ambicji i zachęcał do popuszczenia jej wódzów; i tym razem udało mu się to na chwilę. Nawiązał znowu do szczególnych względów, jakimi niby to cieszyłem się u jego córek, z których jedna zechciała łaskawie dworować sobie ze mnie, dwie zaś pozostałe raczyły zaledwie przyjąć do wiadomości fakt mego istnienia. A oto miałem nazajutrz pojechać konno z lordem prokuratorem do Glasgow. To, że okazał tyle wielkoduszności, aby mi przebaczyć, było samo w sobie dostatecznie zadziwiające: to, że zamierzał mnie gościć i protegować, zdawało się wprost niemożliwe. Zacząłem więc przemyślać nad motywacją jego postępowania. Jedno było oczywiste: przyjęcie jego zaproszenia wykluczało możliwość działania na jego szkodę; będąc jego gościem nie mógłbym wnieść skargi. A ponadto czyż moja obecność w jego domu nie stępiała skutecznie ostrza memoriału? Nikt przecież nie traktowałby poważnie skargi, skoro główny poszkodowany był gościem najbardziej obciążonego urzędnika. Na myśl o tym wszystkim nie mogłem się powstrzymać od uśmiechu.

– To ma być coś jakby odparowanie memoriału? – zapytałem.

– Sprytny jesteś, panie Dawidzie, i w pewnej mierze masz rację. Twój pobyt u mnie do pomoże mi w obronie mego stanowiska. Wszelako nie doceniasz mych przyjaznych dla ciebie uczuć; są najzupełniej szczerze. Żywię dla ciebie szacunek, panie Dawidzie, szacunek z domieszką strachu – dodał z uśmiechem.

– Zarówno szczerze, jak i gorąco pragnę się zastosować do życzeń Waszej Wielmożności. Zamierzam się poświęcić studium prawniczym i chciałbym być powołany do palestry, w czym poparcie Waszej Wielmożności okazałoby się niewątpliwie bezcenne, a poza tym poczuwam się do głębokiej wdzięczności względem pana i jego rodziny za tyle okazanych mi dowodów zainteresowania i wyrozumiałości. Trudność leży gdzie indziej. W jednym tylko punkcie nasze drogi rozchodzą się zupełnie. Pan usiłuje powiesić Jamesa Stewarta, ja zaś usiłuję go uratować. Jeśli moja podróż ma służyć obronie Waszej Wielmożności, jestem do dyspozycji, jeśli natomiast mogłaby się przyczynić do stracenia Jamesa Stewarta, krokiem się stąd nie ruszę.

Prestongrange zaklął ukradkiem. – Stanowczo należy pana powołać do palestry, to będzie najlepsze pole do popisu dla pańskich talentów – powiedział z goryczą i zamilkł. – Nie chodzi już o los Jamesa Stewarta – rzekł po dłuższej chwili. – James należy już właściwie do grona umarłych; jego życie zostało złożone i wzięte, kupione (jeśli pan woli takie sformułowanie) i sprzedane. Żaden memoriał nie może mu pomóc ani też wycofanie się niezłomnego pana Dawida nie może mu jakiegokolwiek krzywdy wyrządzić. Bez względu na takie czy inne zabiegi James Stewart nie będzie ułaskawiony. Koniec i basta! Teraz chodzi już tylko o mnie. Czy utrzymam się na moim stanowisku, czy też je utracę? Nie skrywam, że znajduję się w nie lada opałach. Czy pan Dawid Balfour zechce się zastanowić dlaczego? Nie dlatego, że zbyt gorliwie stawałem przeciwko Jamesowi, jestem całkiem pewien, że to mi będzie wybaczone. I nie dlatego, że przytrzymałem pana Dawida na skale otoczonej morzem, gdyż i to ujdzie mi na sucho dla tych samych względów; ale dlatego, że nie chciałem pójść utartą i oczywistą ścieżką, do czego mnie usilnie nakłaniano, i nie zgodziłem się na uśmiercenie pana Dawida lub posłanie go na szubienicę. Stąd ten harmider, stąd ten przekłety memoriał... – i uderzył się nim po łydkach. – Moja słabość do ciebie wepchnęła mnie w te tarapaty. Chciałbym wiedzieć, czy czułość twego sumienia jest dość daleko posunięta, by mi dopomóc z nich się wy dostać?

Ta wypowiedź zawierała zaiste niemało prawdy; skoro los Jamesa był przesądzony, komu powinienem pójść na rękę, jeśli nie lordowi prokuratorowi, który tak wiele mi dopomógł, a nawet w tej rozmowie dawał mi przykład wyrozumiałości? Poza tym byłem już nie tylko wyczerpany tym zmaganiem się z przeciwnościami, ale i nieco zawstydzony moimi ustawicznymi podejrzeniami i uporem.

– Jeśli Wasza Wielmożność zechce mi podać godzinę i miejsce odjazdu, będę na niego punktualnie oczekiwał.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. – Zdaje mi się, że moje panienki mają jakieś wiadomości dla pana – rzekł na pożegnanie lord prokurator.

Odszedłem uradowany tym pojednaniem, lubo cokolwiek niespokojny w swoim sumieniu; w powrotnej drodze dręczyła mnie niepewność, czy nie okazałem się odrobinę zbyt uległym. Pozostawało jednak faktem, że Prestongrange mógłby być moim ojcem, że był człowiekiem zdolnym i nie lada dygnitarzem i że w ciężkiej dla mnie dobie przyszedł mi z pomocą. Mogłem więc ze znacznie lżejszym sercem nacieszyć się resztą wieczoru, który spędziłem z adwokatami w doskonałej niewątpliwie kompanii, aczkolwiek objawiającej zbyt dużą może predylekcję do ponczu; mimo iż położyłem się wcześniej spać, nie pamiętam jednak, jak trafiłem do łóżka.

## XVIII. OBIECUJĄCA PIŁKA

Nazajutrz, zamknięty w prywatnej komnacie sędziów, gdzie nikt nie mógł mnie widzieć, usłyszałem werdykt ławy przysięgłych i wyrok skazujący Jamesa na śmierć. Wypowiedź księcia Argyle słyszałem dokładnie; a ponieważ to sławetne zdanie stało się przedmiotem sporów, pragnę niniejszym utrwalić moją wersję. Wspomniawszy o roku czterdziestym piątym książę Argyle, wódz klanu Campbellów, działający w charakterze przewodniczącego trybunału, zwrócił się tymi słowami do stojącego przed nim nieszczęsnego Jamesa Stewarta: „Gdybyście zwyciężyli w tej rebelii, moglibyście dyktować prawo tu właśnie, gdzie przed chwilą zapadł na was wyrok; my, którzy dzisiaj jesteśmy waszymi sędziami, bylibyśmy sądzeni przez któryś z waszych niby to organów judykatury; moglibyście się nasycić do woli krwią każdego klanu i każdej rodziny, do której poczulibyście awersję”.

Zaiste – pomyślałem sobie – wyszło sztydło z worka. Takie wrażenie odnieśli zgromadzeni. Zadziwiająca była doprawdy łapczywość, z jaką młodzi prawnicy rzucili się na tę orację, i ferwor, z jakim się z niej naigrywali; mało który posiłek dobiegał końca bez tego, aby ktoś nie zacytował słów: „moglibyście się nasycić do woli”.

W związku z tym powstało mnóstwo, przeważnie już zapomnianych, piosenek. Pamiętam pierwszą zwrotkę jednej z nich:

*Na czyją to głowę nastajesz  
I czyjej łakniesz krwi?  
Czy na jednego górala dybiesz,  
Czy na całego klanu łzy?*

Inna, na moją ulubioną melodię *The House of Airlie*, rozpoczynała się od słów:

*Książę rozparł się w ławie i rzekł: tam do czarta!  
Na obiad pragnę mieć dzisiaj jednego Stewarta!*

James został zamordowany z takim samym rozmysłem, jakby go książę Argyle wytropił i ustrzelił z guldynki. Co do tego nie miałem oczywiście wątpliwości. Inni jednak wiedzieli mniej ode mnie i oburzali się przede wszystkim na coraz to ujawniane skandaliczne szczegóły rozprawy. Jednym z głównych tego rodzaju incydentów była urągająca powadze sądu wypowiedź jednego z przysięgłych, który przerwał mowę obrońcą Colstouna: „Prosimy się streszczać, jesteśmy już zmęczeni pańską wymową”. Niektórzy z prawników, moich nowych przyjaciół, byli jeszcze bardziej zgorzeleni innowacją, która zhańbiła, a nawet naruszyła moc prawną postępowania sądowego. Otóż jeden ze świadków nie był w ogóle przesłuchiwany podczas rozprawy; jego nazwisko figurowało (co dziś jeszcze można sprawdzić) na czwartej stronie protokołu: James Drummond, alias Macgregor, alias James More, ostatnio dzierżawca w Inveronachile. Jego zaś początkowe zeznania zostały przyjęte, zgodnie z procedurą, na piśmie. Pamiętał lub zmyślił (niech mu Bóg przebaczy) jakieś okoliczności obciążające Jamesa

Stewart, a które, jak się później okazało, miały ułatwić temu ptaszkowi wyfrunięcie z klatki. Sędziom zależało na podaniu treści tych zeznań do wiadomości przysięgłych, nie narażając ich autora na ryzyko krzyżowych pytań, a sposób, w jaki do tego doszło, zaskoczył wszystkich. Dokument ten bowiem krążył z ręki do ręki (niby jakaś ciekawostka) wśród sędziów, aż dotarł do ławy przysięgłych, gdzie zrobił swoje, po czym zniknął znowu (jakby przypadkiem), zanim otrzymali go obrońcy oskarżonego. Uważano to za niezwykle przewrotny manewr i łączenie go z nazwiskiem Jamesa More'a martwiło mnie boleśnie i, ze względu na Katrionę, nappełniało wstydem.

Następnego dnia Prestongrange i ja, w dosyć licznej kompanii, wyruszyliśmy do Glasgow, gdzie (ku mojej niecierpliwości) zabawiliśmy dość długo, spędzając czas na załatwianiu spraw urzędowych oraz rozrywkach.

Mieszkałem u lorda prokuratora, który zachęcał mnie do zażyłości; brałem udział w zabawkach i przyjęciach; przedstawiał mnie ważniejszym gościom i w ogóle okazywał o wiele więcej uwagi, niż to zwykło się czynić w stosunku do osób mojej kondycji; czasami, gdy działo się to w obecności obcych, rumieniłem się za Prestongrange'a.

Co prawda nabyte podczas ostatnich miesięcy doświadczenie życiowe skłaniało mnie do smętnych refleksji: poznałem wiele ludzi, z których niejeden należał z tytułu urodzenia lub talentów, do możliwych tego świata, a któryż z nich mógł się poszczycić czystymi rękami? A jeśli chodziło o ludzi w rodzaju Brownów i Millerów, to przekonałem się o ich samolubstwie i na zawsze straciłem szacunek do takich panów. Z nich wszystkich Prestongrange był jeszcze najlepszy; uratował mnie, podczas gdy inni zamierzali mnie niezwłocznie zamordować. Jednakże krew Jamesa splamiła jego progi i uważałem jego obłudę w stosunku do mnie za niewybaczalne upodlenie. Zdumiewało mnie niewymownie, gdy udawał, że lubi ze mną rozmawiać, i nieraz, siedząc przy nim, tłumilem nurtujący mnie gniew.

Hej, przyjacielu – myślałem sobie – gdyby ta sprawa z memoriałem przestała cię gnębić, czy nie wyprosiłbyś mnie kopnięciem na ulicę? – W czym, jak tego dowiodły wypadki, krzywdziłem go wielce i sądzę, że był zarazem znacznie uczciwszym i znacznie sprytniejszym graczem, niż mi się to wówczas zdawało.

Miałem natomiast pewne podstawy do nieufności, obserwując kręcącą się dokoła Prestongrange'a zgraję młodych, uniżonych prawników, zabiegających o jego względy. Nieoczekiwana łaskawość, okazywana młodemu chłopcu, o którym nikt przedtem nie słyszał, początkowo drażniła ich niewątpliwie, lecz nie minęły dwa dni, a stałem się przedmiotem ich nadskakiwań i pochlebstw. Byłem takim samym, ni gorszym, ni lepszym, młodzieńcem, którym wzgardzili w swoim czasie, a teraz nie cofali się przed najbardziej wyrafinowaną uprzejmością! Takim samym powiadam? Bynajmniej, a dowodziło tego przezwisko, jakim mnie, poza moimi plecami, określano. Widząc moją nieprzemijającą poufalość z lordem prokuratorem, przekonani, że wzniosę się wysoko, zapożyczyli słowo z gry w golfa i nazwali mnie „obiecującą piłką”. – Wszak pan już należy do naszego grona – powiadali przymilnie. Ja, który doświadczyłem już ich pogardy, miałem korzystać teraz z ich przyjaźni. Jeden z nich, któremu ongiś zostałem przedstawiony w Hope Park, ośmielił się napomknąć o tym spotkaniu. Odpowiedziałem mu, że nie przypominam sobie, abym miał kiedykolwiek zaszczyt go widzieć.

– Ależ przedstawiła nas sama panna Grant! Nazywam się tak a tak.

– Być może, lecz nic o tym nie pamiętam.

Na taką replikę odczepił się ode mnie i gnębiący mnie nastrój obrzydzenia rozjaśnił błysk przyjemności.

Nie warto jednak rozwodzić się dłużej nad tym okresem. Przebywając w towarzystwie młodych adeptów sztuki politykowania wstydzilem się własnej nieporadności oraz braku dystynkcji w obejściu, a zarazem odczuwałem pogardę dla ich dwulicowości. Z dwójga złego wolałem Prestongrange'a i podczas gdy z młodymi birbantami przyjmowałem nieodmiennie

sztynną i nieprzystępną postawę, wobec lorda prokuratora ukrywałem moje gorzkie uczucia i byłem (jak mawiał stary pan Campbell) „uległy dziedzicowi”. Prestongrange zdawał sobie sprawę z tej różnicy i prosił, abym zachowywał się stosownie do mego wieku i zaprzyjaźnił się z młodymi ludźmi.

Odpowiedziałem mu, że na ogół nie kwapię się z nawiązywaniem przyjaźni.

– Niech i tak będzie – rzekł – ale jak to powiadają, panie Dawidzie, „przewodnika należy dobierać w zależności od pogody”. Z tą właśnie młodzieżą masz przecież stale przebywać i z nimi wspólnie wypadnie ci przebrnąć przez życie. Twoja nieufność robi wrażenie arogancji i jeśli nie nabierzesz gładkości manier, obawiam się, że spiętrzy to przeszkody na twojej drodze.

– Niełatwo jest sporządzić jedwabną kaletę ze świńskiej skóry – odrzekłem mu na to.

Rankiem pierwszego października obudził mnie tętent konia umyślnego posłańca i stanąwszy w oknie, zdążyłem zobaczyć, że jechał co, koń wyskoczy. Wkrótce potem zostałem wezwany do Prestongrange’a, który przyjął mnie w nocnej koszuli i szlafmicy, otoczony listami.

– Panie Dawidzie, mam dla ciebie wiadomości o pewnych bliskich twemu sercu osobach, których chyba się wstydzisz, nigdy bowiem nie wspomniałeś o ich istnieniu.

Zdaje mi się, że zaczerwieniłem się niezgorzej.

– Sądząc z twojej miny, wiesz, o kogo chodzi, i muszę ci pogratulować doskonałego znawstwa niewieściej urody. Ale czy wiesz, jak obrotną i przedsiębiorczą jest ta dziewczyna? Wszędzie jej pełno. Rząd Szkocji, wydaje mi się, nie może sobie poradzić z panną Katrioną Drummond, podobnie jak (niedawno temu) w wypadku niejakiego pana Dawida Balfoura. Czyż nie dobrana byłaby z nich para? Jej pierwsze wtrącenie się do polityki... nie opowiem ci o tym, władze bowiem postanowiły, że masz to usłyszeć w innych okolicznościach i z ust ponętniejszego ode mnie narratora. Tym razem jednak sprawa jest poważniejsza i muszę cię niestety zmartwić wiadomością, że panna Drummond znajduje się w więzieniu.

Aż krzyknąłem z przerażenia.

– Tak – rzekł – panienska przebywa w więzieniu, ale nie masz jeszcze powodów do rozpaczy. Jeśli ty, wraz z twymi przyjaciółmi i memorialami, nie doprowadzisz do mojej dymisji, nic strasznego jej nie grozi.

– Cóż zawiniła? Jakże popełniła przestępstwo?

– Można by to uznać nieomal za zdradę stanu, wdarła się bowiem do królewskiego zamku w Edynburgu...

– Ta lady należy do bliskich mi osób i nie wątpię, że Wasza Wielmożność nie zartowałaby, gdyby sprawa była poważna.

– A jednak jest poważna w pewnym sensie, gdyż to ziółko Katriona, wypuściła w świat ten mało ciekawy okaz, jakim jest jej papa.

A więc spełniło się jedno z moich przewidywań. James More znalazł się ponownie na wolności. Użyczył swoich ludzi dla mego uprowadzenia, ofiarował się dobrowolnie jako świadek w sprawie morderstwa w Appin i jego zeznania (obojętne za pomocą jakiego fortelu) zostały użyte w celu wywarcia wpływu na przysięgłych. I oto w nagrodę stał się wolnym człowiekiem. Upozorowanie tego faktu ucieczką mogło być władzom na rękę, ja jednak wiedziałem, czego się trzymać; wiedziałem, że był to rezultat przetargu, co mnie uwolniło od wszelkich obaw o los Katriony. Czyn jej mógł uchodzić za podstępne i bezprawne uwolnienie ojca, ona sama mogła nawet w to uwierzyć. Wszelako głównym aktorem w tym dramacie był nie kto inny, jak Prestongrange, i nie wątpiłem ani przez chwilę, że nie tylko nie dopuści, aby przez to ucierpiała, ale nawet nie zgodzi się na oskarżenie jej przed sądem. Pod wpływem tych myśli wyrwał mi się niezbyt przezorny wykrzyknik:

– Ach, spodziewałem się tego!

– Dalibóg, potrafisz być czasami niezwykle dyskretny!



- Co Wasza Wielmożność ma na myśli?
- Zastanawiałem się właśnie, jak się to dzieje, że będąc na tyle przemyślnym, aby dojść do pewnych wniosków, nie masz na tyle rozsądku, aby je zatrzymać dla siebie. Zdaje mi się jednak, że chętnie usłyszysz szczegóły tej sprawy. Otrzymałem dwie wersje: ta mniej oficjalna jest pełniejsza i o wiele ciekawsza, jako że wyszła spod lekkiego pióra mojej najstarszej córki:

*U nas całe miasto – pisze do mnie – plotkuje ochoczo o pewnym dowcipnym wyczynie, który nabrałby jeszcze większego rozgłosu i pikantniejszego posmaku, gdyby się dowiedziano, że sprawcą przestępstwa jest protegowana Jego Wielmożności, mego papy. Jestem pewna, że twoje obowiązki urzędowe zbyt ci leżą na sercu, abyś mógł zapomnieć o Siwych Oczach. Otóż nie miała nic lepszego do roboty, jak zaopatrzyć się w szeroki kapelusz o opadających skrzydłach, w długi, włochaty, męski płaszcz i fontaż suty pod brodę; po czym podwinęła spódnicę, Bóg wie, jak wysoko, naciągnęła na nogi grube, wełniane nogawice, wzięła do ręki parę połatanych butów i podrałowała do zamku! Tamże podała się za szewca na usługach Jamesa More’a i została wpuszczona do jego celi, przy czym porucznik (który musiał być tego dnia w figlarnym nastroju) podrwiwał sobie wśród swych żołnierzy z rozmiarów płaszcz owego szewca. Wkrótce potem dosłyszeli z celi odgłosy klótni i razów; po chwili wyskoczył z niej szewc, z rozwianym płaszczem i kapeluszem nasuniętym na twarz i dalej w nogi! co wywołało nowy wybuch wesołości u porucznika i żołnierzy. Nie śmieli się już jednak tak serdecznie, gdy po wejściu przy następnej okazji do celi zastali tam tylko wysoką, przystojną dziewczynę o siwych oczach, w niewieścim stroju, szewc natomiast był już „hen za górami, za lasami” i wydaje się, że biedna Szkocja będzie musiała obejść się bez niego.*

*Wypiłam dzisiaj publicznie zdrowie Katriony. Zaiste całe miasto ją podziwia i nie wątpię, że nasi galanci nosiliby w butonierkach surdutów skrawki jej podwiązek, gdyby mogli je dostać. Poszłabym chętnie odwiedzić ją w więzieniu, lecz przypomniałam sobie w porę, że jestem córką mego papy. Ograniczyłam się więc do napisania do niej bileciku, który powierzyłam wiernemu Doigowi, mam więc nadzieję, że przynasz, iż czasami nie jestem pozbawiona zmysłu politycznego. Ten sam wierny fujara ma wysłać ten list przez umyślnego wiozącego pocztę od tutejszych mandarynów, tak abyś otrzymał jednocześnie relację od Głuptasińskiej i Salomonowiczów. Skoro już mowa o fujarach, nie omieszkaj opowiedzieć o wszystkim Dawidowi Balfourowi. Chciałabym widzieć jego minę, gdy się dowie, że pewna smukłonoga dziewczyna w tak srogiej się znalazła opresji! Nie mówiąc już, co nieniejszym bajdurzy o tym twoja oddana ci córka, załączająca dla tegoż pana Balfoura wyrazy szacunku.*

- Tak kończy list moja trzpiotka – mówił Prestongrange. – Sam zatem widzisz, panie Dawidzie, że nie przesadzam mówiąc, iż moje córki odnoszą się do ciebie z przyjazną zalotnością.
- Fujara jest bardzo zobowiązany.
- Czyż nie gracko się spisała! – mówił dalej lord prokurator. – Czyż ta góralka nie jest w pewnej mierze bohaterką?
- Wierzyłem zawsze w jej mężne serce i założę się, że niczego się nie domyśla... proszę mi wybaczyć, to jest zakazany temat.

– Ja również gotów jestem się założyć – odrzekł całkiem otwarcie – jestem pewien, że uważała to za wyzwanie rzucone prosto w twarz króla Jerzego.

Wspomnienie Katriony i myśl o jej uwięzieniu wstrząsnęła mną do głębi. Wszak nawet Prestongrange nie silił się na ukrywanie swego dla niej podziwu i nie mógł zapanować nad uśmiechem mówiąc o jej czynie. A przy całej słabości jego córki do ironicznych kpinek, podziw, jaki wyrażała w swym liście, był najzupełniej oczywisty. Uniosła mnie fala płomiennego uczucia.

– Nie jestem córką Waszej Wielmożności...

– I mnie się tak wydaje! – przerwał mi z uśmiechem.

– Mówię od rzeczy, a raczej kiepsko zacząłem. Wizyta panny Grant w więzieniu byłaby nierozsądnym krokiem, to jasne, ja natomiast uznałbym się za niegodnego przyjaciela, gdybym niezwłocznie tam nie podążył.

– He, he, panie Dawidzie, coś mi się widzi, że stanęła pomiędzy nami pewna umowa.

– Gdy zgodziłem się na nią, uczyniłem to pod wpływem okazywanej mi przez Waszą Wielmożność dobroci, nie neguję wszelako, iż powodował mną również wzgląd na własne dobro. Uległem popędowi samolubstwa i teraz się tego wstydzę. Mniemanie, iż ten wścibski Davie Balfour jest pańskim przyjacielem i domownikiem, zabezpiecza, być może, Waszą Wielmożność. Proszę więc to nadal głosić, nigdy temu nie zaprzeczę, lecz co do patronowania mi i protekcji – zwracam ją bez reszty i proszę tylko o jedno: pozwólcie mi, panie, pojechać do niej i dajcie mi glejt na odwiedzenie jej w więzieniu.

Lord prokurator spojrział na mnie surowo. – Zdaje mi się, że stawiasz wózek przed koniem. To, co uczyniłem dotychczas dla ciebie, wynika po prostu z życzliwości, co widocznie uszło twojej zaślepionej niewdzięcznością uwagi. Lecz jeśli chodzi o moją protekcję – nie udzieliłem ci jej ani (gwoździ ścisłości) nie zaoferowałem ci jej jeszcze. – Zamilkł na chwilę. – Ostrzegam cię – rzekł – nie znasz jeszcze siebie. Młodość jest zapalczywa i nieopatrna, nie minie rok, a zmienisz zdanie.

– Wolę być tego rodzaju młodzieńcem! – wykrzyknąłem. – Za wiele już widziałem tych innego typu, w postaci młodych adwokatów łaszących się do Waszej Wielmożności, a nawet usiłujących się płaszczyć przede mną! To samo widziałem w starym pokoleniu. Oni wszyscy, cały ten ich klan, myślą tylko o własnej promocji, o własnym zysku! To właśnie sprawia, że trudno mi uwierzyć w pańską życzliwość! Dlaczego miałbym w nią wierzyć? Wszak pan sam mi powiedział, iż ma w tym interes!

Zamilkłem przerażony, iż zapędziłem się aż tak daleko. On zaś wpatrywał się we mnie z kamienną twarzą.

– Wasza Wielmożność! Proszę mi wybaczyć, nie umiem się jeszcze inaczej, jak po prostacku, wyrazić. Wydaje mi się, że gwoździ choćby tylko przyzwoitości winienem odwiedzić moją przyjaciółkę w więzieniu, lecz Waszej Wielmożności zawdzięczam życie i nigdy tego nie zapomnę! Jeśli to ma wyjść na dobre Waszej Wielmożności, pozostanę tutaj. Z prostej wdzięczności.

– Mógłbyś to wszystko powiedzieć za pomocą mniejszej ilości słów – odrzekł posepnie. – Łatwo jest, a nieraz i przystojniej, powiedzieć po prostu: tak.

– Wasza Wielmożność nie rozumie mnie jeszcze. Ze względu na pana, na moje ocalone życie, na okazaną mi łaskawość gotów jestem się zgodzić na żądanie Waszej Wielmożności, ale tylko i wyłącznie dlatego; bynajmniej nie ze względu na jakąkolwiek osobistą korzyść. Jeśli pozostanę na uboczu, podczas gdy ta dziewczyna cierpi, nic dla mnie dobrego z tego wyniknąć nie może. Stracę na tym, a na pewno nic nie zyskam. Wolałbym, aby wszystko zważyło mi się na głowę, niż na takich budować fundamentach.

Prestongrange siedział przez chwilę poważny, po czym uśmiech twarz mu rozjaśnił.

– Przypominasz mi człowieka o długim nosie, który nic poza nim nie widzi; gdybyś popatrzył przez teleskop na księżyc, ujrzałbyś tam Dawida Balfoura! Jednakże pójde ci na rękę. O

jedną tylko poproszę cię przysługę, po czym będziesz wolny. Moi pisarze są zapracowani, bądź zatem tak dobry i przepisz mi te parę stron – i zaczął grzebać w ogromnych zwojach rękopisów – a jak się z tym uporasz, życzę ci szczęśliwej podróży! Za żadną cenę nie chciałbym się obarczyć troską o sumienie pana Dawida; a gdybyś jadąc kiedyś drogą w pobliżu moczarów porzucił tam część swych skrupułów, sam byś się wkrótce przekonał, o ile łatwiej jest podróżować bez nich.

- Może jednak nie w tym samym kierunku, który Wasza Wielmożność ma na myśli!
- Musisz mieć zawsze ostatnie słowo! – zawołał wesoło.

Miał istotnie powody do wesołości, znalazł bowiem sposób na osiągnięcie celu. Gwoli ujęcia memoriałowi powagi lub posiadania pod ręką sposobnej nań odpowiedzi chciał, abym uchodził publicznie za będącego z nim na poufalej stopie; lecz gdybym w tym charakterze pojawił się w więzieniu Katriony, opinia nie omieszkałaby z tego wyciągnąć wniosków i prawdziwe tło ucieczki Jamesa More'a stałoby się oczywiste dla wszystkich. Przed takim to postawiłem go problemem i rychło sobie z nim poradził. Podczas gdy ja byłem uwięzany w Glasgow przez narzuconą mi pracę kopisty, a nie mogłem, choćby dla zachowania pozorów uległości, odmówić jego prośbie, Katriona została po cichu zwolniona. Wstydę się tak pisać o człowieku, który z igrasce ojcowską traktował mnie dobrocią, lecz zaiste był fałszywy jak rozbity dzwon.

## XIX. POD OPIEKĄ DAM

Przepisywanie okazało się nader nudnym zajęciem, tym bardziej że jak wkrótce odkryłem, treść rękopisów pozbawiona była wszelkich cech pilności i rychło zacząłem traktować moją pracę jako pretekst. Zaledwie ją zakończyłem, wynająłem konia i wykorzystawszy jak mogłem najskuteczniej resztę dziennego światła, dotarłem na noc do osiedla nad rzeką Almond Water. Przed świtaniem siedziałem znów w siodle i otwierano właśnie bramy Edynburga, gdy zatrzymałem spienionego konia przed drzwiami lorda prokuratora.

Prestongrange zaopatrzył mnie w słówko do Doiga, swego pisarza i totumfackiego, zacnego, zatabaczonego i pewnego siebie grubasa, wtajemniczonego jakoby we wszystkie sekrety swego pana. Zastałem go już przy stole w tym samym przedpokoju, gdzie w swoim czasie spotkałem Jamesa More'a. Przeczytał wręczoną mu kartkę skrupulatnie, jak rozdział z Biblii.

– Hm – rzekł – przybywa pan odrobinę za późno. Ptaszek wyfrunął. Wypuściliśmy go z klatki.

– Panna Drummond jest na wolności?

– A jakże, po cóż mielibyśmy dłużej ją trzymać? Na nic się nie zda żreback w stodole.

– A gdzież ona jest teraz?

– Pan Bóg raczy wiedzieć – odrzekł, wzruszając ramionami.

– Pewnie powróciła do lady Allardyce?

– Bardzo możliwe.

– Zaraz tam jadę.

– Czy nie przekąsi pan czegoś przedtem?

– Nie, dziękuję, wypilem cały garnek mleka w Ratho.

– Ale pozostawi pan chyba tutaj swoje manatki i konia, wszak ma pan u nas zamieszkać.

– Nie, nie, podróż na piechotę uśmiecha mi się dzisiaj mniej niż kiedykolwiek.

Doig mówił prowincjonalnym akcentem Dolnej Szkocji, a nawet chwilami popadał w gwara, i raczej bezwiednie zacząłem go naśladować; mówiłem znacznie gorzej, niż to teraz opisuję. Toteż zawstydzilem się srodze słysząc za sobą głos cytujący strofkę znanej ballady ludowej:

*Hej, chłopcze, siodłaj konika karego  
I gotuj się żwawo do drogi,  
Wychyl ze mną strzemiennego,  
I pędź do swojej niebogi.*

Odwróciłem się i ujrzałem pannę Grant, stojącą w porannej szacie, z dłońmi wsuniętymi w rękawy, jakby chciała utrzymać dystans pomiędzy nami. W oczach jej dojrzałem coś jakby radość na mój widok.

– Witam panią z całym szacunkiem – rzekłem składając przed nią ukłon.

– Podobnież witam pana Dawida – odpowiedziała, dygając głęboko. – Pozwalam sobie również przypomnieć pewne odwieczne przysłowie: „Msza i mięsiwo nie szkodzą nigdy

mężczyźnie”. Mszą nie mogę służyć, jako że dobrzy z nas wszystkich prezbiterianie, ale mięsowo polecam pańskiej uwadze. Nie zdziwi się pan chyba, gdy dodam, że miałabym coś nie-coś panu do powiedzenia, ściśle prywatnej natury, na co warto by poczekać.

– Jestem już pani dłużnikiem za parę figlarnych słów, w dobrej, jak mi się wydaje, intencji, na niepodpisanej kartce papieru.

– Na niepodpisanej kartce? – odrzekła przybierając pocieszoną minę na swej ślicznej twarzy, jakby usiłowała sobie coś przypomnieć.

– Chyba się nie mylę pani ją przypisując, ale o tym nadarzy się jeszcze okazja pogwarzyć, gdyż dzięki zaproszeniu pani ojca będziemy czas jakiś przebywać pod jednym dachem; a teraz fujara prosi o łaskawe zwolnienie go na czas jakiś.

– Nielitościwym określa się pan mianem.

– Pan Doig i ja zasłużyliśmy na niejedno pod pani ciętym piórem.

– Raz jeszcze podziwiam dyskrecję cechującą wszystkich mężczyzn, ale skoro pan odmawiasz posiłku – komu w drogę, temu czas. Tym prędzej pan wrócisz, gdyż nic tam nie wskórasz. Jazda, panie Dawidzie – dodała otwierając drzwi.

Nie kazałem sobie tego dwa razy powtarzać i pocałowałem do Dean.

Stara lady Allardyce przechadzała się samotnie po ogrodzie, w swej dziwacznej chustce i kapeluszu, podpierając się zdobną w srebrne okucia laską z jakiegoś czarnego drzewa. Gdy zsiadłem z konia i podszedłem do niej z szarmanckim ukłonem, zaczerwieniła się gwałtownie i podniosła głowę do góry, jak to, wyobrażałem sobie, zwykły czynić cesarzowe.

– Co ciebie sprowadza ku moim niskim progom? – wykrzyknęła wysokim, nosowym dyszkantem. – Nie ścierpię tego! Wszyscy mężczyźni z mojej rodziny są już w grobie. Nie mam męża ni brata, ni swata, by trzymał straż u moich wrót. Byle hultaj może targać mnie za brodę... a co najgorzej broda mi naprawdę rośnie! – dodała, na poły do siebie.

Stropiło mnie wielce takie przyjęcie, a słysząc jej ostatnią niedorzeczną uwagę, zapomniałem do reszty języka w gębie.

– Widzę, że popadłem u pani w niełaszkę – rzekłem wreszcie – ośmielę się jednak zapytać o pannę Drummond.

Spojrzała na mnie jadowitym wzrokiem, wargi jej zacisnęły się w kilkunastu zmarszczkach, a drżąca ręka zacisnęła na lasce.

– To już przekracza wszystko! – wykrzyknęła. – Do mnie przychodzisz o nią pytać? Dałby Bóg, abym wiedziała, co się z nią dzieje!

– Nie ma jej tutaj?! – zawołałem.

Wyrzuciła w górę podbródek i postąpiła krok naprzód tak gwałtownie, iż cofnąłem się czym prędzej.

– Języku jaszczurczy! Łgarzu przebrzydły! Na przespiewki tu do mnie przyłazisz! Ona jest w więzieniu, i to za twoją sprawą. To wszystko, co wiem o niej. A ze wszystkich dwunogów w portki odzianych ciebie bym o to najmniej podejrzewała! Łajdaku obleśny, gdybym miała choć jednego mężczyznę pod ręką, kazałabym ci skórę wyłoić, ażby się z niej kurzyło!

Nie uważałem za stosowne dłużej tam przebywać, gdyż gniew jej wzmagił się wyraźnie. Ścigała mnie aż do palika, u którego koń mój był uwiązany, i nie wstydzę się wyznać, że odjechałem jedną tylko nogę mając w strzemieniu.

Nie wiedziałem, gdzie się udać w poszukiwaniu wieści o Katrionie, nie pozostawało mi więc nic innego, jak powrócić do siedziby lorda prokuratora. Wszystkie cztery panie zastałem razem; przyjęły mnie uprzejmie i musiałem im niezwłocznie, z niezliczonymi szczegółami i na moje rosnące utrapienie, opowiedzieć o tym, co porabiał lord prokurator i jakie krążyły plotki w zachodniej części kraju. Podczas całej tej rozmowy młoda lady, z którą tak pragnąłem znaleźć się ponownie sam na sam, obserwowała mnie drwiąco i zdawała się lubować

moją udręką. Aż wreszcie gdy przecierpiałem posiłek w ich towarzystwie i byłem już prawie zdecydowany prosić ją, w obecności ciotki, o posłuchanie, panna Grant stanęła przy półce z nutami i zanuciła:

*Korzystaj zawsze z okazji, bracie,  
Na polowaniu miej zawsze flintę,  
Bo gdy się okazja znowu nadarzy,  
Odejdiesz z nosem na kwintę.*

Nie znęcała się już jednak dłużej nade mną i wkrótce potem, nie pamiętam pod jakim pretekstem, wymknęliśmy się oboje do biblioteki jej ojca. Wypada mi wspomnieć, że panna Grant była wystrojona na zabój i wyglądała prześlicznie.

– A teraz – rzekła – usiądźmy tu i pogadajmy w cztery oczy. Sporo mam panu do powiedzenia, a ponadto muszę wyznać, że wysoce niesprawiedliwie oceniłam pański dobry gust.

– W jakiej materii? Tuszę, że nikomu nie uchybiłem względem należnego mu szacunku.

– O to może pan być spokojny. Szacunek, jaki pan okazuje zarówno własnej osobie, jak i bliźnim, jest na szczęście nieprześcigniony. Ale nie o to chodzi. Czy otrzymał pan ode mnie bilecik?

– Ośmieliłem się wywnioskować, że od pani pochodzi, i ocenić go jako dowód przyjaźni.

– Musiało to pana w niemałej mierze zaskoczyć. Zacznijmy jednak od początku. Pamięta pan może dzień, kiedy to zechciał pan łaskawie towarzyszyć pewnym nudnym pannom do Hope Park? Dzień ten tym bardziej wyrwał się w mojej pamięci, że był pan na tyle uprzejmy i wtajemniczył mnie w pewne zasady gramatyki łacińskiej, za co nie omieszkam zachować dożgonnej dla pana wdzięczności.

– Obawiam się, że się okazałem pedantycznym nudziarzem – odrzekłem, wielce skonfundowany tym wspomnieniem – proszę jednak uwzględnić, jak bardzo jestem nieprzyzwyczajony do towarzystwa dam.

– Mniejsza więc o gramatykę; ale jak to się stało, że opuściłeś powierzoną twojej opiece płeć piękną? Musiałśmy same powrócić do domu, jak gęsi porzucone przez pastuszką. Pan zaś udał się z powrotem do mego papy, gdzie przybierałeś nader buńczuczną minę i postawę, następnie błąkałeś się nie wiedząc gdzie, by wreszcie wylądować na wyspie Bass. Towarzystwo dzikich gęsi widocznie bardziej panu odpowiada niż urodziwych panien.

Podczas całej tej drwiącej tyrady dostrzegłem pobłażliwość w oczach panny Grant, co pozwalało mi żywić nadzieję, że nie poprzestanie na złośliwych docinkach.

– Dręczenie mnie sprawia pani przyjemność, a ja nie jestem na tyle sprytny, by się obronić, lecz pozwalam sobie prosić o litość. Na jednej tylko wiadomości zależy mi obecnie: co się stało z Katrioną?

– Czy do niej zwraca się pan również po imieniu?

– Dalibóg, tego nie jestem pewny – wyjąkałem.

– Na pańskim miejscu powstrzymałabym się od tego w obecności obcych. A dlaczego pan się tak przejmuje wszystkim, co dotyczy tej młodej lady?

– Słyszałem, że była w więzieniu.

– A teraz pan słyszy, że jest na wolności. O cóż więcej panu chodzi? Ona już nie potrzebuje obrońcy.

– Tym bardziej ja jej potrzebuję.

– Lubię takie wyznania! Lecz spójrz mi pan prosto w oczy: czyż nie jestem od niej piękniejsza?

– Będę ostatnim, który by temu zaprzeczył; w całej Szkocji żadna podwika nie umywa się do najstarszej panny Grant.

– A jednak mając mnie przed sobą, woli pan mówić o tamtej. To nie jest i nigdy nie będzie najlepszy sposób przypodobania się kobiecie, panie Balfour.

– W grę wchodzi czasem i inne wartości, nie tylko sama uroda.

– Czy mam przez to rozumieć, że jestem ich pozbawiona?

– Niech pani uprzejmie zrozumie, że jestem jako ten kogut z bajki: widzę lśniący klejnot – i chętnie mu się przyglądam, ale najbardziej ziarna mi potrzeba.

– *Bravissimo!* – zawołała. – Nareszcie mądre słowo i wynagrodzę pana tym, co mam do powiedzenia. Otóż tego samego wieczora, kiedy nas opuściłeś, powróciwszy dosyć późno z domu przyjaciół – gdzie, cokolwiek pan o tym pomyśli, cieszyłam się ogromnym powodzeniem – dowiedziałam się, że jakaś dziewczyna w toczku z tartanu pragnie się ze mną rozmówić. „Czeka już godzinę lub więcej – powiedziała mi służąca – siedzi i popłakuje sobie”. Poszłam do niej natychmiast. Powstała na mój widok i poznałam ją od razu. Siwe Oczy! – pomyślałam sobie – ale nie zdradziłam się ani słówkiem. „Wszak to z panną Grant mam do czynienia? – zapytała i spojrzała na mnie bystro i żałośnie. – Zaiste prawdę mówił, pani uroda góruje ponad wszystkie”. „Taką mnie już Pan Bóg stworzył – odpowiedziałam – ale powiedz mi, proszę, co ciebie tutaj sprowadza o tak późnej godzinie?” Ona zaś na to: „Należymy do tego samego rodu, obie mamy w żyłach krew synów Alpina”. „Moja droga – odpowiedziałam – o Alpina lub o jego synów dbam tyle, co o kaczan kapusty. Lepszym argumentem są łzy na twojej pięknej twarzy”. Po czym roztkliwiłam się do tego stopnia, że ucałowałam ją, co by i pan chętnie uczynił, lubo gotowam się założyć, iż zabrakłoby panu na to odwagi. Powiadam, że uległam uczuciowemu impulsowi, nie wiedziałam bowiem nic o niej, tyle tylko, jak wygląda, lecz okazało się to najrozsądniejszym krokiem, na jaki mogłam się zdobyć. Ona jest z natury wierna i mężna, ale jak sądzę, nieprzyzwyczajona do czułości, gdyż w odpowiedzi na mój odruch (a był to, prawdę powiedziawszy, powierzchowny gest) otworzyła mi swe serce. Nigdy nie zdradzę sekretów mojej płci, panie Dawidzie, nigdy panu nie powiem, jak potrafiła mnie okręcić dokoła swego palca, w taki sam bowiem sposób do pana się zabierze. Tak, to wspaniała dziewczyna! Przejrzyta jak woda w górskim potoku!

– Tak, na pewno! – wykrzyknąłem z entuzjazmem.

– Opowiedziała mi swoje troski; jak się martwiła o swego ojca, jak obawiała o pana, bez większych zresztą powodów, i w jak okrutnej znalazła się rozterce po pańskim odejściu. „Aż wreszcie – mówiła – przypomniałam sobie, że pochodzimy obie z tego samego rodu i że pan Dawid wspominał z największym zachwytem o pani urodzie, więc pomyślałam sobie: Jeśli ona jest aż tak piękna, musi być również dobra w każdej okoliczności – i przyszłam prosto tutaj”. Wtedy to przebaczyłam panu, panie Dawidzie. Będąc w moim towarzystwie zdawał się pan stać na rozpalonym żelazie i wszystko wskazywało na to, że jeśli kiedykolwiek widziałam mężczyznę rwącego się do odejścia, to pan był nim właśnie; a od kogóż, jak nie ode mnie i od moich siostr pragnął pan się odczepić? Dopiero od Katriony dowiedziałam się, że zwrócił pan jednak na mnie nieco uwagi, co więcej, zechciał pan komentować łaskawie moją urodę! Od tej chwili może pan datować naszą przyjaźń; nawet o gramatyce łacińskiej zaczęłam myśleć z pewną tkliwością.

– Nie zabraknie pani ani czasu, ani okazji, aby mnie uczynić swym wielbicielem, a poza tym sądzę, że pani się krzywdzi taką oceną. To Katriona pozyskała dla mnie pani serce. Ona jest zbyt mało obyta, aby, tak jak pani, zdawać sobie sprawę z mego prostactwa.

– Nie jestem tego taka pewna, panie Dawidzie. Dziewczęta mają bystre oko. W każdym razie darzy ona pana szczerym afektem, jak się sama o tym przekonałam. Zaprowadziłam ją do Jego Wielmożności, mego papy, który będąc po butelce dobrego francuskiego wina, zgodził się przyjąć nas obie. Oto są Siwe Oczy – powiedziałam – które ostatnio parokrotnie podziwiałeś. Przyszła, aby ci dowieść, że mówiłyśmy prawdę, i oto składam u twoich stóp najładniejszą dziewczynę w całym hrabstwie Lothian z przyległościami. Co mówiąc zastrzegłam sobie w duchu – wzorem papistów – ten tytuł dla siebie. Katriona dostosowała swą taktykę do

moich słów i buch przed nim na kolana (nie przysięgłabym, że nie widział obu jej kolan, co niewątpliwie dało jej suplikację nieodpartą siłą, wszyscy bowiem jesteście zbereźnicy, niezłym muzułmanie) i opowiedziała mu, co zaszło tej nocy; jak zatrzymała śledzącego pana Balfoura służącego swego ojca, jak drżała przez to o los Jamesa More'a, jak straszne dręczyły ją o pana obawy, i błagała go ze łzami o życie dla was obu (choć żadnemu z was nie groziło najmniejsze niebezpieczeństwo), i doprawdy tak gracko sobie poczyniała, iż z jednej strony dumna byłam ze swojej płci, z drugiej zaś wstydziłam się, gdyż tak mizerną była ta okazja. Nie przemawiała długo, zapewniam pana, a już Jego Wielmożność wytrzeźwiał całkowicie, słysząc, jak jego najbardziej sekretne gierki polityczne zostały pokrzyżowane przez tę młodą dziewczynę i ujawnione przed najbardziej płochą z jego córek. Odpowiednio pokierowany – to znaczy pokierowany przeze mnie – mój papa jest najlepszym z ludzi.

– Okazał mi bardzo wiele życzliwości.

– Nie mniej okazał Katrionie i sama tego dopilnowałam.

– Wstawiała się za mną!

– I to nader wzruszająco i wymownie. Nie chciałabym powtarzać, co mówiła, uważam pana za wystarczająco próżnego.

– Niechże jej to Bóg wynagrodzi.

– Przypuszczam, że dając jej pana Balfoura za męża?

– Tym razem doprawdy zbyt okrutnie mnie pani traktuje. Drżałbym na myśl o powierzeniu jej w ręce takiego jak ja prostaka. Czy dlatego miałbym tak mniemać, że błagała o moje życie? Uczyniłaby to samo dla nowo narodzonego szczeniaka! Poważniejsze przemawiała za mną względy, o których pani nic nie wie. Pocałowała tę oto moją rękę. Tak, pocałowała! A dlaczego? Sądziła bowiem, że mężną wybrałam sobie rolę i że na śmierć się narażam. Nie uczyniła tego dla mnie, wszak nie potrzebuję chyba panią o tym zapewniać, panią, która nie może spojrzeć na mnie bez drwiącego uśmiechu. Katriona oddała w ten sposób hołd temu, co poczytywała za męstwo. Zdaje mi się, że tylko nieszczęsny książę Karol Edward i ja dostąpiliśmy tego zaszczytu. Katriona chciała w ten sposób bóstwo ze mnie uczynić i czy pani przypuszcza, że myślę o tym inaczej jak z krwawiącym sercem?

– Śmieję się z pana nader często, o wiele częściej, niż na to pozwala uprzejmość, ale powiem panu jedno: jeśli tak będziesz do niej przemawiał, widzę dla ciebie rąbek nadziei.

– Nigdy się na to nie ośmielę! Mogę o tym mówić do pani, gdyż nie dbam o pani o mnie opinii. Ale do niej? Przenigdy!

– Ma pan chyba największe stopy, jak Szkocja długa i szeroka, i zawsze pan nimi włazi, gdzie nie trzeba.

– Dalibóg niemałe! – odpowiedziałem, spoglądając w dół.

– Biedna Katriona!

Spojrzałem na nią zdumiony; o ile bowiem dzisiaj rozumiem doskonale, co miała na myśli (może nie bez pewnej racji), nigdy nie umiałem szybko podchwycić wątku w takich zalotnych dyskursach.

– Z tego wszystkiego widzę, panie Dawidzie, że na przekór memu sumieniu będę ci musiała służyć za orędowniczkę. Katriona dowie się, że na wieść o jej uwięzieniu pognałeś do niej niezwłocznie i że nawet dla posiłku nie chciałeś się zatrzymać; a z naszej obecnej rozmowy dowie się tyle, ile uważam za stosowne dla panienki w jej latach i o jej doświadczeniu. Proszę mi wierzyć, obsłużę pana w ten sposób lepiej, niż to byś sam potrafił uczynić, dzięki czemu wielkie stopy nie trafią do półmiska.

– A zatem pani wie, gdzie się ona znajduje?

– Wiem, ale nie powiem.

– Dlaczego?



– Bo panu dobrze życzę, jak się o tym niebawem przekonasz; a przede wszystkim dlatego, że dobrze życzę memu papie. I od tego nie odstąpię, ni prośbą, ni groźbą, więc może pan przestać spojrzeć na mnie baranym wzrokiem. A tymczasem żegnam wielmożnego pana Balfoura!

– Coś jeszcze pozostaje do załatwienia! – zawołałem. – Coś, czemu musimy zaradzić, bo znowu się to na niej i na mnie skrupi.

– Cóż takiego? Tylko proszę się streszczać, dosyć już czasu panu poświęciłam.

– Lady Allardyce sądzi... przypuszcza... myśli, że... porwałem Katrionę, aby ją zniewolić.

Policzki panny Grant zapłonęły rumieńcem i zdumiałem się w pierwszej chwili, że aż tak delikatne ma uszy, lecz po pewnym czasie przyszło mi na myśl, że ona usiłuje raczej opanować wesołość; które to wrażenie potwierdziło ponad wszelką wątpliwość drzenie jej głosu, gdy mi odpowiadała:

– Stanę w obronie pańskiej reputacji, może pan spokojnie powierzyć ją mojej pieczy.

Co rzekłszy opuściła bibliotekę.

## XX. OBRACAM SIĘ NADAL W WYKWINTNYM TOWARZYSTWIE

Przez równo dwa miesiące byłem gościem rodziny Prestongrange'a i pogłębiałem moje znajomości i stosunki wśród palestry tudzież edynburskiej śmietanki towarzyskiej. Nie zaniedbywałem jednak mego wykształcenia; przeciwnie, spędzałem czas nader pracowicie: ślezczałem nad językiem francuskim, chcąc być lepiej przygotowanym do studiów na uniwersytecie w Leyden; zabrałem się do fechtunku i ćwiczyłem wytrwale, nieraz po trzy godziny dziennie, czyniąc niemałe postępy; za radą mego kuzyna z Pilrig, który był zamiłowanym muzykiem, uczęszczałem na lekcje śpiewu oraz, na rozkaz panny Grant, na lekcje tańca, których, muszę wyznać, nie byłem ozdobą. Robiłem również postępy pod względem towarzyskiej ogłady i nauczyłem się niewątpliwie zgrabniej sobie radzić z połami surduta i szpadą u boku tudzież przyjmować w pokoju taką postawę, jakbym był jego właścicielem. Nawet moje szatki uległy znacznym przemianom, a najdrobniejsze związane z nimi problemy, takie na przykład, jak: w którym miejscu miałem wiązać włosy, i jakiego koloru wstążką, były przedmiotem uczonych dysertacji ze strony trzech panien Grant. W taki to sposób zyskałem znacznie na prezencji i nabrałem manier światowca, co by zdziwiło zacny ludek w Essendean.

Obie młodsze panny Grant dyskutowały chętnie nad szczegółami mego stroju, gdyż ta dziedzina interesowała je najbardziej. Zdawać by się mogło, że tylko dzięki temu wiedziały o mojej w tym domu obecności; aczkolwiek zawsze co najmniej uprzejmie, z czymś w rodzaju chłodnej serdeczności, nie potrafiły ukryć, jak bardzo się nudziły w moim towarzystwie. Ciotka natomiast była kobietą niezwykle zamkniętą w sobie i zwracała na mnie tyleż uwagi, co na resztę rodziny, to znaczy bardzo mało. Główną więc moją podporą była najstarsza córka oraz sam lord prokurator, a nasza zażyłość pogłębiła się znacznie na skutek wspólnego zamiłowania do konnych przejażdżek. Przed sesją trybunału spędziliśmy parę dni w jego posiadłości ziemskiej, w Grange, prowadząc tam dom otwarty na wielką skalę i tamże zaczęliśmy jeździć razem konno wśród pól; przyjemność tę kontynuowaliśmy w Edynburgu, w miarę jak na to pozwalały urzędowe obowiązki Prestongrange'a. Sport, walka z trudnościami i niepodogdą przyczyniły się do tego, że moja nieśmiałość znikła zupełnie. Zapominaliśmy o wzajemnej obcości, a że elokwencja nie była w takich okolicznościach wymagana, rozmowy toczyły się swobodniej. Wtedy to dałem się nakłonić do opowiedzenia im historii mego życia od czasu opuszczenia Essendean, podróży i bitwy na brygu „Covenant”, wędrówki z Alanem wśród wrzosowisk itd. Wynikiem ich zainteresowania moimi przygodami była pewna wycieczka, w dniu przerwy w obradach trybunału, o czym wspomnę nieco obszerniej.

Dosiedliśmy koni wcześniej i zaczęliśmy od wizyty w Shaws. Dzień nastał zaledwie i żaden dym nie wydobywał się z komina domu otoczonego szeroką połacią pokrytej szronem murawy. Prestongrange zsiadł z konia i oddawszy mi wodze poszedł odwiedzić mego stryja. Pamiętam, jak gorzkie i ponure ogarnęły mnie wspomnienia na widok opustoszałego domu i na myśl o starym, skostniałym sknerze, siedzącym w nieopalonej kuchni.

- To jest mój dom – rzekłem – i tu mieszka moja rodzina.
- Biedny Dawid! – odpowiedziała panna Grant.

Nie dowiedziałem się nigdy o przebiegu tej rozmowy, lecz musiała być niezbyt przyjemna dla mego stryja, gdyż lord prokurator wyszedł z domu z zaszpeconą twarzą.

– Zdaje mi się, że wkrótce będziesz tu dziedzicem, panie Dawidzie – rzekł podnosząc nogę do strzemienia.

– Nie będę udawał po nim żalu – odpowiedziałem. Prawdę rzekłszy, podczas nieobecności jej ojca panna Grant i ja upiększaliśmy w wyobraźni moją posiadłość za pomocą drzew, klombów i tarasu, które to projekty udało mi się później w znacznej mierze urzeczywistnić.

Z Shaws udaliśmy się do Queensferry, gdzie pan Rankeillor, wysoce podniecony wizytą takiego dostojnika, powitał nas z wyszukaną uprzejmością. Tamże lord prokurator posunął swą dla mnie życzliwość aż do dokładnego omówienia moich spraw z Rankeilorem, siedząc z nim około dwóch godzin zamknięty w jego gabinecie, gdzie (jak się później dowiedziałem) wyrażał się z wielkim uznaniem o mnie i okazywał niemałą troskę o moją przyszłość.

W tym czasie panna Grant, młody Rankeillor i ja wystaraliśmy się o łódź i przeprawiliśmy się do Limekilns. Rankeillor ośmieszył się (a nawet, moim zdaniem, okazał się gburem) manifestując obcesowo swój zachwyt dla panny Grant, która ku memu zdziwieniu (powszechna to jest słabość jej płci) zdawała się dość chętnie przyjmować jego hołdy. Miało to jednak jedną dobrą stronę; gdy przybiliśmy do brzegu po tamtej stronie zatoki, kazała mu pilnować łodzi, my zaś oboje poszliśmy do znajdującej się opodal karczmy. Jej był to pomysł, zaciekało ją bowiem moje opowiadanie o Alison Hastie i pragnęła zobaczyć tę dziewczynę. Zastaliśmy ją i tym razem samą – zdaje mi się, że jej ojciec przez dzień cały harował w polu; dygnęła, jak przystało na widok państwa i ślicznej młodej lady w jeździeckim stroju.

– Czyż do tego tylko ograniczymy powitanie? – zapytałem, wyciągając do niej rękę. – Czyż nie poznajesz starych przyjaciół?

- Co to ma znaczyć?! – wykrzyknęła. A po chwili: – Na miły Bóg! to ten obdarty chłopak!
- Tenże sam.

– Mnóstwo razy myślałam o panu i pańskim przyjacielu i radam pana widzieć w tak sutym przyodziewku. Chociaż wiedziałam, że pan powrócił do swoich i do tego, co mu się należy, z pięknego daru, jaki mi pan przysłał, za co z całego serca dziękuję.

– Dostyc tych czułości – zwróciła się do mnie panna Grant – proszę nas tutaj pozostawić. Nie przyszedłam tutaj, aby asystować wylewnym konfidencjom, chcę z nią pogadać w cztery oczy.

A gdy mniej więcej po dziesięciu minutach wyszła z karczmy, zauważyłem, że miała zaczerwienione oczy oraz że z jej piersi znikła srebrna brosza. Bardzo mnie to wzruszyło.

- Nie widziałem pani nigdy tak powabnie wyglądającej.
- Davie, mój chłopcze, nie bądź pompatycznym osłem!

Nigdy nie była dla mnie tak szorstka, jak przez resztę tego dnia.

Powróciliśmy z tej wycieczki, gdy zapalono już świeczniki.

Przez długi czas nie słyszałem nic więcej o Katrionie; panna Grant milczała uporczywie, zbywając żarcikami moje pytania. Aż wreszcie, pewnego dnia, gdy powróciła z przechadzki i zastała mnie samego w salonie nad francuską książką, dojrzałem coś niezwykłego w wyrazie jej twarzy; oczy jej błyszczały, rumieńce rozkwitły na policzkach i patrząc na mnie przygryzała wargi, tłumiąc uśmiech. Zachowywała się przy tym jak złośliwy chochlik i chodząc zwawo po pokoju, wciągnęła mnie wkrótce bez mała w sprzeczkę, bez żadnego właściwie powodu, a w każdym razie bez żadnego poduszczenia z mojej strony. Znalazłem się w położeniu godnym Christiana w przepaści; im usilniej starałem się z niej wydobyć, tym głębiej się pograżałem. Aż wreszcie oświadczyła mi z niemałą pasją, że nie pozwoli nikomu tak siebie postponować i że muszę ją na kolanach prosić o przebaczenie.

Bezpodstawność tej całej awantury wzburzyła moją żołąć.

– Nie powiedziałem nic, o co pani mogłaby się słusznie czuć urażona, a co do klęczenia, zachowuję tę postawę dla Boga.

– Mnie zaś trzeba służyć jak bogini! – wykrzyknęła zaperzona, potrząsając czupurnie swymi kasztanowatymi lokami. – Każdy mężczyzna, który znajdzie się w zasięgu mojej, symbolizowanej przez spódnicę, kobiecości, winien mnie tak traktować!

– Gotów jestem się zgodzić na przeprosiny, skoro taka jest jakoby moda, chociaż przysięgam, iż nie wiem za co, ale jeśli chodzi o teatralne pozy, radzę się zwrócić gdzie indziej.

– Dawie! Nawet gdybym o to prosiła?

Spieranie się z kobietą – pomyślałem sobie – równa się dyskusji z dzieckiem, a zresztą będzie to przecież tylko formalny gest.

– Uważam to za dziecinną zachciankę, niegodną ani pani, ani mojego wieku. Jednakże nie odmówię pani żądaniu, a jeśli ma z tego wyniknąć jakaś konfuzja, na pani barki ją składam – co rzekłszy ukląknę na oba kolana.

– Świetnie! – wykrzyknęła. – Oto jest pozycja, do której chciałam pana doprowadzić! – Po czym dodała: – Hop! – i rzuciwszy mi zwinięty bilecik śmiejąc się uciekła z pokoju.

Na bileciku nie było daty.

*Drogi Panie Dawidzie – czytałem – otrzymuję regularnie wiadomości o panu przez moją kuzynkę, pannę Grant, i miło mi jest ich słuchać. Czuję się doskonale, mieszkam w miłym miejscu, u miłych ludzi, ale z konieczności nikt o tym wiedzieć nie może, lubo mam nadzieję, iż nareszcie spotkamy się znowu. Moja droga kuzynka, kochająca nas oboje, opowiedziała mi o wszystkich pana zabiegach i dowodach przyjaźni. Prosiła mnie o napisanie tego listu i sprawdziła treść.*

*Proszę pana o spełnianie wszystkich jej rozkazów. Pozostaje szczerze panu oddana.*

*Katriona Macgregor-Drummond*

*PS. Czy nie zechciałby Pan odwiedzić mojej kuzynki lady Allardyce?*

Podróż do Dean, którą zgodnie z życzeniem Katriony niezwłocznie podjąłem, była (jak powiadają żołnierze) jedną z najwaleczniejszych moich kampanii. Jednakże stara lady Allardyce zmieniła się całkowicie i okazała się potulna jak baranek. Jakim sposobem panna Grant potrafiła do tego doprowadzić, pozostaje dla mnie tajemnicą. Jednego tylko jestem pewien; nie ośmieliła się działać bezpośrednio i otwarcie, gdyż jej papa zbyt kompromitującą odegrał rolę w tej sprawie. On to właśnie namówił Katrionę, by opuściła swą kuzynkę, a raczej by zaniechała powrotu do niej, i umieścił ją przy rodzinie Gregorów, przyzwoitych ludzi, najzupełniej lordowi prokuratorowi oddanych. Katriona mogła mieć do nich zaufanie, należeli bowiem do tej samej co ona rodziny i klanu. Gregorowie gościli ją potajemnie u siebie, zachęcali ją do podjęcia próby ratowania ojca, a wreszcie dopomogli w urzeczywistnieniu jej planów. Gdy wyszła z więzienia, przyjęli ją znowu, równie sekretnie, pod swój dach. W ten sposób Prestongrange dopiął swego, czyniąc z Katriony swoje narzędzie, i nikt ani słówkiem nie zdradził jego znajomości z córką Jamesa More'a. Szeptano oczywiście to i owo na temat ucieczki tego zdyskredytowanego osobnika, lecz rząd zareplikował ostro. Jeden z dozorców więzienia został skazany na chłostę, porucznik zaś dowodzący strażą (mój znajomek Duncansby) został zdegradowany. Co zaś do Katriony, wszyscy cieszyli się, że jej występki pominięto milczeniem.

Nie zdołałem namówić panny Grant, aby zaniósła Katrionie list ode mnie. – Nie – odpowiadała na moje nalegania – nie dopuszczę wielkich stóp do półmiska. – Tym trudniej mi się było z tym pogodzić, że zdawałem sobie sprawę, iż widywała ją parę razy tygodniowo i do-

starczała wiadomości o mnie, ilekroć (jak powiadała) „zasługiwałem” na to. Aż wreszcie wyświadczyła mi łaskę (jak to określiła) zakrawającą jednak, moim zdaniem, na figiel.

Osobom, które darzyła przyjaźnią, okazywała silne, bez mała gwałtowne uczucie; do takich należała przede wszystkim wątpa i schorowana stara lady, bardzo krótkowzroczna i bardzo dowcipna, zamieszkała – w towarzystwie licznej rodziny makolągów w klatce – na najwyższym piętrze czynszowej kamienicy, gdzie przez dzień cały roiło się od gości. Panna Grant chętnie mnie tam zabierała, abym zabawiał jej przyjaciółkę opowiadaniem o moich nieszczęściach. Panna Tibie Ramsay (takie było jej nazwisko) okazywała mi szczególną życzliwość i dowiadywałem się od niej wielu pożytecznych rzeczy o szkockich sprawach i ludziach. Należy dodać, że z okna jej pokoju, z odległości nie większej niż trzy stopy – tak wąski był zaułek, w którym mieszkała – można było zaglądać w zakratowane okienko, oświetlające klatkę schodową przeciwległego domu.

Pewnego dnia panna Grant pozostawiła mnie pod jakimś pretekstem samego z panną Ramsay. Pamiętam, że stara lady wydawała się roztargniona, jakby czymś zajęta, a ponadto że dokuczało mi zimno, gdyż okno było, wbrew jej zwyczajom, otwarte, a dzień chłodny. Nagle rozległ się gdzieś z zewnątrz głos panny Grant.

– Hej, Davie! Wyjrzyj przez okno i popatrz, jaką ci sprawiłam niespodziankę!

Nigdy chyba nie oglądałem bardziej uroczego widoku. Zaułek wypełniał jasny cień, nie stanowiący przeszkody dla oka, a ściany domu były czarne i brudne; na tym tle ujrzałem w zakratowanym okienku uśmiechające się do mnie twarze panny Grant i Katriony.

– A kuku!– rzekła panna Grant. – Chciałam, aby pana zobaczyła w pięknych szatkach, jak owa dziewczyna w Limekilns. Chciałam, aby zobaczyła, co potrafię z pana zrobić, gdy się ostro zabiorę do dzieła.

Przypomniałem sobie, że tego dnia nalegała bardziej niż zwykle na wykwinność mego stroju i zdaje mi się, że z podobną troskliwością dozorowała toalety Katriony. Jak na tak wesołą i roztropną młodą lady panna Grant poświęcała fatalaszkom niezwykle dużo uwagi.

– Katriono! – Nic więcej nie zdołałem wykrztusić.

Ona zaś nie odezwała się ani słowem, uśmiechała się tylko do mnie, skinęła parę razy ręką i – nagle znikła z okienka.

Zaledwie rozwiła się ta zjawia, skoczyłem ku drzwiom, ale były zamknięte; zwróciłem się do panny Ramsay błagając ją o klucz, lecz z takim samym powodzeniem mógłbym przemawiać do skały. – Zobowiązałam się słowem – powiedziała – ty zaś masz się zachowywać jak grzeczny chłopczyk. – Nie mogłem wywarzyć drzwi, nawet gdyby to się nie sprzeciwiało dobremu obyczajom, nie mogłem wyskoczyć przez okno, gdyż znajdowałem się na siódmym piętrze. Mogłem tylko wyglądać na zaułek i widzieć, jak obie schodzą ze schodów; niewiele zresztą dostrzegłem: dwa tylko czubki niewieścich głów na tle szerokich spódnic.

W drodze powrotnej, natychmiast po odzyskaniu wolności, gorzkie czyniłem pannie Grant wyrzuty za jej okrucieństwo.

– Żałuję, iż doznał pan rozczarowania – odpowiedziała z głupia frant – co do mnie, byłam bardzo zadowolona. Wyglądał pan lepiej, niż się tego spodziewałam. Stojąc tak w oknie, wyglądał pan – jeśli to nie podnieci pańskiej próżności – na całkiem przystojnego młodzieńca. Proszę jednak pamiętać, że ona nie widziała pańskich stóp.

– Ach, pozostawmy moje stopy w spokoju, nie większe są od wielu innych.

– Są nawet mniejsze od niektórych, ale ja mówię przypowieściami, jak hebrajski prorok.

– Nie dziwuję się, że paru z nich ukamienowano! Jak mogłaś tak postąpić, podła dziewczyno? Dlaczego mnie dręczysz wystawiając na tak okrutną próbę?

– Miłość jest jak ludzie, potrzebuje jakiejś stawy.

– Panno Barbaro! Pozwól mi naprawdę zbliżyć się do niej. Wszak widujesz się z nią, kiedy tylko zechcesz. Pozwól choć na pół godzinki!

– Kto zarządza tą miłosną imprezą? Pan? Czy ja? – A gdy nalegałem dalej uporczywie, panna Grant, uciekła się do arcyskutecznej taktyki: naśladowania mego głosu w chwili, gdy zawołałem do Katriony po imieniu. I takim to sposobem trzymała mnie w cuglach przez następne kilkanaście dni.

Nikt, nie wyłączając mnie, nie słyszał ani słówka o dalszych losach memoriału. Prestongrange i księżę Argyle, przewodniczący trybunału, okazali się głusi na zawarte w nim argumenty i jak sądzę, woleli go po prostu zataić. Nic w każdym razie nie doszło do wiadomości publicznej i ósmego listopada, podczas gwałtownej wichury i ulewy, nieszczęsny James Stewart *of the Glens* zawisnął na szubienicy w Lettermore.

Taki więc był ostateczny rezultat mego udziału w politycznej rozgrywce! Niewinni ludzie ginęli przed Jamesem i zapewne (wbrew całej naszej mądrości) zdarzy się to jeszcze nieraz, aż do końca świata. I do końca świata młodzi (nie będąc jeszcze obeznani z przewrotnością ludzi i zasadzkami życia) walczyć będą podobnie jak ja i podejmować bohaterские postanowienia oraz narażać się na ogromne niebezpieczeństwa, a wypadki potoczą się swoją drogą. James został powieszony, ja zaś mieszkalem w domu Prestongrange'a, wdzięczny za ojcowską z jego strony opiekę. James został powieszony, a gdy spotykałem Simona Frasera na ulicy, powinienem był zdejmować przed nim moją bobrową czapkę, jak to czyni przykładowy uczeń przed swym nauczycielem. Został powieszony podstępnie i niesprawiedliwie, a jednak wszystko dokoła toczyło się zwykłym trybem i nie zaważyło to ani odrobinę na szali wypadków. Autorzy zaś tego ohydneho spisku byli zacnymi i szanowanymi ojcami rodzin, chodzącymi do kościoła i przyjmującymi sakrament!

Zdobyłem jednak własny pogląd na tę szalbierczą grę, którą nazywają polityką. Oglądałem z bliska i przyjrzałem się do syta jej ukrytemu, prawdziwemu, wstrętnemu obliczu i wyleczyło to mnie do końca życia z wszelkiej ochoty wzięcia w niej udziału. Jedyną moją ambicją stało się iść spokojnie i skromnie prostą drogą, nie ściągając niebezpieczeństw na własną głowę i nie narażając sumienia na pokusy. Albowiem rzuciwszy okiem wstecz, widzę wyraźnie, że pomimo wszystko nie mam się właściwie czym chwalić, i że z ogromnym nakładem górnolotnych słów i szumnych zabiegów – nic nie zdziałalem.

Dwudziestego piątego tegoż miesiąca otrzymałem nagle od Prestongrange'a polecenie przygotowania się do podróży do Leyden, statkiem odpływającym z Leith. Memu gospodarzowi nie mogłem oczywiście wyrazić swego niezadowolenia, wszak dość już długo korzystałem z gościnności w jego domu i przy jego stole. Z panną Grant natomiast rozmówiłem się bardziej otwarcie, ubolewając nad wysyłaniem mnie z kraju w takich okolicznościach i zapewniając ją, że o ile nie umożliwi mi osobistego pożegnania się z Katrioną, odmówię w ostatniej chwili wyjazdu.

– Czyż nie udzieliłam już ci porady? – odpowiedziała.

– Nie neguję tego – odparłem – i wiem również, jak wiele ci zawdzięczam oraz że mam posłusznie spełniać twoje rozkazy. Wyznaję jednak, że jesteś czasami zbyt skłonna do żartów, abym mógł ci całkowicie zaufać.

– W takim razie bądź na pokładzie o dziewiątej rano. Statek nie odpłynie przed pierwszą po południu i jeśli ci nie przypadnie do gustu pożegnanie, jakie ci tam zgotuję, pozwalam ci powrócić na ląd i szukać Katriony na własną rękę.

Nic więcej nie zdołałem wskórać i chcąc nie chcąc musiałem się tym zadowolić.

Nadszedł wreszcie dzień rozstania się z Barbarą Grant. Zaprzyjaźniliśmy się z sobą serdecznie i bynajmniej nie powierzchownie. Niemało jej zawdzięczałem i rozmyślania nad formą, w jakiej należałoby się z nią pożegnać, spędzały mi sen z powiek, podobnie jak wysokość napiwków, jakie miałem zostawić służbie domowej. Wiedziałem, że uważała mnie za nieokrzesanego pod względem towarzyskim i zależało mi na podniesieniu jej o mnie opinii w tej dziedzinie. Ponadto, skoro okazaliśmy sobie tyle wzajemnej i, jak mi się wydaje, szczerzej przyjaźni, wszelka ceremonialność wydawała mi się nie na miejscu. Tak więc obmyśliwszy

uprzednio słowa pożegnania, zebrałem się na odwagę, i gdy po raz ostatni znaleźliśmy się sam na sam, zapytałem ją dosyć śmiało, czy pozwoli się uściskać.

– Pan się doprawdy zapomina, panie Balfour – odrzekła. – Nie pamiętam, abym w czymkolwiek upoważniła pana do tak daleko idącej interpretacji naszej znajomości.

Stałem przed nią jak zatrzymany zegar i nie wiedziałem, co o tym sądzić, a tym mniej, co powiedzieć, gdy nagle zarzuciła mi ręce na szyję i ucałowała mnie ochoczo.

– Ty niepoprawny głuptasie! – zawołała. – Czy myślisz, że moglibyśmy się rozstać jak obcy sobie ludzie? Nie mogę dłużej niż pięć minut rozmawiać z tobą poważnie, ale z tego na pewno nie wynika, że nie lubię cię z całego serca. Przyjaźń prawdziwa i śmiech serdeczny tryskają ze manie, ilekroć spojrzę na ciebie! A na zakończenie twojej edukacji dam ci radę, która już rychło ci się przyda. Nigdy nie pytaj kobiety! Każda kobieta zawsze „nie!” ci odpowie! Pan Bóg jeszcze nie stworzył dziewczyny, która by się oparła tej pokusie. Uczni duchowni przypuszczają, że jest to dziedzictwo grzechu Ewy; ponieważ ona nie powiedziała „nie” szatanowi ofiarowującemu jej jabłko, jej córki nic innego powiedzieć nie mogą.

– Skoro mam wkrótce utracić mego ślicznego profesora...

– To jest zaiste uroczy komplement – przerwała mi dygając.

– ...chciałbym mu postawić jedno jeszcze pytanie; czy wolno mi zapytać dziewczynę, czy zechce wyjść za mnie za męża?

– Czy myślisz, że mógłbyś się z nią ożenić bez tego? Czy też spodziewasz się, że ona cię o twoją rękę poprosi?

– Widzę, że nigdy nie potrafisz zachować powagi.

– Pod jednym względem będę zawsze poważna, Dawidzie. Zawsze będę twoim przyjacielem.

Gdy nazajutrz rano odjeżdżałem konno z domu Prestogrange’a, wszystkie cztery panie znajdowały się w tym samym oknie, z którego ongiś spoglądaliśmy na Katrionę, i wszystkie powiewały chusteczkami oraz wołały donośnie słowa pożegnania. O jednej z tych czterech wiedziałem, że była szczerze zmartwiona, a na myśl o niej i o tym, jak przed trzema miesiącami przybyłem po raz pierwszy do tych samych drzwi, smutek i wdzięczność zaćmiły wszystkie inne moje uczucia.

## **CZEŚĆ DRUGA**

### **OJCIEC I CÓRKA**



## XXI. PODRÓŻ DO HOLANDII

Statek stał na pojedynczej kotwicy dosyć daleko od nadbrzeżnego pomostu w Leith i wszyscy pasażerowie musieli się na niego dostawać za pomocą łodzi. Nie sprawiało to większych trudności, gdyż dzień był całkowicie bezwietrzny, bardzo mroźny i zachmurzony. Nisko nad wodą leżała mgła, przez co zbliżając się do statku nie widziałem zupełnie jego kadłuba, tylko lśniąco wysoko w słońcu reje i wierzchołki masztów. Był to bardzo przestronny i wygodny statek handlowy, z nieco zbyt zaokrąglonym dziobem, wyjątkowo ciężko załadowany solą, solonym łososiem i wyrobami z pięknego białego płótna dla holenderskich odbiorców. Po moim przybyciu na pokład przywitał mnie kapitan, niejaki Sang (rodem, zdaje mi się, z Lesmahago), miły człowiek i typowy wyga morski. Inni pasażerowie nie pojawili się jeszcze, a że kapitan był bardzo zajęty zwykłą przed odpłynięciem krzątaniem, pozostawił mnie więc samego na pokładzie, gdzie gapiłem się na wszystko dokoła i rozmyślałem nad tym, jakiego rodzaju okaże się obiecane mi pożegnanie z Katrioną.

Cały Edynburg i otaczające go wzgórza rysowały się nade mną w białawej poświacie, co raz to przesłaniane zwałami chmur. W miasteczku Leith widoczne były zaledwie kominy, a powierzchnię morza okrywały całkowicie opary morskiej mgły. Z głębi ich usłyszałem nagle plusk wiosła i niebawem (jak z dymu ogniska) wysunęła się łódź. Przy rufie, osłoniętej żaglowym płótnem, siedział poważny mężczyzna, dokładnie okutany przed zimnem, a obok niego wysoka, smukła, przystojna dziewczyna, na widok której serce mi bić przestało. Zaledwie zdążyłem ochłonąć z wrażenia i zebrać myśli przed powitaniem jej na pokładzie uśmiechem i szarmanckim ukłonem, na pewno o wiele wytworniejszym niż wtedy, gdy parę miesięcy przedtem spotkałem ją po raz pierwszy. Oboje zmieniliśmy się niemało.

Katriona wydawała mi się roślejsza, wybujała, jak dorodne drzewo. Nabrała jakiejś uroczej nieśmiałości, z czym było jej bardzo do twarzy, stała się bardziej świadomą swych powabów kobietą. Ta sama czarodziejska ręka ukształtowała nas oboje i aczkolwiek panna Grant jedno z nas tylko mogła uczynić naprawdę urodziwym, obojgu nadała wdzięk światowej ogłady.

Jednocześnie i podobnymi słowy wyraziliśmy żal, że spotykamy się po to, aby się pożegnać, lecz wkrótce zdaliśmy sobie sprawę, że oboje mamy tym samym statkiem wyruszyć w podróż.

– Dlaczego Barbara nie powiedziała mi o tym?! – wykrzyknęła Katriona, po czym przypomniała sobie o liście wręczonym jej pod warunkiem, że go nie otworzy przed przybyciem na pokład. Do listu załączona była kartka pod moim adresem.

*Drogi Davie!*

*Cóż myślisz o takiej formie pożegnania? I cóż powiedziałeś twojej towarzyszce podróży? Czy pocałowałeś ją, czy też zapytałeś przedtem o pozwolenie? Powinam na tym zakończyć, ale można by wywnioskować, że odpowiedź na to ostatnie pytanie nastęrcza mi pewną trudność, a ja przecież znam ją z góry. Ostatnia dobra rada: nie bądź zbyt nieśmiały i, na miłość*

*boską, nie bądź zbyt pochopny; nic gorszej ci nie odda przysługi. Twoja serdecznie ci oddana przyjaciółka i nauczycielka*

*Barbara Grant*

Napisałem parę komplementów na kartce wyrwanej z notesu, dołączyłem ją do kartki skreślonej przez Katrionę, zapieczętowałem całość moim nowym sygnetem z herbem Balfourów i wysłałem przez sługę Prestongrange'a, czekającego w łodzi, w której przybyłem na statek.

Po czym mogliśmy się sobie przyglądać do woli, co nie trwało dłużej niż minutę, gdyż tym samym wiedzeni impulsem raz jeszcze podaliśmy sobie dłonie.

– Katriono... – rzekłem tylko; wzruszenie odebrało mi mowę.

– Miło ci ujrzeć mnie znowu? – zapytała.

– Jakże puste wydają mi się takie słowa. Zbyt głęboka łączy nas przyjaźń, abyśmy mieli rozmawiać o podobnych błahostkach.

– Czyż ona nie jest najwspanialszą na świecie dziewczyną? Nigdy nie spotkałam takiej dziewczyny, tak zacnej i tak pięknej.

– Chociaż o Alpina dba tyle, co o kaczan kapusty.

– Ach, ona to zaiste powiedziała, a jednak dla tego nazwiska i dla szlachetnej płynącej w jej żyłach krwi zaopiekowała się mną i okazała mi tyle dobroci.

– Wyjaśnię ci przyczyny jej postępowania. Otóż wśród ludzi na tym świecie spotykamy wszelakiego rodzaju twarze. Na twarz Barbary każdy musi patrzeć z zachwytem i podziwem, uznać ją za śliczną, dzielną i miłą dziewczynę. Twoja zaś jest zupełnie inna, dziś dopiero rozumiem, jak bardzo jest inna. Nie widzisz jej sama i dlatego nie możesz tego sobie uświadomić, ale opiekę i dobroć Barbary zawdzięczasz urokowi swej twarzy. I każda żyjąca istota postąpiłaby tak samo.

– Każda?

– Tak, dalibóg!

– W takim razie to tłumaczy, dlaczego żołnierze w zamku tak dobrze mnie traktowali!

– Barbara cię nauczyła łapać mnie za słówka.

– Nauczyła mnie znacznie więcej. Dowiedziałam się od niej niemało o panu Dawidzie; wyliczyła mi wyczerpująco wszystkie jego przywary i śmieszności, ale od czasu do czasu wspominała coś niecoś o jego zaletach – mówiła z uśmiechem. – Dowiedziałam się wszystkiego o panu Dawidzie, z wyjątkiem tego, że znajdziemy się razem na tym statku. Dlaczego wyjeżdżasz?

Wyjaśniłem jej cel i powody mojej podróży.

– Spędzimy więc razem parę dni, a potem pożegnamy się, chyba na zawsze. Mam się spotkać z moim ojcem w miejscowości zwanej Helvoetsluys, skąd udamy się do Francji, na wygnanie, u boku wodza naszego klanu.

Nazwisko Jamesa More'a zawsze mi mowę odbierało, toteż nic ponad głośnie „ach!” nie zdołałem wybełkotać w odpowiedzi.

Katriona zrozumiała znaczenie tego wykrzyknika i odgadła w pewnej mierze moje myśli.

– Winna ci jestem przede wszystkim jedno wyznanie. Dwóch członków mojej rodziny, James More, mój ojciec, oraz dziedzic z Prestongrange, nie zachowało się godziwie względem ciebie. Prestongrange mógł ci to sam wytłumaczyć lub uczyniła to za niego jego córka. Lecz co do mego ojca, muszę ci tyle powiedzieć: jest on zwykłym, uczciwym żołnierzem i zwykłym dżentelmenem ze szkockich gór. Zamknięty w więzieniu, zakuty w kajdany, nie wiedział wcale, o co im chodzi, bo gdyby zdawał sobie sprawę, że oni coś knują na szkodę takiego jak ty młodego dżentelmena, wołałby śmierć ponieść, niż do tego się przyczynić. W imię twoich przyjaznych dla mnie uczuć proszę cię o wybaczenie tej pomyłki memu ojcu i mojej rodzinie.

– Nie chcę wiedzieć, na czym polegała ta pomyłka. Wiem tylko jedno... że poszłaś do Prestongrange'a i błagałaś go na kolanach o moje życie. Poszłaś do niego, aby ratować ojca, ale przy tej okazji wstawiłaś się i za mną. To jest sprawa, o której wolałbym nie mówić, nie zapomnę natomiast nigdy twoich ciepłych, do mnie skierowanych, słów, wtedy gdy mi przyjaźń ofiarowałaś, oraz że broniłaś mego życia. Nie mówmy więc już nigdy, my dwoje, o winie i przebaczeniu.

Po czym staliśmy czas jakiś w milczeniu; Katriona spoglądała na pokład, ja zaś na nią i zanim nawiązaliśmy dalszą rozmowę, zerwał się lekki wiatr z północo-zachodu i załoga zaczęła wyciągać kotwicę i rozwijać żagle.

Oprócz nas dwojga było sześciu pasażerów; więcej by się nie pomieściło w kajucie. Trzech zażywnych kupców z Leith, Kircaldy i Dundee, udających się do Niemiec w pogoni za zyskiem, powracający do ojczyzny Holender i dwie dostojne kupcowe, z których jednej powierzono opiekę nad Katrioną. Szczęście nam sprzyjało, gdyż panią Gebbie (tak się nazywała owa jejmość) dręczyła nieustannie morska choroba i jej obfite kształty trwały, w dzień i w nocy, w pozycji leżącej. Wszyscy nasi towarzysze podróży na „Rose”, z wyjątkiem bladego chłopca, spełniającego moje niegdyś obowiązki i podającego do stołu, pozostawili młodzież już dawno poza sobą, toteż nikt nie zakłócał naszej z Katrioną samotności. Siedzieliśmy obok siebie przy stole, gdzie usługiwałem jej z niemalą satysfakcją. Za pomocą mego płaszcza ułożyłem dla niej na pokładzie przytulne legowisko. Pogoda, jak na tę porę roku, była w ciągu całej naszej podróży niezwykle łaskawa – słoneczne dni i jasne, mroźne noce przy stałym łagodnym wietrze – toteż siedzieliśmy na pokładzie (powstając tylko po to, aby się rozgrzać przechadzka) od pierwszych promieni słońca aż do późnego wieczora, pod migotliwym światłem gwiazd. Kupcy i kapitan Sang zerkali od czasu do czasu na nas, uśmiechali się albo rzucaли parę żartobliwych uwag. Przeważnie jednak byli zajęci wnikliwą dyskusją o śledziach, płótnie i bawełnianych tkaninach lub obliczaniem, kiedy dopłyniemy do celu podróży, i pozostawiali nas w spokoju, pogrążonych w sprawy nie obchodzące nikogo oprócz nas dwojga.

Początkowo mieliśmy sobie aż nazbyt wiele do powiedzenia i uważaliśmy się wzajemnie za biegłych w błyskotliwej konwersacji; starałem się, nie bez wysiłku, uchodzić za wytrawnego supiranta, Katriona zaś chciała utrzymać się w roli młodej, obytej w świecie lady. Z biegiem czasu jednak stawaliśmy się coraz bardziej bezpośredni; porzuciłem moją wytworną angielską wymowę (co mi przyszło bez żadnego trudu) i zapomniałem o wyuczonych w Edynburgu dwornych umizgach, ukłonach i podrygach; ze swej strony Katriona przeszła do czegoś w rodzaju serdecznej zażyłości. Przebywaliśmy ze sobą jak ludzie z tego samego domu, z większym jednak, jeśli o mnie chodzi, nakładem emocjonalnych przeżyć. Wtedy to właśnie jakby zabrakło w naszych rozmowach bardziej wyszukanych tematów, lecz żadne z nas na tym nie ucierpiało. Opowiadała mi nieraz przedziwne, krążące wśród starych bab baśnie, których znała niezwykłą ilość, przeważnie z ust mego starego znajomego, rudowłosego Neila. Opowiadała je uroczo i doprawdy śliczne to były, raczej dziecinne bajki. Lubiłem je słuchać dla samego dźwięku jej głosu i radowałem się myślą, że to ona mówi, a ja słucham. Kiedy indziej znowu siedzieliśmy w zupełnym milczeniu, nie porozumiewając się nawet wzrokiem, napawając się jedynie słodyczą takiego sąsiedztwa. Pisząc to przemawiam we własnym imieniu. Jakie były wówczas jej myśli i nastroje, nigdy się chyba nad tym nie zastanawiałem; moich własnych zaś nie śmiałem rozważać. Nie potrzebuję już dzisiaj taić, ani przed sobą, ani przed czytelnikiem, że zakochałem się po uszy. Katriona przysłała mi słońce. Jak już wspomniałem, rozrosła się podczas tych paru miesięcy, a właściwie rozkwitła; zdawało mi się, że jest wcieleniem zdrowia, wdzięku i hartu ducha; gdy chodziła, przypominała mi młodziutką łanię, a gdy stała, wysmukłą brzozę w górskim ustroniu. Nic więcej nie pragnąłem, jak tylko siedzieć przy niej na pokładzie, i oświadczam szczerze, że nawet przelotnie nie pomyślałem o przyszłości. Zbyt się cieszyłem tym, co wówczas przeżywałem, aby się zdobyć na rozmyślanie o dalszych krokach. Co najwyżej kusiło mnie, aby ująć jej dłoń i

zatrzymać w mojej własnej. Jak skąpiec drżący nad posiadany skarbem bałem się narazić nieopatrnie na jego utratę. Rozmawialiśmy zwykle o nas obojgu lub o jednym z nas, i gdyby ktokolwiek potrudził się nas podsłuchać, musiałby nas uznać za najbardziej egotyczne osoby na świecie. Aż zdarzyło się, iż pewnego dnia, podczas takiej właśnie pogawarki, zaczęliśmy rozprawiać o przyjaźni i przyjacielach, i dzisiaj sędzę, że w tej rozmowie żeglowaliśmy z wiatrem. Mówiliśmy o tym, jak pięknym uczuciem jest przyjaźń, jak nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, jak nowe nadawała życiu oblicze; zagłębialiśmy się w rozliczne przenośnie i ukryte aluzje, jakie od początku świata wypowiadają młodzi w podobnym położeniu. Wspomnieliśmy również o dość dziwnym zjawisku; przyjacielom zwykle się zdaje, iż przedtem, zanim się poznali, nic się nie działo, aczkolwiek każdy z nich żył już od dawna, tracąc czas w towarzystwie innych ludzi.

– Niewiele doznałam, jeśli o mnie chodzi – mówiła Katriona – i mogłabym streścić moje życie w paru słowach. Wszak jestem tylko dziewczyną, a cóż w ogóle może się przydarzyć niewieście? Jednakże w czterdziestym piątym roku wyruszyłam wraz z moim klanem. Mężczyźni szli zbrojni w szable i muszkiety, niektórzy w oddziałach noszących tartany o tej samej barwie. Nie trzeba było ich zachęcać, powiadam ci! Oprócz naszych górali byli i ziemianie z Dolnej Szkocji oraz ich dzierżawcy, wszyscy konno i uzbrojeni, a trąby grały aż hej! I wszędzie rozlegały się wojenne pienia kobziarzy. Jechałam na małym, górskim koniku, po prawej ręce mego ojca, Jamesa More'a, i obok samego Macgregora z Glengyle, wodza naszego klanu. Pamiętam tę wspaniałą chwilę, gdy Glengyle pocałował mnie w twarz, jako że – powiedział – moja krewniaczko, jesteś jedyną lady z naszego klanu, co z nami wyruszyła w bój! A miałam wtedy chyba nie więcej niż dwanaście lat! Widziałam również księcia Karola Edwarda i jego niebieskie oczy; zaiste przystojny był z niego mężczyzna! Podał mi rękę do pocałowania przed frontem całego wojska. Hej, piękne to były i niezapomniane dni, lecz dzisiaj wydają mi się tylko wyśnioną zjawą. Wiesz dobrze, co potem nastąpiło. Najokropniejsze zaś ze wszystkich były te dni, kiedy wszędzie kręcili się żołnierze w czerwonych mundurach, a mój ojciec i stryjowie ukrywali się w górach, a ja nosiłam im żywność późno w nocy lub wczesnym zmierzchem, gdy po raz ostatni za dnia pieją koguty. Ileż to razy wędrowałam tak nocą samiuteńka i serce mi drżało ze zgrozy w ciemnościach. Dziwne to doprawdy, że nigdy nie natknęłam się na wilkołaka, ale powiadają, że dziewicom nic od nich nie grozi.

A potem małżeństwo mego stryja, i to było najstraszniejsze ze wszystkich przeżycie. Jean Kay, tak się nazywała ta niewiasta. Znajdowałam się w jej izbie tej nocy w Inversnaid, tej nocy, kiedy to zgodnie z dawnym obyczajem porwaliśmy ją spośród jej rodziny. Coraz to zmieniała zdanie. Raz zgadzała się poślubić Roba, to znów słyszeć o tym nie chciała. Nigdy nie spotkałam podobnie niestałej kobiety. Ale ona była wdową, i nigdy nie uznam wdowy za całkiem przyzwoitą niewiastę.

– Katriono! A to dlaczego?

– Nie wiem. Odkrywam ci tylko tajniki mego serca. A cóż dopiero poślubić innego mężczyznę! Ale ona była już taka. Wyszła powtórnie za mąż za mego stryja Robina i przez czas jakiś chodziła z nim na rynek i do kościoła, a potem jej obrzydło, a może podbechtali ją krewni, a może wstyd ją wreszcie ogarnął. Dość, że uciekła do swoich, gdzie powiadała, że ją więziliśmy, i nie powtórzę co jeszcze. Od tego czasu niezbyt ufam jakiegokolwiek kobiecie. Aż doszło do tego, że mój ojciec, James More, znalazł się w więzieniu, a co potem nastąpiło, wiesz równie dobrze jak ja.

– Z nikim dotychczas się nie przyjaźniłaś?

– Z nikim. Lubiłam się zadawać z paru dziewczynami w górach, ale tego nie można nazwać przyjaźnią.

– Co do mnie sprawa jest prosta. Aż do chwili kiedy ciebie poznałem, nie wiedziałem, co znaczy przyjaźń.

– A ten dzielny pan Stewart?

– Ach tak, zapomniałem o nim, ale on jest mężczyzną, a to całkiem co innego.  
– I mnie się tak wydaje. Tak, to całkiem co innego.  
– Miałem jeszcze kogoś, kogo uważałem za przyjaciela, lecz skończyło się to rozczarowaniem.

– Opowiedz mi o niej!

– Nie o niej, ale o nim. Byliśmy obaj najlepszymi uczniami w szkole mego ojca i kochaliśmy się serdecznie, a przynajmniej tak nam się zdawało. Z czasem ten chłopak wyjechał do Glasgow, gdzie miał pracować u pewnego kupca, swego stryjeczno-stryjecznego brata. Napisał do mnie parę razy przez przewoźnika towarów, później jednak znalazł sobie nowych przyjaciół i pomimo moich do niego listów zaniedbał mnie zupełnie. Długo miałem o to żal do świata, nie ma bowiem bardziej gorzkiego przeżycia, jak utrata domniemanego przyjaciela.

Katriona zaczęła mnie szczegółowo wypytywać o jego wygląd i charakter, ciekawiło nas bowiem wzajemnie wszystko, co nas dotyczyło. Aż wreszcie, jak się okazało w złą godzinę, przypomniałem sobie o jego listach i poszedłem je przynieść z kabiny.

– Oto są jego listy – rzekłem po powrocie – i w ogóle wszystkie listy, jakie kiedykolwiek otrzymałem.

Nic więcej ci o sobie opowiedzieć nie mogę, resztę mojej przeszłości znasz równie dobrze jak ja.

– Czy pozwolisz mi je przeczytać?

– Owszem – odpowiedziałem – jeśli masz ochotę sobie tym głowę zaprzętać.

Na co poprosiła mnie, abym zostawił ją samą, gdyż chciała je wszystkie kolejno przeczytać.

W tej podanej jej paczusce znajdowały się związane razem nie tylko listy od mego niby to przyjaciela z dzieciennych lat, ale i parę listów od pastora Campbella napisanych do mnie podczas jego pobytu w Edynburgu na zgromadzeniu szkockiego kościoła, kartka zawierająca parę słów od Katriony oraz dwie od panny Grant; jedna otrzymana przeze mnie na wyspie Bass i druga na pokładzie „Rose”. O tych ostatnich nie pamiętałem wówczas dokładnie.

Byłem do tego stopnia oddany mojej bogdance, że było mi wszystko jedno, co robię, a nawet nie zależało mi na tym, aby być wciąż przy niej. Miłość do Katriony opanowała mnie jak szlachetna gorączka, przenikająca nieustannie całą moją istotę, we dnie i w nocy, na jawie i we śnie. Toteż gdy poszedłem na przednią część pokładu, skąd przyglądałem się, jak szeroki dziób statku pruje morskie fale, nie śpieszyłem się z powrotem do niej, jakby się tego można było spodziewać; przedłużałem raczej moją nieobecność ulegając innego rodzaju uciecze.

Nie sądzę, abym miał skłonności do epikureizmu, a podówczas tak mało jeszcze zaznałem w życiu przyjemności, iż nawet jeśli nieco zbyt długo napawałem się widokiem morza, należałoby mi to wybaczyć.

Gdy powróciłem do Katriony, doznałem dziwnie przykrego uczucia, jakby odpięła się jakaś łącząca nas klamra, tak chłodno oddała mi paczuszkę z listami.

– Czy już przeczytałaś? – zapytałem, a mój głos zabrzmiał nienaturalnie; co też mogło ją dotknąć – przebiegło mi przez myśl.

– Czy chciałeś, abym przeczytała je wszystkie? – zapytała.

Odpowiedziałem twierdząco, cokolwiek drżącym głosem.

– Te ostatnie również?

Wiedziałem już, co w trawie piszczy, nie chciałem jednak uciekać się do kłamliwych wykrętów.

– Rozmyślnie dałem ci je wszystkie – rzekłem – i spodziewałem się, że je przeczytasz. Nie widzę w nich nic złego.

– Z innej jestem ulepiona gliny, za co Bogu dziękuję. Takiego listu lepiej nie pokazywać. Takiego listu nie wolno napisać.

– Czy masz na myśli twoją przyjaciółkę, Barbarę Grant?  
– Nie ma bardziej gorzkiego przeżycia niż utrata domniemanego przyjaciela – zacytowała moje własne słowa.

– Domniemana bywa nieraz przyjaźń! – wykrzyknąłem. – Krzywdzisz mnie srodze biorąc mi za złe te parę słów napisanych przez płochą dziewczynę. Wiesz dobrze, z jak wielkim odnośnię się do ciebie szacunkiem... i to się nigdy nie zmieni.

– A jednak pokazałeś mi ten list! Nie chcę takich przyjaciół! Obejdę się doskonale bez niej... i bez pana, panie Balfour!

– A więc taką okazujesz mi wdzięczność!

– Jestem panu bardzo zobowiązana i proszę o zabranie tych pańskich... listów.

Zdawało mi się, że to słowo uwięzło jej w gardle i zabrzmiało jak przekleństwo.

– Nie będziesz mi tego dwa razy powtarzać – odrzekłem i wzięwszy z jej rąk paczkę listów podszedłem do burty i cisnąłem je, jak mogłem najdalej, w morze. Niewiele brakowało, a rzuciłbym się w ślad za nimi.

Przez resztę dnia chodziłem tam i z powrotem po pokładzie z wściekłością w sercu. Zanim słońce zaszło, niewiele mi pozostało gwałtownych wyrażań, których bym nie połączył z jej imieniem. W porównaniu z postawą Katriony wszystko, co kiedykolwiek słyszałem o góralskiej bucie, wydawało mi się fraszką; ta zaledwie dorosła dziewczyna poczuła się obrażona tak błahą aluzją, i to pochodzącą od jej najserdeczniejszej przyjaciółki, którą wychwalała bez ustanku! Tego było już za wiele! Każda moja myśl o niej napęczniała goryczą i złością, jakbym miał do czynienia z krnąbrnym chłopakiem. Gdybym ją naprawdę pocałował, pogodziłaby się z tym zapewne z dosyć lekkim sercem, ale tylko dlatego, że Barbara cokolwiek żartobliwie wspomniała o tym w liście, Katriona uznała za konieczne wpaść w śmieszna, niczym nieusprawiedliwioną pasję. Dalibóg – rozmyślałem sobie – płci pięknej zbywa na umiarze i rozsądku i mężczyźni zasługują na współczucie, nawet ze strony aniołów.

Siedzieliśmy nadal obok siebie przy kolacji, ale jakże inaczej mnie traktowała. Jak miskę kwaśnego mleka! A twarz jej przypominała drewnianą lalkę. Trzepnąłbym ją równie chętnie, jak czołgałbym się u jej nóg, lecz ani do jednego, ani do drugiego nie dała mi najmniejszej okazji. Zaledwie zakończyliśmy posiłek, Katriona zaczęła się wdzięczyc do pani Gebbie, którą dotąd istotnie nieco zaniedbywała. Nadrobiła to jednak z nawiązką i przez resztę podróży otaczała ją niezwykle troskliwością, a przebywając na pokładzie okazywała kapitanowi Sang o wiele więcej względów, niż to uważałem za stosowne. Kapitan był co prawda mocno już podtatusiałym poczciwcem, lecz złościł mnie najmniejszy odruch poufałości z jej strony, skierowany do jakiegokolwiek, poza mną, osoby.

I na ogół tak skutecznie potrafiła ode mnie stronić i przebywać nieustannie w towarzystwie innych, że długo musiałem czatować na sposobną okazję, a gdy się nadarzyła, niewiele mi z tego przyszło, jak się o tym za chwilę przekonacie.

– Nie wiem doprawdy, czym cię obraziłem – rzekłem do niej – zasługuję więc chyba na przebaczenie. Zdobądź się na to, Katriono!

– Nie mam ci nic do wybaczenia – odpowiedziała, a głos jej brzmiał sucho jak kości wyrzucane z kubka przez graczy. – Jestem ci bardzo zobowiązana za wszystkie oddane mi usługi. – I dygnęła leciutko.

Już przedtem jednak postanowiłem sobie powiedzieć jej coś więcej i nie chciałem od tego odstąpić.

– Wysłuchaj mnie, proszę. Jeśli pokazując ci ten list zraniłem twoją miłość własną, nie może to dotyczyć panny Grant. Pisała nie do ciebie, lecz do mnie, nieszczęsnego, naiwnego prostaka, który powinien mieć na tyle oleju w głowie, aby ci tego listu nie pokazywać. Jeśli mnie winisz o...

– Radzę ci ani słówkiem nie wspominać o tej dziewczynie! To do niej mam żal i już nigdy nie spojrzę na nią, choćbym ją konającą przy drodze spotkała!

Katriona odeszła ode mnie, lecz zaraz potem odwróciła się i zawołała:

- Czy przysięgniesz, że nigdy już nie będziesz miał z nią do czynienia?
- Nigdy nie okażę się ani tak niesprawiedliwym, ani tak niewdzięcznym – odrzekłem i tym razem ja odwróciłem się od niej.

## XXII. HELVOETSLUYS

Pod koniec podróży pogoda zmieniła się znacznie na gorsze; silny szkwał hulał wśród żagli, fale podnosiły się wysoko i statek borykał się pracowicie ze wzburzonym morzem, utyskując głośno. Wołanie stojącego na dziobie marynarza, sondującego głębokość wody obciążoną ołowiem linką, rozlegało się nieustannie, płynęliśmy bowiem przez obszar obfitujący w mielizny. Około dziesiątej rano, w promieniach zimowego słońca, które zabłysło na chwilę spośród gradowych chmur, ujrzałem po raz pierwszy skrawek holenderskiego wybrzeża, a na nim szereg wymachujących skrzydłami wiatraków. Na ten cudaczny dla mnie widok odczułem miły dreszcz wyczekiwania nowego życia i wrażeń w nieznanym mi kraju.

Zarzuciliśmy kotwicę około godziny wpół do dwunastej w pobliżu portu Helvoetsluys, w miejscu mało chronionym od wiatru, i fale miały statkiem na wszystkie strony. Wszyscy, z wyjątkiem pani Gebbie, znajdowaliśmy się oczywiście na pokładzie i otuleni w płaszcze lub płachty żaglowego płótna, trzymając się oburącz olinowania, udawaliśmy wesoło stare morskie wygi, dla których taka pogoda to nie nowina.

Wkrótce potem do naszej burty podpłynęła ostrożnie łódź i jej sternik zaczął coś wołać po holendersku do kapitana Sang, który po chwili odwrócił się nader zafrasowany w stronę Katriony; a że wszyscy staliśmy stłoczeni dokoła, dowiedzieliśmy się, na czym polegało jego zmartwienie. Celem podróży „Rose” był Rotterdam i reszcie pasażerów zależało, aby się tam jak najprędzej znaleźć ze względu na dyliżans odjeżdżający tegoż wieczora w kierunku Niemiec. Biorąc pod uwagę niezwykle silny wiatr nasz kapitan podejmował się dotrzeć do Rotterdamu w porę, pod warunkiem jednak, że nie straci czasu po drodze. Otóż James More miał oczekiwać na córkę w Helvoetsluys i kapitan Sang obiecał mu zatrzymać się przed tym portem i odesłać ją, zgodnie z przyjętym zwyczajem, łodzią na wybrzeże. Łódź i Katriona były pod ręką, natomiast zarówno nasz kapitan, jak i sternik łodzi spoglądali nieufnie na wzburzone morze, obawiając się związanego z tym ryzyka. Kapitan Sang zaś ze swej strony zżymał się na każdą chwilę zwłoki.

– Ojciec pani – mówił do Katriony – będzie miał mi za złe, jeśli pani w drodze na ląd złamie nogę albo i utonie. Moim zdaniem winna pani towarzyszyć nam do Rotterdamu, skąd łatwo jest wyruszyć barką żaglową w dół rzeki Maes, aż do Brill, a stamtąd bryką z powrotem do Helvoet.

Katriona nie chciała jednak nawet słyszeć o jakiegokolwiek zmianie. Spoglądała z pobladałą twarzą na opadające wszędzie dokoła bryzgi fal, na zielone zwały wody sięgające z hukiem powyżej dzioba, na nieustanne harce i groźne przechyły łodzi, podbijanej przez kłębiące się morze, lecz obstawała twardo przy rozkazach swego ojca.

– Mój ojciec, James More, tak rozporządził – takie było jej pierwsze i ostatnie słowo.

Uważałem tę tak dosłowną interpretację jego woli, wbrew tylu życzliwym naleganiom, za objaw lekkomyślnego uporu, lecz miała po temu swoje, i to ważne powody, których nie chciała nam wyjawić. Barki żaglowe i konne bryki są zaiste doskonałym środkiem lokomocji, ale trzeba za nie płacić, a Katriona miała przy sobie całego majątku dwa szylingi i pół pensa.



Tak więc pasażerowie i kapitan, nie wiedząc o jej ubóstwie – ona zaś była zbyt dumna, aby się do tego przyznać – daremnie usiłowali ją przekonać.

– Przecież pani nie zna ani holenderskiego, ani francuskiego języka – przemawiał do niej któryś.

– To prawda – odrzekła – ale od czterdziestego szóstego roku tylu uczciwych Szkotów przebywa poza krajem, że dam sobie świetnie radę.

W tej jej wypowiedzi tyle było rozbijającej, wieśniaczej naiwności i prostoty, że niektórzy się uśmiechnęli, inni w tym większym poczuli się kłopotem, a pan Gebbie wpadł w rzetelną złość. Zdawał sobie zapewne sprawę, że jego obowiązkiem było (skoro jego żona podjęła się opieki nad Katrioną) udać się wraz z nią na ląd i czuwać nad jej bezpieczeństwem. Za nic jednak nie zgodziłby się na to, gdyż utraciłby możliwość dalszej, niezwłocznej podróży z Rotterdamu i zdaje mi się, że donośnym wyrzekaniem starał się zagłuszyć głos swego sumienia. Gniew jego skrupił się na kapitanie.

– Cała ta dyskusja – perorował ostro – nie ma najmniejszego sensu, każda próba opuszczenia statku równa się nieuchronnej śmierci, a w każdym razie nie można wrzucić młodej dziewczyny do łodzi pełnej nieokrzesanych holenderskich rybaków i pozostawić ją własnemu losowi.

Byłem mniej więcej tego samego zdania; odwołałem więc na bok pierwszego oficera, poleciłem odesłać moje manatki na podany mu adres w Leyden, po czym podszedłem do burty i dałem znak rybakom.

– Kapitanie Sang, będę towarzyszył tej młodej lady na wybrzeże, wszystko mi jedno, które dojadę do Leyden – co rzekłszy, skoczyłem do łodzi, tak jednak niezgrabnie, że zwałem się na dwóch rybaków i wraz z nimi na dno łodzi.

Z łodzi ta wyprawa wydawała się jeszcze bardziej ryzykowna niż z pokładu „Rose”; kadłub statku górował wysoko nad nami, zanurzał się i kołysał gwałtownie, znoszony na coraz to inną stronę liny kotwicznej, zagrażając nam nieustannie. Zacząłem już żałować mej porywczej decyzji i od kópów sobie w duchu wymyślać, gdyż wydawało mi się niemożliwością, aby Katriona zdołała się znaleźć przy mnie w łodzi, i groziło mi samotne wylądowanie w Helvoet, bez nadziei na jakąkolwiek rekompensatę, poza przyjemnością uściskania Jamesa More’a, w razie gdyby mi na to przyszła ochota.

Myśli te nie liczyły się jednak z odwagą dziewczyny. Widziała, jak bez wahania skacze do łodzi (w rzeczywistości z duszą na ramieniu), i za nic nie chciała uznać tej choćby przewagi wzgardzonego przez nią przyjaciela. Wspięła się na nadburcie, trzymając się jedną ręką więzi masztu; wiatr szarpał jej spódnicę, co poważnie zwiększało niebezpieczeństwo, i ukazywał nam nieco więcej z jej pończoch, niż to w miastach przyjęto uważać za stosowne. Uczyniła to tak szybko, że nawet gdyby ktoś chciał jej przeszkodzić nie zdążyłby tego uczynić. Stałem na dole i rozłożyłem ręce. Statek przechylił się ku nam, sternik pchnął łódź nieco bliżej, niż na to pozwalała ostrożność i Katriona skoczyła w przestrzeń. Udało mi się ją pochwycić szczęśliwie i podtrzymywani w porę przez rybaków uniknęliśmy upadku. Objęła mnie przez chwilę silnym uściskiem ramion, oddychając szybko i głęboko; po czym przedostaliśmy się na rufę łodzi (Katriona wciąż obejmowała mnie obu rękami) i usiedliśmy koło sternika.

Kapitan Sang i pasażerowie wyrazili nam uznanie i pożegnali nas głośnymi okrzykami, po czym łódź skierowała się ku wybrzeżu.

Zaledwie Katriona odzyskała nieco przytomności umysłu, odsunęła się ode mnie, lecz nie wypowiedziała ani słowa. Ja również milczałem, a zresztą świst wiatru i wycie fal nie nastrajały do konwersacji. Aczkolwiek załoga łodzi harowała co sił przy wiosłach, posuwaliśmy się naprzód bardzo powoli; nasz statek podniósł kotwicę i odpłynął, zanim zbliżyliśmy się do wejścia do portu.

Skoro tylko znaleźliśmy się na spokojnej wodzie, sternik zgodnie z ordynarnym holenderskim zwyczajem, zatrzymał łódź i zażądał opłaty za przewóz, po dwa talary (trzy do czterech

szylingów w angielskim pieniądzu) od pasażera. Na co Katriona zaczęła protestować, okazując niemałe podniecenie. – Kapitan Sang – mówiła – oświadczył jej, że opłata wynosi tylko jeden angielski szyling.

– Czy myślisz – wołała – że weszłabym do twojej łodzi nie pytając przedtem o cenę?

Sternik odwzajemnił się jej wrzaskliwym potokiem wymowy, w której obelgi i przekleństwa były zaczerpnięte z języka angielskiego; pozostała treść swych wynurzeń pod adresem Katriony wyrażał po holendersku. Aż wreszcie, widząc, że Katrionie na płacz się zbiera, wsunąłem ukradkiem do rąk gbura sześć szylingów, co skłoniło go do przyjęcia od niej jednego szylinga bez dalszych komentarzy. Przyznaję, że czułem się tą sceną dosyć dotknięty i zawstydzony; cenę oszczędność, ale nie tak daleko posuniętą. Toteż gdy łódź ruszyła dalej ku wybrzeżu, zapytałem Katrionę raczej chłodno o miejsce umówionego spotkania z jej ojcem.

– Mam się o niego zapytać u niejakiego Sprotta, porządnego, szkockiego kupca – odpowiedziała i dodała jednym tchem: – Pragnę ci gorąco podziękować, postąpiłeś jak rzetelny przyjaciel.

– Przyjdzie na to czas, gdy cię odstawię do twego ojca – odrzekłem. Nie przypuszczałem wtedy, jakie jeszcze czekają nas kłopoty. – Będę mógł mu opowiedzieć, jak oddaną i posłuszną ma córkę.

– Nie potrafię już chyba nigdy być jemu tylko oddaną dziewczyną! – zawołała, a w jej głosie zabrzmiała wielka żalność. – On już nie włada niepodzielnie moim sercem.

– A jednak mało kto odważyłby się na taki skok do łodzi, po to tylko, aby usłuchać rozkazów ojca.

– Nie ścierpię, abys tak mnie oceniał! Skoro ty to uczyniłeś, czyż mogłam w tyle za tobą pozostać? A w każdym razie to nie był jedyny powód! – Po czym z pałającą rumieńcem twarzą wyznała mi swoje ubóstwo.

– Wielki Boże! – wykrzyknąłem. – Wybierasz się na kontynent europejski z pustą kaletą? Zaiste, obłądny to pomysł.

– Zapominasz, że mój ojciec, James More, jest ubogim dżentelmenem, ściganym przez prawo wygnańcem.

– Nie wszyscy twoi przyjaciele są ściganymi przez prawo wygnańcami! Czyż godzi się tak postępować?

Leckie sobie ważyć tych, co ciebie kochają? Nikomu nie zaufać? Nawet mnie? Nawet panie Grant, która szalałaby z oburzenia, gdyby się o tym dowiedziała? Nawet tym krewniakom Macgregorów, którzy ciebie gościli i tak serdecznie się tobą opiekowali? Opatrzność mnie tu zesłała! Przypuśćmy, że na skutek jakiegoś wypadku nie spotkałabyś się z twoim ojcem, cóż by się z tobą stało, samotną, bez grosza przy duszy, w obcym kraju? Sama myśl o tym napełnia minie przerażeniem!

– Skłamałam im wszystkim; powiedziałam, że mam pieniędzy pod dostatkiem. Jej powiedziałam to samo. Nie mogłam poniżyć Jamesa More'a w ich oczach.

Odkryłem później dopiero, jak nisko upadł, on bowiem, a nie jego córka, był właściwym autorem tego kłamstwa i Katriona musiała je podtrzymywać w obronie jego reputacji. Podówczas jednak nie wiedziałem o tym i myśl o jej ubóstwie i grożących z tego tytułu niebezpieczeństwach wstrząsnęła mną do głębi.

– Ha, cóż – rzekłem – przydałoby ci się nieco więcej rozsądku.

Pozostałem chwilowo jej pakunki w zajeździe na wybrzeżu, gdzie za pomocą mej świeżo nabytej francuszczyzny dowiedziałem się, jak należy iść w kierunku siedziby kupca Sprotta, i ruszyliśmy tam piechotą – spory szmat drogi – przyglądając się ciekawie wszystkiemu, co nas otaczało. Zaiste dla przybyszy ze Szkocji było tam co podziwiać; domy wśród kanałów ł drzew, każdy dom stojący osobno, zbudowany z dostatniej, czerwonej cegły, o barwie róży, ze schodami i ławkami z niebieskiego marmuru przy każdym progu, i całe miasto tak czyste, że można by zasiąść do obiadu na ulicy.

Sprotta zastaliśmy w otoczeniu jego ksiąg handlowych, w niskiej komnacie, chędogiej i bardzo czystej, ozdobionej porcelaną, obrazami i globusem w mosiężnej oprawie. Był to rumiany, tęgi i rosły mężczyzna, o twardym spojrzeniu i nieprzystępnym obejściu; nie okazał nawet tyle uprzejmości, aby wskazać nam krzesła.

– Czy James More przebywa obecnie w Helvoet? – zapytałem go.

– Nie znam nikogo o tym nazwisku – odburknął.

– Skoro pan jest tak drobiazgowy, uzupełnię moje pytanie: gdzie możemy znaleźć w Helvoet niejakiego Jamesa Drummonda, alias Macgregora, alias Jamesa More’a, ostatnio zamieszkałego w Inveronachille?

– Nie wiem, gdzie on się znajduje, być może w piekle. A jeśli o mnie chodzi, tego mu właśnie życzę.

– Ta młoda lady jest córką owego dżentelmena i zgodzi się pan chyba ze mną, iż w jej obecności nie przystoi omawiać pewnych cech jego charakteru.

– Nie chcę mieć nic do czynienia ani z nim, ani z nią, ani z panem! – wykrzyknął grubym, ordynarnym głosem.

– Pozwolę sobie zauważyć, panie Sprott, że ta młoda lady przybyła ze Szkocji w poszukiwaniu Jamesa More’a i zapewne na skutek jakiejś pomyłki wskazano jej pański dom jako miejsce, gdzie ma się z ojcem spotkać, lub o nim zasięgnąć wiadomości. Zaszło widocznie jakieś nieporozumienie, sądzę jednak, że nakłada to zarówno na pana, jak i na mnie, który jestem tylko przypadkowym towarzyszem podróży, niewątpliwym obowiązkiem udzielenia opieki rodzaczce.

– Czy pan mnie ma za niespełna rozumu? Powiadam panu, że nie chcę o nim nic wiedzieć i nic mnie nie obchodzi ani on, ani jego potomstwo. Powiadam panu: on mi jest winien pieniądze.

– Być może – odpowiedziałem bardziej już teraz zły od niego. – Ja natomiast nic panu nie jestem dłużny. Ta młoda lady jest pod moją opieką, ja zaś nie przywykłem do tego rodzaju manier i stanowczo je sobie wypraszam.

Co mówiąc, i niezbyt sobie zdając sprawę z tego, co robię, postąpiłem parę kroków w stronę jego stołu, przez co, po prostu szczęśliwym trafem, użyłem jedyne argumentu, jaki mógł wyrzucić na nim wrażenie.

– Na miły Bóg! – wykrzyknął. – Nie tak ostro! Doprawdy nie chciałem pana obrazić. Jak to nieraz bywa u łagodnych, dobrodusznych, starszych już ludzi... szczekają zajadle, ale ugryźć nie potrafią. Słuchając mnie mogło się panu wydawać, że jestem cokolwiek butny, ale gdzie tam! Sandie Sprott nikomu w drogę nie wchodzi, tylko co ma na sercu, to i na języku. A nie zdoła pan sobie wyobrazić, jak wielkim utrapieniem jest dla mnie ten człowiek i o jakie przyprawił mnie straty.

– W takim razie ośmielam się powtórnie apelować do pańskiej uprzejmości i prosić o ostatnie wieści o panu Drummond.

– Służę najchętniej! A jeśli chodzi o tę młodą lady, dla której żywię najgłębszy szacunek, to on zapewne całkiem o niej zapomniał. Ja go znam, jak zły szeląg, straciłem przez niego sporo gotowego grosza. On nie myśli o nikim, jeno o sobie; klan, król czy córka to furda dla niego, byle miał pełny kałdun. A tyleż samo dba o swego współnika. Za takiego przecież mógłbym uchodzić, prowadzimy bowiem pewne interesy handlowe i coś mi się widzi, że Sandie Sprott nader kiepsko na tym wyjdzie. Daję panu uczciwe słowo, nie mam pojęcia, gdzie on się teraz znajduje. Może się dzisiaj zjawi, tutaj w Helvoet, może jutro, a może i za dwanaście miesięcy. Nic mnie nie zdziwi z jego strony chyba tylko to jedno: gdyby mi zapłacił, co mi się należy. Rozumie pan zatem, jak się układają nasze stosunki i że nie mam ochoty się zadawać z tą młodą lady, jak ją pan nazywa. Ona nie może się tutaj zatrzymać, to pewne. Jestem samotnym mężczyzną i gdybym ją w moim domu ugościł, ten nicpoń, zaledwie by się tu pojawił, gotów zażądać, abym się z nią ożenił.

– Dostyc tej gadaniny! Zabiorę tę młodą lady do lepszych przyjaciół. Proszę mi dać pióro, atrament i papier, a pozostawię tu dla Jamesa More’a adres mego bankiera w Leyden. Może się tam dowiedzieć o losie swej córki.

Podczas gdy byłem zajęty pisaniem i pieczętowaniem, Sprott zaofiarował się dobrowolnie zająć pakunkami panny Drummond i posłał po niego tragarza do zajazdu, przez co oddał nam istotnie przysługę. Na poczet tych wydatków dałem mu dwa talary, których odbiór potwierdził na piśmie.

Po czym opuściliśmy (Katriona wsparta na moim ramieniu) dom tego gburą. Przez cały u niego pobyt nie odezwała się ani słowem, pozwalając mi mówić i działać w jej imieniu. Ja ze swej strony nie chciałem jej urazić choćby spojrzeniem i nawet po wyjściu od Sprotta, chociaż serce wrzało mi nadal wstydem i gniewem, utrzymywałem starannie pozory beztroski.

– A teraz – rzekłem do niej – pójdziemy do tej oberży, gdzie można się rozmówić po francusku, zjemy tam jaki taki obiad i dowiemy się o możliwości dojazdu do Rotterdamu. Nie zaznam spokoju, aż znajdziesz się ponownie pod wytrawną opieką pani Gebbie.

– Tak będzie chyba najlepiej, chociaż wątpię, czy można ją zaliczyć do osób, które się z tego ucieszą. I przypominam ci raz jeszcze, że mam tylko jednego szylinga i trzy miedziaki.

– Ja zaś ci przypominam, że moje z tobą tutaj przybycie okazało się prawdziwym błogosławieństwem.

– A czy o czymkolwiek innym mogłabym myśleć przez cały ten czas? – odpowiedziała, i zdaje mi się, że wsparła się jeszcze silniej na moim ramieniu. – Jesteś prawdziwym przyjacielem.

## XXIII. PODRÓŻUJEMY PO HOLANDII

Bryka, a raczej długi parokonny wóz, zaopatrzony w poprzeczne ławki, zawiózł nas po czterech godzinach podróży do wielkiego miasta Rotterdam. Ciemności zapadły już od dawna, lecz ulice były dosyć rzęsiście oświetlone i wypełnione tłumem dziwacznych, zamorskich postaci, długobrodych Izraelitów i przedstawicieli różnych ciemnoskórych nacji, wśród których przechadzały się całe hordy kurtyzan, sprośnie wystrojonych w różne świecidełka i zaczepiających marynarzy chwytaniem ich za rękawy. Od gwaru rozmów dokoła mąciło się nam w głowie, a co mnie najbardziej zdumiewało, że ci wszyscy cudzoziemcy interesowali się nami nie więcej niż my nimi. Ze względu na moją towarzyszkę i własną ambicję usiłowałem nie tracić kontenansu, w rzeczywistości jednak czułem się jak zabłąkana owca i dręczone niepokojem serce waliło mi w piersiach nieznośnie. Pytałem się parokrotnie przechodniów o drogę do portu lub miejsce postoju statku „Rose”, lecz bądź trafiałem na osoby mówiące tylko po holendersku, bądź moja francuszczyzna okazywała się niedostateczna.

Skracając na chybił trafił w jakąś ulicę, natrafiliśmy na rząd oświetlonych domów, z których okien i drzwi wyglądało mnóstwo wyzywająco umalowanych kobiet. Otoczyły nas zwartą ciżbą, jakby chcąc nas z bliska obejrzeć, i wykrzykiwały coś grubiańsko; toteż cieszyłem się, że nie rozumieliśmy ani słowa z ich mowy. Wkrótce potem wyszliśmy na otwartą przestrzeń ciągnącą się wzdłuż portu.

– Nareszcie! – wykrzyknąłem, dostrzegając maszty. – Przejdziemy się teraz po wybrzeżu, spotkamy tu zapewne kogoś znającego język angielski, a kto wie, może nawet uda się nam odszukać nasz statek.

Szczyście nam dopisało, gdyż około godziny dziewiątej wieczorem natknęliśmy się wprost na kapitana Sang. Powiedział nam, że dopłynęli do Rotterdamu w niewiarogodnie krótkim czasie, gdyż wiatr nie zelżał ani na chwilę, i wszyscy pasażerowie udali się już w dalszą drogę.

Wyruszenie do Niemiec w pogoni za państwem Gebbie było oczywistą niemożliwością, a poza kapitanem Sang nie mogliśmy liczyć na nikogo. Tym bardziej się ucieszyłem, gdy okazał się życzliwie usposobionym i gotowym do usług. Wyszukanie jakiejś godnej zaufania, skromnej rodziny kupieckiej, u której Katriona mogłaby zamieszkać aż do załadowania „Rose”, nie sprawiało mu – jak twierdził – żadnego kłopotu i oświadczył, że nader chętnie, i to za darmo, podejmie się zabrać Katrionę z powrotem do Leith i oddać ją w bezpieczne ręce pana Gregory. Tymczasem zaprosił nas do otwartej do późna szynkowni na coraz bardziej potrzebny nam posiłek.

Jak już wspomniałem, nie szczędził nam dowodów swych przyjaznych uczuć, ale, co mnie wielce zdziwiło, okazał się ponadto turbulentnym kompanem. Przyczyny jego hałaśliwego humoru wyjaśniły się rychło. W szynku bowiem kazał podać reńskiego wina i tak ochoczo nas nim częstował, że wkrótce upił się jak bela. I jak się to aż nazbyt często zdarza u mężczyzn, zwłaszcza w twardym, marynarskim zawodzie, ograniczone skądinąd poczucie przyzwyczajenia, jakie posiadał, opuściło go zupełnie i zaczął się zachowywać tak bezczelnie wzglę-

dem Katriony, podrywając sobie z jej postawy na pokładzie „Rose”, że nie miałem innego wyjścia, jak nagle ją wyprowadzić.

Opuszczając szynk przytuliła się do mnie.

– Zabierz mnie stąd, Davie – wyszeptała. – Zatrzymaj mnie przy sobie. Z tobą się nie boję.

– I słusznie, moja miła – odpowiedziałem, a serce mi wezbrało tkliwością tak ogromną, że szloch uwiązał mi w gardle.

– Dokąd mnie prowadzisz? Nie opuszczaj mnie, nie opuszczaj mnie nigdy.

– Dokąd ciebie prowadzę? Dalibóg, nie wiem. – Przystanąłem, szedłem bowiem wprost przed siebie zaślepiony szczęściem. – Ale nie opuszczę ciebie, Katriono; niech mnie Bóg opuści lub gorzej jeszcze pokarze, jeślibym miał to uczynić.

W odpowiedzi przygarnęła się jeszcze bliżej do mego ramienia.

– W tym gwarnym mieście – rzekłem – nie natrafiliśmy dotychczas na spokojniejsze miejsce. Usiądźmy tu pod tym drzewem i zastanówmy się, co dalej począć.

Drzewo to (a jego obraz nigdy chyba nie zatrze się w mojej pamięci) rosło tuż przy porcie. Noc była ciemna, lecz w domach oraz na przycumowanych w pobliżu, jakby w drzemce po-grążonych, statkach migotały światła. Po jednej stronie promieniowała ku niebu luna wielkiego miasta i wznosił się poszum kroków i głosów wielotysięcznego tłumu; po drugiej rozpościerała się gęsta pomroka i tylko chlupot wody o kadłuby okrętowe i pale pomostów nadbrzeżnych zakłócał nocną ciszę. Rozłożyłem mój płaszcz na budulcowym kamieniu i posadziłem na nim Katrionę. Chciała mnie nadal mieć blisko siebie, gdyż drżała wciąż jeszcze pod wrażeniem ostatnich upokorzeń i afrontów, lecz chcąc zachować całkowitą trzeźwość umysłu uwolniłem rękę od jej uścisku i zacząłem się przechadzać tam i z powrotem, łamiąc sobie głowę nad wyjściem z sytuacji.

Gdy tak się parałem z chaotycznymi myślami, uświadomiłem sobie nagle, że w gniewie i pośpiechu, z jakim opuściliśmy szynk, zapomniałem o należności i pozostawiłem jej zapłacen- nie kapitanowi Sang. Dobrze mu tak – pomyślałem i roześmiałem się głośno. W tej samej chwili instynktownym ruchem dotknąłem ręką kieszeni, w której zwykle nosiłem pieniądze. Przypuszczam, że stało się to w chwili, gdy napastowały nas, w tym właśnie celu, jak się okazało, owe wymalowane kobiety; jedno natomiast było pewne: znikła moja sakiewka.

– Wpadłeś pewnie na jakiś dobry pomysł – odezwała się Katriona widząc, że stanąłem nagle jak wryty.

W opalach, w jakich się znaleźliśmy, umysł mój stał się w jednej chwili jasny jak szkło lunety i zdałem sobie sprawę, że nie mam wyboru. Pozostałem bez grosza przy duszy, lecz w moim notesie złożony był list kredytowy do pewnego kupca w Leyden. A nie mogliśmy się tam dostać inaczej jak na piechotę.

– Katriono – rzekłem – wiem, że jesteś mężna i wytrwała. Zdaje mi się, że krzepka z ciebie również dziewczyna. Czy zdołasz przejść trzydzieści mil, zwykłą drogą?

Jak się później przekonaliśmy, od Leyden dzieliło nas nie więcej jak dwadzieścia mil, tak jednak oceniałem wówczas tę odległość.

– Davie, jeśli tylko będziesz przy mnie, pójdę wszędzie i gotowa jestem na wszystko. Wszelkie męstwo opuściło już moje serce. Nie pozostawiaj mnie samej w tym okropnym kraju, a nie ma takiej rzeczy, której bym nie podolała.

– Czy możesz wyruszyć zaraz i iść przez całą noc?

– Zrobię wszystko, co zechcesz, i nigdy się już nie zapytam, po co i dlaczego. Okazałam się niegodziwą i niewdzięczną dziewczyną, możesz ze mną zrobić, co zechcesz! Uważam pannę Barbarę Grant za najdostojniejszą lady na świecie i nie wiem doprawdy, czego, tak czy inaczej, mogłaby ci odmówić.

Gdyby te ostatnie słowa wypowiedziała po grecku czy hebrajsku, nie byłyby dla mnie bardziej niezrozumiałe. Miałem jednak na głowie większe zmartwienia, z których pierwszym było wyjście z Rotterdamu na drogę wiodącą do Leyden. Okazało się to nie lada problemem i

minęła godzina druga w nocy, zanim się z nim uporaliśmy. Gdy pozostawiliśmy za sobą zabudowania miasta, nie było już księżyca ani gwiazd, aby nam wskazywały kierunek. Przed nami ciągnęło się białawe pasmo drogi pomiędzy dwoma ścianami ciemności. Pieszą wędrówkę utrudniał nam ponadto dokuczliwy mróz, który przed świtem pokrył drogę taflą lodu.

– No cóż, Katriono – rzekłem – błakamy się jak królewicze, więdźmy i wróźki z twoich góralskich klechd. Niebawem przejdziemy przez „siedem gór, siedem dolin, siedem rzek”. – Słowa te powtarzały się często w opowiadanych przez nią baśniach i utkwiły mi w pamięci.

– Niestety, nie ma tu gór ni jarów, ni dolin. Są tu bardzo piękne miejsca, a zwłaszcza drzewa, temu nie zaprzeczę, ale nie masz tak pięknego, tak zacnego jak nasz rodzinny kraj.

– Chciałbym, abyśmy mogli to samo powiedzieć o naszych rodakach – odpowiedziałem, wspominając w duchu Sprotta, kapitana Sanga, a może i Jamesa More’a.

– Nigdy nie będę narzekać na kraj mego przyjaciela – a powiedziała to z tak szczególną intonacją w głosie, iż zdawało mi się, że widzę, jaki wyraz maluje się w tej chwili na jej twarzy.

Zaparło mi oddech w piersiach i o mało nie rozciągnąłem się jak długi na oblodzonej drodze.

– Nie wiem, co masz na myśli – rzekłem, odzyskawszy nieco równowagę ciała i ducha – ale ten ostatni dzień był najpiękniejszy i najlepszy ze wszystkich. Wstyd mi to wyznać, boć tyle cię wczoraj spotkało zawodów i przykrości, ale dla mnie to był najpiękniejszy dzień.

– Piękny był, gdyż okazałeś mi tyle miłości.

– A jednak wstydzę się mego szczęścia, widząc ciebie brnącą w nocy po tej obrzydłej drodze. – A gdzie indziej mogłabym się znajdować? Nigdzie nie czuję się tak bezpieczna, jak przy tobie. – A więc wybaczyłaś mi wszystko? – A czy ty nie wybaczysz mi wreszcie na tyle, aby nie wspominać już o tym? Żadnej urazy nie mam do ciebie, jeno wdzięczność. Ale uczciwość każe mi wyznać – dodała gwałtownie – nigdy nie wybaczę tamtej dziewczynie.

– A więc znowu panna Grant! Powiedziałaś sama, że to najdostojniejsza lady na świecie.

– A niech sobie będzie! Ale pomimo wszystko nigdy jej nie wybaczę. Nigdy, przenigdy jej nie wybaczę!

– To przekracza wszystko, co jestem w stanie pojąć, i dziwię się, że ulegasz tak dziecinnyim kaprysom. Wszak ta młoda lady okazała się najlepszym przyjacielem dla nas obojga, nauczyła nas ubierać się jak należy i przystojnie zachowywać, z czego zdaje sobie sprawę każdy, kto znał nas przedtem i potem.

Katriona przystanąła nagle pośrodku drogi.

– Masz do wyboru: albo będziesz się nadal upierał o niej mówić i ja powrócę do miasta, tam, skąd przyszliśmy, i niech się dzieje wola boska! Albo zechcesz łaskawie mówić o czym innym.

Nie znalazłoby się chyba na całym świecie bardziej ode mnie ogłupiałej i bezradnej istoty; uświadomiłem sobie jednak, że Katriona zdana była całkowicie na moją pomoc, że należała do płci słabej i niedawno przekroczyła wiek dziecinny i że powinienem okazać rozsądek za nas dwoje.

– Dziewczyno moja kochana – odrzekłem – nic a nic z tego nie rozumiem, ale niech mnie Bóg zachowa od tego, abym ci cokolwiek na złość uczynił. Rozmowa o panie Grant bynajmniej mnie nie korci i przecież ty sama ją rozpoczęłaś. Wyrażając moje o niej zdanie chodziło mi wyłącznie o twoje dobro, nie cierpię bowiem wszelkiej niesprawiedliwości. Cieszę mnie u ciebie objawy dumy i wrażliwości niewieściej, ale tym razem okazujesz je w przesadnej mierze.

– Czy zakończyłaś już swoje morały?

– Tak.

– Bardzo ci się to chwali – odrzekła i odtąd szliśmy dalej w milczeniu.

Ponure to było zajęcie iść w czarną noc, widząc jedynie cienie i nie słysząc nic oprócz odgłosu własnych kroków. Początkowo rozpanoszyły się w naszych sercach złość i żal, lecz chłód, ciemności i cisza, przerywana tylko przez pianie kogutów lub poszczekiwanie psów gdzieś w opłotkach, okiełznały wkrótce naszą dumę i co do mnie, czekałem tylko na jakąkolwiek sposobną okazję do nawiązania rozmowy.

Zanim się rozwidniło, lunął ciepły deszcz i zmył gołoledź spod naszych stóp. Zdjąłem swój płaszcz i chciałem nim okryć Katrionę, lecz otrząsnęła się zniecierpliwionym gestem: – Zatrzymaj go dla siebie.

– Na to nie mogę się zgodzić. Ten idący obok ciebie, przebrzydły, krzepki chłopak doświadczył wszelkiego rodzaju pogody, a ty jesteś przecie śliczną, wątłą panienką! Przecież nie chcesz mnie chyba upokorzyć!

Pozwoliła się otulić płaszczem, nie certując się więcej, a że czyniłem to w ciemności, przytrzymałem króciutko rękę na jej ramieniu, bez mała jak w uścisku.

– Powinnaś mi okazywać więcej pobłażliwości. Przywarła odrobinę do moich piersi, a może zdawało mi się tylko.

– Jakże dobry jesteś dla mnie – wyszeptła.

I znowu szliśmy w milczeniu; lecz wszystko było inaczej i szczęście buzowało w moim sercu jak ogień w kominie.

Deszcz ustał o brzasku i pochmurny, błotnisty poranek zastał nas dochodzących do miasteczka Delft. Kryte czerwoną dachówką domki, rozsiadłe po obu stronach kanału, tworzyły ponętny widok; dziewczyny służebne myły i szorowały progi, a nawet ciągnące się obok kamienie ulicznego bruku; dym wznosił się z setki kominów i poczułem ponad wszelką wątpliwość, że czas już na przerwanie postu.

– Katriono, zdaje mi się, że masz jeszcze szylinga i trzy półpensowe miedziaki?

– Chcesz je? – i podała mi kabzę. – Chciałabym, aby tam było pięć funtów! A po co ci to?

– A dłaczegóż wędrujemy nocą na piechotę, jak Żydzi uciekający z niewoli egipskiej? Po prostu dlatego, że w tym nieszczęsnym mieście Rotterdam ukradli mi sakiewkę zawierającą wszystko, co miałem przy sobie. Mogę ci to teraz powiedzieć, najgorsze bowiem już minęło. Niemal jednak drogi mamy przed sobą, zanim dojdziemy tam, gdzie dostanę pieniądze, i jeśli nie kupisz mi kromki chleba, pomaszeruję dalej o głodnym żołądku.

Spojrzała na mnie ze zdumieniem. W świetle dnia na jej pobladłej ze znużenia twarzy malowały się ostatnio przebyte trudy i serce mi nabrzmiało tkliwą litością. Ona zaś wybuchnęła śmiechem.

– A więc ty również? Oboje jesteśmy nędzarze! Jakże się cieszę, tego właśnie najbardziej pragnęłam! Z miłą chęcią kupię ci śniadanie; jaka szkoda, że nie muszę tańczyć, aby zarobić na posiłek dla ciebie. Oni tutaj nie znają chyba naszych szkockich tańców i zapłaciliby mi choćby przez samą ciekawość.

Ucałowałem ją za te słowa, nie gwoli zadośćuczynienia miłosnym nastrojom, ale uniesiony podziwem. Męstwo bowiem kobiety zawsze raduje męskie serca.

Dostaliśmy mleka od wieśniaczki przybyłej na targ, a u piekarza kawałek ciepłego, doskonałego chleba i pogryzaliśmy idąc dalej. Droga z Delft do Hagi jest właściwie pięciomilową aleją ocienioną drzewami; po jednej stronie ciągnie się kanał, a po drugiej wspaniałe pastwisko dla bydła. Toteż różnie nam się szło.

– Cóż ostatecznie zamierzasz ze mną uczynić, Davie?

– O tym właśnie należałoby pomówić, a im prędzej, tym lepiej. W Leyden otrzymam pieniądze. O to więc może nas głowa nie boleć. Lecz kłopot polega na tym, co mam z tobą zrobić aż do zjawienia się twego ojca? Ostatniej nocy zdawało mi się, że nie masz zbytnej ochoty rozstawać się ze mną?

– To nie tylko ci się zdawało.



– Jesteś bardzo młodą dziewczyną, ja zaś jestem bardzo młodym chłopcem. W tym właśnie leży trudność. Jak z niej wybrnąć? Chyba że będziesz uchodzić za moją siostrę?

– Czemu nie? Jeśli ty się na to zgodzisz.

– Chciałbym mieć taką siostrę! Ale sęk w tym, że ty jesteś Katriona Drummond.

– A teraz będę Katrioną Balfour. Nikt się na tym nie pozna. Jesteśmy otoczeni samymi obcymi ludźmi.

– Hm... jeśli uważasz to za najlepsze wyjście. Okrutnie czyniłbym sobie wyrzuty, gdybym ci coś niestosownego poradził.

– Davie, jesteś tutaj moim jedynym przyjacielem.

– Spójrzmy prawdzie w oczy! Jestem za młody na twego opiekuna. Za młody, by ci rad udzielać, ty zaś jesteś za młoda, by się nimi kierować. Nie wiem doprawdy, jak inaczej moglibyśmy postąpić, a jednak powinienem cię przestrzec.

– Nie mam już żadnego wyboru. Mój ojciec, James More, niegodnie mnie potraktował, i to nie po raz pierwszy. Spadłam na twoje barki jak worek jęczmiennej mąki i nie pozostaje mi nic innego, jak być ci posłuszną. Jeśli zgodzisz się mną opiekować, tym lepiej dla mnie, a jeśli nie... – odwróciła się i dotknęła dłonią mego ramienia – boję się, Davie.

– Powinienem cię przestrzec... – Zdałem sobie jednak sprawę, że jako dysponującemu pieniędzmi nie wolno mi się narazić na pozory grubiaństwa. – Droga moja, postaraj się zrozumieć, o co mi chodzi; ja tylko usiłuję spełnić mój względem ciebie obowiązek, dziewczyno! Idę do obcego miasta, gdzie mam przebywać jako samotny student, a oto powstaje możliwość, że na czas jakiś zamieszkaś ze mną; nie wątpisz chyba, iż całym sercem tego pragnę?

– A ja zgadzam się na to i basta!

Wiem, że powinienem był wypowiedzieć się bardziej otwarcie. Wiem, że zawiniłem ulegając zaślepienemu uczuciu i gdyby mi szczęście nie dopisało, ciężiej by mi za to przyszło odpokutować. Jednakże pamiętałem o wrażliwości i dumie Katriony zranionej byle wzmianką w liście Barbary, o pocałowaniu jej, a skoro zależała ode mnie, jakże miałem się zdobyć na większą śmiałość? A poza tym, prawdę rzekłszy, nie widziałem żadnego innego praktycznego wyjścia z tej sytuacji.

Gdy minęliśmy Hagę, Katriona zakulała mocno i resztę odległości dzielącej nas od Leyden przebyła z niemalym trudem. Dwukrotnie musiała odpoczywać przy drodze; uroczo mnie za to przeproszała, powiadała, że hańbą okrywa Górną Szkocję i kiepskie wydaje świadectwo tężyźnie swego plemienia, że niczym dla mnie nie jest, jak tylko nieustannym utrapieniem. Usprawiedliwiała się mówiąc, że nie jest przyzwyczajona do chodzenia na dalszą metę w obuwiu. Namawiałem ją do zdjęcia pończoch oraz trzewików i do dalszej wędrówki na bosaka, ale przypomniała mi, że wszystkie kobiety w tym kraju, nawet te spotykane na wiejskich drogach, chodzą obute.

– Nie mogę przecież memu bratu wstydu przynosić – mówiła śmiejąc się wesoło, lubo twarz jej zdradzała, jak wielką cierpi udrukę.

W Leyden jest bardzo piękny ogród, cały wysadzany krzewami; aleje wysypane są czystym piaskiem, a korony drzew splatają się wzajemnie. Pozostawiłem tam Katrionę, sam zaś udałem się na poszukiwanie mego kupca. Znalazszy go wręczyłem mu mój list kredytowy oraz poprosiłem o wskazanie mi przyzwoitej ustronnej kwatery. Mój bagaż nie nadszedł jeszcze, poprosiłem go więc, aby za mnie poręczył, i dodałem, że ponieważ moja siostra przybyła ze mną na czas jakiś, by mi prowadzić gospodarstwo, potrzebne mi są dwa pokoje.

Jak dotąd wszystko szło gładko. Jednakże pan Balfour z Pilrig w swym liście polecającym uwzględnił mnóstwo szczegółów, nie wspomniał natomiast ani słówkiem o mojej siostrze, co wzbudziło podejrzenia mego Holendra – drobnego, wątłego człowieczyny, przypominającego mi zmizerowanego królika – który zaczął mnie bardzo dociekliwie wypytywać.

Wtedy dopiero straciłem głowę. Przypuśćmy – myślałem sobie – że on uwierzy w tę bajkę i zaprosi moją siostrę do swego domu, ja zaś, chcąc nie chcąc, zastosuję się do jego życzenia.

Usiłując się wywikłać z tej kabały, gotowym na szwank narazić zarówno Katrionę, jak i własną reputację. Zacząłem więc czym prędzej się rozwodzić nad niepowszednim charakterem mojej siostry; cechowała ją tak wielka nieśmiałość i obawa przed zetknięciem się z nieznanymi, że pozostawiłem ją samą w publicznym ogrodzie. A skoro już zabrnąłem w kłamstwa, zdarzyło mi się to samo, co wszystkim na tym świecie w podobnych okolicznościach; a mianowicie zanurzyłem się w nie głębiej, niż należało. Dodałem najzupełniej zbędne szczegóły o kiepskim stanie zdrowia panny Balfour i jej chorowitym dzieciństwie. Tak rozprawiając uświadomiłem sobie, jak daleko dałem się zapędzić i zarumieniłem się po uszy.

Stary kutwa dał się zwieść na tyle tylko, ile mu to dogadzało. Był przede wszystkim kupcem i wiedząc, że moje pieniądze są w pierwszorzędnym gatunku, bez względu na to, czy można by tak samo określić moje postępowanie, posunął uprzejmość aż do polecenia swemu synowi, by wskazał nam mieszkanie i poręczył za nas, w jego imieniu, u właściciela. Co wymagało z mojej strony przedstawienia Katrionie tego młodego człowieka. Moje śliczne biedactwo wyglądało znacznie lepiej po odpoczynku i zachowywała się bez zarzutu, biorąc mnie pod rękę i nazywając bratem z łatwością, na jaką nie umiałem się zdobyć. Nie obeszło się jednak bez pewnych komplikacji; pragnąc się wżyć w swoją rolę Katriona spoglądała na mego Holendra cokolwiek zalotnie i pomyślałem sobie, że panna Balfour zarówno szybko, jak niespodziewanie pozbyła się wrodzonej nieśmiałości. Innym znowu kłopotem była różnica w naszej wymowie: ja mówiłem poprawnie dialektem Dolnej Szkocji, ona zaś z góralska, z domieszką angielskiego akcentu, i nie dałoby się jej w żaden sposób zaliczyć do wtajemniczonych w arkana angielskiej gramatyki. Toteż jak na brata i siostrę stanowiliśmy niezbyt dobraną parę. Towarzyszący nam młody, ociężały Holender nie należał na szczęście do ludzi o lotnym umyśle i nie zdobył się nawet na okazanie podziwu dla jej urody, co wzbudziło moją dla niego pogardę; zaledwie zapewnił nam dach nad głową, pozostawił nas samych, na czym nam najbardziej zależało.

## XXIV. DZIEJE PEWNEGO TRAKTATU UCZONEGO HEINECJUSZA

Zamieszkaliśmy w dwóch pokojach na piętrze domu stojącego nad kanałem; do drugiego pokoju wchodziło się przez pierwszy. W każdym znajdował się kominek wbudowany w podłogę, na holenderską modłę. Pokoje były położone obok siebie i z okien ten sam otwierał się widok; na czubek drzewa rosnącego w małym podwórzu, odcinek kanału, domy zbudowane w holenderskim stylu i wznoszącą się nieco dalej wieżę kościelną. Jej liczne i dobrane dzwony łączyły swe głosy we wdzięczną muzykę; a gdy słońce raczyło się ukazać, oświetlało bezpośrednio oba nasze pokoje. Z tawerny w pobliżu otrzymywaliśmy posiłki.

Pierwszego wieczora byliśmy oboje bardzo znużeni, Katriona zaledwie trzymała się na nogach. Toteż nie wdając się w dłuższe pogawędki nakarmiłem ją i zaraz potem posłałem do łóżka. Nazajutrz rozpocząłem dzień od napisania do Sprotta z prośbą o przysłanie tłumoków Katriony oraz paru słów do Alana, na ręce jego dowódcy. Po wysłaniu obu listów i przygotowaniu śniadania obudziłem Katrionę i stropiłem się nieco, gdy pojawiła się w jedynym swym przyodziewku i w pończochach pokrytych błotem. Zdażyłem się już był dowiedzieć, że co najmniej kilkanaście dni upłynie, zanim jej rzeczy dotrą do Leyden, należało ją więc zaopatrzyć w zmianę odzieży. Początkowo nie chciała się zgodzić na ten wydatek. Przypomniałem jej jednak, że jest siostrą zamożnego człowieka, zatem winna się odpowiednio prezentować, i nie odwiedziliśmy więcej jak dwóch kupców, a już okazała się zachwycona tymi sprawunkami i oczy jej błyszczały radośnie. Cieszyłem się widząc, jak z dziecinnym raczej zapałem przymierza suknie i, co najdziwniejsze, sam mu uległem; wciąż mi się zdawało, że za mało lub nie dość wykwintnych kupiłem jej fatałaszków i ani na chwilę nie sprzykrzyło mi się oglądanie jej w przeróżnych strojach. Ba, zacząłem w pewnej mierze aprobować wagę przywiązywaną do szatek przez pannę Grant; albowiem odwieczną jest prawdą, że gdy ma się prawdziwie urodną osobę do strojenia, to zagadnienie nieodpartego nabiera uroku. Holenderskie tkaniny bawełniane były niezwykle tanie i piękne, wolę natomiast przemilczeć ile zapłaciłem za pończochy dla niej. Ogółem wydałem tyle pieniędzy na tę zachciankę (jak to można określić), że postanowiłem na czas dłuższy unikać tego rodzaju wydatków i jako kompensatę pozostawiłem nasze pokoje raczej ogołoczone z wygodniejszych sprzętów. Oboje mieliśmy łóżka, Katriona była nieźle przyodziana, ja miałem światło, przy którym mogłem się nacieszyć jej widokiem, i to moim zdaniem wystarczało.

Po zakończeniu tych zakupów pozostawiłem Katrionę przed drzwiami obładowaną paczkami i poszedłem na długą przechadzkę, aby sobie samemu udzielić napomnienia. Oto wziąłem pod swój dach, a właściwie przyciągnąłem do siebie młodą, prześliczną dziewczynę, której niewinność stanowiła niemałe dla niej niebezpieczeństwo. Już moja rozmowa ze starym Holendrem i kłamstwa, jakich nie potrafiłem uniknąć, uświadomiły mi, że w oczach innych w niekorzystnym postawiłem się światłu. Biorąc zaś pod uwagę uczucia, jakim następnie uległem, i pochopność, z jaką poczyniłem te zbędne zakupy, zacząłem moje postępowanie oce-

niać jako wysoce nierozważne. Gdybym tak naprawdę miał siostrę – myślałem sobie – czy zgodziłbym się, aby się tak narażała? Po czym, uważając ten przykład za zbyt problematyczny, postawiłem sobie inne pytanie. Czy powierzyłbym w ten sposób Katrionę jakiemukolwiek, oprócz mnie, chrześcijaninowi? W odpowiedzi pałacy rumieniec oblał mi twarz. Skoro sam popadłem i uwikłałem tę dziewczynę w dwuznaczną sytuację, tym bardziej powinienem się zachowywać ze skrupulatną oględnością. Zależała ode mnie całkowicie w dziedzinie wikt i mieszkania; w wypadku gdybym obraził jej wrażliwość, nie miała gdzie się schronić. Poza tym byłem jej gospodarzem i opiekunem; a im większe zastrzeżenia budził sposób, w jaki objąłem tę rolę, tym mniej mi wolno było sobie pozwolić na choćby najuczciwsze konkury. Albowiem przy możliwościach, jakie się otwierały przede mną – roztropny opiekun nie tolerowałby ich ani przez chwilę – najuczciwsze nawet konkury byłyby z mojej strony nadużyciem. Zdałem sobie jasno sprawę, jaka niezwykle wstrzemięźliwość i ostrożność winna cechować moje stosunki z Katrioną, zbyt jednak daleko się pod tym względem nie posuwając. Aczkolwiek bowiem nie wolno mi było ubiegać się o jej rękę, musiałem stale w granicach możliwości, w miły dla niej sposób występować w roli gospodarza. Należało zatem postępować z taktem i umiarem, w większej zapewne mierze, niż na to stać młodzieńca w moim wieku. Wstąpiłem ochoczo na ścieżkę, którą nawet aniołowie obawialiby się chadzać, i nie mogąc się z niej wycofać, nie pozostawało mi nic innego, jak zastosować ostrożną taktykę. Wyznaczywszy więc sobie reguły postępowania pomodliłem się o siłę charakteru niezbędną do ich wprowadzenia w życie, a jako ludzką w tym pomoc kupiłem sobie okazałych rozmiarów traktat prawniczy. A że nic więcej nie zdołałem wymyślić, mój umysł zanurzył się natychmiast w wir delicyjnych marzeń i wróciłem do domu jak na skrzydłach niesiony. Myśl o domu przywiodła mi przed oczy obraz uroczej postaci czekającej na mnie w tych czterech ścianach i serce mi mocniej zabiło w piersiach.

Kłopoty zaczęły się zaraz po moim powrocie. Katriona powitała mnie z oczywistą i zarazliwą radością. Ubrana była od stóp do głów w nową, kupioną przeze mnie odzież i wyglądała nad wyraz powabnie. Chodziła po pokoju, krygując się i dygając; usiłowała się jak najlepiej zaprezentować i czyhała na komplementy. Niewiele ich jednak i niechętnie zdołałem wykrztusić, gdyż takie słowa grzęzły mi w gardle.

– Jeśli tak mało cię obchodzi moja nowa sukienka, zobacz, co zrobiłam w naszych dwóch pokojach.

Istotnie, zamiotła je i wysprzątała oraz rozpalila ogień w obu kominkach.

Skorzystałem z tego, aby jej okazać cokolwiek większą, niż odczuwałem, surowość.

– Katriono, mam ci to bardzo za złe i obyś nigdy więcej nie dotknęła niczego w moim pokoju. Tak długo jak jesteśmy razem, jedno z nas musi władzę sprawować i mnie ten obowiązek przypada jako starszemu i jako mężczyźnie. Przyjmij to więc jako moje rozkazanie.

Dygnęła przede mną tak czarująco, jak to czynić umiała.

– Jeśli masz się na mnie gniewać, Davie, muszę ci się starać przypodobać. Będę ci we wszystkim posłuszna, jak przystało na dziewczynę, której cały przyodziewek należy do ciebie. Ale nie będziesz się chyba na mnie zbyt często gniewał, bo przecież nie mam tu prócz ciebie nikogo.

Ubodło to mnie dotkliwie i jakby chcąc odpokutować za moją ostatnią wypowiedź, postarałem się co rychlej zatrzeć cały jej zamierzony efekt. Co mi przyszło z łatwością, jako że droga nie prowadziła pod górę. Ona zaś zachęcała mnie swym wdziękiem i uśmiechem i na widok jej ślicznej postaci, krążącej dokoła mnie w blasku ognia, serce we mnie topniało jak wosk. Zjedliśmy wspólnie kolację w czułym i wesołym nastroju i tak nam było dobrze razem, że nawet nasz śmiech szczęściem rozbrzmiewał.

Wkrótce jednak opamiętałem się i przeprosiwszy Katrionę niezbyt szarmancko, zasiadłem do studiowania kupionej tego dnia książki. Było to obszerne, uczone dzieło nieżyjącego już doktora Heinecjusza, nad którym miałem spędzić wiele godzin podczas następnych dni i nie-

raz się cieszyłem, że nikt mnie nie pyta o to, co w nim było napisane. Kattriona przygryzła wargi i przybrała nadąsaną, a nawet obrażoną minę. Zaiste pozostawiłem ją w zupełnej samotności, tym bardziej że nie okazywała żadnego zamiłowania do lektury i nigdy książki nie posiadała. Ale cóż miałem robić?

Przez resztę wieczora nie odzywaliśmy się do siebie bez mała ani słowem.

Chętnie bym sam siebie za to wychłostał. W nocy nie mogłem uleżeć w łóżku z wściekłości i żalu; chodziłem tam i z powrotem boso, aż przemarzłem do cna, gdyż w kominku wygasło, a tęgi mróz trzeszczał na dworze. Myśl o niej, w sąsiednim pokoju, o tym, że może mnie słyszy tak chodzącego, wspomnienie, jak wielkim okazałem się dla niej gburem, świadomość, że muszę się nadal trzymać tej okropnej taktyki lub honor mój postradać, doprowadzały mnie do szału. Znalazłem się pomiędzy Scyllą a Charybdą. Co ona sobie o mnie pomyśli? Ten wzgląd coraz to podważał moje postanowienia, które podtrzymywała jedynie świadomość, co z tego może wynikać. Była to moja pierwsza noc rozterki i bezsenności, a niejedną jeszcze taką przeżyłem, miotając się po pokoju jak obłąkaniec, płacząc jak niedorośle chłopię lub modląc się jak na chrześcijanina przystało.

Modlitwa nie zawsze bywa rzeczą trudną, potykamy się natomiast przy wprowadzeniu w życie jej treści. Przekonałem się, że w obecności Kattriony, a zwłaszcza jeśli pozwoliłem sobie na jakikolwiek zaczątek poufałości, nie panowałem dostatecznie nad sobą! Lecz siedzenie z nią przez cały dzień w tym pokoju i udawanie, iż studiuję Heinecjusza, przekraczało moje siły. Uciekłem się więc do wybiegu i przebywałem poza domem, jak tylko mogłem najdłużej. Chodziłem regularnie na wykłady, przeważnie nie słuchając ich prawie, na co dowód znalazłem onegdaj w zeszycie z tego okresu, gdzie przerwałem zapisywanie jakichś prawniczych dySSERTacji po to, aby nagryzmolić nader kiepski wiersz, chociaż jego łacina jest raczej lepsza, niż-bym się spodziewał. Wady tej metody dorównywały niestety prawie jej zaletom. Mniej czasu narażony byłem na pokusy, ale za to, gdy znalazłem się znowu w towarzystwie Kattriony, tym sroższe cierpiałem katusze. Im dłużej bowiem pozostawiałem ją w samotności, z tym serdeczniejszą i bardziej żywiołową witała mnie radością, od której rychło traciłem głowę. Musiałem barbarzyńsko gasić i tłumić te wylewne odruchy, co nieraz tak okrutnie raniło uczucia Kattriony, że musiałem jej to wynagradzać czułością. I tak upływał nam czas, jak wędrówka po wyboistej i górzystej drodze, na uczuciowych wzlotach i upadkach, na kłótniach i rozczarowaniach, co dla mnie było (z należytą czcią używając tego porównania) istną drogą krzyżową.

Podstawą moich zmartwień była zupełna niewinność Kattriony, co mnie nie tyle dziwiło, ile napełniało litością i podziwem. Zdawała się nie rozumieć naszej sytuacji, nie widzieć mojej udręki i zmagań; witała każdą oznakę mojej słabości z rozbrajającą uciechą, a gdy schroniłem się znowu w obręb moich szańców, nie ukrywała swego żalu. Czasami mówiłem sobie: „Gdyby była we mnie do ostateczności zakochana i postanowiła mnie uwieść, nie zachowywałaby się inaczej”. Dziwiłem się w takich momentach prostocie kobiecej natury i czułem się niegodny być synem niewiasty.

Jednym z przedmiotów naszych utarczek była – któż by się mógł tego spodziewać – sprawa jej sukien. Jej bagaże nadeszły już z Helvoet, zarówno jak i moje z Rotterdamu, miała więc dwa rodzaje garderoby. I stopniowo ustaliło się między nami (nie wiem doprawdy, jak do tego doszło), że gdy Kattriona czuła się przyjaźnie usposobiona, nosiła moje sukienki, w przeciwnym zaś wypadku swoje własne. Oznaczało to jakby wyzwanie i cofnięcie wdzięczności, i tak to też odczuwałem, chociaż na ogół udawało mi się nie pokazywać po sobie, iż dostrzegłem zmianę w jej stroju.

Raz jednak zachowałem się jeszcze bardziej dziecinnie niż ona. A oto jak do tego doszło. Wracając z wykładów myślałem o niej z miłością wielką, lecz nie bez domieszki rozdrażnienia. To ostatnie uczucie zaczęło jednak ustępować i dostrzegłszy w jakimś oknie jeden z tych cieplarnianych kwiatów, które Holendrzy tak kunsztownie umieją hodować, uległem nagłemu impulsowi i kupiłem go dla Kattriony. Nie wiem, jak się nazywał ten kwiat, lecz był różowego

koloru i będąc przekonany, iż przypadnie jej do gustu, zaniósłem go do domu z sercem pełnym tkliwością. Pozostawiłem ją ubraną w suknie ode mnie, ale zastałem w jej własnej, z dopasowanym do tego stroju wyrazem twarzy. Obejrzałem ją od stóp do głów, zazgrzytałem zębami, otworzyłem okno i wyrzuciłem kwiat na podwórze, po czym (wiedziony zarówno gniewem, jak i ostrożnością) wyszedłem z pokoju trzaskając drzwiami.

Niewiele brakowało, a byłbym się zwałił ze stromych schodów, co mnie otrzeźwiło, i uświadomiłem sobie od razu całą absurdalność mego postępowania. Wyszedłem, nie, jak zamierzałem, na ulicę, lecz na zawsze opustoszałe podwórko naszego domu, gdzie ujrzałem mój kwiat (a zapłaciłem za niego o wiele więcej, niż był wart) wiszący na bezlistnym drzewie. Stojąc obok kanału przyglądałem się jego pokrytej lodem powierzchni i zazdrościłem pomykającym wesoło na łyżwach wieśniakom. Nie wiedziałem, jak się wyplątać z tej matni, nie śmiałem nawet powrócić do opuszczonego przed chwilą pokoju. Zdałem sobie jasno sprawę, że zdradziłem tajemnicę swych uczuć, a co gorzej, okazałem przy tym (z godną dzieciucha przekorą) nieobyczajność memu bezradnemu gościowi.

Przypuszczam, że musiała mnie dostrzec przez otwarte okno. Niedługo bowiem doszedł mnie chrzęst kroków na śniegu i odwróciwszy się raczej gniewnie (jako że daleko mi było do towarzyskiego nastroju), ujrzałem zbliżającą się Katrionę. Zmieniła znowu całkowicie strój, nie wyłączając pończoch.

– Czy nie pójdziemy dzisiaj na przechadzkę? – zapytała.

Spojrzałem na nią osłupiały. – Gdzie jest twoja brosza?

Podniosła rękę do piersi i zarumieniała się mocno. – Zapomniałam jej. Skoczę po nią na górę, a potem pójdziemy chyba na przechadzkę?

W tych ostatnich słowach zabrzmiała błagalna nuta, co mnie do reszty oszołomiło. Nie zdołałem zdania sformułować ni głosu z siebie wydobyć; skinałem jeno głową w odpowiedzi. A zaledwie pozostawiła mnie samego, wdrapałem się na drzewo, odzyskałem swój kwiat i gdy wróciła, ofiarowałem go jej.

– Kupiłem to dla ciebie, Katriono. Przypięła go za pomocą broszy na piersiach, ruchem, jak mi się zdawało, niepozabawionym czułości.

– Moje traktowanie nie wyszło mu na dobre – rzekłem i poczułem, jak pąsowieją mi policzki.

– Nie będę przez to mniej się nim cieszyć – odpowiedziała.

Niewiele rozmawialiśmy tego dnia; Katriona, lubo serdeczna, jakby cokolwiek stroniła ode mnie, ja zaś przez cały czas przechadzki i po powrocie do domu, gdzie widziałem, jak włożyła mój kwiat do kubka z wodą, rozmyślałem, jak zagadkową jest natura kobiety. W jednej chwili uważałem Katrionę za najgłupszą na świecie istotę, jako że nie dostrzegała mojej miłości, w następnej zaś nie miałem najmniejszej wątpliwości, że dostrzegała ją od dawna, lecz (będąc rozumną dziewczyną, posłuszną szlachetnemu instynktowi skromności niewieściej) ukrywała swą o tym wiedzę.

Na przechadzki chodziliśmy co dzień; poza domem czułem się mniej zagrożony, mogłem w pewnej mierze przestać być oględny, a zwłaszcza nie miałem pod ręką źródła prawniczej mądrości Heinecjusza. Toteż te godziny przynosiły mi ulgę, a memu nieszczęsnemu dziecku sprawiały ogromną przyjemność. Powracając do domu o umówionej godzinie, zastałem ją zwykle już ubraną do wyjścia i promieniejącą radosnym wyczekiwaniem. Katriona starała się przedłużyć te nasze wycieczki i zdawała się obawiać powrotu (podzielałem to jej uczucie). I nie ma zapewne pola lub nurtu wody w okolicach Leyden, ulicy lub zaułka w mieście, gdzie nie spędzilibyśmy sporo czasu. Poza tym zabroniłem jej opuszczać mieszkanie, a to z obawy, by nie spotkała kogoś znajomego, co by wysoce skomplikowało naszą sytuację. Z tego samego powodu nie pozwalałem jej chodzić do kościoła, a nawet sam tego nie czyniłem. Modliliśmy się za to prywatnie, u siebie, w czystym, mam nadzieję, lecz na pewno różnym stanie ducha. Zaiste nic mnie bardziej nie wzruszało, jak uklęknąć z nią tylko, przed Bogiem, jak mąż i żona.

Pewnego dnia padał duży śnieg. Zdawało mi się, że pozostaniemy w domu w taką pogodę i zdziwiłem się zastając Katrionę ubraną i czekającą na mnie.

– Nie obejdę się bez mego spaceru! – zawołała. – W domu nie jesteś miłym chłopcem. Lubię cię tylko na wolnym powietrzu. Lepiej byłoby, gdybyśmy się oboje zamienili w Cyganów i zamieszkali gdzieś przy drodze.

Najmilsza ze wszystkich była ta przechadzka. Katriona tuliła się do mnie w mroźnym тумanie; płatki śniegu opadały i topniały na nas, krople spływały z jej krasnych policzków i zbiegały się u jej roześmianych ust. Patrząc na nią czułem w sobie tak bezmierną potęgę, że podjąłbym się porwać ją w ramiona i nieść w najdalszy zakątek świata. Rozmawialiśmy nieustannie, nad wyraz swobodnie i czule.

Ciemna już była noc, gdy powróciliśmy do domu. Katriona przycisnęła moją rękę do piersi i rzekła przejmującym głosem: – Dziękuję ci za te piękne chwile.

Przeżalenie, jakie mnie ogarnęło po tej wypowiedzi, obudziło natychmiast moją czujność. I zaledwie znaleźliśmy się w pokoju i zapaliliśmy światło, Katriona ujrzała dobrze jej znany, ponury, kwaśny wyraz twarzy studenta łaknącego prawniczej wiedzy doktora Heinecjusza. Zabolęło ją to niewątpliwie bardziej niż zwykle, mnie zaś więcej niż zwykle kosztowało trzymanie się od niej z dala. Nawet podczas kolacji nie śmiałem rozchmurzyć się zbyt lub często ku niej oczy podnosić, i zaledwie skończyliśmy jeść, powróciłem do mego cywilisty z większym pozornie zapalem i jeszcze mniejszym niż przedtem zrozumieniem. Podczas gdy tak czytałem, zdawało mi się, że słyszę uderzenia mego serca jak bicie zegara. Jakkolwiek starałem się udawać skupienie, oczy moje coraz to wędrowały od Heinecjusza do Katriony. Siedziała na podłodze, obok mego wielkiego kufra, a blask ognia na kominku grał po jej postaci kaskadą figlarnych półcieni. Spoglądała to na ogień, to na mnie, a wtedy strach mnie ogarniał przed sobą samym i wertowałem stronicę Heinecjusza jak szukający odpowiedniego psalmu w kościele.

– O Boże! Dlaczego mój ojciec nie przybywa? – zawołała nagle i wybuchnęła gwałtownym płaczem.

Zerwałem się, cisnąłem Heinecjusza prosto w ogień, podbiegłem do niej i objąłem ramionami jej wstrząsaną szlochem kibić.

Odepchnęła mnie brutalnie. – Nie kochasz mnie! A gdybyś tylko zechciał, jakże mogłabym być szczęśliwa! Cóż uczyniłam, że mnie tak nienawidzisz?

– Nienawidzę cię? – i przygarnąłem ją bliżej do siebie. – Ślepa dziewczyno, czyż nie widzisz, co się dzieje w moim udreńczonym sercu? Czy sądzisz, że gdy tak siedzę czytając tę wstrętną książkę, którą właśnie spaliłem na jej, a może i moje, potępienie, myślę o czymkolwiek, jak nie tylko o tobie? Co wieczór na płacz mi się zbiera, gdy widzę cię siedzącą samotnie. Ale cóż mam począć? Jesteś tutaj pod strażą mego honoru, czy za to chcesz mnie pokarać? Czy dlatego chcesz wzgardzić oddanym ci z duszy, serca sługą?

Natenczas nagłym ruchem przytuliła się do mnie. Pochyliłem się ku niej, całowałem jej twarz i wargi, ona zaś złożyła mi głowę na piersiach obejmując mnie oburącz. Zakręciło mi się w głowie i siedziałem przy niej jak człowiek odurzony winem. Po chwili usłyszałem, jak mówi cichutko, głosem stłumionym w fałdach mojej odzieży.

– Czy pocałowałeś ją naprawdę?

Wzdrygnąłem się cały, tak zaskoczyło mnie to pytanie.

– Panna Grant! – wykrzyknąłem żałościwie. – I znowu panna Grant! Tak, prosiłem ją, by pocałowała mnie na pożegnanie, na co się zgodziła.

– Nie szkodzi, pocałowałeś i mnie.

Słodycz i dziwność tych słów uświadomiły mi, jak daleko zabrnęliśmy. Powstałem i poderwałem ją na nogi.

– Tego mi nie wolno – rzekłem – na Boga, tego mi nie wolno; ach, Katty! Katty! – i głos załamał mi się w gardle. – Idź spać – wyszeptałem wreszcie – idź spać do siebie i pozostaw mnie tutaj.

Odeszła posłusznie, lecz zatrzymała się u progu.

– Dobranoc, Davie!

– Dobranoc, kochanie moje najmilsze! – zawołałem z uniesieniem. Skoczyłem ku niej, porwałem ją znowu w ramiona, całowałem jej usta... i w następnej chwili wypchnąłem ją za drzwi, zastraszałem je za nią gwałtownie i pozostałem sam.

A więc wyszło szydło z worka, padły znamienne, prawdę ujawniające słowa. Wkradłem się podstępnie, jak złoczyńca, w afekt tej nieszczęsnej dziewczyny. Niewinna, słaba istota znalazła się w mojej mocy, zdana na moją łaskę lub niełaskę, szlachetność lub nikczemność. Nie rozporządzałem już żadnym obronnym orężem. Spalenie księgi Heinecjusza, za puklerz mi dotąd służącej, nabierało cech symbolicznego gestu. Żałowałem szczerze tego, co zaszło, a jednak, jakkolwiek niezaprzeczalny był mój upadek, nie umiałem siebie bezwzględnie potępić. Któż zdołałby pozostać obojętny na zew jej niewinności, oprzeć się pokusie jej łez? Lecz wszystko, co miałem na swoje usprawiedliwienie, ukazywało mi mój grzech w tym czarniejszych barwach, wykorzystałem bowiem nadaną mi przez okoliczności przewagę, by uwodzić najzupełniej bezbronną dziewczynę.

I cóż się teraz z nami stanie? Zdawało mi się, że nie możemy już dłużej mieszkać razem. A więc dokąd się udać? Komu powierzyć Katrionę? Bez żadnej winy z naszej strony, bez możliwości wyboru, bieg wypadków sprzysiągł się, by nas zamknąć w tych ścianach. Nagle nawiedziła mnie myśl szalona: ożenić się z nią niezwłocznie. Lecz po chwili odrzuciłem ją z oburzeniem. Katriona była jeszcze dzieckiem niezdolnym oszacować własnych uczuć. Wykorzystałem jej słabość, lecz na takich zasadzkach nie wolno budować przyszłości. Muszę ją utrzymać nie tylko czystą od wszelkich zarzutów, ale i również wolną jak wtedy, gdy się poznaliśmy.

Siedziałem przy ogniu zamyślony, przejęty skrucą i na próżno łamałem sobie głowę nad wyjściem z sytuacji. Około godziny drugiej w nocy na kominku pozostały już tylko trzy dogasające główne, a dom nasz i całe miasto były pogrążone we śnie, gdy dosłyszałem ciche łkanie w sąsiednim pokoju. Biedactwo myślało, że śpię; wstydziła się swej słabości, a może tego, co uważała (mój Boże!) za zalotność, i w ciszy nocnej szukała we łzach pociechy. Czułem i gorzkie uczucia, miłość, litość i żal kłębiły się w mojej duszy i kazały mi ukoić jej płacz.

– Przebacz mi! – zawołałem. – Przebacz mi, błagam cię na wszystko! Zapomnijmy o tym, co zaszło, spróbujmy zapomnieć!

Odpowiedzi nie było, lecz szlochanie umilkło; stałem przez długą chwilę z załamanymi rękoma, zastygły w tym samym błagalnym geście, z jakim przemówiłem do niej, aż chłód nocy przeniknął mnie na wskroś i odzyskałem przytomność.

Nic na to teraz nie poradzisz, Davie – pomyślałem sobie. – Idź spać, jak na rozsądnego chłopca przystało, a dzień jutrzejszy przyniesie może jakieś rozwiązanie.



## XXV. POWRÓT TATY

Z niespokojnego i długiego snu zbudziło mnie nazajutrz stukanie do drzwi. Pobiegłem je otworzyć i aż zachwiałem się rażony falą sprzecznych, przeważnie przykrych uczuć. Na progu bowiem, w opończy z szorstkiej wełny i w ozdobionym galonkami ogromnym kapeluszu, stał James More.

Właściwie powinienem był ucieszyć się bez reszty, gdyż w pewnym sensie pojawił się jakby w odpowiedzi na modlitwę. Powtarzałem był sobie w kółko, że Katriona i ja musimy się rozstać i suszyłem sobie głowę, jak by do tego doprowadzić. A oto wyjście z sytuacji przyszło samo, w postaci człowieka, a jednak radość była ostatnim z uczuć, jakie mnie ogarnęły. Co prawda, nawet jeśli przybycie tego człowieka zdejmowało z moich barków ciężar troski o przyszłość, terażniejszość rysowała się tym mniej zachęcająco. Toteż gdy w koszuli tylko i w spodniach znalazłem się naprzeciwko niego, odskoczyłem do tyłu, jak postrzelony.

– Ha – rzekł – znalazłem pana wreszcie, panie Balfour – i wyciągnął do mnie wielką, piękną dłoń, którą (powracając na moje stanowisko w progu jakby z myślą o oporze) uściśnąłem niezbyt serdecznie.

– Zdziwiałeś doprawdy – mówił dalej – jak nasze drogi krzyżują się i splatają nieustannie. Winienem panu przeprosiny za niefortunne wmieszanie się do pańskich spraw, co spowodował, nadużywając mego zaufania, ten szalbierz Prestongrange, i wstyd mi się przyznać przed panem, że zawierzyłem prawnikowi – wrzucił ramionami z wielkopańską nonszalancją – ale zaiste jego argumentacja mogła trafić każdemu do przekonania. I jakby nie dość na tym, zechciał pan łaskawie zaopiekować się moją córką. Zostałem do pana skierowany właśnie po to, aby się dowiedzieć, gdzie ona się znajduje.

– Zdaje mi się – odpowiedziałem nieco skonfundowany – że winniśmy o tym obszerniej pomówić.

– Czyżby stało się coś złego? Mój agent pan Sprott...

– Na miły Bóg! Mów pan ciszej! Nie powinna pana usłyszeć, zanim się nie rozmówimy.

– Ona jest tutaj?

– W pokoju za tymi drzwiami.

– Pan jest tutaj z nią... sam?

– A któż mógłby tu z nami zamieszkać?

Należy mu oddać tę sprawiedliwość: zbladł wyraźnie.

– To dziwne, to niezwykła sytuacja, doprawdy. Ma pan rację, musimy się rozmówić.

Co rzekłszy przekroczył próg nie zważając na mnie i muszę przyznać, że stary szelma wyglądał w tej chwili nader dostojnie. Po raz pierwszy mógł ogarnąć wzrokiem mój pokój i rozglądałem się tam, że tak powiem, jego oczyma. Wdzierający się przez szybę nikły promyk słońca oświetlał łóżko, kufry, miednicę, nieco porozrzucanej bezładnie odzieży, wygasły kominiek – i nic więcej. Wrażenie chłodu i ubóstwa narzucało niewątpliwie wniosek, że była to wysoce nieodpowiednia kwatera dla młodej lady. W tejże chwili przypomniałem sobie o kupionych dla niej strojach i zdałem sobie sprawę, że to przeciwieństwo nędzy i rozrzutności miało podejrzaną posmak.

James More rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu krzesła, a nic podobnego nie widząc, zasiadł na skraju mego łóżka. Tam też, po zamknięciu drzwi, i ja zmuszony byłem usiąść. Jakkolwiek bowiem miała się zakończyć ta niezwykła rozmowa, należało za wszelką cenę uniknąć obudzenia Katriony. A w tym celu winniśmy siedzieć blisko siebie i mówić ściszym głosem. Nie podejmę się opisać, jak dziwaczną stanowiliśmy parę: on w płaszczu, który ze względu na chłód w pokoju okazał się bardzo przydatny, ja szczękający zębami, w koszuli tylko i w portkach; on z miną godną sędziego, ja zaś (jakkolwiek wyglądałem) z uczuciem człowieka, który słyszy trąby wzywające na Sąd Ostateczny.

– A więc? – rzekł.

– A więc... – i ani słowa więcej nie zdołałem z siebie wydobyć.

– Pan powiada, że ona jest tutaj? – odezwał się znowu, tym razem z odruchem zniecierpliwienia, co podziało na mnie jak ostroga.

– Ona jest w tym domu, i zdaję sobie sprawę, że ta sytuacja może się wydawać niezwykła. Ale proszę uwzględnić, do jakiego stopnia okoliczności, od samego początku, były niezwykłe. Oto młoda lady ląduje na wybrzeżu Europy mając przy sobie, całego majątku, dwa szylingi i półtora pensa. Ma się udać do pańskiego powiernika Sprotta w Helvoet. Pan go określa jako swego agenta. Ja zaś wiem o nim tyle tylko, że wybucha stekiem obelg i przekleństw na samo wspomnienie pańskiego nazwiska. Musiałem mu zapłacić z własnej kieszeni, by móc objąć w posiadanie jej manatki. Pan mówi o niezwykłej sytuacji, panie Drummond jeśli pod tym nazwiskiem pan obecnie występuje. Otóż narażenie pańskiej córki na taką sytuację było zaiste niezwykłym barbarzyństwem.

– Nic z tego nie rozumiem. Opiekę nad moją córką powierzono pewnej szacownej osobie, której nazwiska zapomniałem.

– Nazwisko brzmi Gebbie i nie ulega wątpliwości, że pan Gebbie powinien był wylądować z nią w Helvoet. Jednakże nie uczynił tego i winien pan Bogu dziękować, że znalazłem się na miejscu, aby go zastąpić.

– Pan Gebbie usłyszysz ode mnie słów parę, i to niezadługo, a jeśli chodzi o pana, wydaje mi się, że jest pan cokolwiek za młody na tego rodzaju opiekuna.

– Nie było wyboru pomiędzy mną a kimś innym, lecz pomiędzy mną a nikim. Nikt nie chciał się tego podjąć i chciałbym podkreślić, że nie zdaje się pan okazywać należnej mi za to wdzięczności.

– Poczekam aż do lepszego zrozumienia moich z tego tytułu zobowiązań.

– Nic łatwiejszego, rzucają się w oczy. Pańska córka została opuszczona, po prostu porzucona na europejskim kontynencie, mając zaledwie dwa szylingi i nie znając nawet dwóch słów w języku, jakim się tu posługują. Piękny to wyczyn, nie ma co mówić! Przywiozłem ją tutaj ze sobą. Podałem za moją siostrę i jako taką traktowałem. To wszystko nie obeszło się bez wydatków, ale mniejsza z tym. Były to usługi należne jej ze względu na szacunek, jaki dla niej żywię. Zresztą uważam za wysoce niestosowne, abym ją wychwalał przed jej ojcem.

– Jest pan młodym chłopcem...

– Już to od pana słyszałem – przerwałem mu dosyć zapalczywie.

– Jest pan bardzo młodym chłopcem, inaczej bowiem rozumiałby pan znaczenie takiego kroku.

– Zbyt pan upraszcza sprawę. Cóż innego miałem uczynić? Istotnie mogłem być wynająć jakąś przyzwoitą biedną kobietę, aby tu z nami, jako trzecia osoba, zamieszkała, lecz oświadczam, że aż do tej chwili nie przyszło mi to do głowy! Gdzie zresztą, będąc cudzoziemcem, miałbym ją znaleźć! I pozwolę sobie zwrócić pańską uwagę, panie Drummond, że uderzyłoby mnie to znowu po kieszeni. Wszystko bowiem sprowadza się do tego, że za pańską niedbałość musiałem zapłacić kupę pieniędzy i jedna tylko wynika z tego konkluzja: okazał się pan wyrodnym ojcem, zgubił pan córkę jak rękawiczkę.

– Kto siedzi za szybą, nie powinien miotać kamieniami i zanim przystąpimy do osądzenia ojca, zakończmy indagację o zachowaniu się córki.

– Nie zgadzam, się na takie postawienie sprawy. Charakter panny Drummond stoi o wiele powyżej wszelkiej indagacji, o czym jej ojciec powinien wiedzieć. Mnie również nic zarzucić nie można, co proszę przyjąć do wiadomości. Pozostają więc tylko dwie możliwości: pierwsza to wyrażenie mi podzięków, jak przystało na jednego dżentelmena względem drugiego, i na tym sprawę zakończyć; druga (jeśli jest pan na tyle wymagający, że to panu nie wystarczy) to zwrot poniesionych przeze mnie wydatków i na tym kwita.

Machnął ręką łagodzącym gestem.

– Nie tak skoro, panie Balfour; dobrze się składa, że życie nauczyło mnie cierpliwości. Pan zdaje się zapominać, że nie rozmówił się jeszcze z moją córką.

Słowa te i zmiana, jaką dostrzegłem w jego obejściu na wzmiankę o pieniądzach, dodały mi nieco otuchy.

– Byłoby moim zdaniem wskazane, abym o ile zechce mi pan wybaczyć toaletę w jego obecności, wyszedł stąd i pozostawił ojca z córką sam na sam.

– Takiej właśnie propozycji spodziewałem się po tak wytwornym jak pan dżentelmenie – odrzekł siląc się wyrażnie na uprzejmość.

Czułem się coraz bardziej pewny siebie; naciągając spodnie przypomniałem sobie bezczelną zebranię Jamesa podczas naszej pierwszej rozmowy u Prestongrange'a i postanowiłem na tym polu dalej prowadzić zapowiadające się zwyczajem natarcie.

– Jeśli pan zamierza pozostać czas jakiś w Leyden, ten pokój jest najzupełniej do pańskiej dyspozycji; wyszukam sobie inny z łatwością, a taka przeprowadzka nie pociągnie za sobą większych kłopotów, jako że tylko ja się wyniosę.

– Nie poczytuję sobie za ujmę ubóstwa, w jakie popadłem służąc memu królowi – odrzekł wypinając pierś – i nie zamierzam taić, że stan mojej kiesy jest raczej opłakany. Toteż chwiłowo nigdzie w podróż wybrać się nie mogę.

– Aż do czasu, gdy zdoła się pan porozumieć ze swymi przyjaciółmi, może by panu dogadzało – a mnie oczywiście zaszczyt to tylko przyniesie – gdyby pan zechciał łaskawie uważać się za mego gościa?

– Szczerą ofertę należy równie szczerze przyjąć, uważam to za punkt honoru. Pozwól mi pan dłoń swoją uściskać, panie Dawidzie. Ludzi o takim jak pan charakterze cenię najbardziej, należy pan do tych, od których dżentelmen z lekkim sercem może przyjąć przysługę. Jestem starym żołnierzem – mówił dalej, rozglądając się z widoczną niechęcią po moim pokoju – i na pewno nie stanę się panu zbyt ciężarem. Nieraz mi się już zdarzało jadać w rowie przydrożnym, pić wodę deszczową i jeno chmury zamiast dachu mieć nad głową.

– Pozwolę sobie nadmienić, że o tej porze przynoszą nam zwykle śniadanie. Pójdę więc do tawerny, każę im uwzględnić jeszcze jedną osobę i poczekać z tym posiłkiem godzinę, w czasie której rozmówi się pan z córką.

Na wspomnienie o jadle zadrgały mu nozdrza. – Aż godzinę? – rzekł. – To za wiele. Pół godziny, a nawet dwadzieścia minut wystarczy mi najzupełniej. A skoro już o tym mowa – dodał, przytrzymując mnie za poję – co pan pije rano, piwo czy wino?

– Jeśli mam być szczerzy, pijam tylko czystą, zimną wodę.

– Na Boga, nie ma nic zgubniejszego na żołądek! Możesz mi wierzyć, mnie staremu weteranowi. Nasza rodzima gorzała najlepiej ze wszystkich trunków wpływa na zdrowie, ale ostatecznie białe reńskie lub czerwone burgundzkie wino również się nada.

– Nie omieszkać się tym zająć.

– Doskonale, będą z pana jeszcze ludzie, panie Dawidzie.

W tym stanie rzeczy przestałem się właściwie martwić jego przybyciem, poza przelotną myślą o tym, jak uciążliwym okazałby się teściem, i wszystkie moje troski skupiły się dookoła

jego córki, którą postanowiłem nieco przygotować na tę wizytę. Podeszedłem więc do drzwi, zastukałem w nie i zawołałem:

– Panno Drummond, ojciec pani zjawił się nareszcie!

Po czym wyszedłem, zadawszy (tym ostatnim słowem) dotkliwy cios moim nadziejom.

## XXVI. WE TRÓJKĘ

Czy należy mnie o to winić, czy też raczej litować się nade mną – niechaj rozstrzygną inni. Moja przemyślność (a nie jestem jej przecież pozbawiony) zdaje się szwankować, gdy w grę wchodzi niewiasty.

W chwili gdy budziłem Katrionę, zależało mi oczywiście przede wszystkim na wywołaniu odpowiedniego efektu u jej ojca; podobnie i po moim powrocie, gdy zasiedliśmy we trójkę do śniadania, zachowywałem się względem Katriony z ostentacyjną atencją unikając wszelkich objawów zażyłości. Nadal uważam tę moją taktykę za uzasadnioną; James More zakwestionował niewinność mojej przyjaźni i pierwszym moim zadaniem było odparcie tego zarzutu. Należy jednak, w pewnej mierze, usprawiedliwić i Katrionę. Uczestniczyliśmy oboje w scenie miłosnych wynurzeń, wymienialiśmy wzajemne pieszczoty; oderwałem się od niej gwałtownie; wołałem do niej tej nocy z mojego pokoju; spędziła płacząc długie bezsenne godziny i trudno sobie wyobrazić, abym to nie ja był przedmiotem jej nocnych rozmyślań. Gdy atoli, po tym wszystkim, obudziłem ją z niezwykłym pomiędzy nami brakiem zażyłości i otąd traktowałem z ostentacyjnym szacunkiem i rezerwą, wprowadziło ją to do tego stopnia w błąd co do moich prawdziwych, intymnych uczuć, że uwierzyła, iż ubolewam nad tym, co zaszło, i pragnę się wycofać!

Nieporozumienie pomiędzy nami wynikło, jak mi się wydaje, z tego, że podczas gdy ja (zaledwie wzrok mój spoczął na jego ogromnym kapeluszu) myślałem wyłącznie o Jamesie Morze, jego powrocie i podejrzeniach, Katriona nie liczyła się bez mała zupełnie z tymi względami i wszystkie jej myśli i poczynania dotyczyły tylko tego, co zaszło pomiędzy nami ubiegłej nocy. Tłumaczy to częściowo niewinność i porywczosć jej charakteru, częściowo zaś fakt, że James More, czy to na skutek niefortunnego dlań obrotu rozmowy ze mną, czy też mając usta zatkane moim zaproszeniem, nie wspominał jej ani słowem o tym temacie.

Toteż podczas śniadania rozbieżność naszych intencji ujawniła się w całej pełni. Spodziewałem się ją ujrzeć we własnej sukni; zastałem ją (jakby zapomniawszy o ojcu) w jednej z najładniejszych kupionych przeze mnie, w tej właśnie, o której wiedziała, że mi się w niej bardziej niż w innych podoba. Spodziewałem się, że będzie mnie naśladować w utrzymywaniu pozorów obojętności; zamiast czego była zarumieniona i podniecona, z oczami gorejącymi jaśniejszym niż kiedykolwiek blaskiem, pełnymi tkliwości i udręki, przemawiała do mnie, nie ukrywając czułości, po imieniu, odgadywała moje myśli i spełniała ochoczo moje życzenia, jak oddana, lub mająca coś na sumieniu, żona.

Nie trwało to jednak długo. Miałem jej za złe lekceważenie własnej reputacji, którą na szwank naraziwszy usiłowałem ratować, i chcąc jej to dać do zrozumienia, podkreślałem towarzyski wyłącznie charakter naszych stosunków. Im większą okazywała wylewność, tym dalej się cofałem; im bardziej ujawniała naszą intymność, tym sztywniejszą przybierałem postawę i nawet jej ojciec (gdyby nie był tak pochłonięty jedzeniem) powinien był zauważyć to przeciwieństwo. W trakcie czego, zupełnie nagle, Katriona zmieniła całkowicie sposób bycia i pomyślałem sobie, z niemałą ulgą, że domyśliła się wreszcie, o co chodzi.

Dzień cały spędziłem na wykładach lub poszukiwaniu nowej kwatery. I aczkolwiek czułem się markotny, gdy nadeszła godzina naszej zwykłej wspólnej przechadzki z Katrioną, cieszyłem się jednak na myśl, że droga przede mną stoi otworem, że dziewczyna znalazła się znowu pod należytą opieką, że ojciec jej był zadowolony lub co najmniej przyzwalający, ja zaś będę mógł kultywować moją miłość bez obawy o płamę na mym honorze.

Przy kolacji, jak przy wszystkich naszych wspólnych posiłkach, głos zabierał prawie wyłącznie James More; miał niewątpliwie dar opowiadania, tylko nikt mu nie wierzył. Zresztą będzie jeszcze o tym obszerniej mowa. Po kolacji powstał, wziął płaszcz i spojrzawszy na mnie (tak mi się przynajmniej zdawało) rzekł, że ma coś do załatwienia na mieście. Zrozumiałem to jako skierowaną pod moim adresem aluzję i powstałem również. Na co Katriona, która gdy wszedłem, zaledwie mnie przywitała, spojrziała na mnie szeroko rozwartymi oczyma, jakby błagając, abym z nią pozostał. Stałem pomiędzy ojcem a córką, jak ryba wyciągnięta z wody, gapiąc się to na jedno, to na drugie; żadne z nich nie zdawało się zwracać na mnie uwagi; ona nie odrywała oczu od podłogi, on zaś zajęty był zapinaniem płaszcza, co jeszcze wzmogło moje zakłopotanie. Okazywana przez nią obojętność znamionowała prawdopodobnie wybuch gniewu i przemawiała za poddaniem się jej woli; lecz postawę Jamesa More'a uznałem za bardziej alarmującą i uważając to za największe niebezpieczeństwo zwróciłem się w jego stronę, i oddałem się, że tak powiem, w jego ręce.

– Czym mogę panu służyć, panie Drummond?

Stłumił ziewnięcie, co również uznałem za dwulicowość.

– Skoro pan jest tak uprzejmy, panie Dawidzie, może zechce mi pan wskazać drogę do pewnej tawerny (której nazwę mi podał), gdzie mam nadzieję spotkać paru dawnych towarzyszy broni.

Bez słowa wziąłem płaszcz i kapelusz, aby mu towarzyszyć.

– Ty zaś połóż się do łóżka – rzekł do córki. – Nic lepiej nie wpływa na cerę, jak chodzenie spać z kurami. Wróć późno.

Po czym ucałował ją bardzo serdecznie, mnie zaś zaprosił ruchem ręki, bym wyszedł pierwszy. A uczynił to tak (sądziłem wówczas, że rozmyślnie), iż nie mogliśmy się pożegnać z Katrioną. Zauważyłem jednak, że nie podniosła ku mnie oczu, i przypisałem to obawie przed ojcem.

Do tawerny było dosyć daleko i przez całą drogę James mówił o sprawach nie obchodzących mnie w najmniejszej mierze, a przed jej drzwiami odprawił mnie bezceremonialnie. Poszedłem więc do swego nowego mieszkania, gdzie nie miałem nawet kominka, przy którym mógłbym się rozgrzać, i innego towarzystwa jak moje własne myśli. Byłem nadal w raczej wesołym nastroju. Nie przeszło mi nawet przez głowę, że Katriona zmieniła swój do mnie stosunek; uważałem nas za parę narzeczonych. Zbyt wiele nas łączyło, zbyt namiętne złożyliśmy sobie wyznania, by cokolwiek mogło nas rozdzielić, a już na pewno nie metoda postępowania narzucona nam przez wyższą konieczność. Głównym więc moim zmartwieniem był mój przyszły teść, którego gdybym mógł, na pewno bym sobie nie wybrał, tudzież problem, kiedy winienem się z nim rozmówić w tej delikatnej dla wielu względów materii. Po pierwsze, na myśl o moim młodym wieku rumieniłem się po uszy i gdyby nie obawa, że nie deklarując się przed ich wyjazdem z Leyden, mogę Katrionę utracić, byłbym prawie gotów odstąpić od moich zamiarów. Po drugie, należało mieć na uwadze wysoce dwuznaczną sytuację i raczej niewystarczające wyjaśnienia złożone Jamesowi tegoż rana. Doszedłem więc do wniosku, że pewna zwłoka, byle nie za długa, nie zaszkodzi, i położyłem się spać z otuchą w sercu.

Następnego dnia James zaczął utyskiwać na skromność mego pokoju, podjąłem się więc dostarczyć mu nieco mebli. Zjawiwszy się po południu z tragarzami dźwigającymi stoły i krzesła, zastałem Katrionę znowu samą; powitała mnie uprzejmie, lecz wycofała się niezwłocznie do swego pokoju, zamykając za sobą drzwi. Wydałem polecenia, jak mają ustawić

meble, zapłaciłem i odprawiłem tragarzy, tak że mogła ich odchodzących usłyszeć, spodziewałem się bowiem, że natychmiast potem wyjdzie, by się ze mną rozmówić. Poczekałem chwilę i wreszcie zastukałem do jej drzwi.

– Katriono!

Drzwi otwały się natychmiast, zanim zdołałem w pełni wymówić jej imię, i pomyślałem sobie, że chyba stała tuż za nimi, nasłuchując. Pozostała nieruchomo na progu. Nie potrafię opisać wyrazu jej twarzy, tyle tylko, że okropna malowała się na niej rozterka.

– Czy i dzisiaj nie pójdziemy na przechadzkę? – wyjąkałem.

– Dziękuję bardzo, skoro mój ojciec powrócił, nie zależy mi już na przechadzkach.

– Ależ on przecież wyszedł i pozostawił cię samą!

– Po co mnie dręczysz przypominając mi o tym?

– Daleki jestem od tego. Co ci się stało, Katriono? Dlaczego tak boczysz się na mnie?

– Wcale się na ciebie nie boczę – odpowiedziała powoli i z rozmysłem. – Będę zawsze wdzięczna memu przyjacielowi za okazaną mi dobroć. Pozostanę mu zawsze przyjazna, we wszystkim, co w mojej mocy. Ale teraz, skoro powrócił mój ojciec, James More, wiele się zmieniło, i sądzę, że po pewnych słowach i gestach pomiędzy nami lepiej będzie zapomnieć. Atoli pozostanę ci zawsze przyjazna, we wszystkim, co w mojej mocy, a jeśli to... jeśli to... A zresztą nie zależy ci na tym! Nie sądz mnie jednak, proszę, zbyt surowo. Miałaś rację, mówiąc, że jestem za młoda, by dobrą radę ocenić, i mam nadzieję, że będziesz pamiętał, iż byłam tylko dzieckiem. Tak czy inaczej, nie chciałabym utracić twojej przyjaźni.

Gdy zaczęła mówić, była bardzo blada, zanim jednak umilkła, policzki jej oblekły się szkarłatem i nie tylko jej słowa, ale i twarz oraz drżące ręce nakazywały łagodność i umiar. Zdałem sobie po raz pierwszy sprawę, jak wielką uczyniłem jej krzywdę, wciągając to dziecko w sytuację, w której dalej zabrnęła ulegając przejściowej słabości, a oto teraz stała przede mną zawstydzona i odżegnująca się od tego, co zaszło pomiędzy nami.

– Panno Drummond... – rzekłem i tchu mi zabrakło. Opanowałem się z wysiłkiem i mówiłem dalej: – Chciałbym, abyś mogła przejrzeć, co się dzieje w moim sercu. Wyczytałabyś w nim, że mój szacunek dla ciebie nie zmalał, a gdyby to było możliwe, spotęgowałby się jeszcze. To wszystko jest wynikiem popełnionego przez nas błędu. Musiało się tak skończyć i im mniej o tym mowy, tym lepiej. O całym naszym tutaj współżyciu przyrzekam nigdy nikomu ani słowem nie wspomnieć. Chciałbym móc ci również przyrzec, że nigdy myśleć o tym nie będę, lecz to wspomnienie pozostanie na zawsze najmiłszym w mojej pamięci. A jeśli chodzi o przyjaźń, to masz we mnie człowieka gotowego umrzeć dla ciebie.

– Dziękuję ci – odrzekła.

Staliśmy przez chwilę w milczeniu i żalność zaczęła we mnie brać górę; oto zniweczone sromotnie wszystkie moje marzenia; oto utracona miłość; i znowu pozostałem samotny na świecie, jak wtedy, na początku.

Pozostaniemy na zawsze przyjaciółmi, nie ulega wątpliwości. Lecz musimy to uznać również za pożegnanie. To jest, pomimo wszystko, pożegnanie. Będę nadal widywał pannę Drummond, lecz to jest pożegnanie mojej Katriony.

Patrzyłem na nią nie widząc jej prawie, lubo postać jej zdawała się rosnąć w moich oczach i jaśnieć świeżym blaskiem; straciłem głowę do reszty i postąpiłem krok ku niej, wołając ją po imieniu i wyciągając ręce.

Cofnęła się jak smagnięta biczem i policzki jej krwią nabiegły. Opamiętałem się na ten widok i uległem już tylko boleści i skrusze. Nie zdobyłem się nawet na słowo przeprosin, jeno skłoniłem się nisko i wyszedłem z domu z rozpaczą w sercu.

Minęło około pięciu dni bez żadnych zmian. Nie widywałem prawie Katriony poza godzinami posiłków i oczywiście w towarzystwie ojca. Gdy pozostawaliśmy sami choć na chwilę, poczytywałem sobie za obowiązek utrzymywać względem niej nacechowany ostentacyjnym szacunkiem dystans. Wciąż bowiem miałem przed oczyma obraz jej cofającej się i zawsty-

dzonej, a w sercu czułem tak przemożną dla niej litość, że nie potrafię tego słowami wyrazić. Czyż potrzebuję nadmieniać, jak głęboko ubolewałem nad własnym losem, nad unicestwieniem, w ciągu paru sekund mych marzeń o szczęściu i miłości? Ubolewałem jednak i nad nią, do tego stopnia, że nie czułem do niej żalu, chyba tylko przelotnie i krótko. Uznawałem słuszność jej stanowiska; wszak była jeszcze dzieckiem, znalazła się w trudnej sytuacji i jeśli zwiodła siebie i mnie, nie uczyniła nic takiego, czego nie powinienem się być spodziewać.

Smętny nastrój Katriony pogarszała jej samotność. Jej ojciec, o ile znajdował się przy niej, traktował ją raczej czule; jednakże zajęty własnymi sprawami, lub ulegając swym zachciankom, zaniedbywał ją stale i bez skrupułów, spędzał noce w tawernach, jeśli miał pieniądze, co mu się zdarzało częściej, niż to umiałem sobie wytłumaczyć. Raz nawet, w ciągu tych paru dni, nie powrócił na kolację i musieliśmy ją spożyć sam na sam z Katrioną. Zaraz potem wstałem od stołu, mówiąc iż przypuszczam, że woli pozostać sama. Odpowiedziała twierdząco i (jakkolwiek dziwne się to może wydawać) nie wątpiłem w jej szczerść.

Zaiste, uważałem się za niemiłego dla niej towarzysza, za żywe wspomnienie chwilowej słabości, o której pragnęła zapomnieć. I tak musiała przesiadywać samotnie w tym samym pokoju, gdzie tak wesoło płynął nam czas, w blasku kominka, którego ogień oświetlał tyle naszych trudnych i uroczych przeżyć. Siedziała tam samotnie i rozmyślała o sobie jako o pannie, która w wysoce nieliczący z niewieścią statecznością sposób ofiarowała – i to daremnie – swą miłość. Ja zaś w tym samym czasie przebywałem równie samotnie gdzie indziej i dumalem (ilekroć gniew mnie ogarniał) nad ułomnością ludzkiej natury i płochością kobiet. Dalibóg, trudno sobie wyobrazić większe nieporozumienie pogrążające dwie nieszczęsne, głupie istoty w tak bolesną udrękę.

James natomiast nie przejmował się nami, podobnie zresztą jak wszystkim, co nie dotyczyło jego kieszeni, apetytu i własnej gadaniny. Nie minęło dwanaście godzin od jego przybycia, a już pożyczył ode mnie drobną sumę; po trzydziestu zażądał następnej i spotkał się z odmową. Pieniądze i odmowę przyjął z taką samą pogodą ducha. Cechowała go istotnie pozorna wielkoduszność, w rodzaju tych, które zazwyczaj imponują córkom; jego zaś nieustanne samochwalstwo, dorodny wygląd i wytworne obejście składały się na harmonijną całość. Do tego stopnia, że ktokolwiek nie miał okazji lepiej go poznać, a nie odznaczał się przenikliwością umysłu lub nie ulegał silnemu uprzedzeniu, łącznie mógłby dać się omamić. Co do mnie, po naszych pierwszych dwóch rozmowach czytałem w jego duszy jak w otwartej księdze. Wiedziałem, że jest kompletnym samolubem, kompletnie sobie z tego sprawy nie zdając; zżymając się na jego buńczuczne dyskursy na temat wojennych wyczynów („jestem starym żołnierzem” lub „ubogim dżentelmenem ze szkockich gór”, lub „potęgą mego kraju i moich wpływowych przyjaciół”) jak na paplaninę papugi.

Co dziwniejsze, zdaje mi się, że wierzył niezupełnie lub tylko chwilami w to, co mówił; był zapewne tak fałszywym z gruntu człowiekiem, że nie zdawał sobie sprawy, kiedy kłamał. Całkowicie natomiast szczerze były jego posępne nastroje; w takich chwilach stawał się czułym, ujmującym człowiekiem; trzymał dłoń Katriony, jakby była małym dzieckiem, i prosił mnie, abym go nie opuszczał, jeśli choć trochę odczuwam dla niego przyjaźni. Nalegał nieraz, a nawet błagał, abyśmy go zabawiali rozmową, czemu wobec naszych podówczas stosunków nader trudno było zadośćuczynić; innym znów razem lamentował nad opuszczeniem własnego kraju i utratą przyjaciół lub nucił szkockie pieśni.

– Oto – mawiał – jedna z melancholijnych melodii mego ojczystego kraju. Dziwnym się panu może wydawać widok łez w oczach żołnierza i zaiste to jest dowód, że traktuję pana jako bliskiego przyjaciela, lecz muzyka tej pieśni tętni w mojej krwi, a słowa prosto z mego serca płyną. A gdy wspomnę moje krasne góry, zbiegające z nich chyże, bławe potoki i dzikie zwołujące się tam ptactwo, nie wstydziłbym się zapłakać nawet w obliczu moich wrogów. – Po czym nucił znowu i tłumaczył mi słowa pieśni, bardzo nieudolnie i nie szczędząc wyrazów pogardy dla angielskiego języka. – Chodzi o to, że słońce zachodzi, bitwa ma się ku końcowi



i dzielni wodzowie klanów ponieśli klęskę. A teraz o to, że gwiazdy patrzą na ich ucieczkę do obcych krajów lub na ich zwłoki spoczywające na stokach gór. Nigdy już więcej nie zabrmi ich bitewne zawołanie, nigdy już więcej nie umyją nóg w potokach doliny. Gdyby pan – mawiał – znał choć trochę tę naszą szkocką mowę, płakałby pan również, gdyż oddawać jej treść po angielsku to czyste błazeństwo.

Za takie błazeństwo uważałem większość jego wynurzeń; wywoływały jednak i inne uczucia, za co nienawidziłem go najbardziej. Wściekałem się w duchu widząc, jak Katrionę wzrusza do głębi biadolenie starego szachraja i jak płacze na widok jego łez, podczas gdy ja byłem pewien, że jego smutek jest w znacznej mierze wynikiem pijatyki w szynku poprzedniej nocy. Chwilami miałem ochotę pożyczyć mu większą sumę i pozbyć się go w ten sposób raz na zawsze; lecz oznaczałoby to również rozstanie się z Katrioną, co mi się bynajmniej nie uśmiechało. A poza tym marnowanie moich pieniędzy na rzecz takiego hultaja i wydrwigrosza sprzeciwiało się moim zasadom.

## XXVII. WE DWÓJKĘ

W piątym, o ile się nie mylę, dniu pobytu z nami Jamesa – pamiętam tyle tylko, że wtedy właśnie nawiedził go ponury nastrój – otrzymałem trzy listy. Jeden od Alana, zapowiadający odwiedzin w Leyden, pozostałe dwa ze Szkocji, oba z wiadomością o śmierci mego stryja, przez co wszedłem całkowicie w posiadanie moich praw. List Rankeillora ograniczał się do zagadnień majątkowych, list zaś od panny Grant był podobny do niej samej: bardziej dowcipny niż rozsądny, pełen wyrzutów z powodu mego milczenia (jakże miałem napisać do niej o zerwaniu z Katrioną?) i serdecznych wzmianek o Siwych Oczach, co mnie wielce rozdrażniło, jako że czytałem go w jej obecności.

Listy bowiem zastałem oczywiście w moim poprzednim mieszkaniu, gdzie przyszedłszy na obiad przystąpiłem do ich lektury, nie bez wielkiego, w pierwszej chwili, zdziwienia. Wszyscy troje uznaliśmy to za pożądaną dystrakcję; nikt nie mógł przewidzieć, jak przykre z tego wynikną konsekwencje. Przypadek zrządził, że te trzy listy nadeszły tego samego dnia i że otwierając je znajdowałem się w tym samym co James pokoju. Ze wszystkich wydarzeń wywołanych przez ten przypadek, a mogłem im zapobiec, gdybym trzymał język za zębami, wypływa wniosek, że były wypisane w księdze przeznaczeń na długo, zanim Abraham rozpoczął swoje wędrówki lub zanim Agricola przybył do Szkocji.

List od Alana otworzyłem pierwszy i – cóż bardziej naturalnego? – oznajmiłem głośno o jego zamierzonej u mnie wizycie. Zauważyłem jednak, że James drgnął w swym krześle i jakby nastawił uszu.

– Czy to ten Alan Breck – zapytał – którego podejrzewają o tę sprawkę w Appin?

Odpowiedziałem potakująco i James przeszkodził mi w czytaniu następnych listów wy pytując o naszą znajomość z Alanem, co on porabia we Francji – o czym niewiele wiedziałem – i o jego zapowiedzianym przybyciu.

– My wszyscy banici – mówił – dzielimy podobny los. A poza tym znam tego dżentelmana; i aczkolwiek jego pochodzenie jest wątpliwe, zaiste nie ma on prawa nosić nazwiska Stewart, podziwialiśmy go wielce owego pamiętnego dnia pod Culloden. Spisał się, jak na ryce-rza przystało i gdyby inni, których nazwiska wolę przemilczeć, sprawili się równie chwacko, wynik bitwy nie należałby do tak żałosnych wspomnień. Dwóch nas było tego dnia, co nie cofnęło się przed niczym, i to nas łączy.

Z trudem powstrzymałem się od ostrej repliki i żałowałem prawie, że Alan nie może osobiście wziąć udziału w dyskusji o jego nieprawym jakoby urodzeniu. Co prawda, jak mi powiadają, nie bez kozery były takie pogłoski.

Tymczasem otworzyłem list od panny Grant i nie potrafiłem powstrzymać okrzyku.

– Katriono! – zawołałem. – Objąłem władanie nad moim królestwem! Jestem dziedzicem Shaws, mój stryj umarł nareszcie!

Klasnęła w dłonie i zerwała się z krzesła. W następnej chwili ogarnęła nas oboje myśl, jak mało mieliśmy powodów, by razem się z tego cieszyć, i stanęliśmy smętnie naprzeciwko siebie.

Za to James okazał się czujnym na okoliczności hipokrytą.

– Córko moja – rzekł – czyż tak cię moja kuzynka nauczyła się zachowywać? Pan Dawid stracił bliskiego krewnego i wypada nam okazać mu współczucie w tak bolesnej dobie.

– Dalibóg nie potrafię min stroić – odpowiedziałem ze złością. – Wiadomość o jego śmierci jest najlepszą ze wszystkich, jakie kiedykolwiek otrzymałem.

– Zdrowa to, żołnierska filozofia. Proch jesteś i w proch się obrócisz, kostucha żadnego z nas nie ominie. A jeśli ów dżentelmen do tego stopnia nie cieszył się pańskim zaufaniem, tym lepiej, że jest już na tamtym świecie. Lecz winniśmy przynajmniej pogratulować panu objęcia dziedzictwa.

– I na to nie bardzo mogę się zgodzić – odrzekłem, nadal zapalczywie. – Spore to są włości, ale cóż po nich samotnemu człowiekowi, który i bez nich jest dosyć majątny? Jak na moje skromne wymagania miałem już przedtem niezłe dochody i jeśli chodzi o śmierć tego człowieka – wstyd mnie ogarnia, gdy wyznaję moje z tego powodu ukontentowanie – nie widzę doprawdy, aby ktokolwiek poważnie na tym zyskał.

– He-he, bardziej to pana obchodzi, niż to okazujesz inaczej bowiem, nie podkreślałbyś pan tak swej samotności. Oto trzy listy: to znaczy trzy osoby dobrze panu życzące i mógłbym nazwać jeszcze dwie w tym tutaj pokoju. Znam pana od niedawna, lecz Katriona, gdy jesteśmy sami, nieustannie pana wychwala.

Spojrzała na niego z wyrzutem; przerzucił się więc zaraz na inny temat i prawie przez cały obiad interesował się nader żywo rozmiarami mego majątku. Na próżno się jednak maskował; zabrał się do tego zbyt po prostaku i wiedziałem, czego się spodziewać.

Zaledwie zjedliśmy obiad, James przypomniał Katrionie o jakimś sprawunku i posłał ją do miasta. – Oczekuję cię nie później jak za godzinę – dodał – a nasz przyjaciel Dawid zechce mi łaskawie dotrzymać towarzystwa aż do twego powrotu.

Usłuchała pośpiesznie, słowa nie mówiąc. Zdaje mi się, że nie rozumiała, co się święci; co do mnie nie miałem wątpliwości i siedziałem zbierając siły na zbliżającą się rozprawę. Zaledwie drzwi się zamknęły za jego córką, James rozparł się w krzesło i zwrócił się do mnie z doskonale udaną swobodą. Jedna rzecz tylko go zdradziła: jego twarz pokryła się nagle drobnymi kropelkami potu.

– Dobrze się składa, że możemy pomówić w cztery oczy – rzekł. – W naszej pierwszej rozmowie nie wyraziłem się dostatecznie jasno, co pana nieco wprowadziło w błąd, i od dawna już zamierzałem to sprostować. Otóż mojej córce nic zarzucić nie można. Jak również i panu, co jestem gotów wszem wobec z szablą w ręku potwierdzić. Jednakże, mój drogi Dawidzie, ten nasz świat pełen jest zasadzek i złośliwości. Któż wie o tym lepiej ode mnie, który od śmierci mego ojca – Panie świeć nad jego duszą – żyję otoczony kłębowiskiem kalumnii? Musimy to obaj mieć na oku; zarówno pan, jak i ja musimy się z tym liczyć; musimy to uwzględnić... – I kiwał głową znacząco jak kaznodzieja na ambonie.

– O cóż więc chodzi, panie Drummond? Będę panu zobowiązany za wyjaśnienie, co pan ma na myśli.

– Tak, tak – rzekł ze śmiechem – tum cię czekał i tę właśnie cechę pańskiego charakteru cenię najbardziej. Ale tak nieraz bywa, mój obrotny chłopcze, że chodzi o delikatną materię. – Tu napełnił winem swoją szklankę. – Otóż chodzi, wie pan dobrze, o moją córkę. Pragnę jednak przede wszystkim pana zapewnić, że ani mi w głowie czynić pana odpowiedzialnym za to, co zaszło. W tych niefortunnych okolicznościach jak inaczej mógł pan postąpić? Nie wiem doprawdy.

– Dziękuję panu za te wyrazy uznania – odpowiedziałem, nadal pilnie trzymając się na baczności.

– Poza tym starałem się ocenić pański charakter i zdolności; są dosyć obiecujące. Wydaje się pan być w miarę wykształcony, co na ogół nie szkodzi. I tak, jedno z drugim, miło mi jest panu oświadczyć, że wybrałem drugą z otwartych przed nami możliwości.

– Uzna to pan może za dowód tępoty, ale o jakich dwóch możliwościach pan mówi?

Zmarszczył się, spojrzął na mnie groźnie i rozkrzyżował nogi. – Nie muszę chyba tego wyjaśniać takiemu jak pan szlachetnie urodzonemu dżentelmenowi: albo pan poczuje ostrze mojej szabli, albo pan poślubi moją córkę.

– A więc zechciał się pan nareszcie jasno wypowiedzieć.

– Zdaje mi się, że od początku jasno postawiłem sprawę! – wrzasnął James. – Jestem troksliwym ojcem, panie Balfour, ale dzięki Bogu jestem również cierpliwym i opanowanym człowiekiem. Na moim miejscu niejeden ojciec zaciągnąłby pana od razu do ołtarza lub na ubitą ziemię. Mój szacunek dla pańskiego charakteru...

– Panie Drummond, jeśli żywi pan jakikolwiek dla mnie szacunek, proszę przestać mówić podniesionym głosem. Wrzaski skierowane do dżentelmena znajdującego się w tym samym pokoju i słuchającego pilnie tego, co pan ma do powiedzenia, są najzupełniej zbyteczne.

– To prawda – rzekł i zmitygował się natychmiast. – Zechce pan wybaczyć te objawy troski ze strony ojca.

– O ile dobrze pana zrozumiałem – pomijam bowiem tę pierwszą alternatywę, o której nie sądzę, by warto było wspominać – ofiarowuje mi pan swoje poparcie w wypadku, gdybym chciał się ubiegać o rękę pańskiej córki?

– Nie można lepiej wyrazić moich intencji. Widzę, że dojdziemy świetnie do porozumienia.

– To się jeszcze okaże. Nie będę natomiast przed panem ukrywał, że do wspomnianej młodej lady żywię afekt najczulszy i nie mógłbym, nawet we śnie, większego szczęścia wymarzyć, jak ją na zawsze pozyskać.

– Byłem tego pewien, nie zawiodłem się na panu, panie Dawidzie – i dłoń do mnie wyciągnął.

– Nie tak skoro, panie Drummond. Pozostają do sformułowania pewne warunki; ponadto widzę na tej drodze pewną przeszkodę i doprawdy nie wiem, jak się zabrać do jej usunięcia. Powiedziałem panu, że z mojej strony nie ma żadnych obiekcji przeciwko małżeństwu z panną Drummond, lecz mam uzasadnione powody mniemać, że takowe, i to poważne, istnieją po stronie pańskiej córki.

– To wszystko nie ma nic do rzeczy. Ręczę za jej zgodę.

– Pan zdaje się zapominać, panie Drummond, że nawet w stosunku do mnie pozwolił pan sobie parokrotnie użyć nieprzystojnych wyrażeń. Nie dopuszczę do czegoś takiego względem tej młodej lady, będę myślał i przemawiał za nas oboje. I proszę przyjąć do wiadomości, że takóž jak nie pozwolę sobie narzucić żony, nie pozwolę jej narzucić męża.

James siedział zakłopotany i spoglądał na mnie wściekłym wzrokiem.

– A więc – mówiłem dalej – stanęło pomiędzy nami na tym: ożenię się, i to z największą skwapliwością, z panną Drummond, o ile ona wyrazi na to całkowitą zgodę. Jeśli natomiast okaże choćby najmniejszy opór, nigdy nie zostanie moją żoną.

– To drobnostka. Wybadam ją zaraz po jej powrocie i mam nadzieję...

– Nie uczyni pan nic podobnego, panie Drummond, albo ja się wycofam i może pan sobie szukać męża dla córki gdzie indziej. Ja tylko będę z nią o tym rozmawiał i do mnie należy ocena jej wypowiedzi. Chcę wiedzieć dokładnie, na jakim gruncie stoję. I nikt inny, a zwłaszcza pan, nie będzie się do tego wtrącał.

– To niesłychane! A kimże pan jest, aby oceniać zdanie mojej córki?

– Oblubieńcem, o ile mi wiadomo.

– To jest słowna igraszka! Ignoruje pan fakty. Ta dziewczyna, moja córka, nie rozporządza już możliwością wyboru. Straciła cześć.

– Pan wybaczy, ale tak nie jest, tak długo jak ta sprawa nie wyszła poza nią, pana i – mnie.

– A jaką mam na to gwarancję? Czy mam pozwolić, aby reputacja mojej córki zależała od przypadku?

– Powinien pan być już dawno o tym pomyśleć, zanim ją pan porzucił na pastwę losu nie bacząc na ojcowski obowiązek, a nie teraz dopiero, gdy jest już o wiele za późno. Nie ponoszę żadnej odpowiedzialności za skutki pańskiego niedbalstwa i nikomu na tym świecie nie pozwolę się zastraszyć. To moje postanowienie jest ostateczne i cokolwiek się stanie, ani na jotę od niego nie odstąpię. Pan i ja będziemy sobie nawzajem dotrzymywać towarzystwa, aż do powrotu Katriony; po czym, bez słowa czy spojrzenia z pańskiej strony, wyjdziemy oboje na przechadzkę. Jeśli uzyskam jej zgodę, ożenię się z nią, ale wyłącznie w tym wypadku.

James More zerwał się z krzesła jak oparzony. – Nie trudno się domyślić, na czym polega ten wybieg! Pan ją nakłoni do odmowy!

– Może tak, a może nie. Na żaden jednak inny proceder się nie zgadzam i basta!

– A jeśli odmówi?

– W takim razie, panie Drummond, oddamy głos szpadom.

Pomny jego wzrostu i niezwyklej długości jego ręki – niewiele pod tym względem ustępował swemu sławetnemu ojcu – tudzież jego znanej biegłości we władaniu bronią, wypowiedziałem te słowa nie bez pewnej drżączki w sercu, pomijając już fakt, że moim przeciwnikiem byłby ojciec Katriony. Jednak mógłbym sobie darować te obawy. Z ubóstwa mojej kwatery – nie zauważył widocznie nowych i nieznanym mu sukien swej córki – oraz z mojej niechęci do pożyczania mu pieniędzy James More wywnioskował, że należę raczej do chudopacholków. Nagła wiadomość o moim majątku wyprowadziła go z błędu i niezwłocznie postanowił na tym skorzystać. Pomysł ten tak mu przypadł do gustu, że nie wątpię, iż wołałby znieść każde upokorzenie, niż stanąć ze mną do orężnej rozprawy. Klócił się jeszcze ze mną czas jakiś, aż wreszcie wpadłem na sposób uciszenia go.

– Jeśli pan tak gwałtownie oponuje przeciwko mojej rozmowie sam na sam z Katrioną, wnioskuję z tego, że ma pan ważne powody, aby podzielać moje wątpliwości co do jej zgody.

Wybąkał jakieś wyrazy usprawiedliwienia.

– To wszystko – dodałem – źle wpływa na nasze humory i moim zdaniem byłoby najlepiej zachować roztropne milczenie.

Zastosowaliśmy się do tego aż do powrotu Katriony i sądzę, że gdyby ktoś nas podpatrzył, uznałby to za nader pocieszny widok.

## XXVIII. POZOSTAJĘ SAM

Otworzyłem drzwi Katrionie i zatrzymałem ją na progu.

– Ojciec pani życzy sobie, abyśmy poszli razem na przechadzkę.

Spojrzała na Jamesa More'a, który skinął głową, i jak zdyscyplinowany żołnierz wyszła za mną.

Skierowaliśmy się na jeden z naszych dawnych, dobrze nam znanych szlaków, gdzie przeżyliśmy ongiś chwile niedającego się opisać szczęścia. Szedłem o pół kroku za Katrioną, mogłem więc spoglądać na nią bez jej wiedzy. Odgłos jej stąpania na drodze był dla mnie czymś niezwykle uroczym i smętnym zarazem; dziwnym mi się wydawało, że jestem jakby zawieszony pomiędzy dwoma biegunami mego przeznaczenia, nie wiedząc, czy słyszę te kroki po raz ostatni, czy też dźwięk ten towarzyszyć mi będzie zawsze i wszędzie, aż śmierć nas rozłączy.

Katriona unikała nawet spojrzenia w moją stronę, szła tylko prosto przed siebie, jak ktoś domyślający się, co ma niebawem nastąpić. Wiedziałem, że powinienem nie zwlekając przemówić do niej, zanim mi zabraknie odwagi, nie miałem jednak pojęcia, jak zacząć. W tej bolesnej sytuacji, gdy ojciec pchał po prostu tę dziewczynę w moje ramiona, ona zaś prosiła mnie już przedtem o wyrozumiałość, każdy zbyt obcesowy nacisk musiałby ją urazić, a jednak wszelkie jego zaniechanie wywołałoby wrażenie oziębłości. Znalazłem się między młotem a kowadłem i czułem się tak bezradny, że gryzłbym własne palce. Gdy wreszcie zdobyłem się na otwarcie ust, nie przesadzę, gdy powiem, że mówiłem bez namysłu.

– Katriono, znalazłem się w bardzo przykłej sytuacji, a raczej znaleźliśmy się w niej oboje. I byłbym ci bardzo zobowiązany, gdybyś mi pozwoliła wypowiedzieć się całkowicie i nie przerywała, aż skończę. Zgodziła się na to z całą prostotą. – To, co ci mam do powiedzenia, jest bardzo trudne, i wiem dobrze, że nie mam prawa tego mówić. Po tym, co zaszło pomiędzy nami w zeszły piątek, utraciłem wszelkie do tego prawo. Wplątaliśmy się oboje w taką kabałę (a wszystko z mojej winy), że wiem dobrze, iż powinienem przede wszystkim trzymać język za zębami, co też zamierzałem uczynić; nie przysłoby mi nawet do głowy, by ci się ponownie naprzykrzać. Jednakże, droga moja, stało się to po prostu koniecznością i nic nie mogę poradzić. Jak ci wiadomo, wszedłem w posiadanie mego majątku, przez co stałem się raczej niezłą partią i... to... ta sprawa nie przedstawia się już tak niepoważnie jak przedtem. Ponadto nasze wzajemne stosunki stały się do tego stopnia jakby dwuznaczne, iż byłoby lepiej, aby rozwijały się nadal w tym samym co poprzednio kierunku. Moim zdaniem ten ich aspekt jest bardzo przesadzony i będąc na twoim miejscu, nie zaprzętałbym sobie tym w ogóle głowy. Uważam jednak za swój obowiązek wspomnieć ci o tym, gdyż wywiera to niewątpliwie pewien wpływ na twego ojca. Wydaje mi się również, że nie byliśmy nieszczęśliwi, mieszkając tu razem w tym mieście. Zdaje mi się, że nam obojgu wiodło się tu wcale nieźle i jeśli się cofniesz myślą wstecz, droga moja...

– Nie chcę ani cofać się myślą wstecz, ani wybiegać naprzód – przerwała mi. – Powiedz mi jedno: czy to sprawka mego ojca?

– Twój ojciec popiera moje zamiary. Popiera moją prośbę o twoją rękę... – Zamierzałem właśnie zwrócić się z cokolwiek gorętszym apelem do jej uczuć, nie pozwoliła mi jednak i przerwała w pół zdania.

– To mój ojciec kazał ci się oświadczyć! – zawołała. – Po cóż temu zaprzeczać, skoro sam powiedziałeś, że myśl o tym nie przyszła ci nawet do głowy. To on ci kazał!

– On pierwszy zaczął o tym mówić, jeśli o to ci chodzi.

Szła coraz prędzej, patrząc wprost przed siebie, a na te słowa jęknęła cicho i zdawało mi się, że lada chwila zacznie biec.

– Inaczej bowiem – mówiłem dalej – po tym, co mi powiedziałaś w ostatni piątek, nigdy bym nie ośmielił ci się narzucać z taką propozycją, ale skoro twój ojciec właściwie tego zażądał, cóż miałem robić?

Zatrzymała się i odwróciła do mnie.

– Tak czy inaczej nie chcę być twoją żoną i kwita! I ruszyła dalej naprzód.

– Powinienem był się tego spodziewać, ale mogłabyś przynajmniej mieć wzgląd na moje uczucia. Nie wiem doprawdy, dlaczego miałabyś mnie tak okrutnie traktować. Kochałem cię szczerze, Katriono, wolno mi chyba przemówić do ciebie po imieniu... po raz ostatni. Ze swej strony zrobiłem wszystko, na co mnie stać, usiłuję nadal to czynić, i boli mnie tylko, że nie zdołałem na więcej się zdobyć. Dziwię się doprawdy, że znajdujesz przyjemność w dręczeniu mnie.

– Nie o ciebie mi chodzi, ale o tego człowieka, mego ojca.

– A więc tym bardziej! Mogę ci się pod tym względem przydać. Otóż, moja droga, musimy się koniecznie porozumieć co do twego ojca; skoro nasza rozmowa przybrała taki obrót, James More będzie wściekły.

Zatrzymała się znowu.

– Czy dlatego, że jestem zhańbiona?

– On jest tego zdania, ale już mu powiedziałem, żeby to sobie wybił z głowy.

– Nie zależy mi na tym! – zawołała. – Wolę być zhańbiona!

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć, i stałem w milczeniu.

Coś widocznie ciążyło jej na sercu po tym wykrzykniku, bo wreszcie wybuchła:

– Co to wszystko ma znaczyć? Dlaczego miałabym się wstydzić tego, co zaszło? Jak pan śmie, panie Balfour?

– Droga moja, cóż innego miałem uczynić?

– Nie jestem ani twoją, ani drogą, i zabraniam ci tymi słowami się do mnie odzywać.

– Mniejsza o takie czy inne słowa. Moje serce krwawi dla pani, miss Drummond. Cokolwiek mówię, może pani być pewna, że współczuję pani w tej trudnej sytuacji. Atoli ta sprawa ma pewien aspekt, na który chciałbym zwrócić pani uwagę i spokojnie o tym porozmawiać. Otóż po naszym powrocie do domu dojdzie na pewno do kłótni; możesz mi wierzyć, że chcąc uniknąć gwałtownych kroków, musimy oboje się do tego zabrać.

Na jej policzkach wystąpiły czerwone plamy. – Czy on chciał się z tobą na szable rozprawić?

– Tak, o tym właśnie była mowa.

Roześmiała się okropnym, szyderczym śmiechem. – Tego tylko brakowało! – i zwróciła się do mnie: – mój ojciec i ja stanowimy dobraną parę, ale miłościwemu Bogu dziękuję, że znalazł się ktoś, co jeszcze gorzej się od nas upodlił. Miłościwemu Bogu dziękuję, że pozwolił mi ujrzeć ciebie w tym świetle. Nie znajdziesz nigdzie dziewczyny, co by tobą nie pogardzała!

Zniosłem już niejedno cierpliwie, lecz to przekraczało wszelkie granice.

– Nie masz prawa tak do mnie przemawiać! Cokolwiek uczyniłem, to dla twego dobra, lub usiłując ci oddać przysługę. I tak mi się odpłacasz? Doprawdy tego już za wiele!

Spoglądała wciąż na mnie z nienawistnym uśmiechem. – Ty tchórze.

– Ty i twój ojciec udławicie się tym słowem! – wykrzyknąłem. – Oparłem mu się dzisiaj, twoje dobro mając na względzie, oprę się raz jeszcze temu szubrawcowi! Wszystko mi jedno, który z nas legnie! Chodź, wracamy do domu, dosyć mam już tego, dosyć mam tej waszej całej góralskiej hołoty! Ocenisz mnie dopiero po mojej śmierci!

Potrząsnęła głową z tym samym wciąż uśmiechem, za który mógłbym ją chyba uderzyć.

– Uśmiechaj się, jak ci się żywnie podoba! Widziałem już dzisiaj, jak się uśmiechał twój ojczulek i wcale kwaśną miał przy tym minę. Nie mówię, że ze strachu – dodałem pośpiesznie – ale wolałby to inaczej załatwić.

– Jak to inaczej?

– Bo go wyzwiałem na plac.

– Wyzwałeś na plac Jamesa More'a?

– Tak jest i to mu bynajmniej nie przypadło do gustu. Gdyby nie to, nie zaprosiłbym ciebie na tę rozmowę.

– Co to ma znaczyć?

– Twój ojciec chciał ciebie zmusić, abyś wyszła za mnie za męża, na co ja się nie zgodziłem. Powiedziałem mu, że taka decyzja należy wyłącznie do ciebie i że muszę się z tobą rozmówić w cztery oczy. Nie przypuszczałem, że tak się skończy nasza rozmowa! – A jeśli odmówi? – zapytał twój ojciec. – W takim razie – odrzekłem – oddamy głos szpadom, gdyż nie pozwolę narzucić tej młodej lady męża, tak samo jak nie pozwolę sobie narzucić żony. Takie właśnie były moje słowa, słowa prawdziwie ci oddanego przyjaciela. I ładnej się za nie doczekałem podzięk! Otóż teraz odrzuciłaś mnie najzupełniej dobrowolnie i nie ma takiego ojca w całej Górnej Szkocji lub poza nią, który zdołałby mnie zmusić do małżeństwa z tobą. Dopilnuję, by uszanowano twoją wolę, biorę to na siebie i potrafię postawić na swoim. Sądzę jednak, że mogłabyś się zdobyć na tyle przyzwoitości, aby mi okazać nieco choćby pozornej wdzięczności. Naprawdę myślałem, że znasz mnie lepiej! Mam sobie coś niecoś do wyrzucenia; słabość mego charakteru stała się tego przyczyną. Ale uważać mnie za tchórza... nie, panienko, to jest cios ostateczny!

– Davie, skądże miałam o tym wiedzieć, jakże miałam prawdę odgadnąć? Boże mój, cóż za straszne nieporozumienie! Ja i moja rodzina – co mówiąc zaniósł się przejmującym szlochom – ja i moja rodzina niegodni jesteśmy do ciebie przemawiać. Mogłabym uklęknąć tutaj na ulicy, mogłabym całować twoje ręce błagając o przebaczenie.

– Zachowam w pamięci te pocałunki, które mi już dałaś, te, których pragnąłem. Nie chcę pocałunków wyrażających pokutę.

– Cóż pomyślisz o mnie nieszczęsnej?

– To właśnie, co usiłuję ci wytłumaczyć od dłuższej już chwili. Nie powinnaś zaprzętać sobie głowy moją osobą, gdybyś bowiem nawet chciała, większego mi już bólu zadać nie możesz; zajmij się natomiast swoim ojcem, z którym będziesz miała nie lada przeprawę.

– I z takim to człowiekiem muszę sama wyruszyć w świat! – zawołała i widziałem, jak stara się opanować z wielkim wysiłkiem. – Lecz nie kłopotz się o mnie więcej. Mój ojciec nie zna mnie jeszcze. Drogo, bardzo drogo mi zapłaci za dzień dzisiejszy!

Zawróciła w stronę domu; uczyniłem to samo chcąc ją odprowadzić. Zatrzymała mnie jednak.

– Pójdę sama. Muszę się z nim rozmówić.

Przez czas jakiś błąkałem się po ulicach, przekonany, że nigdy żaden chłopiec w całym chrześcijańskim świecie nie zaznał gorszej ode mnie krzywdy. Wściekłość mnie dusiła; na próżno oddychałem głęboko, zdawało mi się, że w całym Leyden nie ma dla mnie dość powietrza i chwilami czułem się jak topielec na dnie morza. Wreszcie zatrzymałem się na rogu ulicy i zacząłem się śmiać sam do siebie tak długo i głośno, że aż spojrział na mnie któryś z przechodniów, co mi przywróciło przytomność.



Tak – myślałem sobie – dosyć już długo byłem mazgajem, gamoniem i durniem. Czas już najwyższy z tym skończyć. Ta nauka nie pójdzie w las. Oto co znaczy zadawać się z tym przeklętym rodzajem niewieścim, co już na początku ludzkości klęskę na kark mężczyzn sprowadził i do końca świata pozostanie naszym utrapieniem. Bóg wie, że byłem dosyć szczęśliwy, zanim ją poznałem; Bóg wie, mogę być dosyć szczęśliwy, kiedy się wreszcie jej pozbędę.

Zobaczyć ich odjeżdżających; to mi się wydawało najważniejszą sprawą. Z całą pasją lubowałem się tym prospektem, do czego dołączyła się zaraz myśl natrętna i złośliwa; jak marnie się im będzie powodzić bez Dawida Balfoura w roli dojrzałej krowy. Na co, ku memu wielkiemu zdziwieniu, ogarnęło mnie zgoła inne uczucie. Byłem nadal wściekły; nadal nienawidziłem Katriony; a jednak nie mogłem się dłużej pogodzić z myślą o czekającej ją nędzy i o związanych z tym cierpieniach.

Zawróciłem więc czym prędzej do domu, gdzie zastałem kufry wyciągnięte i spakowane przed drzwiami oraz ojca i córkę, których postawa zdradzała świeżą kłótnię. Katriona siedziała sztywno, jak drewniana lalka, James More zaś dyszał ciężko, twarz miał pokrytą kropelkami potu i nos spuszczonej na kwintę. Zaledwie wszedłem, rzuciła na ojca twarde, stanowcze, wyzywające spojrzenie, z rodzaju tych, po których dochodzi zazwyczaj do rękoczynów; zawarta w tym spojrzeniu pogarda była jeszcze bardziej zniewalająca niż rozkaz. Ku memu zdziwieniu James More przyjął to spokojnie. Jasne było, że musiała mu tego przygadać. Coś mi się widzi – pomyślałem sobie – że ta dziewczyna nie jest potulnym barankiem, za jakiego ją miałem, on zaś jest bardziej opanowany, niżbym się po nim spodziewał.

Przemówił wreszcie, zwracając się do mnie per panie Balfour i wyraźnie według narzucanego mu planu.

Niedaleko jednak zajechał, gdyż po pierwszym pompatycznym zwrocie Katriona przewała mu.

– Ja panu powiem, co James More ma na myśli; przybyliśmy do pana niczym żebracy, zachowaliśmy się względem pana niegodnie i wstyd nam naszej niewdzięczności i niczemnych postępów. Pragniemy stąd odejść i aby o nas zapomniano. Jednakże mój ojciec tak źle pokierował swymi sprawami, że nawet odejść stąd nie możemy, nie prosząc pana raz jeszcze o jałmużnę. Albowiem tak czy inaczej jesteśmy nędzarze i darmożjady.

– Z pani pozwoleniem, miss Drummond, muszę się rozmówić sam na sam z pani ojcem.

Odeszła do swego pokoju zamykając za sobą drzwi bez słowa ni spojrzenia.

– Proszę jej wybaczyć, panie Balfour, ona jest pozbawiona delikatności uczuć.

– Nie o tym przyszedłem z panem dyskutować. Chcę ostatecznie wszystko pomiędzy nami załatwić i w tym celu musimy pomówić o pańskiej sytuacji. Otóż, panie Drummond, pański stan majątkowy znam lepiej, niżby pan sobie tego życzył. Wiem, że wtedy, gdy pożyczal pan pieniądze ode mnie, miał pan swoje własne. Wiem, że po przybyciu do Leyden otrzymał pan pewną sumę, chociaż zataił pan ten fakt nawet przed córką.

– Proszę się liczyć ze słowami! Mam już tego dosyć i ani od pana, ani od niej nie zniosę żadnych dalszych wymówek. Ojcostwo to diabelnie niewdzięczna rola! Takich wyrażen jak te... – na tym urwał. – Panie – rzekł po chwili – obraża pan serce zarówno żołnierza, jak ojca – złożył ręce na piersiach – i nie radzę panu doprowadzać mnie do ostateczności.

– Jeśli pan mi pozwoli dokończyć, nie wątpię, że dobrze pan na tym wyjdzie.

– Drogi przyjacielu! – wykrzyknął. – Wiem, że mogę polegać na pańskiej wspaniałomyślności.

– Człowieku! Czy da mi pan wreszcie się wypowiedzieć? Nie potrafię wymiarkować, czy pan jest ubogi, czy bogaty. Jednakże pańskie dochody są, moim zdaniem, zarówno tajemniczego pochodzenia, jak i cokolwiek niewystarczające, a nie chcę, aby pańska córka cierpiała niedostatek. Gdybym śmiał z nią o tym pomówić, może pan być pewien, iż nawet do głowy by mi nie przyszło panu zawierzyć. Znam pana na wylot i pańskie fanfaronady nie robią na

mnie najmniejszego wrażenia. Wszelako wierzę jeszcze pomimo wszystko, że w jakiejś tam mierze kocha pan córkę i aczkolwiek niechętnie, gotów jestem pod tym względem panu zaufać.

Po czym umówiłem się z nim, że ma się ze mną porozumiewać, donosić mi o swym miejscu pobytu, w zamian za co będę mu przysyłał niewielki zasiłek przeznaczony na potrzeby Katriony.

Słuchał mnie z rosnącym entuzjazmem, a gdy skończyłem, wykrzyknął: – Mój drogi chłopcze! Mój synu! Przeszedłeś w szlachetności wszystko, co dotychczas dla nas uczyniłeś. Będę ci służył z wiernością żołnierza...

– Nie chcę nic więcej o tym słyszeć! Doprowadził pan do tego, że na samo słowo „żołnierz” na wymioty mi się zbiera! Wszystko jest załatwione pomiędzy nami. Wychodzę na pół godziny, a gdy powrócę, chcę zastać moje mieszkanie wolne od pańskiej obecności.

Wolałem jednak przyjść później, niczego bowiem nie obawiałem się bardziej niż ponownego spotkania Katriony. Słabość i lzy czatowały w moim sercu, a swój gniew pielęgnowałem jak ostoję własnej godności. Minęła przeszło godzina, słońce zaszło, a na szkarłatnym nieboskłonie pojawił się wąski rąbek nowego księżyca. Gwiazdy rozblęły już na wschodzie i gdy wreszcie powróciłem do mego mieszkania, zapadła już granatowa noc. Zapaliłem łójówkę i rozejrzałem się po pokojach. W pierwszym nie pozostało nic, co by mogło obudzić wspomnienia po tych, co odeszli. W drugim natomiast dostrzegłem w kącie na podłodze małe zawiniątko, na którego widok zadrżały mi wargi. Katriona zostawiła wszystko, co jej podarowałem. Najboleśniejszy to był dla mnie cios, może dlatego, że ostatni. Upadłem na stos jej odzieży i wolę przemilczeć, jak dalece straciłem panowanie nad sobą.

Późno tej nocy, szczękając zębami, odzyskałem nieco męskiego hartu ducha i doszedłem do wniosku, że widok tych nieszczęsnych sukienek, wstążek, bielizny i wyszywanych pończoch był nie do zniesienia; jeśli miałem powrócić do jakiejś takiej trzeźwości umysłu, należało się ich pozbyć niezwłocznie. W pierwszej chwili przyszło mi na myśl, by rozniecić ogień i spalić je; lecz po pierwsze miałem zawsze wrodzoną niechęć do marnotrawstwa, a po drugie spalenie rzeczy noszonych przez Katrionę wydawało mi się czynem okrutnym. W kącie pokoju znajdowała się szafa i postanowiłem je tam umieścić. Powoli mi to szło, składałem bowiem te szatki bardzo niezdarnie, lecz z tym większą pieczołowitością; chwilami wymykały mi się z rąk i wraz z mymi łzami spadały na podłogę. Odeszła mnie wszelka radość życia, czułem się znużony, jakbym wiele mil przebiegł i obolały, jakby mnie kijami obito. A gdy tak składałem chustkę, którą często Katriona nosiła na szyi, zauważyłem, że jeden jej róg został równiutko odcięty. Była to śliczna kolorowa chustka i nieraz ją w niej podziwiałem; pamiętam, że raz nawet powiedziałem Katrionie (w formie żartu), że nosi moje barwy. Na myśl o tym fala czułości zalała mi serce i zaświtał promyk nadziei; lecz po chwili rozpacz ogarnęła mnie znowu. Odcięty skrawek chustki leżał opodal na podłodze zmięty i porzucony.

Rozważywszy to spokojnie, nabrałem nieco otuchy. Katriona odcięła róg chustki ulegając dziecinnej, lecz niewątpliwie nacechowanej czułością zachciance; nie mogłem się jednak dziwić, że go następnie porzuciła. Skłonny byłem przywiązać większą wagę do tego pierwszego czynu niż do drugiego i cieszyłem się bardziej, iż pomyślała o zachowaniu jakiejś po mnie pamiętki, niż ubolewałem nad tym, że ją odepchnęła od siebie w chwili zrozumiałego rozgoryczenia i żalu.

## XXIX. SPOTYKAMY SIĘ W DUNKIERCE

W ciągu następnych dni nie czułem się zbyt przygnębiony i miewałem nawet miłe i pełne nadziei chwile. Zabrałem się nader pilnie do moich studiów i usiłowałem umilić sobie czas aż do przybycia Alana lub otrzymania, za pośrednictwem Jamesa More'a, wiadomości o Katrionie. Ogółem podczas naszej rozłąki otrzymałem od niego trzy listy. W pierwszym donosił mi o szczęśliwym przybyciu do miasta Dunkierki, we Francji, gdzie wkrótce pozostawił córkę i wyjechał w jakiejś prywatnej sprawie. Jak się okazało – do Anglii, gdzie odwiedził lorda Holdernessa i nieraz później złością i żalem napawała mnie myśl, że to moje pieniądze pokryły koszty tej podróży. Wszelako kto jada z jednej misy z diabłem, musi się posługiwać długą łyżką i to samo przysłowie dotyczyło Jamesa More'a. W okresie jego nieobecności powinienem był otrzymać od niego następny list; a że stanowiło to warunek obiecanego mu przeze mnie stypendium, przygotował ten list zawczasu i pozostawił Katrionie z poleceniem, by go w porę wysłała. Nasza korespondencja wzbudziła jej podejrzenia i zaledwie James More opuścił Dunkierkę, Katriona skruszyła pieczęć. List ten skreślony ręką jej ojca brzmiał, jak następuje:

*Jaśnie Wielmożny i Drogi Panie!*

*Otrzymałem Pańskie cenne pismo i potwierdzam z podziękowaniem odbiór załączonej doń kwoty, w myśl naszej umowy. Nie omieszkam jej użyć na potrzeby mojej córki, która niniejszym pragnie przypomnieć się pamięci drogiego jej przyjaciela. Znajduje się obecnie w melancholijnym nastroju, lecz ufam, iż z pomocą Boską wkrótce przyjdzie całkowicie do siebie. Prowadzimy tutaj nader samotny tryb życia, lecz pocieszamy się śpiewaniem rzewnych pieśni z naszych ojczystych gór i przechadzkami nad brzegiem morza, za którym leży Szkocja. Szczęśliwsze to były dla mnie dni, gdy leżałem pięciokrotnie ranny na polu bitwy pod Gladsmuir. Znalazłem tutaj zajęcie w stadninie pewnego francuskiego szlachcica i cenią tam moje doświadczenie i wiedzę; wszelako wynagrodzenie jest tak liche, iż nie ośmieliłbym się go wymienić, przez co pańskie subsydia są tym bardziej potrzebne gwoli zapewnienia nieco wygód mojej córce. Atoli śmiem twierdzić, że widok jej dawnych przyjaciół jest jej potrzebny w większej mierze niż cokolwiek innego.*

*Pozostaję oddany i piszę się pańskim uniżonym sługą*

*James Macgregor Drummond*

Dalej zaś wyczytałem dopisek ręką Katriony:

*Proszę mu nie wierzyć, to wszystko jest wierutnym kłamstwem.*

*K.M.D*

Katriona nie tylko dodała owo postscriptum, ale nosiła się zapewne czas jakiś z zamiarem zatajenia tego listu. Sądząc bowiem z jego daty, otrzymałem go znacznie później, niż powinienem, i niebawem nadszedł trzeci. Tymczasem przybył Alan i jego wesołe usposobienie wpłynęło w znacznej mierze na zmianę mego trybu życia. Przedstawił mnie swemu kuzynowi ze szkockiego pułku na holenderskim żołdzie; był to niezbyt interesujący człowiek, odznaczał się jedynie niezwykle mocną głową i zamiłowaniem do kielicha. Wziąłem udział w niejednej wesołej uczcie i podejmowałem parokrotnie obiadem Alana i jego przyjaciół, lecz to wszystko nie przemogło gnębiącego mnie nadal smutku. Spędziliśmy obaj (mam na myśli Alana i mnie) wiele godzin na omawianiu moich stosunków z Katrioną i jej ojcem. Nieskory byłem oczywiście do rozstrząsania szczegółów, a sposób, w jaki Alan komentował moje wynurzenia, bynajmniej nie zachęcał mnie do tego.

– Nic a nic z tego nie mogę wymiarkować – mawiał – ale coś mi się widzi, że okazałeś się nie lada durniem. Mało kto ma więcej doświadczenia ode mnie i nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek słyszał o takiej jak ta twoja dziewczynie. Sądząc z tego, co mówisz, to wszystko nie ma najmniejszego sensu; musiałeś okrutnie pokpić tę sprawę, Davie.

– I ja nieraz dochodzę do takiego wniosku.

– A co dziwniejsze, wydajesz się żywić do niej nadal niepośledni afekt.

– Największy ze wszystkich, Alanie, i nie opuści mnie chyba aż do grobowej deski.

– Dalibóg, zupełnie ciebie nie rozumiem! – Taka była zazwyczaj jego konkluzja.

Pokazałem mu list z dopiskiem Katriony.

– A widzisz! – wykrzyknął. – Nie sposób odmówić pewnej szlachetności tej Katrionie, a oprócz tego zdaje się mieć szczyptę zdrowego rozsądku. James More natomiast jest pusty jak bęben, o nic nie dba, jak tylko o napchanie brzucha. Chociaż nie zaprzeczę, że stawał mężnie pod Gladsmuir i to prawda, co mówi o pięciu ranach.

– Zgodzisz się ze mną, Alanie, że trudno jest mi się pogodzić z pozostawieniem tej młódki w tak niecnym rękach.

– Trudno byłoby znaleźć większego huncwota, ale cóż możesz na to poradzić? Widzisz, Davie, taka już jest natura męska i niewieścia. Białogłowy nie mają za grosz rozumu. Albo miłują mężczyznę i wtedy wszystko gracko się składa, albo go nie cierpią, a wtedy daremny trud, nic na to nie poradzisz. Dwa tylko są rodzaje niewiast: te, co sprzedadzą ostatnią kieckę dla ciebie, i te, co nie spojrzą nawet, jaką idziesz drogą. Takie już jest zrządzenie Opatrzności; z ciebie zaś jest aż taki fujara, iż nie potrafisz odróżnić jednych od drugich.

– Niestety, masz rację.

– A przecież nie ma nic łatwiejszego! Mógłbym ciebie migiem tego nauczyć. Ale ty się ślepym chyba urodziłeś i w tym sęk właśnie!

– Czy nawet ty nie możesz mi pomóc? Ty, który jesteś tak biegły w tej materii?

– Widzisz, Davie, nie byłem podówczas tutaj. Znajduję się więc w położeniu dowódcy w polu, którego wszyscy zwiadowcy są ślepi; cóż więc mogę wiedzieć o tym, jaką należałoby zastosować taktykę? Ale wydaje mi się oczywiste, że niezdarnie rozegrałeś tę partię, i będąc na twoim miejscu, spróbowałbym szczęścia raz jeszcze.

– Doprawdy?

– Oczywiście!

Trzeci list od Jamesa More'a otrzymałem w chwili, gdy byliśmy pogrążeni w tego rodzaju dyskusji, co, jak tego dowiodły wypadki, okazało się nader szczęśliwym zbiegiem okoliczności. James wyrażał pewien niepokój na temat zdrowia Katriony, zapewniał nader wylewnie o serdeczności swych dla mnie uczuć i wreszcie proponował, abym ich odwiedził w Dunkierce.

*Ciesz się pan teraz – pisał – kompanią mego starego druha, pana Stewarta; dlaczego nie miałby panu towarzyszyć aż do nas w drodze powrotnej do Francji? Mam mu coś bardzo ważnego do zakomunikowania, a w każdym*

*razie rad bym spotkać tak godnego jak pan Stewart towarzysza broni. Co zaś do drogiego pana, zarówno moja córka, jak i ja za zaszczyt sobie poczytywać będziemy podejmowanie naszego dobroczyńcy, którego za brata i syna uważamy. Francuski szlachcic okazał się obrzydliwym sknerą i musiałem opuścić jego stadninę. Na skutek czego znajdzie pan nas cokolwiek ubogo zakwaterowanych w oberży niejakiego Bazina, położonej wśród piaszczystych wydm nad samym brzegiem morza. Wszystko inne natomiast sprzyja pańskiej u nas wizycie i nie wątpię, że miło czas spędzimy: pan Stewart i ja gawędząc o naszych dawnych wojennych przygodach, pan zaś i moja córka oddając się rozrywkom bardziej stosownym w waszym wieku. O ile by panu coś stanęło na przeszkodzie, pragnąłbym jednak bardzo widzieć tutaj pana Stewarta. Sprawa, jaką mu zamierzam przedstawić, otwiera niemałe możliwości.*

– Czego on chce ode mnie? – zawołał Alan po przeczytaniu tego listu. – Czego chce od ciebie, jest oczywiste: wyłudzić nieco pieniędzy, ale co on może mieć do powiedzenia Alanowi Breckowi?

– Ba, to tylko pretekst. James usiłuje nadal sklecić to małżeństwo, a i ja niczego bardziej nie pragnę. Zaprasza ciebie, sądzi bowiem, że w twoim towarzystwie łatwiej się zdecyduję na tę podróż.

– Hm.. wolałbym jednak wiedzieć, co się tam święci. Nigdy nie było pomiędzy nami najmniejszej zażyłości, a nawet warczeliśmy na siebie wzajemnie jak dwa kundysy! On powiada, że ma mi coś do zakomunikowania! Będę go miał ochotę zapewne kopnąć w pośladki, zanim zakończy się nasza rozmowa. Jednakże pojechać tam i przekonać się, co on knuje, to może być niezgorsza zabawa. A przy tej okazji poznam twoją dziewczynę. Cóż ty na to, Davie? Pojedziemy?

Nie trzeba mnie było zbytnio zachęcać. Urlop Alana dobiegał końca, wyruszyliśmy więc niezwłocznie do Francji.

Dotarliśmy do Dunkierki o zmierzchu styczniowego dnia. Pozostawiliśmy nasze konie na poczcie i wystaraliśmy się o przewodnika, który podjął się nas zaprowadzić do oberży Bazina, leżącej poza obrębem murów miejskich. Noc już zapadła, gdy opuszczaliśmy twierdzę i przechodząc przez most, słyszeliśmy, jak zawierają za nami bramy. Przez czas jakiś szliśmy oświetlonym przedmieściem, po czym skręciliśmy w mroczną uliczkę. Wkrótce pogrążyliśmy się w zupełną ciemność, zaczęliśmy grzęznąć w głębokim piasku, a do naszych uszu doszedł szum morza. Wędrowaliśmy tak dosyć długo za naszym przewodnikiem, który kierował nami przeważnie głosem i już zacząłem podejrzewać, że zabłądził, gdy dojrzałem na szczycie niewielkiego wzgórza, ujrzałem migające z oddali niki światło.

– *Voilà l'auberge à Bazin* – rzekł przewodnik. Alan cmoknął głośno. – Cóż to za jakieś dziwne pustkowie – rzekł i głos jego zdradzał jakby złość czy niepokój.

Niebawem znaleźliśmy się wewnątrz jednorodzinnego domku; w obszernej izbie, skąd prowadziły schody do pokoiów na piętrze, stały wzdłuż ścian stoły i ławy; po jednej stronie kominek służący do gotowania strawy, po drugiej półki zastawione butelkami i drzwi prowadzące do piwnicy. Oberżysta Bazin, rosły mężczyzna o twarzy budzącej nieufność, oświadczył nam, że szkocki dżentelmen wyszedł, nie wiadomo dokąd, młoda lady natomiast jest na górze i że zawiadomi ją o naszym przybyciu.

Wydobyłem z zanadru chusteczkę z obciętym rogiem i zawiązałem ją sobie na szyi. Słyszałem wyraźnie bicie własnego serca i z trudem powstrzymałem się od nawymyślenia Alanowi, gdy poklepał mnie po ramieniu wypowiadając jakieś okolicznościowe facecje. Nie czekaliśmy długo. Usłyszałem jej kroki nad nami i ujrzałem ją schodzącą bez pośpiechu ze scho-

dów. Powitała mnie z pobladłą twarzą, ni to zakłopotana, ni uradowana, tak właśnie, jak to zwykła czynić, gdy jej zależało, by mnie zbić z pantałyku.

– Mój ojciec, James More – rzekła – nadejdzie za chwilę i ucieszy się wielce... – Wtem policzki jej zapałyły rumieńcem, oczy rozbliły, a słowa zamarły na ustach. Dostrzegła, byłem tego pewien, chustkę na mojej szyi. Opanowała się natychmiast, ale zdawało mi się, że zwróciła się do Alana z większym niż poprzednio ożywieniem. – A więc to pan jest Alan Breck? Miło mi jest powitać przyjaciela mego ojca. Słyszałam nieraz, jak o panu opowiadał, ja zaś już od tej chwili kocham pana za jego odwagę i dobroć.

– Ho, ho – odrzekł Alan wpatrując się w Katrionę i przytrzymując długo jej dłoń w swojej ręce – a więc nareszcie mogę na własne oczy oglądać ową młodą lady! Davie, mój chłopcze, cóż z ciebie za partacz, gdy ci przychodzi kogoś słowami odmalować!

Nigdy go chyba nie słyszałem przemawiającego tak prosto do czyjegoś serca; a głos jego dźwięczał jak pieśń.

– Jak to?! – zawołała Katriona. – Czyżby pan Dawid mówił o mnie?

– Bez mała o niczym innym nie mówił od czasu, gdy opuściłem Francję, a i przedtem usłyszałem o tobie coś niecoś, w Szkocji, pewnej nocy, koło Silvermills. Lecz nie martw się, ślicznotko, jesteś o wiele ładniejsza, niż on to mówił. Od tej chwili jedno jest pewne: ty i ja będziemy przyjaciółmi. Jestem tutaj w roli giermka, na usługach Dawida; włóczę się tuż za nim jak pies myśliwski za swoim panem. I do kogokolwiek on pała afektem i mnie tę osobę wypada miłować i... na wszystkich świętych! od niej się afektu spodziewam! A zatem wiesz już teraz, kim jest dla ciebie Alan Breck, i przekonasz się, że dobrze na tym wyjdiesz. Nie jestem urodziwy, ale oddany całą duszą tym, których miłuję.

– Dziękuję z całego serca za miłe słowa; usłyszeć je z ust tak walecznego i zacnego kawalera jest takim dla mnie zaszczytem, iż na odpowiedź zdobyć się nie potrafię.

Korzystając z przysługującej podróżnym swobody zasiedliśmy we trójkę do stołu, nie czekając na Jamesa More'a. Alan posadził Katrionę koło siebie i prosił, aby mu usługiwała; sam zaś częstował ją winem z własnej szklanki, prawilł przeróżne dusery i zabawiał ją z wyszukaną galanterią; a to wszystko w taki sposób, że ani razu nie wywołał we mnie uczucia zazdrości. Wziął na siebie cały ciężar rozmowy i prowadził ją tak zręcznie i tak wesoły wywołując nastrój, że Katriona i ja zapomnieliśmy całkowicie o tym, co zaszło pomiędzy nami, i nie czuliśmy się ani odrobinę zakłopotani. Ktokolwiek by nas widział wówczas siedzących przy stole, musiałby uznać Alana za starego przyjaciela Katriony, mnie zaś za nieznanego jej przybysza. Zaiste miałem już nieraz powody, by podziwiać i kochać mego przyjaciela, nigdy jednak nie podziwiałem go i nie kochałem bardziej niż tego wieczoru. I chcąc nie chcąc musiałem sobie powiedzieć (a zbyt często pozwalałem sobie o tym zapominać), że Alan nie tylko rozporządzał większym ode mnie doświadczeniem życiowym, ale był również na swój sposób, wszechstronniej ode mnie uzdolniony. Katriona zdawała się być zupełnie oczarowana; śmiech jej rozbrzmiewał jak dźwięk dzwonów, twarz jaśniała jak majowy poranek. I muszę wyznać, że chociaż byłem tym uradowany, odczuwałem chwilami coś jakby lekki smutek, jako że w porównaniu z moim przyjacielem miałem się za nieokrzesanego, nudnego prostaka, który nie powinien ubiegać się o rękę tak młodej dziewczyny w obawie, iż nie potrafi sprostać jej wesołości.

Lecz jak się wkrótce okazało, nie tylko ja tego wieczoru miałem być smutny i zafrasowany. Gdy bowiem James More nadszedł nagle, jego córka zamieniła się w kamienny posąg. Przez resztę wieczoru, aż do chwili, gdy przeprosiła nas i odeszła na spoczynek, nie spuszczałem z niej oka i mogę stwierdzić, że nie uśmiechnęła się ani razu, prawie nie brała udziału w rozmowie i rzadko kiedy odrywała wzrok od desek stojącego przed nią stołu. Dziwiłem się, że Katriona, która tak niedawno jeszcze okazywała ojcu tyle miłości i przywiązania, potrafiła go aż tak znieawidzić.

Nad Jamesem More'em nie warto się dłużej rozwodzić. Znać już dostatecznie tego człowieka i obrzydło mi opisywanie jego łgarstw. Wypił niemało tego wieczora i gadał przeważnie od rzeczy. O sprawie zaś, jaką miał przedstawić Alanowi, wspomniał raz tylko, prosząc go o rozmowę nazajutrz, w cztery oczy.

Zgodziliśmy się na to tym chętniej, że obaj z Alanem byliśmy zmęczeni całodzienną podróżą i po odejściu Katriony nie siedzieliśmy już długo przy stole.

Gdy znaleźliśmy się sami w izbie, gdzie mieliśmy podzielić jedyne stojące tam łóżko, Alan spojrzał na mnie z zagadkowym uśmiechem.

– Ty ośle skończony! – rzekł.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Co chcę powiedzieć? Davie, mój chłopcze, jesteś wprost nieprawdopodobnie głupi.

Prosiłem go znowu, by zechciał się jaśniej wypowiedzieć.

– No cóż – rzekł – powiedziałem ci już, że na tym świecie są dwa tylko rodzaje kobiet: te, co sprzedadzą dla ciebie ostatnią kieckę, i te drugie. Musisz się sam nauczyć je odróżniać. A co to za szmata na twojej szyi?

Opowiedziałem mu dzieje chustki Katriony.

– Domyślałem się, że to coś podobnego – rzekł.

I aczkolwiek długo jeszcze nagabywałem go i dręczyłem pytaniami, nic więcej nie zdołałem z niego wydobyć.

## XXX. LIST Z OKRĘTU

Dopiero w świetle dziennym zdaliśmy sobie sprawę, na jakim znaleźliśmy się odludziu. Oberża stała na samym wybrzeżu, a jednak morza nie było z niej widać zupełnie, gdyż otaczały ją zewsząd piaszczyste wydmy. Nic nie urozmaicało tego monotonnego krajobrazu, jak tylko dwa skrzydła wiatraka, zbudowanego na pobliskim wzgórzu, wystające z ponad niego jak osłe uszy, z tym, że sam osioł pozostawał całkowicie niewidoczny. Dziwny to był widok, gdy po zerwaniu się wiatru (początkowo bowiem panowała zupełna cisza) skrzydła zaczęły się kręcić i wychylały się kolejno zza szczytów wzgórza. Nigdzie dokoła nie było żadnej drogi; za to wśród wydm biegły z różnych stron ścieżki prowadzące do drzwi pana Bazina. Nie ograniczał się bowiem do zawodu oberżysty; z licznych uprawianych przez niego procederów żaden nie zasługiwał na miano uczciwego i głównym źródłem jego dochodów było położenie jego domu. Chętnie bywali tam przemytnicy, agenci polityczni i banicy wybierający się po kryjomu, poprzez kanał La Manche, do Wielkiej Brytanii. Nie zdziwiłbym się zresztą, gdyby i gorsze rzeczy działy się w jego oberży, całą bowiem rodzinę można by tam wymordować, niczyjej nie zwracając uwagi.

Źle i krótko spałem tej nocy. Nie świeciło jeszcze, gdy pozostawiłem Alana śpiącego w naszym wspólnym łóżu, sam zaś bądź grzałem się przy kominku, bądź przechadzałem się przed domem. Dzień zapowiadał się ponury; wkrótce jednak zerwał się wiatr z zachodu, rozdarł chmury, uwolnił słońce i zmusił wiatrak do pracy. Było coś wiosennego w tym słonecznym blasku, a może tylko w moim sercu, i kolejne ukazywanie się zza wzgórza skrzydeł wiatraka bawiło mnie szczerze. Chwilami dochodził mnie turkot młyńskich kamieni, a o wpół do dziewiątej usłyszałem wewnątrz domu śpiew Katriony, co napełniło mnie taką radością, że chętnie wyrzuciłbym w górę swój kapelusz, i ta pępna okolica wydała mi się rajem.

W miarę jednak jak dniało i nigdzie nie dostrzegałem żywej duszy, zacząłem odczuwać tajemniczy niepokój, jakby czyhało tam na nas jakieś niebezpieczeństwo. Wyglądające raz po raz zza wzgórza skrzydła wiatraka zdawały się mnie szpiegować, a pomijając już wszelką grę wyobraźni, dręczyło mnie przekonanie, że ten dziwny dom i okolica nie są odpowiednim miejscem zamieszkania dla młodej panienki.

Przy późnym śniadaniu wyczuwało się wyraźnie, że James More czegoś się obawia lub nad czymś się zastanawia oraz że Alan zdaje sobie z tego sprawę i bacznie śledzi każdy jego ruch; obserwując te objawy dwulicowości z jednej i czujności z drugiej strony, siedziałem jak na rozżarzonych węglach. Za ledwie zakończyliśmy posiłek, James powziął widocznie jakąś decyzję, gdyż zaczął nas przeproszać, że przez kilka godzin nie będzie mógł nam towarzyszyć, musiał jakoby spotkać się z kimś w mieście (mnie powiedział, że z owym francuskim szlachcicem) w jakiejś prywatnej i pilnej sprawie. Tymczasem odciągnął córkę na bok, w najodleglejszy kąt pokoju, gdzie coś jej natarczywie tłumaczył, ona zaś słuchała niechętnie.

– Coraz większe czuję oburzenie do tego Jamesa – rzekł Alan – on tu coś knuje i wolę go dzisiaj mieć na oku. Chciałbym zobaczyć, jak wygląda ów francuski szlachcic. Ty również, Davie, nie masz czasu do stracenia, powinieneś wybadać dziewczynę, zmiarkować, jak twoje sprawy stoją. Na początek powiedz jej po prostu, że dotychczas zachowywałaś się względem



niej jak skończony osioł, a potem – o ile potrafisz to powiedzieć naturalnym głosem – napomknij leciutko, że grozi ci jakieś niebezpieczeństwo. Białogłowy to lubią.

– Nie umiem kłamać naturalnym głosem – odciąłem mu się z przyjemnością.

– Tym gorzej dla ciebie! W takim razie powiedz jej, że mówisz na moje zlecenie. To ją rozśmieszy i nie zdziwiłbym się, gdyby to było drugie z rzędu najlepsze nawiązanie z nią rozmowy. Przedziwna para ten ojciec i córka! Gdybym nie był taki pewny tej dziewczyny, gdybym nie był tak pewny, że ona serdecznie mnie polubiła, podejrzewałbym, że jakieś łajdactwo tu się święci.

– Więc ona tak ciebie lubi, Alanie?

– Ona mnie nie tylko lubi, ale i podziwia, i nie jestem takim jak ty głąbem, aby o tym nie wiedzieć. Umieć poznać się na tym. Wiem, że ona... że ona uważa Alana Brecka za czarującego człowieka, a zresztą jestem o nim tego samego zdania. A teraz, z twoim pozwoleniem, pomyszkuję nieco pomiędzy tymi wzgórzami, aby się przekonać, co porabia James.

Pozostałem sam przy stole: James poszedł do Dunkierki, Alan wyruszył ukradkiem w ślad za nim, Katriona zaś powróciła do swego pokoju na piętrze. Jej niechęć do pozostania ze mną sam na sam była najzupełniej zrozumiała, złościło mnie to jednak i postanowiłem ją zmusić do rozmówienia się ze mną przed powrotem obu mężczyzn. Nie wiedziałem, jak się do tego zabrać, i wreszcie doszedłem do wniosku, że jeśli tylko zniknę wśród wydm, co właśnie uczynił Alan, piękny poranek powinien wywabić ją z domu. Na otwartej zaś przestrzeni nie mogła mi się wymknąć i chcąc nie chcąc musiałaby mnie wysłuchać.

Wykonałem ten plan niezwłocznie i zasiadłem ukryty u stóp pobliskiego wzgórza. Wkrótce potem Katriona ukazała się na progu oberży, rozejrzała się dokoła i nie widząc nikogo poszła ścieżką prowadzącą prosto nad morze. Ruszyłem za nią. Nie zależało mi na rychłym ujawnieniu się, im dalej bowiem odchodziła, tym więcej miałbym czasu, aby przemówić jej do serca; a że grunt był piaszczysty, z łatwością szedłem za nią bez szmeru. Ścieżka wznosiła się łagodnie i doprowadziła wreszcie do małego wzgórzka. Tam dopiero uświadomiłem sobie, w jak zupełnym znajdowaliśmy się pustkowiu. Nigdzie, jak okiem sięgnąć w głąb lądu, żadnej ludzkiej istoty, żadnej ludzkiej siedziby, nic – tylko wiatrak i oberża Bazina. Nieco dalej przed nami rozpościerało się morze, a na nim, jak na ślicznym obrazku, rysowały się sylwetki kilku żaglowców. Jeden z nich znajdował się wyjątkowo blisko brzegu, jak na tak wielki okręt, i nagle okropne podejrzenie wstrząsnęło mną do głębi; rozpoznałem bowiem zarys masztów, rej i olinowania fregaty „Seahorse”. Cóż angielski okręt wojenny mógł robić u samych brzegów Francji? Dlaczego Alan został zaproszony tutaj właśnie, w najbliższe sąsiedztwo tego okrętu, do miejsca, gdzie znikąd nie mógł liczyć na ratunek? Czy to przypadek zrządził, że córka Jamesa More’a wyszła tego dnia na przechadzkę nad morze? Czy też uczyniła to rozmyślnie? I w jakim celu?

Idąc wciąż za nią, znalazłem się u szczytu wzgórz wznoszących się nad długą plażą; u jej brzegu kołysała się łódź pełna uzbrojonych marynarzy, a dowodzący nią oficer przechadzał się po piasku, jakby na kogoś oczekiwał. Usiadłem w miejscu, gdzie kępy ościstej trawy zapewniały mi jaką taką kryjówkę, i czekałem, co dalej nastąpi. Katriona podeszła prosto do łodzi; oficer powitał ją uprzejmie; zamienili słów kilka; widziałem, jak list przechodził z ręki do ręki. Po czym Katriona ruszyła z powrotem. W tej samej chwili, jakby o to tylko chodziło, łódź odbiła od brzegu i skierowała się ku fregacie. Zauważyłem jednak, że oficer pozostał na brzegu i zniknął gdzieś wśród wydm.

To wszystko wydało mi się bardzo podejrzane, a im bardziej się nad tym zastanawiałem, tym gorsze ogarniały mnie obawy. O kogo temu oficerowi chodziło: o Alana? Czy o Katrionę?

Zbliżała się do mnie z opuszczoną głową, wpatrzona w piasek i tak mnie rozczulił ten widok, że nie mogłem już wątpić w jej niewinność. W następnej chwili podniosła głowę i dostrzegła mnie; zawahała się, lecz szła dalej, nieco wolniej, i zdawało mi się, że zaróżowiły się

jej lica. Na myśl o tym wszystko, co mi ciążyło na sercu – obawy, podejrzenia, troska o życie mego przyjaciela – rozwiało się w okamgnieniu. Zerwałem się na równe nogi i stałem czekając na nią oszołomiony miłością, pijany nadzieją.

Powitałem ją zwykłym „dzień dobry”, na co mi odpowiedziała bardzo spokojnie tym samym grzecznościowym zwrotem.

– Wybaczysz mi chyba, że poszedłem za tobą?

– Wiem, że masz zawsze dobre intencje – odpowiedziała, po czym dodała cokolwiek wzburzoną głosem:

– Ale dlaczego posyłasz mi pieniądze? To się nie godzi.

– Nie dla niego są przeznaczone, ale dla ciebie, wiesz o tym.

– Nie masz prawa posyłać pieniędzy ani jemu, ani mnie.

– Masz rację i proszę Boga, aby (jeśli to możliwe) dopomógł mi, nieszczęsnemu głupcowi, w naprawieniu wszystkiego, co się stało. Katriono, to nie jest stosowne dla ciebie życie i, wybacz mi te słowa, twój ojciec nie jest godzien opiekować się tobą.

– Nie wspominaj mi o nim! Ani słowa!

– Zapewniam cię, że nie o niego mi chodzi, nie o nim myślę bez ustanku. Przebywałem samotnie w Leyden czas jakiś, usiłowałem zabrać się poważnie do studiów, ale myślałem tylko o tobie. Potem przyjechał Alan i zabawialiśmy się hucznie z jego kolegami, wojskowymi, a ja wciąż myślałem tylko o tobie, tak samo jak wtedy, gdy byliśmy razem. Katriono, widzisz tę chustkę na mojej szyi? Odciełaś z niej kiedyś rąbek, lecz odrzuciłaś go precz od siebie. To są twoje barwy, noszę je na sercu. Droga moja, nie mogę żyć bez ciebie. Powrót do mnie!

Stanałem przed nią tak, aby jej zagrozić drogę.

– Wybacz mi wszystko i bądźmy znów razem – powtórzyłem parę razy błagalnie.

Nie odzywała się ani słowem i lęk mnie ogarnął tak przemożny, jak lęk przed śmiercią.

– Katriono! – zawołałem nie spuszczać z niej oczu. – Czy to znowu nieporozumienie? Czy żadnej nie pozostawisz mi nadziei?

Podniosła ku mnie oczy i wyszeptala cichutko: – Czy chcesz mnie, Davie? Chcesz mnie naprawdę?

– Kocham i pragnę, wiesz o tym.

– Nic mi nie pozostało, co bym ci mogła ofiarować lub odmówić. Byłam twoja od pierwszego dnia, gdybyś mnie tylko zechciał wówczas przyjąć w podarunku!

Staliśmy na otwartym szczycie wzgórza; wiatr hulał dokoła. Zewsząd można nas było dojrzeć, nawet z angielskiego okrętu; lecz ukląknę przed nią na piasku, całowałem jej kolana i szlochałem, aż mi tchu w piersiach zabrakło. Wszelkie myśli odbiegły daleko ode mnie, tak gwałtowne miotało mną uczucie; nie wiedziałem, gdzie jestem, dlaczego jestem tak szczęśliwy; czułem tylko, że pochyliła się ku mnie, głaskała moje włosy, tuliła do siebie i słyszałem jakby z oddali jej słowa.

– Więc kochasz mnie, Davie? I przedtem mnie kochałeś nieszczęsną? Davie! Mój Davie!

Katriona rozplakała się również i łzy nasze połączyły się w szczęściu.

Była już może godzina dziesiąta rano, gdy oprzytomniałem na tyle, by jasno sobie uświadomić, jak wielkiej dostąpiłem łaski; siedziałem koło niej, patrzyłem w jej oczy, śmiałem się głośno jak dziecko, przemawiałem do niej pieśczośliwie i nedorzecznie. Nie widziałem nigdy piękniejszego ustronia niż te piaszczyste wydmy dokoła Dunkierki, a furkot skrzydeł wiatra kręcących się nad pagórkami brzmiał w moich uszach jak muzyka.

Zapomnieliśmy o wszystkim, oprócz siebie, i nie wiem, jak długo by to jeszcze trwało, gdyby nie przypadkowa z mojej strony wzmianka o jej ojcu, która sprowadziła nas z powrotem na ziemię.

– Moja mała przyjaciółko – mówiłem do niej raz po raz, rozkoszując się wywoływaniem w ten sposób przeszłości, wpatrując się w nią z zachwytem, to z dala, to z bliska. – Moja mała

przyjaciółko, teraz jesteś moja, wyłącznie i niepodzielnie moja, na zawsze. Nie należysz już więcej do niego ani trochę.

Katriona zbladła nagle i wyrwała swe dłonie z moich.

– Davie! Zabierz mnie od niego! – zawołała. – Coś strasznego się tu dzieje, jemu nie można wierzyć. Coś złego się stanie, czuję w sercu jakąś okropną grozę. Co on ma za konszachty z królewskim okrętem? O czym tu jest mowa? – I podała mi list. – Przeczuję, że Jan na tym ucierpi. Otwórz ten list, Davie, otwórz zobacz, co tam jest napisane.

Wziąłem list, obejrzałem go i zaprzeczyłem ruchem głowy.

– Nie – rzekłem – to się nie godzi, nie mogę otworzyć cudzego listu.

– Nawet gdy chodzi o ocalenie twojego przyjaciela?

– Nie wiem, wydaje mi się, że nie. Gdybym tylko był pewien!

– Złam pieczęć, a zaraz się dowiesz!

– Wiem o tym, ale niegodny to byłby z mojej strony postępek.

– Daj mi list, a otworzę go sama.

– Ty również, zwłaszcza ty, nie możesz tego uczynić. Ten list jest skierowany do twego ojca, w grę wchodzi jego honor, a oboje wątpimy w jego uczciwość. Ta okolica jest rzeczywistości niebezpieczna, a ponadto znajduje się tu angielski okręt; twój ojciec otrzymał od nich jakąś wiadomość, a ten oficer pozostał na wybrzeżu! On chyba nie jest tutaj sam, ma więcej ludzi ze sobą, kto wie, czy nie szpiegują nas w tej chwili. Tak, ten list należałoby niewątpliwie jakoś otworzyć, ani tobie jednak, ani mnie nie wypada tego uczynić.

W takiej to będąc pogrążony rozterce, potęgowanej poczuciem otaczającego nas niebezpieczeństwa ze strony ukrytych wrogów, dostrzegłem Alana, który był wyruszył w ślad za Jamesem, powracającego samotnie wśród wydm. Wyglądał nader dostojnie w swym wojskowym płaszczu i zadrzałem na myśl, że mundur francuskiego oficera na nic mu się nie zda, jeśli go pojmają, wrzucą do łodzi i zabiorą na pokład fregaty „Seahorse” jako dezertera, rebelianta i skazanego ostatnio mordercę.

– Oto jest człowiek – rzekłem – który ma pełne prawo ten list otworzyć lub nie, według swego uznania.

Po czym zawołałem go po imieniu i powstaliśmy oboje, by mu wskazać, gdzie jesteśmy.

– A jeśli to... jeśli to jeszcze jedną hańbę dla mnie oznacza... czy nie porzucisz mnie? – zapytała Katriona, spoglądając na mnie płomiennymi oczyma.

– Postawiono mi to samo pytanie wtedy, gdy widziałem cię raz tylko. Jak myślisz, co odpowiedziałem? Że jeśli nie myślę się w mojej miłości do ciebie – a dzisiaj kocham cię o wiele więcej niż wtedy – jestem gotów cię poślubić nawet u stóp szubienicy.

Twarz jej rozkwitła rumieńcem, przytuliła się do mnie trzymając mnie za rękę i w takiej postawie czekaliśmy, aż Alan się zbliży.

Podszedł do nas z ironicznym, typowym dla niego uśmiechem.

– A nie mówiłem ci, Davie? – rzekł.

– Na wszystko jest czas, Alanie, a w tej chwili chodzi o coś poważniejszego. Jak ci się powiodło? Możesz mówić otwarcie przed naszą wspólną przyjaciółką.

– Wróciłem z kwitkiem – odpowiedział.

– My natomiast spisaliśmy się o wiele lepiej i mamy niejedno do poddania ci pod rozwagę. Spójrz no tam – i wskazałem mu okręt. – To jest fregata „Seahorse”, dowodzi ją kapitan Palliser.

– Ja również ją poznałem. Miałem z nią sporo kłopotów, gdy patrolowała zatokę Forth. Ale co Palliserowi do łba strzeliło, że podpłynął tak blisko?

– Powiem ci przede wszystkim, dlaczego tu się znalazł. Przywiózł list do Jamesa More’a. Dlaczego zaś tu pozostał po oddaniu tego listu, jakie żywi zamiary, dlaczego jeden z jego oficerów ukrywa się gdzieś tutaj wśród wydm i czy jest sam, czy też w liczniejszej kompanii wolałbym, abyś się nad tym sam zastanowił.

– List do Jamesa More’a?  
– Tak, do niego właśnie.  
– Mogę ci coś więcej powiedzieć. Ostatniej nocy, podczas gdy ty chrapałeś smacznie, slyszalem, jak James rozmawiał z kimś po francusku, po czym drzwi oberży otworzyły się i zamknęły.  
– Alanie! Spałeś przez całą noc i jestem tego świadkiem.  
– Tak, ale nikt nigdy nie wie, kiedy Alan śpi, a kiedy czuwa. Nie podoba mi się to wszystko. Pokaż ten list.  
Wręczyłem mu go.  
– Droga Katriono – rzekł – wybac mi, proszę, ale chodzi mi o mnie, nie o więcej tylko o moją skórę i muszę złamać tę pieczęć.  
– Takie jest i moje życzenie – odpowiedziała.  
Otworzył list, przebiegł oczyma jego treść i machnął ręką zamazyście.  
– A to łotr spod ciemnej gwiazdy! – rzekł i wcisnął papier do kieszeni. – Musimy niezwłocznie pozbierać nasze manatki. To miejsce jest dla mnie śmiertelną pułapką. – I ruszył w kierunku oberży.  
Katriona pierwsza przerwała milczenie: – Sprzedał cię? – zapytała.  
– Tak, moja droga, sprzedał mnie z kretelem. Ale dzięki tobie i Dawidowi mogę go jeszcze wystrychnąć na dudka! Niech tylko dopadnę mego konia.  
– Katrionę musimy zabrać ze sobą – powiedziałem – nie może mieć nic więcej do czynienia z tym człowiekiem. Postanowiliśmy się pobrać.  
Co słysząc przywarła silniej do mego ramienia.  
– A więc już i do tego doszło? – rzekł Alan. – Nigdy jeszcze nie spędziłeś dnia tak pożytecznie. Co tu gadać, dobrana będzie z was para.  
Idąc za Alanem znaleźliśmy się w pobliżu wiatraka; dostrzegłem tam mężczyznę w marynarskich spodniach, wyglądającego ostrożnie zza węgła, w kierunku oberży.  
– Spójrz no tam, Alanie – rzekłem.  
– Sza – odpowiedział. – To moja sprawa. Nie widział nas, gdyż nadchodziliśmy z przeciwnej strony. Turkot kamieni młyńskich tłumiał odgłos naszych kroków, tak iż zauważył nas dopiero, gdy byliśmy tuż za nim. Był to wysoki drab o twarzy opalanej na kolor mahoni.  
– Zdaje mi się, że pan dobrodziej rozumie po angielsku – zwrócił się do niego Alan.  
– *Non, monsieur* – odrzekł z okropnym akcentem.  
– *Non, monsieur!* – zawołał Alan przedrzeźniając go. – To tak was uczą po francusku na „Seahorse”? Ty gnojku, posmakuj szkockiego buta na angielskim kuprze!  
I zanim marynarz zdołał ruszyć się z miejsca, Alan skoczył ku niemu i jednym kopnięciem zwałił go z nóg. Po czym przyglądał się z drapieżnym uśmiechem, jak jego ofiara powstaje z trudem i umyka gdzieś pomiędzy wydmy.  
– Czas już najwyższy, abym pożegnał tę pustynię – rzekł Alan i pobiegł co sił w nogach, a my za nim, do tylnych drzwi oberży Bazina.  
Tak się złożyło, że w chwili gdy przekraczaliśmy próg jednych drzwi, James More wchodził przez drugie.  
– Leć na górę – rzekłem do Katriony – szybko! Spakuj swoje rzeczy! Nic tu po tobie.  
Tymczasem James More i Alan spotkali się na środku obszernej izby. Katriona przeszła koło nich, kierując się ku schodom, a gdy znalazła się w ich połowie, odwróciła się i spojrzała na obu mężczyzn, nie zatrzymując się jednak. Zaiste warto było na nich popatrzeć. Alan przybrał postawę nacechowaną wszelkimi pozorami wyszukanej kurtuazji, ale było coś tak wojowniczego w wyrazie jego twarzy, że James zwąchał niebezpieczeństwo, jak dym zwiastujący pożar, i miał się na baczności.

Czas naglił. Sytuacja Alana w tym odludnym miejscu, otoczonym przez jego wrogów, nappełniałaby grozą samego Cezara. Alan jednak nie przejął się tym w najmniejszej mierze i rozpoczął rozmowę na swój zwykły, kpiarski i buńczuczny sposób.

– Miło mi jest ponownie pana powitać, panie Drummond. Piękny mamy dzisiaj dzionek. A może byśmy tak pogadali o tej wiadomej panu sprawie?

– To dosyć długa i raczej poufna historia; zdaje mi się, że nic nie stracimy, odkładając ją do poobiedniej pory.

– Nie jestem o tym aż tak przekonany, a to dlatego, że pan Balfour i ja otrzymaliśmy pewną wiadomość i pilno nam w dalszą drogę.

Dostrzegłem leciutki błysk zdziwienia w oczach Jamesa, opanował się jednak niezwłocznie.

– Wystarczy jedno słowo z mojej strony – rzekł – by pana nakłonić do zabawienia tu nieco dłużej, wystarczy, abym powiedział w czym rzecz.

– Proszę więc powiedzieć to słowo. Davie słucha, ale mniejsza z tym.

– Mam na myśli coś, co może nas obu uczynić bogatymi ludźmi.

– Słucham skwapliwie! – wykrzyknął Alan.

– Do pańskich usług; otóż chodzi o skarb Cluny’ego.

– Jak to? Pan wie, gdzie go szukać?

– Znam to miejsce, panie Stewart, i mogę pana tam zabrać ze sobą.

– Niesłychane! Jak to dobrze, że przyjechałem do Dunkierki. A więc o to panu chodziło. Sądzę, że podzielimy się po połowie?

– To właśnie chciałem panu zaproponować.

– No, no – rzekł Alan, po czym dodał z tą samą, jakby dziecinną ciekawością: – A więc nie ma pan nic wspólnego z fregatą „Seahorse”?

– Z czym? – zapytał James.

– Ani z tym hultajem, którego kopnąłem we wskazane po temu miejsce tam przy wiatraku? – ciągnął dalej Alan. – Dosyć tych łgarstw! Mam tu w trzosie list Pallisera. Wszystko się wydało. James More stracił cześć ostatecznie i nie pokaże się już nigdy wśród przyzwoitych ludzi.

James był całkowicie zaskoczony; stał blady i nieruchomy, jakby napęczniały wściekłością.

– Do mnie tak przemawiasz, nieprawo synu? – wrzasnął.

– Wieprzu nieczysty! – zawołał Alan i uderzył go pięścią w same usta; nie minęła sekunda, a skrzyżowały się klingi ich szpad.

Na pierwszy odgłos szczęki stali odskoczyłem instynktownie do tyłu. W następnej chwili widziałem, jak James paruje pchnięcie, które przeszło tak blisko jego piersi, że byłem pewien, iż padnie trupem, i uświadomiwszy sobie, że jest on przecież ojcem Katriony i w pewnym sensie moim własnym, wyrwałem szpadę z pochwy i rzuciłem się, by ich rozdzielić.

– Odstąp, Davie! Czyś oszalał? – ryczał Alan. – Wynos się stąd do wszystkich diabłów! Krew twoja na twoją spadnie głowę!

Dwukrotnie zbiłem w dół ich klingi; odepchnęli mnie, aż zatoczyłem się na ścianę, ale znowu wdarłem się pomiędzy nich. Nie liczyli się ze mną zupełnie, tylko miotali się jak opętańcy, zadając i parując ciosy. Nigdy nie zrozumieć, w jaki sposób uniknąłem ostrzy ich szpad w tej kotłowaniu oraz jak to się stało, że nie zraniłem żadnego z nich własną bronią. Cała ta bójka wydawała mi się jakaś nierealna. Wtem usłyszałem krzyk od strony schodów; Katriona skoczyła pomiędzy walczących i zasłoniła swym ciałem ojca. W tej samej chwili ostrze mojej szpady natknęło się na coś miękkiego. Cofnąłem ją, zakrwawioną, dostrzegłem czerwoną plamę na chustce Katriony; przerażony zastygłem w bezruchu.

– Czy zabijesz go na moich oczach?! – zawołała. – Pomnij, że jestem przecież jego córką.

– Droga moja – odrzekł Alan – nie chcę już mieć z nim nic do czynienia. – Po czym odszedł, usiadł przy stole i skrzyżował ręce, trzymając nadal obnażoną szpadę w dłoni. Katriona stała przez chwilę przed ojcem, dysząc ciężko, z szeroko rozwartymi oczyma, wreszcie odwróciła się i spojrzała mu prosto w twarz.

– Precz stąd! – rzekła. – Twej hańby nie chcę już więcej oglądać. Jestem córką rodu Alpina! Tyś pohańbił synów Alpina, precz stąd!

Wypowiedziała to z taką pasją, że otrząsnąłem się ze zgrozy wywołanej widokiem krwi na mojej szpadzie. Ojciec i córka stali naprzeciw siebie: ona z czerwoną plamą na chustce, on biały jak płótno. Znałem go na tyle, aby wiedzieć, że jej słowa dopiekły mu do żywego; przybrał jednak arogancką minę.

– Jeśli ta bójka jest zakończona – rzekł wkładając szpadę do pochwy, lecz patrząc wciąż bystro na Alana – zabiorę swój mantelzak i...

– Pozostawi pan w mojej pieczy wszystkie swoje dobra doczesne – przerwał mu Alan.

– Panie Stewart!

– Pańska córka ma poślubić mego przyjaciela Dawida, co mając na względzie skłonny jestem darować cię zdrowiem. Radzę jednak, pókim dobry, nie narażać na dalsze ciągi pańskiej niewygarbowanej skóry. Wbrew temu, co pan sądzi, moja cierpliwość ma swoje granice.

– Ależ do kroćset, tam są moje pieniądze! – wybuchnął James.

– Bardzo mi przykro – odrzekł Alan ze swym drwiącym uśmiechem – ale od tej chwili te pieniądze są moje. – I dodał poważniejszym już głosem: – Posłuchaj pan mojej rady i wynoś się natychmiast z tego domu.

James zdawał się wahać przez chwilę; należy przypuszczać, że nabrał nie byle jakiego respektu dla sztuki szermierczej Alana, nagle bowiem zdjął kapelusz i złożony nam wszystkim kolejno (z twarzą potępieńca) pożegnalny ukłon, wyszedł z izby.

W tejże chwili odzyskałem przytomność umysłu, jakoby odszedł ode mnie zły urok.

– Katriono – zawołałem – jesteś ranna! To ja... to moja szpada!

– Wiem o tym, Davie, i kocham cię za ból, jaki mi zadałeś w obronie tego niecnego człowieka, mego ojca – i pokazała mi krwawiące draśnięcie. – Pasowałeś mnie na mężczyznę; będę dumna z tej blizny jak stary żołnierz.

Uradowany, że nic jej nie grozi, uniesiony miłością, pochwyliłem ją w ramiona i ucałowałem jej ranę.

– A czy ja mam nie brać udziału w tych całusach? – rzekł Alan. – Ja, który nigdy nie straciłem po temu okazji? – I odepchnąwszy mnie na bok ujął Katrionę za oba ramiona. – Droga moja – rzekł – jesteś godną córką Alpina. Ze wszystkiego, co o nim wiadomo, wynika, że wspaniałym był człowiekiem, a z ciebie może być tylko dumny. Jeśli kiedykolwiek przyjdzie mi ochota się żenić, to wśród takich jak ty dziewczoi będę szukał matki dla moich synów. Królewskie noszę nazwisko i prawdę powiadam.

Powaga, z jaką mówił, i szczery podziw brzmiący w jego głosie napelniły radością Katrionę, a przez to samo i mnie. Słowa Alana zdawały się nas oboje oczyszczać ze wszystkich bezceństw Jamesa More'a.

Po chwili Alan powrócił do swego zwykłego sposobu bycia i rzekł:

– Wszystko to bardzo pięknie, moi mili, ale Alan Breck znajduje się, jak na jego upodobania, cokolwieczek za blisko szubienicy. Uroczy to jest zakątek, ale czas najwyższy go opuścić.

Słowa te przywołały nas do rozsądku. Alan pobiegł na górę, skąd powrócił niosąc nasze torby podróżne i mantelzak Jamesa, ja zaś pochwyliłem porzucony przez Katrionę na schodach tobolek i wychodziliśmy właśnie z tego złowrogiego domu, gdy Bazin, złorzeczając i gestykulując, zagroził nam drogę. Siedział cicho jak trusia tak długo, jak szpady były w robocie, teraz jednak dorównywał śmiałością lwom. Rzeczywiście rachunek był niezapłacony,

jedno krzesło złamane, Alan usiadł wśród kuchennych statków z niemałą dla nich szkodą, a James More uciekł.

– Masz! – zawołałem. – To wszystko dla ciebie! – i rzuciłem mu parę luidorów, jako że niesposobna to była pora na obrachunki.

Bazin pochwyił pieniądze, my zaś minęliśmy go i wybiegliśmy na otwartą przestrzeń. Z trzech stron zbliżali się do domu szybkim krokiem marynarze, a nieco bliżej nas stał James More i machał kapeluszem, jakby zachęcając ich do pośpiechu. Wprost za jego plecami, jak ręce jakiejś pomyłonej osoby, ukazywały się raz po raz skrzydła wiatraka.

Alan raz tylko rozejrzał się dokoła i pomknął naprzód. Dźwigał niemały ciężar w postaci mantelzaka Jamesa More'a, ale nie wątpię, iż wolałby życie postradać, niż pozbyć się tego łupu – jedynej jego zemsty. Jednakże biegł tak szybko, że dotrzymywałem mu kroku z największym wysiłkiem i nie posiadałem się z radości i podziwu widząc, jak Katriona dzielnie nam sekunduje.

Zaledwie się ukazaliśmy, marynarze porzucili wszelkie pozory i puścili się za nami w po-goń pokrzykując jak naganiacze na polowaniu. W chwili gdy opuszczaliśmy oberżę, dzieliło nas od nich około dwustu jardów, lecz byli to ludzie nieprzywykli do poruszania się, a tym bardziej do biegania po łądzie, i w takim ćwiczeniu nie mogli nam sprostać. Sądzę, że byli uzbrojeni, woleli jednak nie używać swych pistoletów na francuskiej ziemi. Gdy zdałem sobie sprawę, że nie tylko utrzymujemy naszą początkową nad nimi przewagę, ale nawet oddalamy się nieco, przestałem się niepokoić o rezultat tego wyścigu. Mimo wszystko jednak niełatwy to się zapowiadał wyczyn, a do Dunkierki było wciąż daleko. Toteż gdy dopadliśmy małej kotliny i ujrzelśmy po jej drugiej stronie oddział maszerujących na ćwiczenia francuskich żołnierzy, należących do garnizonu twierdzy, oceniłem w pełni słusność słów wypowiedzianych przez Alana.

Na widok żołnierzy zatrzymał się natychmiast i rzekł, obcierając czoło:

– Ci Francuzi to doprawdy poczciwi ludziska.

## EPILOG

Zaledwie znaleźliśmy się w bezpiecznych murach Dunkierki, zasiedliśmy do narady wojennej, jak tego zaiste wymagała sytuacja. Odebraliśmy, z bronią w ręku, córkę ojcu; każdy sędzia kazałby oddać ją niezwłocznie z powrotem w jego ręce, Alan zaś i ja znaleźlibyśmy się prawdopodobnie w więzieniu. Mieliśmy co prawda przemawiający na naszą korzyść argument w postaci listu kapitana Pallisera, lecz ani Katriona, ani ja nie kwapiliśmy się nim posłużyć. Rozważywszy to wszystko, doszliśmy do wniosku, że najroztropniej będzie zawieźć dziewczynę do Paryża i powierzyć opiece wodza jej klanu, Macgregora z Bohaldie, o którym wiedzieliśmy, że chętnie dopomoże krewniaczce i że postara się uniknąć kompromitacji Jamesa.

Podróżowaliśmy powoli, Katriona bowiem umiała znacznie lepiej posługiwać się własnymi nogami niż jeździć konno i nie siedziała w siodle od czterdziestego piątego roku. Dobrze mieliśmy jednak wreszcie do Paryża w niedzielę, wczesnym rankiem i nie tracąc ani chwili udaliśmy się pod przewodem Alana, na poszukiwanie Macgregora z Bohaldie. Mieszkał w pięknym domu i żył wystawnie, jako że pobierał pensję ze Szkockiego Funduszu i rozporządzał ponadto własnymi źródłami dochodu. Powitał Katrionę, jakby należała do jego stałych domowników, zachowywał się pod każdym względem kurtuazyjnie i dyskretnie, nie okazując jednak skłonności do zwierzeń. Zapytaliśmy go, co się dzieje z Jamesem. – Biedny James – odpowiedział i pokręcił głową z uśmiechem, tak iż zdawało mi się, że wie coś więcej, woli jednak o tym nie mówić. Pokazaliśmy mu więc list Pallisera; przeczytawszy go zesepił się srodze.

– Biedny James – powtórzył. – Ha, cóż, są na tym świecie jeszcze gorsi ludzie od niego. To jednak jest doprawdy okropne, musiał kompletnie stracić głowę! Ten list jest w najwyższym stopniu sromotny, ale nie widzę powodów, abyśmy mieli dążyć do ujawnienia jego treści. Zły to ptak, co własne gniazdo kala, a wszyscy przecież jesteśmy góralami, synami szkockiej ziemi.

Byliśmy tego samego zdania, z wyjątkiem może Alana, a jeszcze większą jednomyślnością cieszyła się sprawa mego małżeństwa z Katrioną. Macgregor wziął wszystko na siebie, jakby James More w ogóle nie istniał, zaprowadził nas uroczyście do ślubu i wygłosił po francusku odpowiedni panegiryk. Dopiero po uczcie weselnej powiedział nam, że James znajduje się w Paryżu, dokąd przybył na parę dni przed nami, i że jest ciężko, a może nawet śmiertelnie chory. Wyraz twarzy mojej żony był wystarczająco wymowny.

– Pójdziemy go odwiedzić – rzekłem.

– Jestem posłuszna twojej woli – odpowiedziała Katriona.

Taka uległość cechuje zazwyczaj początki małżeńskiego pożycia.

James mieszkał w wysokim domu, w tej samej dzielnicy co jego wódz; zaprowadzono nas na poddasze, gdzie leżał przygrywając sobie na kobzie. Pożyczył ją był właśnie od Macgregora chcąc umilić sobie czas choroby i chociaż nie dorównywał swemu bratu Robowi, niezgorzej sobie z tym radził. Ubawił nas widok francuskiej gawiedzi tłoczącej się na schodach i nasłuchującej tej cudacznej dla nich muzyki. James leżał na sienniku, i od pierwszego spoj-



rzenia zdałem sobie sprawę, że przyjdzie mu wkrótce umrzeć w tym nędznym zakątku, na obczyźnie. Jednakże nawet teraz, opisując ostatnie chwile jego życia, trudno mi się zdobyć na wyrozumiałość. Był niewątpliwie przygotowany na naszą wizytę przez Macgregora, wiedział o naszym małżeństwie, złożył nam okolicznościowe gratulacje i udzielił błogosławieństwa jak patriarchy.

– Przez całe życie byłem człowiekiem niezrozumianym – mówił. – Przebaczam wam obojgu z całego serca i bez żadnych zastrzeżeń.

Po czym, jak gdyby nigdy nic, rozgadał się na swój sposób, zechciał nam łaskawie zagrać parę melodii na kobzie, a gdy odchodziliśmy, pożyczył ode mnie drobną sumę. W całym jego zachowaniu nie dostrzegłem ani krzty skruchy czy wstydu: ale za to przebaczył wielkodusznie i nader chętnie. Zdaje mi się, że przebaczał mi za każdym razem, gdy przychodziłem go odwiedzić, a gdy po czterech dniach skończył, przybierając do ostatniej chwili pozy dobrotliwego i świątobliwego męża, przyznaję, że był to w najwyższym stopniu irytujący widok. Kazałem go pochować, nie wiedziałem jednak, co wyryć na płycie grobowej i po namyśle postanowiłem ograniczyć się do daty.

Wolałem zrezygnować z dalszych studiów w Leyden, gdzie ponowne pojawienie się rzeckiego brata i siostry, tym razem w charakterze małżonków, nie omieszczałoby wywołać zdziwienia. Odzyskawszy więc nasze pozostawione tam rzeczy powróciliśmy do Szkocji.

Na tym, panno Barbaro Balfour (skoro należy się zwracać najpierw do dam) i Alanie Balfour, przyszły dziedzicu Shaws, kończy się ta opowieść. Występuje w niej niejedna osoba, którą dobrze znacie. Alison Hastie z Limekilns to dziewczyna, która układała was do snu w kołysce, kiedy byliście zbyt mali, by o tym wiedzieć, a w późniejszych latach prowadziła was na przechadzkę. Ta dostojna starsza pani, imienniczka Barbary, jest tą samą panną Grant, która w swoim czasie tak okrutnie naigrywała się z Dawida Balfour w domu lorda prokuratora. A czy pamiętacie tego szczupłego, gadatliwego, małego wzrostu dżentelmena, w źle dopasowanej peruce i zbyt obszernej opończy, który zjawił się w Shaws późnym wieczorem, w ciemną noc, i nazywał się pan Jamieson? Pamiętacie, jak obudziłem was i przyniosłem do jadalni, aby mu was zaprezentować? A ty, Alanie, czy pamiętasz, jak na prośbę pana Jamiesona – a był to wysoce nieprawomyślny gest, za który, zgodnie z obowiązującym prawem, pan Jamieson mógłby zawisnąć na szubienicy – wypiełeś zdrowie króla „za wodą”? Dalibóg, dziwne rzeczy działy się tego wieczora w domu zagorzałego wiga! Ale pan Jamieson jest uprzywilejowanym człowiekiem i mógłby nawet sobie pozwolić na podpalenie mego gumna; zamieszkuje obecnie we Francji i znany tam jest jako Chevalier Stewart.

Tobie zaś, Davie, i tobie, Katriono, będę się z tymi dniami bacznie przyglądał, chciałbym bowiem wiedzieć, czy ośmielicie się uśmiechać z politowaniem czytając dzieje młodości waszego ojca i matki. To prawda, że z braku roztropności naraziliśmy się oboje na mnóstwo niepotrzebnych zmartwień i kłopotów, ale przekonacie się, że nawet przemyślna Barbara i zuchowaty Alan nie okażą się wiele mądrzejsi od ich rodziców. Albowiem życie na tym świecie zabawne przybiera kształty. Powiadają, że patrząc na nas z nieba, aniołowie nieraz płaczą, mnie zaś się wydaje, że częściej trzymają się za boki ze śmiechu; a rozpoczynając tę długą opowieść postanowiłem opisać wszystko wiernie, jak było.

**Korekta: Joanna Bednarek**